

MAGDALENA
ZIMNIAK

PIWNICA

Jaka tajemnica kryje się w ciemności?



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Magdalena Zimniak

PIWKNICA



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog

Sierpień 1944

Lipiec 2020

Lipiec 1945

Lipiec 2020

Lipiec 1945

Lipiec 2020

Wrzesień 1945

Sierpień 2020

Grudzień 1945

Sierpień 2020

Styczeń/luty 1946

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień 2020

Sierpień 2004

Sierpień 2020

Sierpień 2004

Sierpień 2020

Marzec 1946

Sierpień/wrzesień 2020

Kwiecień 2022

Podziękowania

Przypisy

Redakcja
Agnieszka Czapczyk

Korekta
Janusz Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©*Carolina Pimenta/Unsplash*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Magdalena Zimniak, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-67343-84-8



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Dla Rafałka

*Gdy nadawałam imiona bohaterom,
nie było Cię na świecie. Co za zbieg
okoliczności, że rodzice nazwali Cię właśnie tak!*

PROLOG

Niekiedy zapominam, gdzie jestem. Kim jestem. Czasem tkwię w przeszłości i na nowo przeżywam wszystko, co doprowadziło mnie tutaj. Innym razem objam się o ściany, szarpię. Duszę się. Zdarza mi się wyjść. Błąkam się po korytarzach albo snuję po schodach. Nie mogę tylko opuścić budynku. Coś mnie tu trzyma. Może sama podjęłam taką decyzję. Muszę tu zostać, dopóki... Ta myśl zazwyczaj się urywa. Chodzę w tę i z powrotem. Mam moc przesuwania przedmiotów. Nikt nie widzi. Nikt nie czuje. Nikt nie słyszy. Nawet gdy ze wszystkich sił wołam o pomoc.

Nie zawsze tak było. Istniała szansa. Nie wykorzystałam jej. Nie mam pojęcia, czy minęły miesiące, czy lata. Może to było wczoraj, a może przed wiekami. Czas jest zupełnie abstrakcyjny.

I znowu się pojawiła. Szansa.

Boję się. To ja się boję. A ludzie mówią: „Straszy tutaj”. Mówili.

Znów zacznę.

SIERPIEŃ 1944

– Jutro od dwunastej do czternastej będzie zawieszenie broni. Widziałas to niemieckie ultimatum.

Irena otuliła dodatkowym kocem szcękającą zębami nastolatkę. Serce się jej ścisnęło, gdy patrzyła na chorą. Każdą kobietę mógł spotkać los tej dziewczyny. Ją samą. Zosię. Wstrząsnęła się i spojrzała na męża.

– Co? – spytała nieobecny tonem.

– Jutro zawieszenie broni. Widziałas niemieckie ultimatum? – powtórzył.

Widziała, oczywiście. Wszystko bezczelne kłamstwa. Żaden mieszkaniec Warszawy dobrowolnie opuszczający miasto nie dozna krzywdy. Akurat! Zdolni do pracy otrzymają pracę i chleb, niezdolni zostaną zaopatrzeni. Chorzy dostaną opiekę lekarską. Bo przecież armia niemiecka walczy jedynie z bolszewizmem. Można by pomyśleć, że Niemcy zamienili się w aniołów, a powstańcy dali się zmanipulować sowieckiej propagandzie.

– Widziałam – powiedziała wolno. – Nie wierzę im.

– Mają porozumienie z PCK. Władze powstańcze się na to zgadzają.

– I co z tego? Co dla nich znaczą umowy? Porozumienia? Skąd wiesz, że tych ludzi nie będą zabijać po drodze? Naprawdę wierzysz, że zaopiekują się chorymi? Co zrobili na Woli? Na Ochocie?

– Von dem Bach-Zelewski zmienił tę politykę. Nie wierzę mu, jednak nie robią już takich rzezi cywilów jak na początku.

Pokręciła głową.

– Może rzeczywiście potrzebują rąk do pracy. Ale ci chorzy... Niemcy obejdą się z nimi bestialsko. To są potwory!

Dotknął jej ręki i spojrzał w oczy. Uwielbiała ten wzrok. Miała ochotę się w nim zatopić. Nawet teraz. W tej piwnicy, wśród jęków i smrodu. Na przekór brzydocie. Na przekór rozpaczy.

– Chcę, żebyś poszła jutro.

Przez chwilę nie rozumiała i w odpowiedzi na uścisk męża ścisnęła jego palce. Gdy słowa dotarły, wyrwała dłoń. Wstała i zrobiła krok do tyłu.

– Tylko wtedy, jeśli ty też pójdziesz.

– Kochana... muszę zostać tutaj.

– Co? Ty zostaniesz, a ja mam iść?! Nie! Nigdy!

– Mężczyźni walczą, kobiety budują lepszy świat – wyrecytował frazes, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

– Bzdura! Rozejrzyj się. Teraz walczą wszyscy. Nie ma budujących nowy, lepszy świat.

– Właśnie dlatego... proszę. Błagam.

– Nie chcę – powiedziała twardo.

– Posłuchaj, kochanie. – Podszedł i dotknął jej zupełnie jeszcze płaskiego brzucha. – Ty i nasz syn jesteście tymi, za których walczę. Oczywiście ojczyzna, Warszawa, to też. – Mimo że nauczyli się mówić cicho, prawie szeptem, żeby nie przeszkadzać rannym, w jego głosie słyszała żarliwość, którą zawsze w nim uwielbiała, ale teraz czuła rozpacz. I wściekłość, że Władek nie rozumie. Nie chciała martwego męża. Chciała żyć, mieć dziecko, wychowywać je z nim. – Jestem gotów oddać za nie życie. Ale ty... wy... musicie ocaleć, żebyśmy czuli sens. Tutaj... sama widzisz, jak jest tutaj. Muszę wiedzieć, że ty... że wy będziecie żyć.

Roześmiała się, po czym nagle przerwała, bo spojrzenia wszystkich w piwnicy skierowały się na nią. Przynajmniej wszystkich przytomnych.

– Skąd wiesz, że nie zginiemy po drodze?

– To nie tak, że uwierzyłem Niemcom.

– Słucham?

Wziął głęboki oddech.

– Usiądźmy. Wszystko ci wyjaśnię.

Wciągnęła głęboko powietrze. Zapach niemytych ciał, ropiejących ran i kwaśnych oddechów przestał jej przeszkadzać. Nie chciała siadać. Nie chciała go słuchać. Rozejrzała się wokół. To już nie była piwnica mieszkania rodziców. Pomieszczenie stało się schronem, szpitalem albo raczej przechowalnią rannych. W rogu, na materacu, jęczał nieznajomy. Jakaś dziewczyna – żona? siostra? narzeczona? – trzymała go za rękę. Tuż obok leżała starsza kobieta, którą kula trafiła w udo. Jej oczy, szeroko otwarte, wpatrywały się w jeden punkt na odrapanej ścianie. Operację przeprowadził weterynarz. Niecałą godzinę temu Irena zmieniała opatrunek. Rana nie wyglądała dobrze. Na razie kobieta nie gorączkowała, ale to mogła być kwestia czasu. Obok dziewczyna, która nadal się trzęsła. Ten dodatkowy koc niewiele zmienił. Krwawiła z dróg rodnych. Władek znalazł ją przed ich kamienicą w podartej sukience, bez bielizny. Do tej pory nie powiedziała słowa. Nie tylko śmierć była teraz na porządku dziennym. Gwałty też. Irena przeniosła spojrzenie na młodego mężczyznę, właściwie chłopaka, od dwóch dni nieodzyskującego przytomności.

– Oni – wskazała na ludzi pod ścianą – nie dadzą rady pójść. Mam ich zostawić?

Czuła, że jest nielogiczna. Przed chwilą mówiła, że pójdzie, jeśli mąż z nią będzie. Teraz wymówkę stanowili ranni. Nie dbała o logikę.

– Usiądźmy, proszę – powtórzył. – Wysłuchaj mnie chociaż.

Kręciła głową, ale pozwoliła posadzić się przy stole, który kiedyś stał w salonie i był dumą mamy. Teraz mamy nie było. Kilka dni temu pochowały ją z siostrą w prowizorycznym powstańczym grobie. Tuż obok innych. Jak znajdą ciało po wojnie? Jak je rozpoznają? Po pierścionku zaręczynowym? Po obrączce? Irena włożyła do kieszonki spódnicy matki kartkę z imieniem i nazwiskiem. Może się nie rozpadnie. Ojciec zginął już w trzydziestym dziewiątym. Wtedy napaść Hitlera na Polskę, a jeszcze bardziej śmierć taty, wydawały się końcem świata. Nikt nie przygotował Ireny na kolejne lata wojny, kolejne straty. Z ich rodziny zostały tylko ona

i Zosia. I to dziecko w brzuchu. Na stole stały lekarstwa, które udało im się zdobyć.

– Gdzie jest Zosia?

Zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nie widziała siostry. Matka, umierając, powiedziała: „Chroń Zosię. Błagam. Opiekuj się moją małą dziewczynką”. To było takie trudne. Irena, pogrążona w żałobie, opatrywała rany obcych ludzi, prawie nie spuszczała wzroku z siostry, sama coraz bardziej głodna, brudna i spragniona, bojąc się o dziecko, które rozwijało się w jej łonie. Niekiedy budził się gniew. Dlaczego matka zrzuciła to na nią? Młodsza córeczka, którą starsza zawsze się opiekowała, zbierając pochwały od rodziców i obcych. Wcześniej bunt zapalał się i gasł. Irena zdawała sobie sprawę, że będąc sześć lat starsza, ma obowiązki. Teraz jednak było inaczej. Teraz obie żyły w środku piekła. Nadal miała sześć lat więcej.

– Jest ze Staszkiem. Bezpieczna.

Bezpieczna. Prawie ponownie się roześmiała. Prawie. Gdyby tym razem zaczęła się śmiać, szybko zamieniłoby się to w nieopanowaną histerię. Nie czas na rozsypanie się. Po wojnie. Po porodzie.

– Co chciałeś mi powiedzieć?

– Pamiętasz moją mamę, prawda?

– Co za pytanie?

Mama Władka zmarła na suchoty w trzydziestym dziewiątym, niedługo przed wybuchem wojny, ale jak Irena mogłaby jej nie pamiętać? Wspaniałej kobiety, która do każdego wyciągała pomocną dłoń. Irena chodziła do niej, gdy wydawało się, że rodzona matka jej nie rozumie. Pani Tereska rozumiała zawsze.

– A pamiętasz Adriana Keniga?

Irena nie odpowiedziała. Do czego jej mąż zmierzał?

– Pamiętasz?

– Oczywiście – rzekła sucho.

– W trzydziestym ósmym rozniosła się pogłoska, że jest Żydem. Kilku chłopaków, w tym niestety Kazik, mój kuzyn, postanowili to sprawdzić.

– Sprawdzić? – szepnęła.

Rozległ się głośniejszy niż do tej pory jęk pod ścianą. Prawie wstała, ale mąż położył jej rękę na ramieniu.

– Tak. Sprawdzić, czy był obrzezany.

– Kazik był w Falandze – przypomniała sobie.

Władek spuścił wzrok.

– Tak. Po tym incydencie się wypisał. Wiesz dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Skąd mogę wiedzieć?

Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

– Gonili Keniga, a on wołał o pomoc, ale nikt nie reagował. Byłem w ogrodzie, gdy usłyszałem krzyki. Zanim cokolwiek zdążyłem zrobić... mam nadzieję, że coś bym zrobił... mama wyleciała i otworzyła bramę. Kenig wbiegł, a ona stanęła przed posesją. Wpuściłem go do domu i wyszedłem na zewnątrz. Brama była już zamknięta, ale mama nadal przy niej stała. Nie słyszałem, co mówiła wcześniej, ale widziałem jej wzrok. Tak patrzyła kiedyś na mnie, gdy sprowokowałem bójkę z kolegą z ławki.

Irena milczała. Ona również знаła ten wzrok. Kiedyś, pewnie miała jakieś dziesięć lat, poszła z mamą na targ i tam spotkały panią Tereskę. Mama wdała się w rozmowę, którą po chwili przerwał rozpaczliwy krzyk. Mężczyzna, u którego często kupowały mięso, ciągnął za ucho około jedenastoletniego chłopca, a ten zalewał się łzami. Pani Tereska spojrzała na rosnącego mężczyznę, zapewne ojca, i to wystarczyło, żeby tamten przestał i zaczął się tłumaczyć. Mówił, że chłopak był niegrzeczny, a on stracił panowanie. Pani Tereska prawie nie słuchała. Powiedziała, żeby przyszli następnego dnia pomóc w ogrodzie. Pewnie przyszli, bo Irena spotykała w domu Władka tamtego chłopca. Pani Tereska uczyła go czytać. Miał na imię Józek. W trzydziestym ósmym pojechał do Wilna na uniwersytet. Podobno zatrzymał się u siostry pani Tereski i udawało mu się utrzymać

przy pomocy korepetycji. Irena nie pamiętała, co studiował. Nie wiedziała, co się z nim stało po wybuchu wojny.

– I oni sobie poszli – ciągnął Władek. – Kazik zwierzył mi się kiedyś, że mama zamknęła bramę, schowała klucz pod stanikiem i powiedziała: „Jeśli chcecie sprawdzić jego, musicie najpierw sięgnąć po klucz. Dobrowolnie go wam nie oddam. Ostrzegam, będę się bronić”. Szacunek dla kobiety, dla Polki, nie pozwolił im nic zrobić. Kazik potem z nią rozmawiał i twierdził, że dzięki temu pewne rzeczy zrozumiał, ale ja myślę, że to po prostu jej wzrok.

Kątem oka dostrzegła, że Zosia weszła do piwnicy i pochyliła się nad najbardziej jęczącym rannym. Za nią stał Staszek z jakimiś bandażami. Dobrze, że udało im się zdobyć materiały opatrunkowe.

– Tak – zwróciła się do Władka. – Twoja mama była wspaniała. Nie rozumiem jednak, po co mi to teraz opowiadasz.

Zaczerpnął powietrza.

– Kenig.

– Co?

– Przypuszczam, że Kenig nie jest jednak Żydem, bo nie zaszedłby tak wysoko w niemieckiej administracji. Wiesz, że jest jednym z zastępców Szefa Urzędu Gubernatora Dystryktu Warszawskiego?

Irena potrząsnęła głową.

– Co to ma...

– Posłuchaj. On obiecał, że jeśli kiedykolwiek będziemy potrzebować pomocy, udzieli jej. Wtedy przypuszczalnie nie skończyłoby się na sprawdzeniu. Moja matka naprawdę go uratowała. I teraz udało mi się z nim skontaktować.

– Co?

– Skontaktować z Kenigiem. – Zrobił przerwę, a potem wyrzucił z siebie słowa z szybkością miotacza ognia. – Będą was prowadzić na Zachodni. Tam ogłoszą przez megafon, żebyście zgłosiły się do najbliższego żołnierza eskorty i on was zaprowadzi do Keniga. Kenig was stamtąd odwiezie.

Modliłem się długo i wierzę, że to Jezus mną teraz kieruje. Kochana, proszę. Błagam.

Uklęknął przed nią. Znów spojrzenia rannych były w nich utkwione. Teatr, pomyślała. Miała nadzieję, że nikt nie rozumiał, o co chodzi. Drżała. Nie chciała go słuchać.

– Nie.

– Zrób to dla naszego syna.

– To może być córka.

– To nie ma znaczenia. Musicie żyć. Tutaj... nie ma nawet jedzenia. Walczakowie zjedli wczoraj swojego psa. Coraz więcej ludzi ma tyfus.

– Myślisz, że pójdę tam sama? Zostawię Zosię? Ostatnie słowa mamy były, żebym ją chroniła.

– Zosia pójdzie z tobą.

Nie zwróciła uwagi, że wcześniej mówił w liczbie mnogiej. Żebyście się zgłosiły. Was zaprowadzi. Może zwróciła, ale sądziła, że ma na myśli dziecko w jej brzuchu. Zosia i Staszek nadal zajmowali się rannymi, udając, że nie dostrzegają nic nadzwyczajnego w klęczącym Władku i jego roztrzęsionej żonie.

– Ona nigdy się nie zgodzi.

– Staszek ją przekona. Pewnie już przekonał. To do jego matki idziecie.

Zosia właściwie była jeszcze dzieckiem. Można by ją tak traktować, gdyby nie wojna. Teraz szesnastolatka była kobietą, gotową do walki, do śmierci, do straty wszystkiego i wszystkich. Młodsze dziewczyny i chłopcy też. Wiek przestawał mieć znaczenie. Irena zacisnęła ręce w pięści. Nie chciała iść. Nie chciała przeżyć bez męża. Nawet dla Zosi. Tylko to życie w niej...

– Dobrze – powiedziała wbrew sobie.

– Dziękuję, kochana.

Nadal na klęczkach, całował jej ręce. Nie będzie płakać. Nie płakała nawet, gdy zginęła matka. Może nie umiała już płakać. Wstała, wyrwała dłonie i odwróciła się od niego. Zachwiała się, ale natychmiast znalazł się

obok i ją podtrzymał. Nie miała sił. Nie chciała odgrodzić się od Władka. Wtuliła twarz w ramię męża, opierając się na nim całym ciężarem.

Tej nocy, na brudnym materacu, wśród jęków i zawodzenia rannych, oddawała mu się, jakby to był pierwszy raz. Tylko że pierwszy raz nie dał jej tyle bólu i tyle rozkoszy.

Rano został już wyłącznie ból. Próbowwała opatrywać i pocieszać cierpiących, ale wewnątrz kołatała się tylko jedna myśl. To koniec.

– Pilnuj ich. – Wskazała wzrokiem na rannych. – Niech ktoś zawsze się nimi zajmuje.

Władek pokiwał głową. Przecież sam mógł zostać ranny i wtedy kto pomoże tym jęczącym na podłodze? Umrą. Niech umrą. Niech tylko on nie zginie. Niech żyje z nią.

– Trzeba iść – powiedział.

Miała ochotę wyć.

– Chodź z nami – błagała.

– Jestem mężczyzną. Mężczyźni muszą walczyć. Kobiety urządzają lepszy świat – powtórzył wczorajszy frazes.

Pokręciła głową.

– Władek...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Tak namiętym jak w nocy.

– Musicie iść. – Na moment oderwał wargi i wsunął jej coś do kieszeni. – Może ci się przydać.

Jeszcze raz ją pocałował. Gdy ponownie ją puścił, spojrzała na zamkniętych w uścisku siostrę i Staszka, który pokiwał głową.

– Musicie iść – powiedział.

Zosia wysunęła się z jego objęć. Milczała. Zrobiła się tak chuda, że wyglądała, jakby za chwilę miała się przełamać. Jej twarz była bardzo blada, oczy czerwone. Jednocześnie Irena zauważyła w nich błysk nadziei. Nie musiała się zastanawiać, do czego się odnosi. Na palcu siostry połyskiwał

pierścionek. Wojna, nie wojna, Zosia była jeszcze dzieckiem. Nie rozumiała. Irena ponownie zacisnęła ramiona wokół szyi męża.

– Posłuchaj – mówił pośpiesznie do jej ucha. – Będę chciał przeżyć. Dla was. Po wojnie spotkamy się albo u matki Staszka, albo tutaj.

Ojciec Władka również zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego, a dom, w którym mieszkali, został już wtedy zburzony. Irena miała tylko siedemnaście lat, ale nalegała na przyspieszenie daty ślubu. Urządzili gniazdko w mieszkaniu mamy. Tu, mimo wojennej zawieruchy, byli szczęśliwi.

– Wszystko może zostać zburzone.

– Odnajdę was.

Przysięgnij, że przeżyjesz, chciała powiedzieć, lecz nie zrobiła tego.

Przyciągnął ją mocniej, po czym rozluźnił uścisk. Zosia wzięła ją za rękę.

Kolumna wolno posuwała się naprzód. Ludzie szli w milczeniu. Słysząc było tylko niezdrowy kaszel. Irena podsunęła chustkę na twarz. Lepiej się nie zarazić. Odrzucała myśl, że już mogła zostać czymś zarażona. Próbowwała skoncentrować się na miarowym kroku. Jeśli ktoś zbyt się opóźniał, któryś z eskortujących dźgał go karabinem, mówiąc znudzonym głosem: „Schneller!”. Nie chciała, żeby jej dotykali. Bała się mocnego walnięcia. Dlaczego nie kazała Władkowi przysiąc? Bo bała się, że może stać się krzywoprzysięcą? Bała się, że... Nie chciała kończyć, ale to słowo i tak przychodziło. Zginie.

Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim dotarli do Zachodniego. Zatrzymali się na torach. Wymieniły z siostrą spojrzenia. W oczach Zosi dostrzegła napięcie. Co teraz będzie? Czy Kenig dotrzyma obietnicy? Czy to była tylko gra? Pójdą gdzieś z innymi i tam umrą. Zosia, którą miała chronić, i ona sama, wypchnięta z Warszawy przez męża. Z dala od niego. I dziecko. Boże, nie. Proszę. Nie. Ludzie już rozmawiali, zastanawiali się, dokąd idą i co z nimi będzie. Czas mijał. Minuty, może godziny. Irena czuła się coraz gorzej. Wyciągnęła kawałek skórki chleba, modląc się, aby

powstrzymał mdłości. Głos, który rozległ się przez megafon, brzmiał jak z innego świata.

– Uwaga, uwaga! Irena Barcicka i Zofia Ronik mają zgłosić się do najbliższego żołnierza eskorty! Mają mieć przygotowane dokumenty tożsamości.

Drżącymi palcami wyciągała z kieszeni kenkartę, a Zosia wysuptywała swoją z worka, podczas gdy komunikat był powtarzany po niemiecku. Młody blondyn, wyglądający jak marzenie o wyższej rasie, poprowadził je do małego pomieszczenia. Na ich widok Kenig wstał i dał chłopakowi znak, żeby zostawił ich samych. Irena dostrzegła na twarzy wychodzącego obleśny uśmiezek. Dopiero gdy drzwi się zamknęły, spojrzała na Keniga. Pamiętała go. Przed wojną prowadził księgarnię. Był kilkanaście lat starszy, ale zdarzało jej się z nim flirtować, gdy wybierała nowe książki. Było dla niej szokiem, gdy stał się aktywny politycznie i działał na rzecz Trzeciej Rzeszy. Być może spowodował to incydent, o którym mówił wczoraj Władek, ale wtedy pełna oburzenia przestała kupować w księgarni zdrajcy. Gdy wybuchła wojna, Kenig szybko awansował, a w Irenie wieści o jego karierze budziły pogardę.

Teraz zdjął czapkę oficera SS i się uklonił.

– Dzień dobry – odezwał się po polsku. – Miło panie znowu widzieć, chociaż wolałbym, żebyśmy spotkali się w weselszych okolicznościach.

Milczała, ale Zosia odpowiedziała na pozdrowienie. Irena zastanawiała się, ile siostra wie na temat przystojnego oficera, który teraz miał być ich wybawcą.

– Nie mamy wiele czasu – ciągnął Kenig. – Proszę, pójdźcie panie za mną.

Zosia wzięła ją za rękę i podążyły za byłym właścicielem księgarni. Poprowadził je korytarzem do innego wyjścia. Na zewnątrz nie było tłumu warszawiaków. Stał tylko czarny, elegancki samochód. Irena nigdy w życiu nie jechała samochodem. Kenig otworzył drzwi.

– Proszę, niech panie wejdą.

Niemiecki oficer jak z reklamy. Przystojny i szarmancki. Ciemnowłosy, ale tacy też się zdarzali. Tylko one, nie pachnące najpiękniej, brudne i wychudzone Polki, nie pasowałyby do niemieckiej propagandowej taśmy filmowej.

– Przepraszam – powiedziała Irena.

Odeszła na bok i zwymiotowała. Zosia podążyła za nią i odgarnęła jej włosy ze spoconego czoła.

– Jak się czujesz?

Irena spróbowała się uśmiechnąć.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, nie najgorzej. – Wyprostowała się. – Masz jeszcze trochę wody?

Odebrała butelkę z rąk siostry. Najpierw przeplukała usta, chociaż wydawało się to strasznym marnotrawstwem, potem wzięła łyk, starając się panować nad pragnieniem.

– Drogie panie – usłyszała głos Keniga. – Przygotowałem dla pań mały prowiant. Woda, chleb i kawałek kiełbasy. Mam wszystko w samochodzie. Da pani radę jechać, pani Ireno?

Skinęła głową. Pierwsza przejażdżka samochodem. Kiedyś marzyła, że usiądzie w takim aucie obok Władka i będą mknęli przez miasto. Teraz z miasta zostały ruiny, a Władek... Przycisnęła ręce do ust, żeby powstrzymać kolejną falę mdłości.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, gdy się zatrzymali.

– To już niedaleko. Musicie przejść kawałek przez las. Ma pani mapę, panno Zosiu?

– Tak.

– Nie chcę wjeżdżać do wsi. Przepraszam.

Irena zrozumiała. Żadnych świadków. Teraz myślano, że Kenig wziął sobie dwie polskie kochanki. Hańbienie rasy, niezgodne z prawem, jednak robili to wszyscy. Nikt nie miał się dowiedzieć, że puścił samopas dwie warszawianki.

– Dziękujemy – powiedziała przez ściśnięte gardło.

– Dziękujemy – powtórzyła Zosia.

Kenig wbił wzrok w oczy Ireny.

– Pani teściowa mnie uratowała. Nie mógłbym postąpić inaczej.

Honorowy Niemiec spłacił dług.

– Chodźmy, Zosiu.

Irena wzięła siostrę za rękę i weszły w las, nie odwracając się. Po kilkunastu minutach usiadła, ukrywając twarz w kolanach. Zosia studiowała mapę

– Staszek wszystko mi wytłumaczył. To już naprawdę niedaleko. Zjedz trochę.

Ułamała spory kawałek kiełbasy i podała siostrze.

– Jezu, jak ona pachnie. – Irena zatopiła zęby i zmusiła się do dokładnego pogryzienia. – Ty też zjedz.

Zosia ugryzła sporo mniejszy kawałek.

– Tak – powiedziała z zachwytem.

Zjadły też chleb. Był świeży. Po posiłku po raz pierwszy od długiego czasu Irena nie czuła ssania w żołądku. To żalosne, że chleb i kiełbasa mogą uspokoić drzenie duszy. Żalosne są takie myśli. Ona sama jest żalosna.

– Napij się.

Woda też smakowała dobrze. Drzenie duszy, czy jak to nazwać, wróciło.

Szły przez noc w milczeniu, każda pogrążona we własnych myślach. Irena miała ich taki natłok, że nie była w stanie skoncentrować się na jednej. Wspomnienie wykrzywionej twarzy matki i jej ostatnich, z trudem wypowiedzianych słów: „Opiekuj się moją małą dziewczynką” mieszało się z pamięcią pożegnalnego uścisku męża, rozpacz z powodu rozstania z ukochanym z nieodbyłą żałobą po matce, obrazy płonących kamienic, ruin i trupów na ulicach z myślą, że musi chronić dziecko w swoim łonie. Emocje plątały się, przygniały. Na wierzch wypływał strach, że nie da

rady, ale z każdym krokiem ustępował on miejsca gniewowi. Na Niemców, którzy uczynili ludzi niewolnikami, niszczyli, mordowali i gwałcili. Na matkę, że dała się zamordować i zrzuciła z siebie odpowiedzialność. Na siostrę, która powinna być przybita jak ona, a uśmiechała się, zerkając na pierścionek. Na Władka, że wypchnął ją z miasta i swojego życia. Na siebie, że mu uległa. Miała trwać przy mężu. Przysięgała. Na dobre i na złe. Na Keniga, który martwił się tylko o spłatę długu. Gniew opadał i zalewała ją fala żalości. A później przychodził lęk. W końcu zmęczenie wyparło wszystkie emocje. Myśli się uciszyły i Irena miała tylko jedno pragnienie. Położyć się i spać. Spać. Spać.

Jeszcze nie świtało, kiedy stanęły na skraju wioski. Zosia spojrzała niepewnie.

– Chyba nie powinniśmy iść do niej w nocy? Bardzo ją wystraszymy, jeśli zaczniemy teraz walić w drzwi.

Cofnęły się do lasu. Dopiero teraz poczuły chłód. Usiadły, wtulone w siebie. Senność odeszła.

– Powiedz mi...

Nie wiedziała, jak zapytać. „Dlaczego zgodziłaś się uciec?” nie wydawało się odpowiednie. Ciekawe, że troszczyła się o dobre maniere czy raczej nieranienie uczuć siostry w chwili, gdy wszystko się zawaliło. Gdy zostawiły miasto obecnych i przyszłych trupów. Zosia wyciągnęła rękę.

– Zaręczyłam się.

Irena potrząsnęła głową. Argumentacja do niej nie przemawiała. Narzeczona nie opuszcza narzeczonego.

– Ale twój narzeczony tam został. Może...

Urwała. „Zostać zabity” nie przeszło jej przez usta.

– Zginać – dokończyła Zosia. – Tak, wiem. Obiecał, że nie zginie. Że ożeni się ze mną. Poszłam, bo ty masz w sobie dziecko, które powinno się narodzić. Bo chcę o nie dbać. I o ciebie. Jeślibyście zginęli, nie miałabym nikogo z rodziny. Bo idę do matki mojego narzeczonego, która jest sama.

Bo jeśli ja bym umarła, on nie mógłby walczyć. Bo musi być lepszy świat. Nie tylko dla innych. Również dla nas.

Ta argumentacja, bardzo zresztą przypominająca wywody Władka, miała luki, ale po raz pierwszy od przekroczenia granic miasta Irena pomyślała, że może będzie dobrze. Przytuliła mocniej siostrę.

– Mama kazała mi opiekować się tobą, a ty opiekujesz się mną.

– Mama... – Głos Zosi się załamał. – Myślisz, że jest z nami teraz?

– Tak. – Prawie w to wierzyła.

Sięgnęła do kieszeni i wymacała przedmiot, który Władek wsunął jej przy pożegnaniu. Wyjęła go i położyła na otwartej dłoni. Gorycz wróciła.

– Zobacz – powiedziała do Zosi. – To ich sygnet rodowy. Ojciec Władka zawsze go nosił. Władek... – Jej głos się załamał. Władek mówił, że może kiedyś, w przyszłości, też włoży go na palec. Dlaczego dał go jej? Przyda się? Można zamienić na pieniądze? Na chleb? Może na mleko dla dziecka? – Naprawdę myśli, że mogłabym go sprzedać?

Zosia przytuliła siostrę.

– Są rzeczy ważniejsze niż sygnet – powiedziała. – Twój mąż to rozumie.

Irena nie broniła się przed objęciem, ale ścisnęła palce, aż ostra krawędź sygnetu wbiła się we wnętrze dłoni.

– Musimy iść. – Wstała. Ręka jej krwawiła, na tyle lekko, że siostra nie zauważyła.

Z pierwszymi promieniami słońca weszły do wioski. W oknie mijanego domu Irena dostrzegła przyklejoną do szyby twarz. Momentalnie odwróciła głowę. Drogą jechał wóz, ciągnięty przez wychudzoną szczapę.

– Prrr! – zawołał woźnica, ściągając lejce. – Wy do kogo?

– Do pani Antolak – odkrzyknęła Zosia.

– Do Antolakowej! – Woźnica się ucieszył. – Toć to niedaleko dworu. Jadę tam. Wskakujta. Wiater dziś silny, a wy chudziątka.

Zosia spojrzała pytająco na siostrę, ale Irena miała dość wędrówki na piechotę i szukania.

– Dziękujemy – powiedziała, gramoląc się na wóz.

Chłop był tak zarośnięty, że trudno byłoby określić jego wiek. Oczy miał niebieskie, dobre. Tak przynajmniej pomyślała Irena.

– A skąd wy? – zapytał, ruszając.

– Z Warszawy.

– O! U nas gadają, że już po Warszawie. Jak tam jest?

– Ciężko – przyznała Irena.

Miała nadzieję, że siostra nie poda szczegółów, bo obie się rozsypią.

– Ale wy pikne dziolchy so. Antolakowa to rodzina?

– Prawie – odpowiedziała Irena.

Twarz Zosi się ożywiła.

– Jej syn to mój narzeczony.

– Co wy powiadają? Toć to dla niej uciecha będzie! Ona samiusieńka jak ten palec, oczy za synami wypłakuje.

Irena przestała słuchać. Znów zrobiło jej się niedobrze. To już czwarty miesiąc, powinno przechodzić.

– Muszę...

Nie skończyła. Wychyliła się i zwymiotowała na drogę.

– Ona jest w ciąży – wyjaśniła Zosia i podała Irenie wodę. – Wypij do końca.

– Łoj, to łuna musi jeść. Mam chleb dla dziedziczki. Weźcie trochu. Dziedziczka zrozumie.

Odłamał spory kawał i podał Irenie. Pomimo solidnego posiłku sprzed kilku godzin znów była głodna.

– I dla was.

– Dziękuję – powiedziała Zosia.

Kątem oka Irena zobaczyła, że siostra wpycha łakomie wielkie kawałki do ust, prawie nie dbając o gryzienie. Zalała ją fala wstydu. Poprzednio Zosia zjadła dużo mniej od niej. Skoncentrowana na sobie i dziecku, nie pomyślała o głodzie siostry.

– To tutaj.

– Bardzo panu dziękujemy!

Chłop skinął głową i ruszył. Weszły do obejścia.

– Dzień dobry!

Z kurnika wyszła wysoka, schludnie wyglądająca kobieta. Spojrzała na nie bez wrogości, ale i bez uśmiechu.

– A wy kto?

Zosia wyciągnęła z kieszeni zmięty list.

– My... Ja... ja jestem... Tu mam list dla pani. Ja jestem narzeczoną Staszka.

Kobieta się zachwiała.

– Narzeczoną? Chodźcie do izby.

Odebrała list z rąk Zosi i poprowadziła dziewczyny do środka.

– Siadajcie.

Zająły miejsca na krzesłach wokół stołu. Gospodyni drżącymi rękoma rozłożyła papier. Poruszała ustami, czytając. Po jej twarzy spływały łzy. Gdy skończyła, wstała i podeszła do Zosi.

– Dziecko, ja taka szczęśliwa, że ty tu przysła. Ty teraz dla mnie jak córka.

Położyła spracowaną ręką na głowie dziewczyny. Zosia osunęła się na kolana.

– Pani dla mnie jak matka. Ja już innej nie mam.

Obie zaniósły się szlochem, jakby puściła jakaś tama. Irena przyglądała im się, ponownie walcząc z mdłościami.

– Wstań, kochanie. Proszę – powiedziała starsza kobieta.

Zosia podniosła się i kobiety zwarły się w uścisku.

– A ona... moja siostra...

– Ona też będzie dla mnie córka. Chodź do nas.

Starsza siostra pozostała sztywna. Wbrew słowom tamtych czuła się nie na miejscu, jak piąte koło u wozu. Dopiero kiedy matka Staszka wzięła ją

za rękę, poprowadziła do Zosi i obie ogarnęła ramionami, uwierzyła. Była z rodziną. Miała oparcie.

LIPIEC 2020

Aneta rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w lustro i zdecydowała się pociągnąć usta szminką. Starła się wyglądać dobrze. Ten nowy chłopak był słodki, kilka lat młodszy od niej. I super. Dotąd interesowali ją starsi, jakby podświadomie szukała człowieka, który zastąpiłby nieobecnego ojca. Wcześniej zdała sobie z tego sprawę i uznała to za żałosne, ale nadal kochała się w dojrzałych mężczyznach. Zazwyczaj na odległość. Pierwszy związek zaliczyła na drugim roku studiów. Poszła na wykład z historii starożytnego Egiptu, który okazał się tak fascynujący, że została, gdy inni wyszli, i jeszcze zadawała pytania. Profesor zaproponował, żeby zakończyli dyskusję w kawiarni, i Aneta od razu się zgodziła. Przystała również na następne spotkanie. I kolejne. Zakochała się po uszy. Darek, bo tak miał na imię wykładowca, zapewne nie uważał tego za związek, bo nie zdecydowała się na seks. Całe szczęście, bo po jakimś czasie odkryła, że ukochany jest żonaty. Urwanie kontaktów było łatwe. Gdy zderzała się z nim na dziedzińcu, obdarzała go tak lodowatym spojrzeniem, że po kilku próbach przestał ją zaczepiać. Uciszenie burzy wewnątrz okazało się trudniejsze. Dochodziła do siebie przez kilka miesięcy, a potem zafascynował ją lekarz, którego poznała na przyjęciu u cioci. Trudno chyba o gorszy banal. Upewniła się, że jest kawalerem, i po paru tygodniach romantycznych randek poszła na całość. Był delikatnym, czułym kochankiem i zbliżenia dawały jej radość. Zdecydowała się z nim zamieszkać. Po początkowej euforii odkryła jego zaborczość i zaczęła się dusić. Wystarczyła rozmowa z kimś innym, neutralne spojrzenie, żeby zarzucał jej chęć zdrady. Gdy po spotkaniu z jego znajomymi uderzył ją w twarz, wróciła do matki i wyrzuciła go ze swojego życia. Skoncentrowała się na nauce i podróżach. Tak było lepiej. Miłostki nie były jej potrzebne. Do teraz.

– Pa, mammo!

Agnieszka oderwała wzrok od komputera i uśmiechnęła się do córki.

– Na razie, kochanie. Do zobaczenia rano. Jedź ostrożnie.

– Jasne.

Aneta zbiegła po schodach. Dyżur w spółdzielni zaczynał się za niecały kwadrans. Miała nadzieję, że nie będzie korków.

Rafał był zadowolony. Został, jak mówił, zanim kto inny zdołał mu to wytknąć, cieciami czy też – nomen omen – stróżem; nazwisko Stróżewski zobowiązywało. Trudno się takim zajęciem chwalić w CV, ale agencja ochroniarska płaciła nieźle, a kancelarie prawne proponowały zatrudnienie bez wypłaty. Nie tym razem. Na trzecim roku zdecyduje się na zdobywanie doświadczenia zawodowego, nawet bez pieniędzy, ale teraz ich potrzebował. Przez dziewięć miesięcy dawał korki z angielskiego uczniom podstawówek, brak kwalifikacji pedagogicznych nadrabiał podejściem. Dzieciaki go uwielbiały i robiły postępy, a ich rodzice polecali znajomym. Pomimo protestów matki dokładał do budżetu domowego, a za resztę udało mu się kupić całkiem porządny sprzęt do wspinaczki. Żeby jednak pojechać w Alpy i zdobyć upragnione Mont Blanc, jeszcze trochę brakowało. Wyjazd planowali z kumplami na połowę września, więc dzięki uzyskanej pracy zdąży uzbierać. Sama robota... cóż, zapewne nie trzeba być Einsteinem, ale za to można w trakcie dyżuru poczytać, jeśli znudzi się rozmowa z drugim ochroniarzem. Zazwyczaj dyżurowało się dwójkami. Czasem to było fajne, czasem mniej. Mniej, gdy dyżur wypadał z Tomaszem, facetem przed pięćdziesiątką, który kazał mówić sobie po imieniu i udawał młodzieźowca, sypiąc zenującymi żartami. Inni byli w porządku. Najbardziej w porządku była Aneta. Dla Rafała pozostawało zagadką, w jaki sposób ta drobna, niewysoka istota została zatrudniona jako ochroniarka. Zrobiła już magisterkę na polonistyce. Mówiła, że nie chce zaczynać poważnej pracy, bo na razie nastawia się na podróżowanie po świecie. Połączenie ochrony i korepetycji najbardziej jej odpowiadało. Była już w większości krajów Europy, Azji i Afryki, a w listopadzie

wybierała się do Australii. Wydawała tak mało, jak się dało; jeśli było możliwe, korzystała z coach surfing i bla bla car. Nastawiona na przygodę. I ładna. Proste blond włosy do połowy pleców. Duże niewinne oczy. Świetna figura. Kobięce krągłości gdzie trzeba. Rafał cieszył się za każdym razem, gdy miał z nią dyżur. Po rozstaniu wyobrażał ją sobie w rozmaitych sytuacjach, najczęściej z nim, również tych najbardziej intymnych. Do tej pory miał jedną dziewczynę, jeszcze w liceum. Nie wyszli poza pocałunki. Jasne, że chciał czegoś więcej, ale ona powiedziała zdecydowane „nie”, a tuż przed maturą z nim zerwała. Bolało dość długo, ale od wypadku był nastawiony do życia zadaniowo, więc dał radę. Gdy ojciec z dość dużą szybkością wjechał w drzewo, aby uniknąć zderzenia z drugim samochodem, Rafał miał czternaście lat i sam postawił sobie za cel pomóc mamie przez to przejść i razem z nią zapewnić bliźniakom rodzinę. Udało się. Pozbierali się wszyscy. Prawie pozbierali. Kiedy Kalina odeszła, zadaniem było zdać dobrze egzaminy i dostać się na prawo. Być przykładem dla rodzeństwa, chlubą dla matki. Znow sukces. Miał tak dużo zajęć: nauka, dawanie korków, pomaganie bliźniakom, że na roztkliwienie się nad sobą prawie nie starczało czasu.

Teraz było go więcej. Przekonał mamę, żeby wyjechała z dziećmi nad morze, i chociaż się wzbraniała, dorzucił pięćset złotych z własnych oszczędności. Zazartował, że to dodatkowy bon turystyczny. Kręciła głową i kręciła, ale powiedział, że jeśli nie weźmie, on przestanie się stołować w domu. To ostatecznie ją przekonało. Zaliczył sesję i został sam w mieszkaniu. Roztkliwiać się nie roztkliwiał, ale pofantazjować na temat Anety mógł. Zdawał sobie sprawę, że szanse ma niewielkie. Dwudziestokilkuletnia dziewczyna, ładna i przebojowa, zapewne nie marzyła o zadawaniu się z chłopakiem, który dopiero zaliczył pierwszy rok studiów. To nic. Na razie wystarczało mu przebywanie w jej towarzystwie, słuchanie o zagranicznych przygodach i planach na przyszłość oraz patrzenie na jej jasną twarz i pełny biust. Na to ostatnie, kiedy nie widziała.

Dziś, chociaż pracował już miesiąc, po raz pierwszy miał nockę. Dyżur z Anetą w spółdzielni mieszkaniowej. Tylko we dwoje w pustym budynku. Zmiana zaczynała się o dwudziestej pierwszej. Na miejscu był pół godziny przed czasem i powiedział kolegom, że mogą się zwijać. Poszli dopiero za dziesięć dziewiąta. Rozsiadł się, udając, że czyta książkę, ale nie potrafił skoncentrować się na tekście. Popatrywał na wielki zegar ścienny. Za sześć. Za pięć. Za cztery. Dziewiąta minęła, a Anety nadal nie było. Czyba nic się nie stało? Wiedział, że to paranoja, ale od wypadku, gdy spóźnił się ktoś, kto nie był mu obojętny, Rafał czuł supeł w żołądku. Pięć po. Sześć. Supeł się zacieśniał. Chłopak patrzył już tylko w kamerę. Dziewięć po brama się otworzyła i na parking wjechał wysłużony czerwony fiat punto. Aneta wypadła z autka, trzaskając drzwiami. Rafał wbił wzrok w książkę.

– Przepraszam. Straszny korek zrobił się w centrum. Zupełnie jak w piątek o szesnastej.

Podniósł na nią oczy.

– Nie ma sprawy. Nic się nie działo.

Nie powiedział, że powinna zadzwonić, żeby się nie martwił. Właściwie dlaczego miałyby się martwić? Przypuszczalnie nie udało mu się zachować neutralnego tonu, bo Aneta zmarszczyła brwi.

– Ej, chyba jesteś nie w sosie. Zrobię nam herbaty, co?

Nie czekając na odpowiedź, wyszła do kanciapy nastawić wodę.

– Do widzenia.

Rafał odpowiedział na pożegnanie właścicielki studia nagraniowego. Nie była ostatnią, która opuszczała budynek. Pracownicy spółdzielni kończyli równo o szesnastej, ale inne firmy nie traktowały ośmiogodzinnego dnia pracy jako normy. Pani z biura rachunkowego potrafiła podobno zostać do północy.

– Herbata, proszę pana.

Aneta uśmiechała się, ukazując urocze dołeczki w policzkach. Nie było możliwe gniewać się na tę dziewczynę.

– Dziękuję.

– Tyle ci mówiłam o sobie. – Odrzuciła włosy na plecy, a jemu zrobiło się gorąco. – A ty mi o sobie nic.

– Jak to? – zaprotestował słabo. – Mówiłem na przykład, że studiuję prawo.

– Masz dziewczynę?

Dlaczego pytała? Czy...

– A ty masz chłopaka?

Roześmiała się.

– O widzisz, już odbijasz piłeczkę. To ja pierwsza zapytałam, ale i tak ci powiem: nie mam.

– Ja też nie. – Znów się roześmiała. Zaczerwienił się. – To znaczy... nie mam dziewczyny.

Pokiwała głową, a chociaż jej oczy były wesole, już się nie śmiała.

– A rodzeństwo masz?

– Mam brata i siostrę. Bliźniaki. To u nas rodzinne. Mama też ma bliźniaczkę. I babcia. Mama taty. Tosia i Paweł są dziesięć lat młodszy ode mnie.

Powstrzymał chęć zadania tego samego pytania jej, ale i tak powiedziała:

– Fajnie. Ja nie mam. Moi rodzice się rozstali, kiedy miałam pięć lat. Tata znów się ożenił, ale nie ma dzieci. Rzadko go widuję. Mieszkamy same z mamą.

Po raz pierwszy, od kiedy ją znał, usłyszał w jej głosie tęsknotę czy smutek. Zazwyczaj emanowała energią. Nie opowiadał ludziom o własnej sytuacji rodzinnej. Nawet kumplom od alpinizmu, których uważał za przyjaciół, nie mówił. A teraz poczuł potrzebę powiedzenia jej.

– Ja... mój ojciec...

Urwał, słysząc stukot obcasów. Właścicielka biura rachunkowego podeszła do kontuaru.

– Zostawię u państwa klucz, dobrze? Jutro rano będzie mój współpracownik, a nie może znaleźć swojego.

– Oczywiście. – Aneta obdarzyła kobietę profesjonalnym uśmiechem i schowała klucz.

Odprowadzili wzrokiem elegancką bizneswoman.

– Ktoś jest jeszcze w budynku?

Rafał powoli zwrócił głowę w stronę Anety.

– Chyba nie. To co, zamykamy i idziemy na obchód?

Czuł się bezbronny. Jeszcze jej się nie zwierzył, ale samo pragnienie sprzed chwili dawało jej nad nim władzę.

– Jasne.

Specjalnie szedł za nią po schodach, żeby popatrzeć na ładnie opięte przez dzinsy pośladki. Chciał po prostu podziwiać jej tyłek, wyobrazić sobie, że kładzie na nim rękę.

– Co jest?

Zatrzymała się na szczycie schodów, odwróciła.

– Nic, nic – powiedział, przeskakując po dwa stopnie.

Ta fantazja to jednak nie był najlepszy pomysł. Gdyby Aneta spojrzała, gdzie trzeba, zauważyłaby jego podniecenie. Na szczęście nie spojrzała, a jeśli nawet, nie dała tego po sobie poznać. Przeszli po piętrach, sprawdzili każdy pokój. Wszystko było w porządku. Budynek był pusty.

– Jeszcze jedną herbatę? – spytała Aneta na dole.

– Wolę kawę. I tak tu nie zasnę.

– Kwestia przyzwyczajenia – mruknęła. – To teraz twoja kolej, żeby zrobić – powiedziała, siadając.

Stojąc przy czajniku, obmyślał, co powie, stawiając przed nią kubek. Nic oryginalnego nie przyszło mu do głowy.

– Herbata dla pani – powiedział – i kawa dla pana.

Aneta odchyliła głowę i ukazała równe zęby w uśmiechu.

– Dziękuję. – Poczekała, aż usiadł, i dodała: – To teraz opowiadaj.

Spojrzał na nią ze strachem.

– Co mam opowiadać?

– To, co zacząłeś. O twoim ojcu.

Patrzyła mu prosto w oczy. Nie widział w jej twarzy fałszu czy pustej ciekawości.

– Psychoterapia za darmo? – mruknął.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Rafał, Rafał, ty tak poważnie? Nie chcesz, nie mów. Takie zamykanie się w sobie na dłuższą metę nie zdaje egzaminu. Sama kiedyś przez to przechodziłam.

Pociągnął łyk kawy. Gorzka czarna. Musi pamiętać, żeby następnym razem przynieść cukier i może śmietankę. Spuścił wzrok.

– Mój ojciec nie żyje. – Głos mu zadrżał. – Nie żyje – powtórzył. – Zginął w wypadku samochodowym sześć lat temu. Wracał z podróży służbowej z Koszalina. Z kolegą. Mijali jakiś samochód i wpadli na drzewo. Kolega wyszedł bez szwanku. Tata... – Urwał na moment, przełknął ślinę i dokończył: – Zginął na miejscu. Podobno w nocy pili, żeby uczcić jakiś kontrakt. Niedużo. Przed wyjazdem sprawdził. Nie miał alkoholu we krwi. Ale... Ale chyba... nie spał. Był wykończony i pojechał.

Zamilkł. Tyle razy próbował usprawiedliwić zachowanie ojca. I zawsze przypominało mu się, jak ojciec mówił, że zmęczenie jest obecnie częstszą przyczyną wypadków niż alkohol. Rafał nie miał pojęcia, czy istniały tego rodzaju statystyki.

– Po prostu nie myślał – ciągnął. – Po nieprzespanej nocy refleks miał spowolniony.

Podniósł głowę. Twarz Anety była nieruchoma, a jej oczy, zazwyczaj jasnoniebieskie, teraz wydały się granatowe. Widocznie taki efekt dawało przyćmione światło.

– Nie potrafisz mu przebaczyć?

– Co? – spytał zdezorientowany.

– Ja długo nie potrafiłam przebaczyć swojemu. Nie, to nie to. Nie chciałam. Hodowałam w sobie pretensję. Było tak pięknie, kiedy byliśmy razem. To bzdura, nie? Miałam pięć lat, kiedy odszedł, nie mogę pamiętać.

A jednak idealizowałam, wierzyłam w sielankę. I okazywałam bunt za każdym razem, kiedy brał mnie do siebie, więc robił to coraz rzadziej. I – jej głos się załamał – zaczynałam go nienawidzić.

Chciał położyć rękę na jej dłoni, ale zabrakło mu odwagi. Uśmiechnęła się, jakby go przejrzała, i sama ścisnęła jego palce. Na moment, ale i tak zrobiło mu się z jednej strony gorąco, a z drugiej poczuł spokój. Jakby nie musiał już wszystkim się martwić.

– I nienawidziłam go dość długo. Byłam trudnym dzieckiem, zbuntowanym. Kiedyś pchnęłam koleżankę tak, że uderzyła głową w parapet. Nic poważnego się nie stało, ale krwawiła. Chodziłam wtedy do trzeciej klasy podstawówki. Była niezła afera, prawie wyleciałam ze szkoły. Mama ubłagała dyrektorkę i dostałam jeszcze jedną szansę. Ta krew mnie przeraziła i od tej pory nikomu nic fizycznie nie zrobiłam. A tamta dziewczyna mnie zdenerwowała, bo śmiała się, że na Dzień Ojca na przedstawienie przyszła moja mama.

– Ja... cię rozumiem.

Ponownie się uśmiechnęła.

– I znowu mówię o sobie. Skończę, skoro zaczęłam. Tak jak mówiłam, nikogo już nie biłam, ale przeklinałam, odzywałam się bezczelnie do nauczycieli, zdarzało mi się wagarować. Moją biedną matkę często wzywano na dywanik. Nie radziła sobie ze mną. Próbowwała perswazji, pogadanek umoralniających, nic nie skutkowało. Kiedyś, w piątej klasie, wstałam w nocy, bo miałam koszmar. Często śniło mi się coś złego i zawsze wtedy szłam do łóżka mamy. Tym razem też, ale zanim doszłam, usłyszałam, jak płacze. To było straszne. Wcześniej nie widziałam jej płaczącej. Nigdy. Przytuliłam się do niej, ale ona i tak płakała. Nie pytałam dlaczego. Do tej pory nie zapytałam. Uznałam, że to przeze mnie. To było po jakimś powrocie z dnia otwartego. Obiecałam jej wtedy, że już nie będzie miała ze mną kłopotów. Ścisnęła mnie mocniej i powiedziała, że mnie kocha. Tylko tyle. Później starałam się spełnić obietnicę, chociaż bywało trudno. No, ale na koniec roku miałam świadectwo z czerwonym paskiem.

Rafał pomyślał, że podeszła zadaniowo. Jak on.

– Pokonałaś siebie.

Machnęła ręką.

– Zrobiłam dobrze przede wszystkim dla siebie. Zaczęłam myśleć o sobie lepiej. Tylko ojca nadal nienawidziłam. Na studiach poszłam na psychoterapię i trochę mi przeszło. Już mu przebaczyłam, ale smutno mi, że nasze relacje są żadne. Mimo to – uśmiechnęła się po swojemu – czuję się lepiej. Bez gniewu. Bez nienawiści.

Niespodziewanie się roześmiała, a potem jej oczy zrobiły się puste. Pomyślał, że udaje i wcale nie jest taka silna.

– Aneta?

Tym razem położył rękę na jej dłoni. Wysunęła ją dopiero po chwili.

– Straszny patos ze mnie wyłazi, nie? Nawet nie wiedziałam, że mam go tyle w sobie.

Pokręcił głową. Cokolwiek by mówiła, jakkolwiek by się zachowywała, i tak mu się podobała.

– Jesteś świetną dziewczyną – wypalił.

Policzki go paliły. Że też musi rumienić się jak panienka! Udała, że tego nie zauważa.

– Cieszę się, że tak uważasz – powiedziała i zanim zdążył się zastanowić, co to oznacza, dodała: – Ty dotąd nie przebaczyłeś ojcu, prawda?

– To nie tak. – Nie wiedział, jak to wyjaśnić. – Jestem wściekły, mam pretensję, ale gdyby tylko wrócił... gdyby...

– Mój nie wrócił – przypomniała.

– To co innego. Wystarczyłaby mi jedna rozmowa z nim. Najgorsze jest to, że nie ma na nią szansy.

– Rozumiem.

Może gdyby powiedział wszystko, naprawdę by zrozumiała. Tyle że sam chciał zapomnieć. Przynajmniej teraz. Pokręcił głową.

– Bo widzisz, wściekłość to jedna sprawa, a żal, że go nie ma, druga. I jeszcze strach.

– Czego się boisz? – spytała.

– Boję się, że komuś, kto jest dla mnie ważny, coś się stanie. – Łatwiej było mu powiedzieć o strachu niż przedstawić cały obraz. – Jeśli nie ma na czas mamy, czy Tośki, czy Pawła, i nie można się z nimi skontaktować, nie potrafię nic robić, na niczym się skupić. Nigdy tak nie miałem, to się zaczęło po wypadku. O ciebie... – Urwał. O mało nie powiedział, że się o nią bał. – Ale – dodał szybko – najważniejsze, że udało nam się z mamą stworzyć bliźniakom rodzinę.

– Co o mnie? – spytała.

– O ciebie? – udał zdziwienie.

– Powiedziałaś: „o ciebie”.

– Tak? Już nie wiem, o co mi chodziło.

Nie naciskała, ale znów ukazała dołeczki w policzkach. Wiedział, że go przejrzała.

– Czy nie za bardzo...

– Poczekaj – przerwał. – Słyszałaś to?

Zmarszczyła brwi.

– Co?

– Ktoś chodzi po schodach.

Nasłuchiwała i pokręciła głową.

– Nie.

– Teraz nie słyszać – przyznał. – Ale przed chwilą ktoś chodził.

– Nikogo nie ma w budynku – przypomniała. – Byliśmy na obchodzie.

– Słyszałem – upierał się. – Chodźmy jeszcze raz.

Skinęła głową.

– Okej, sprawdźmy. Weźmy klucze. Może ktoś jest w pokojach spółdzielni.

– Mamy też klucz do biura rachunkowego.

– Bierz – zdecydowała.

Ponownie obeszli piętra, tym razem sprawdzając dostępne pomieszczenia. Nic. Wszystkie okna w korytarzach były zamknięte. Przez moment zawahał się przed biurem rachunkowym, ale Aneta go ponagliła. Weszli.

– Nie ma nikogo – powiedział po zajrzeniu do każdej szafki.

Przyglądała mu się w zamyśleniu.

– Obejdźmy budynek z zewnątrz.

Nie znaleźli nic podejrzanego. Okna gdzieś tam były pootwierane, ale żeby się przez nie dostać, trzeba by mieć drabinę lub być akrobatą.

– Obejrzyjmy jeszcze zapisy z kamer – powiedziała Aneta.

Rafał patrzył w skupieniu. Próbował dostrzec jakikolwiek ruch, wypatrywał już nie tylko ludzi, lecz również zwierząt czy chociażby dziwnych przedmiotów. Nic.

– Chcesz zobaczyć jeszcze raz? – spytała.

– Nie. – To, co jakąś godzinę temu wydawało mu się oczywiste, teraz się zamazało. – Chyba rzeczywiście się pomyliłem.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Wydaje mi się, że jesteś spięty.

– Co?

Miał ochotę strącić jej dłoń. Gdzieś zniknęły ciepłe uczucia, a nawet pociąg fizyczny.

– Starasz się, prawda? Stale się starasz. W domu, na uczelni, w pracy. Nie wyluzowujesz.

Nadal go dotykała. Cofnął się.

– O czym ty mówisz, dziewczyno?

– Chociaż sam masz dwadzieścia lat, czujesz się odpowiedzialny za rodzinę. Zarabiasz. Studiujesz i założę się, że jesteś jednym z najlepszych. Stale na najwyższych obrotach. To wykańcza.

Robił się wściekły.

– Znów psychoterapia, co? Wydaje ci się, że jesteś taka mądra? Ledwie mnie poznałaś i wiesz o mnie wszystko?

Nie odzywała się. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi gałami, które znów były jasnoniebieskie. Normalnie posąg niewinności.

– Przepraszam – powiedziała w końcu.

Zmiękł. Ta dziewczyna była zbyt ładna, żeby długo się na nią gniewać. Chciał, żeby znów go dotknęła.

– Nie ma sprawy – mruknął.

I wtedy to usłyszał. Tuż obok. Westchnienie, raczej kobiece. Był pewien, że to nie Aneta.

– Słyszałaś?

Milczała, ale jej twarz, zawsze jasna, zbladła jeszcze bardziej, a oczy zrobiły się granatowe. Mimo że czuł się nieswojo, pomyślał, że jeszcze nie spotkał nikogo, kto by miał tęczówki zmieniające barwę.

– Słyszałaś? – powtórzył.

– Tak. – Prawie odetchnął z ulgą. Wolał niewyjaśnione odgłosy niż myśl, że zaczyna mieć halucynacje. – Co to było?

– Ktoś westchnął.

– Tak to brzmiało – przyznała. – Pewnie jakaś mucha.

Mucha nie wzdycha. Zachował to dla siebie. Musiało istnieć racjonalne wyjaśnienie. Dopóki na nie nie trafią, można zaakceptować muchę.

– To co, herbatki? – zapytał wesoło.

Nie czuł wesołości, raczej nieokreślony strach. Coś tu było. Coś nieznanego. Czuł to wcześniej, gdy był tu w ciągu dnia, ale nie dopuszczał do świadomości. Bzdura. Aneta się roześmiała, dość niepewnie.

– Herbatki – przytaknęła. – Odprawimy własne egzorcyzmy.

Przyłączył się do jej śmiechu i za chwilę oboje śmieli się już szczerze. Słowo „egzorcyzmy” wprowadziło lekki nastrój. Ponownie zaczęli gadać i tym razem obyło się bez analizy jego psychiki. Opowiedział Anecie o górskiej pasji i planowanej wyprawie na Mont Blanc, a ona słuchała

z błyszczącymi oczyma i powiedziała, że kiedyś się z nimi wybierze. Odparował, że on wybierze się z nią na zwiedzanie świata. Nie zmieszała się ani nie zmieniła tematu.

– Super. Musisz być czasem gotowy na spartańskie warunki.

– Oj, dziewczyno, dziewczyno. – Pokręcił głową, myśląc jednocześnie, że jeszcze wczoraj nie miałby odwagi tak się do niej zwrócić. – A ty myślisz, że w górach sypiam w apartamentach hotelowych?

– Nie? – Udała zdziwienie tak komicznie, że ponownie wybuchnęła śmiechem. – A gdzie sypiasz?

I wtedy to usłyszał. Krótki, przenikliwy krzyk pod podłogą. Śmiech zamarł, źrenice Anety rozszerzyły się, tęczęwki przybrały granatową barwę. Rafał nie musiał pytać, czy słyszała. Przez chwilę trwali w zupełnym bezruchu, po czym dziewczyna zerwała się na równe nogi.

– Ktoś jest w piwnicy. Idziemy!

Milcząco uznał jej dowództwo.

– Nie boisz się? – spytał szeptem na schodach.

On przynajmniej miał ponad metr dziewięćdziesiąt, szerokie bary i imponujące mięśnie, a ona była drobniutką dziewczyną. Obdarzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Trenowałam judo i karate. Później pokażę ci kilka chwytów.

Weszli do piwnicy. Jeśli naprawdę ktoś tu był, przebywał w zupełnej ciemności. Aneta wymacała kontakt na ścianie i włączyła światło. Szli powoli, rozglądając się na boki. Nic. Nigdzie.

– Nie.

Zatrzymali się, patrząc na drzwi po prawej stronie.

– Powiedziała „nie” – szepnęła Aneta.

Rafał nacisnął na klamkę, a ponieważ drzwi nie ustąpiły, zapukał.

– Halo! Proszę pani!

Cisza.

– Proszę odpowiedzieć! – zawołała Aneta.

Zero reakcji. Rafał przyłożył ucho do drzwi, wstrzymując oddech. Po kilku sekundach zrozumiał określenie „ogłuszająca cisza”.

– Czy ktoś tam jest? – krzyknął, waląc pięścią.

Brak odpowiedzi.

– To pomieszczenie spółdzielni. Idź po klucz – zwrócił się do Anety.

– Chodźmy razem.

Pokręcił głową.

– Nie. W tym czasie mogą stąd wyjść.

Zawahała się.

– Idź – ponaglił ją. – Ja przypilnuję drzwi.

– Może zadzwonię na policję?

Zachciało mu się śmiać. Nie rozumiał własnej reakcji.

– Nie ma potrzeby. Może tam jest jakaś przerażona bezdomna.

Zmarszczyła brwi, nieprzekonana, ale uśmiechnął się, jakby dodawał jej odwagi. Poszła. Ponownie przystawił ucho do drzwi. Usłyszał szelest.

– Kim jesteś? – powiedział cicho.

Nie było odpowiedzi, a szelest się nie powtórzył.

Aneta stanęła przy nim i wsunęła klucz do zamka.

– Wejdę pierwszy.

– Nie, mój drogi. Ja tu pracuję dłużej.

Wepchnęła się przed nim. Wszedł za nią i wymacał kontakt na ścianie. Rozejrzał się wokół. Półki z jakimiś segregatorami. Stara drukarka i przedpotopowy komputer. Kichnął.

– Dużo tu kurzu – odezwała się Aneta.

Podszedł do regałów. Wziął w rękę jeden z segregatorów. Listy płac z lat 1980–1985. Kolejny. Faktury 1990–1995. Wszędzie same stare papiery. Chaotycznie wymieszane.

– Odsuńmy szafki – zarządził.

Aneta uśmiechnęła się samymi ustami.

– Sądysz, że za nimi jest tajemne wejście?

Przez moment patrzył na nią bez ruchu.

– Nie – powiedział w końcu. – Ale sprawdzić trzeba.

– Owszem – zgodziła się.

Odsunęli regały. Rafał macał ściany, szukając miejsca, które ustąpiłoby pod naporem jego rąk czy czego tam się kiedyś używało, budując sekretne wyjścia zapewniające ucieczkę. Nie znalazł niczego, co w jakimkolwiek stopniu wydawałoby się podejrzane.

– Nic – powiedział w końcu.

Aneta badała podłogę, jakby uznała teorię, że znajdują wejście do podziemnego tunelu, za realną.

– Nic – powtórzyła za nim po chwili. – Nic tu nie ma.

– Nikogo też nie ma – dodał.

Tego się spodziewał.

Do końca dyżuru nie wydarzyło się nic niezwykłego. Poprzednia lekka atmosfera nie powróciła, chociaż próbowali rozmawiać o Alpach i wozach po świecie. Pili herbatę za herbatą, ale słowo „egzorcyzm” już nie padło. Nie poruszali tematu westchnienia, krzyku czy słowa „nie”, które dobiegło z pustego pomieszczenia piwnicznego. Rafał nawet miał ochotę, ale kiedy wspomniał, że dobrze, iż nie zawiadamiali policji, dziewczyna zachowywała się, jakby nie słyszała, i zaczęła nawijać o coach surfing. W jej twarzy było napięcie, którego Rafał wcześniej nie dostrzegł. Sam odczuwał niepokój, ale rosła w nim też potrzeba otwarcia się, przedyskutowania tego, co się stało, zrozumienia. Dopiero gdy do budynku zaczęli przychodzić pierwsi najemcy, Aneta zwróciła się w stronę chłopaka ze zwykłym wyrazem twarzy:

– Myślisz, że to były duchy?

Powiedziała to w taki sposób, że prawie wybuchnął śmiechem. Wiedział, że tego chciała. Komizm odebrałby tej nocy realność.

– Nie wiem – odparł. – Myślę, że było coś, czego nie rozumiemy.

– A ja myślę, że nam się wydawało.

– Obojgu?

Westchnęła.

– To stary budynek. Skrzypi, wieje...

– Budynek wieje? – przerwał.

Roześmieli się oboje. Napięcie znikło, jednak Rafał przysiągł sobie, że tak tego nie zostawi.

– Wiatr wieje.

– A co mówi „nie”?

Westchnęła.

– To nie było „nie”. Jakiś dźwięk, który był do tego podobny.

Pokręcił głową.

– Sama w to nie wierzysz, prawda?

Zacisnęła usta, a potem odrzekła:

– Na pewno jest jakieś racjonalne wyjaśnienie.

Pomyślał, że chce ją chronić. Poczul się starszy i silniejszy.

– Może jest – przyznał.

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy, po czym nagle spoważniała.

– Wierzysz w duchy? – spytała.

Przez chwilę rozważał odpowiedź. Do tej pory nie myślał o duchach. To, czego doświadczył tej nocy, wymykało się łatwemu nazewnictwu.

– Nie zastanawiałem się nad tym. Raczej nie wierzę. Do mnie zmarli nie wracają.

Aneta uśmiechnęła się smutno.

– Pomiedzy tym światem a tamtym powinna być ściana, przez którą nic nie przenika. – Myślała przez chwilę, a potem dodała: – Przynajmniej w jedną stronę.

Milczał, zastanawiając się nad jej słowami.

– Powinna być? – zapytał w końcu.

– No, ja się boję duchów. – Klepnęła go w ramię. – Tylko duchów. Nawet horrorów nie oglądam.

– Ja lubię horrory. Już jako dziecko lubiłem.

– O! – zdziwiła się. – Ja próbowałam kilka razy, ale nie mogłam potem spać.

Znów było normalnie. Gadali, śmiali się, podawali klucze. Dopiero gdy po przyjściu nowej zmiany zegnali się przed budynkiem, Rafał zapytał:

– A ty wierzysz w duchy?

– Wolę nie wierzyć – odpowiedziała ze śmiechem. – Zwłaszcza że dziś mam tu znów nocny dyżur, tym razem z Tomaszem.

Poczuł ukłucie niepokoju, może zazdrości. Nie będzie mógł jej chronić. To przypadnie w udziale jakiemuś dziadydze.

– Jakby co, dzwoń do mnie.

– Przyjedziesz na ratunek?

Wyczuwał ironię, ale również sympatię. Wyraźnie z nim flirtowała. Poddał się grze. Położył rękę na sercu.

– Od razu.

– A ty nie masz też przypadkiem nocki?

– Rzucę wszystko.

– Okej, trzymam cię za słowo. – Pocałowała go szybko w policzek i zanim zdążył zareagować, pomachała mu. – To nara.

Pobiegła do samochodu. Kiedy autko znikło za zakrętem, przyłożył palce do miejsca, gdzie dotknęły jej usta. Zakręciło mu się w głowie. Nocne mary rozwiały się, przestały mieć znaczenie. Ta część rzeczywistości, którą nie podzielił się z dziewczyną, też przestała mieć znaczenie.

Do jasnej cholery, co było w tej spółdzielni? Aneta uważała się za osobę twardo stąpającą po ziemi, jednak kilkakrotnie wyczuwała rzeczy, które

umykały innym. Ze śmiechem nazywała się medium. Śmiech był obroną przed strachem. Jak teraz.

Mama siedziała przy kuchennym stole, pijąc kawę.

– Cześć, mamó. – Aneta pocałowała ją w czoło.

– Cześć, kochanie. Zrobiłam dla ciebie sałatkę. Jest w lodówce.

– Dzięki, jesteś kochana.

Aneta wyjęła sałatkę i usiadła naprzeciwko. Mama przyglądała jej się z troską.

– Jesteś strasznie blada. Jakbyś zobaczyła ducha.

Aneta drgnęła, po czym się roześmiała.

– Ten budynek jest stary. Trzeszczy, wiatr po nim hula. Wydaje jakies dziwne dźwięki. Chłopak, z którym miałam nockę, trochę się przestraszył.

– A ty nie?

Kobieta patrzyła bez uśmiechu w oczy córki. Przejrzała ją. Jak zwykle.

– Wiesz, że to się udziela – odpowiedziała Aneta z westchnieniem.

– Nie zawsze się udziela. Czasem duchy pokazują się wybranym. Dziadek mówił, że przychodziły tylko do niego.

– Co? – spytała rozkojarzona Aneta. – Jakie duchy?

Matka wzruszyła ramionami.

– Byłam dzieckiem i niewiele pamiętam.

Aneta wolała duchy dziadka, nie własne.

– Który dziadek?

– Twój pradziadek. Tata mojej mamy.

– A co pamiętasz?

– Że tylko on widzi duchy, bo tylko on coś może z nimi zrobić.

– Ale jakie duchy? Dlaczego tylko on?

– Naprawdę nie wiem. Też go wypytywałam, bo to mnie fascynowało. Głaskał mnie po głowie i mówił, że przyjdzie czas. A później przestał. –

Agnieszka urwała. – A jeszcze później trudno było wierzyć w jego słowa. Zresztą duchy okazały się najmniej ważne.

Aneta pokiwała głową. Jak przez mgłę pamiętała czas, gdy dziadkowie zdecydowali się oddać pradziadka do domu opieki.

– Myślisz, że miał na myśli prawdziwe duchy czy bardziej swoje demony?

Znów się roześmiała, żeby odjąć pytaniu nieco patosu. Tym razem mama jej zawtórowała.

– Wtedy myślałam, że prawdziwe duchy. To było ekscytujące. Pewnie jednak masz rację, pewnie chodziło o te... demony. Z nimi trzeba zmierzyć się pojedynczo.

Aneta położyła rękę na dłoni Agnieszki.

– My się zmierzyliśmy, prawda? I zwyciężyliśmy.

– Pewnie – mruknęła. – Tego nie da się zrobić jednorazowo – dodała.

Zamyśliła się.

– Ech, mamo – powiedziała Aneta z udanym przerażeniem. – Mówisz, że jeszcze może przyjść po nas potwór?

Agnieszka parsknęła, oblewając twarz córki kropelkami kawy.

– Czy ty kiedykolwiek bywasz poważna dłużej niż pięć minut?

– Oczywiście – odpowiedziała Aneta z godnością. – Teraz byłam poważna co najmniej sześć.

Matka skinęła wolno głową.

– Dawno nie odwiedzałam dziadka – powiedziała bez związku i wstała. – Zabieram się do roboty, a ty idź spać. Widać, że padasz ze zmęczenia.

Napięcie się ulotniło. Aneta zasnęła natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Śniła jej się spółdzielnia, jakieś kroki i głosy. I uroczy chłopak, w którym chyba się zabujała. Prawie powiedziała: „Wiesz, Rafał, z tobą nawet duchy niestraszne”, gdy zdała sobie sprawę, że facet naprzeciwno to nie jej nowy kolega z pracy, ale pradziadek. Rozległ się huk i otworzyła oczy. Nie była pewna, czy huk pochodził ze snu, czy też silnik jakiegoś

zdezelowanego samochodu zbuntował się przy odpalaniu. Serce waliło jej ciężko. Dawno nie odwiedzałam dziadka. Tak powiedziała mama, ale teraz to była myśl Anety.

– Pójdę do niego – szepnęła.

Z jakiegoś powodu to postanowienie ją uspokoiło.

Gdy dotarł do domu i pomyślał, że Aneta będzie znów w nocy w spółdzielni, przeszedł go dreszcz. „Nie”. Przecież to brzmiało tak wyraźnie. Krzyk i westchnienie również. Kroki na schodach. Był pewien, że je słyszał. Co było w tym budynku? Kto?

Powinien wziąć prysznic i położyć się spać, inaczej nie będzie kontaktował na dyżurze. Jechał do budynku pod Warszawą pilnować imprezy z Angolami. Brytyjczycy podobno często bywali pijani i trzeba ich było uspokajać. Ochroniarz, z którym miał tam być, Darek, opowiadał, że niekiedy konieczne jest użycie siły. Dlatego na takie noce szefowa wybierała dużych facetów, którzy samym wyglądem budzili respekt. Gdy Rafał to usłyszał, nawet go to mile połechtało.

Uruchomił laptopa. Wyspać się jeszcze zdąży. Teraz chciał dowiedzieć się czegoś na temat historii budynku. Gmach został wzniesiony w 1932 roku i mieściła się tam poczta oraz apteka. W czasie okupacji Niemcy zostawili pocztę, zlikwidowali aptekę, a część pomieszczeń zaadaptowali na mieszkania dla oficerów. Budynek nie został zniszczony podczas powstania. Po wojnie oddano go spółdzielni mieszkaniowej. I tyle. Rafał próbował jeszcze szukać informacji o nawiedzonych domach. Znalazł kilka w Warszawie, ale nie było wśród nich spółdzielni.

Zdecydował się na kąpiel. Zrelaksuje go bardziej niż prysznic i może nawet uda mu się zasnąć. Stary gmach. Przedwojenny. Kto wie, co się tam działo? Może ludzie chronili się w piwnicach podczas nalotów? Może powstańcy mieli tam jakąś kwaterę? A może doszło do konfrontacji z zamieszkującymi tu Niemcami? „Nie”. To mówiła kobieta. Polka. Może Niemka. Prawie każdy jest w stanie powiedzieć „nie” bez akcentu. Umarła

w tym budynku? Została zabita? Może ukryła się w piwnicy i ktoś ją znalazł. Nie miał litości. Może...

Rafał drgnął. Woda w wannie była ledwie chłodna. No ładnie. Przysnął na jakąś godzinę. Wytarł się i z przyjemnością wsunął się pod kołdrę. Niemal natychmiast zasnął ponownie. Śniła mu się blondwłosa uczestniczka powstania, uciekająca przed niemieckimi kulami, samotnie przemierzająca podziemia. W pewnym momencie, jakby tknięta przecuciem, odwróciła się i stanęła oko w oko z niemieckim żołnierzem celującym do niej z karabinu. Rafał, któremu wydawało się, że poprzednie sceny obserwował jak film, zdał sobie sprawę, że stoi przy dziewczynie. Może to wcale nie powstanie? Przecież w tamtych czasach nie było go na świecie? Znał tę blondynkę. To Aneta, koleżanka z pracy, dla której tracił głowę. Tak czy inaczej, nie pora się nad tym zastanawiać. Niemiec wyglądał, jakby miał zamiar zabić. Rafała chyba nie dostrzegął. Chłopak, jak przystało na superbohatera, z wrzaskiem rzucił się na uzbrojonego mężczyznę. W tym momencie się przebudził. Przez jakiś czas leżał, wpatrując się w sufit. No cóż, zarówno Aneta, jak i niewyjaśnione zjawiska z budynku spółdzielni zalazły mu za skórę. Szkoda, że się obudził. Szkoda nawet, że to sen. Chciałby zobaczyć minę Anety po tym, jak uratowałyby jej życie.

A później powiedziałaby jej wszystko.

Dyżur z pijanymi Angolami okazał się łatwiejszy, niż przypuszczał. Pijanych zresztą było tylko kilku, zupełnie łagodnych, inni zachowywali się dużo lepiej od polskich studentów na zakrapianych imprezach. Rafał mógł też poćwiczyć konwersację, bo Darek, o ile w ogóle znał język, wołał się nie odzywać, a bez przerwy ktoś o coś pytał. Niektórzy wdawali się w dłuższe rozmowy. Miło było pogadać po angielsku z kimś innym niż jego mali uczniowie.

Gdy wrócił do domu, rzucił się na łóżko i zasnął jak kamień. Komórka zaczęła dzwonić, ale zakrył głowę poduszką i odwrócił się do ściany. Ktoś

jednak się nie poddawał. Rafał wymacał telefon i odebrał z zamkniętymi oczyma.

– Halo.

– Czyżbyś jeszcze spał?

Usiadł całkowicie przebudzony.

– Nie, nie, skąd. Cześć, Aneta.

– No hej. Ta chrypka to nie od snu?

Zerknął na zegarek. Czternasta! Był pewien, że dopiero się położył.

– Nie, nie. Po prostu...

Roześmiała się.

– Okej, nie tłumacz się. To ja powinnam się tłumaczyć, że obudziłam cię po dyżurze. Po prostu...

– Aneta. – Tym razem on przerwał. – Strasznie się cieszę, że dzwonisz.

– Chciałam zameldować, że dyżur był spokojny. Nawet trochę pospaliśmy na zmianę.

– To dobrze.

Zdziwił się, że to zabrzmiało nieszczerze. Przecież nie chciał duchów!

– Nie jesteś przekonany. – Aneta wychwyciła jego intonację. – Pracujesz dziś jeszcze?

– Nie. Dopiero jutro od rana.

– No, ja też. Masz ochotę porozmawiać o nawiedzonych budynkach wieczorem? Przy jakimś drinku?

Przez chwilę nie był w stanie wykrztusić słowa.

– Hej, jesteś tam jeszcze?

– Tak! Uważam, że pomysł jest super. – Zreflektował się.

– To gdzie pójdziemy? – Rozpaczliwie próbował wymyślić miejsce, które jej by się wydało odpowiednie, ale na szczęście nie czekała na odpowiedź. – Może spotkamy się przy BUW-ie i pójdziemy nad Wisłę? Do baru, okej? Podobno nadal dają mandaty za picie na schodkach.

– Świetnie. To... o... – Próbował przejąć inicjatywę. – O dziewiętnastej?

– Dobra godzina. To nara.

Siedzieli na zewnątrz, tuż przy rzece. Kelnerki przemieszczały się między stolikami w maseczkach. Wokół rozbrzmiewały głośnie rozmowy i śmiech. Kto by pomyślał, że kilka miesięcy temu ludzie byli sparaliżowani strachem, pozamykani w domach? Aneta mówiła właśnie, że pomimo ogromnego wzrostu liczby zakażeń już nikt z jej rodziny ani znajomych się nie boi.

– To zabawne, nie? Bali się, kiedy było kilka przypadków.

– No – powiedział Rafał z wahaniem. – Zamknięto ich w domach i siano panikę, więc się bali. Teraz głos drugiej strony słychać bardziej. Zresztą chodzą wszędzie i nic im się nie dzieje, więc czego mają się bać? A ty się boisz?

– Niespecjalnie – przyznała. – Wcześniej też się nie bałam, ale siedziałam w domu jak przykazano. Ale gdyby był drugi lockdown, to już bym nie została.

– No właśnie. Ja też – potwierdził. – Nie będzie drugiego lockdownu, bo ludzie nie dadzą się już zamknąć – zawyrokował.

Roześmiała się i wzniosła kufel z piwem.

– Za koniec pandemii. Prawdziwy.

Wypiła łyk i uśmiechnęła się do niego.

– Masz ładny zegarek.

Rafał spojrzał na staromodną omegę. Lubił ją, chociaż rzadko wkładał. Bał się ją zniszczyć. Podobnie postępował ojciec. W dniu wypadku nie miał zegarka na ręku.

– To pamiątka rodzinna.

– Naprawdę?

– Tak. Moja babcia dała ten zegarek tacie, ale najpierw babcia jej męża, czyli moja praprababcia podarowała go prapradziadkowi na rocznicę ślubu. Ten prapradziadek zginął chyba we wrześniu trzydziestego

dziewiątego. Popatrz. – Zdjął zegarek i podał Anecie. – Przeczytaj dedykację na odwrocie.

– „Dla Stefana od zawsze kochającej Tereski. Dwudziesty września tysiąc dziewięćset trzydzieści pięć” – przeczytała z uśmiechem. – Piękna pamiątka.

Rafał włożył zegarek i spojrzał na nią poważnie.

– Mówisz, że nic nie słyszałaś w nocy? Nic a nic?

– Nic – odpowiedziała zdecydowanie. – Przyznaję, że nawet czegoś się spodziewałam, ale nic. Poprzedniej nocy albo nam się wydawało, albo to po prostu odgłosy, jakie wydają stare budynki.

Pokręcił głową. Tym razem nie potrafił się z nią zgodzić.

– Stare budynki mówią „nie”? Wzdychają?

– Tak to odebraliśmy – upierała się. – Nakręcaliśmy się wzajemnie. To wszystko.

– Jutro tam idę na dzień.

– Duchy nie straszą w dzień, prawda? Też nic nie usłyszysz.

Tak właśnie przypuszczał, chociaż logicznie rzecz biorąc, było niezrozumiałe, że duchy miałyby upodobać sobie noce.

– Pewnie nie, ale za dwa dni znów mamy razem nockę, nie?

Milczała przez chwilę, a kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał mniej pewnie niż zazwyczaj.

– Ty jesteś medium?

– Co?

– Może potrzeba dwóch mediów, żeby tam coś usłyszeć. Ja jestem.

– Co? – powtórzył.

– Jestem medium. – Roześmiała się. – Samą mnie śmieszy, kiedy to mówię, ale gdy coś mi się przydarza, to już mi się nie chce śmiać. Niby nie wierzę w duchy, ale w jakąś formę kontaktu... Ech, to raczej duchy, nie?

– Co?

Normalnie zaciął się jak stara płyta.

– Mówiłam ci, że boję się horrorów? To nie wzięło się z niczego. W liceum, w czasie wakacji, pojechałam do koleżanki na kilka dni. Na wieś. Kaśka była stamtąd, w czasie roku szkolnego mieszkała w bursie. W każdym razie spałam w pokoju jej siostry, której wtedy nie było. I... – Znów się roześmiała, tym razem z widocznym trudem. – I obudziłam się w środku nocy, bo zrobiło się jakoś zimno. Wstałam, żeby zamknąć okno, ale wtedy dostrzegłam tego faceta. Leżał zwinięty na podłodze i jęczał. Nie przyszło mi do głowy, że udaje czy chce zrobić mi krzywdę, bo niby po co miałby to robić. Nawet się nie zdziwiłam, że jest w tym pokoju. Zawołam: „Proszę pana, co panu jest?”. Podniósł głowę i wychrypiął: „Pomóż mi”. Zauważyłam, że krwawi, strasznie krwawi, cała podłoga była zakrwawiona. Nie wiedziałam, co robić, więc wybiegłam i zaczęłam wołać, żeby przyszedli i mi pomogli. Obudziłam cały dom, weszliśmy z powrotem do pokoju, ale nikogo tam nie było. Żadnej krwi.

– Śniło ci się – zawyrokował Rafał. Aneta spojrzała wprost na niego. – Znów masz granatowe tęczówki – szepnęła.

– Tak, oni też mówili, że mi się śniło – odpowiedziała, ignorując jego drugą uwagę. – Wpadłam w histerię. Mama Kaśki siedziała ze mną do rana, ale nie w tamtym pokoju. Za nic bym tam nie wróciła. Tam poszedł tata Kaśki, bo musiał się wyspać. Ja się trzęsłam i powtarzałam, że on tam był i krwawił. Zasnęłam w końcu nad ranem.

– Czy to się powtórzyło?

Wzruszyła ramionami.

– Nie sprawdzałam. Od tej pory spałam z Kaśką. Ale... było wyjaśnienie.

– Jakie?

– Tata Kaśki przyznał się, że też widział tego faceta. Wcześniej, ale wołał o tym nie mówić. Wieczorem przyszedł z księdzem, który poświęcił tamten pokój. Kaśka i jej mama nie znały dotąd tej historii.

Uśmiechnęła się, tym razem szczerze, jakby wróciła nad Wisłę, do stolika, który z nim dzieliła. Jej oczy znów zrobiły się jasne. Miał ochotę dotknąć jej policzka, odgarnąć włosy, ale tylko odpowiedział uśmiechem.

– Jakiej historii?

– Prababcia Kaśki miała narzeczonego, który poszedł do partyzantów. Czasem ją odwiedzał w nocy, chociaż to było surowo zabronione, przez jego dowódców, no i oczywiście przez jej rodziców. Wpuszczała go przez okno. Kiedyś jego oddział stoczył jakąś nocną potyczkę z Niemcami, podobno zwycięską, ale on był ranny. Zamiast wracać do obozu, w jakiś sposób doszedł do wioski, do narzeczonej. Wszedł jak zwykle przez okno i położył się na podłodze. Powiedział podobno „pomóż mi”, tak jak do mnie. Próbowała go ratować, jej rodzice też, ale umarł tej samej nocy. Tata Kaśki zaprowadził nas na cmentarz. Arkadiusz Prawdziwek. Tak się nazywał ten partyzant.

– Po poświęceniu pokoju ten partyzant nie wrócił?

– Nie wiem. Jak mówiłam, już tam nie poszłam. Tata Kaśki usłyszał tę historię od swojej babci, czyli narzeczonej Arkadiusza. Wyszła potem za mąż i miała trójkę dzieci, Tata Kaśki nie przekazywał opowieści dalej.

Pomimo wciągnięcia w historię Rafał zachował sceptycyzm.

– Naprawdę sądzisz, że widziałaś ducha?

– Kto to może wiedzieć? Inna koleżanka wytłumaczyła mi, że jestem medium. Uprosiłam mamę, żebyśmy dały na mszę za duszę Arkadiusza.

Popatrzył z powątpiewaniem.

– Sądzisz, że to tak działa? Trochę magicznie to dla mnie brzmi.

– Nie wiem. Chciałam zrobić wszystko, żeby mu pomóc. Prosił mnie, nie? – Zawahała się, spojrzała na rzekę, później znów zwróciła oczy na Rafała. – Była jeszcze jedna sprawa.

– Tak?

– Byłam już od kilku tygodni w Warszawie, gdy Kaśka mi opowiedziała.

– Co? – spytał Rafał, bo Aneta znów zamilkła.

– Okazało się, że pierwsza córka narzeczonej Arkadiusza, mama taty Kaśki, była jego dzieckiem.

– Czyim dzieckiem? – spytał skonsternowany Rafał.

– No, dzieckiem partyzanta. Anna – ta narzeczona – powiedziała o tym niedługo przed śmiercią. Powiedziała tacie Kaśki i jego mamie, czyli swojej córce, tej nieślubnej. No i ta córka zakazała synowi rozgłaszać to gdziekolwiek. Po tym moim... nie wiem, jak to nazwać... spotkaniu z duchem i relacji taty Kaśki, jakoś zmiękła. Może... – Roześmiała się.

– Jesteś śliczna, kiedy się śmiejesz – powiedział Rafał, po czym wbił wzrok w stół. Słowa wyszły, zanim zdążył się zastanowić.

– Tylko wtedy? – zapytała przekornie, po czym spoważniała. – Wiem, jak to brzmi, ale pomyślałam sobie, że po to do mnie przyszedł. Pomogłam przywrócić jego pamięć wśród potomków.

– Może tak – zgodził się Rafał. – A później, po tej sprawie, widziałaś jeszcze kiedyś ducha?

– Nie, nigdy. I mam nadzieję, że już nie zobaczę. Wolę pomagać żywym.

– Ale... jeśli...

Westchnęła teatralnie.

– Okej, zgoda. Jeśli coś przyjdzie, kiedy będziemy razem, przeżyję. W końcu obiecałeś, że mnie uratujesz.

Nie był pewien, czy drwi, czy z nim flirtuje. To było wymieszane, przyjazne i miłe. Zdał jej relację, czego dowiedział się o historii budynku.

– Może to uczestniczka powstania? – zasugerował.

– Powstania?

– A, nie wiem – mruknął wymijająco. – Tak mi się przyśniło. – Wolał nie wdawać się w dłuższe wyjaśnienia, bo zapewne opowiedziałby Anecie, że we śnie tą uczestniczką powstania była ona. – Pracujesz w czwartek i piątek? – zapytał zamiast tego.

– Czwartek mam wolny, piątek... – Wyciągnęła telefon i sprawdziła. – Też. Czwartek i piątek, niesamowite.

– To może... – No, idiota, bał się opowiedzieć o śnie, a z taką propozycją chciał wyjść? – Pociągnął dla większej śmiałości jeszcze jeden łyk piwa. – Moja mama z bliźniakami jest teraz nad morzem. Mam do nich wpaść.

Mają duży pokój i da się rozłożyć z karimatą. Z dwiema też. Może miałabyś ochotę pojechać ze mną?

– Jasne, że bym chciała. Kocham Bałtyk. – Zmarszczyła brwi. – Ale co twoja mama na to?

– Ucieszy się, ona uwielbia ludzi, których lubię.

– Lepiej zapytaj.

– Mogę to zrobić teraz.

Wyciągnął telefon. Matka odebrała natychmiast.

– Mamo – powiedział bez wstępów. – W czwartek przyjechałbym z koleżanką. Będzie dla nas wystarczająco miejsca?

Nie zawiodła go. Nie zaczęła wypytywać.

– Oczywiście. Wiesz, że ten pokój jest ogromny. Zgłoszę właścicielce, najwyżej kilka złotych się dopłaci.

– To super, mamo! Pa, pocałuj dzieciaki. – Rozłączył się, nie czekając nawet na jej pożegnanie. – Już załatwione – zwrócił się do Anety.

– Szybki jesteś – mruknęła.

– Może pojedziemy w środę wieczorem? Zaraz zarezerwuję bilety.

– Nie – powstrzymała go.

– Nie?

Po euforii rozczarowanie prawie zważyło go z nóg.

– Weźmiemy mój samochód. Będzie wygodniej.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jak chcesz.

– Będę musiała wrócić w piątek wieczorem. Parę godzin snu mi się przyda.

– Mnie to też pasuje.

W domu wyciągnął z szuflady sygnet rodowy. Kolejna rodzinna pamiątka. Pradziadek ojca podobno zawsze go nosił. Rafał przez chwilę przyglądał się

wygrawerowanemu lwu, po czym wrzucił z powrotem pierścień i zatrzasnął szufladę, zupełnie jakby w ten sposób mógł zatrzasnąć niechciane wspomnienia. Po chwili zdjął też zegarek i włożył do kasetki.

W nocy śniło mu się morze i Aneta. Duchy odeszły w zapomnienie.

Rano napisał do matki esemesa, informując, że przyjadą już w środę wieczorem. „Super!” – odpowiedziała. Oczywiście wykrzyknik. Odkąd wyjechała nad morze, tryskała energią. Może tylko mu się wydawało. Co innego kontakt, nawet codzienny, ale niedługi, z daleka, co innego mieszkanie pod jednym dachem. Na razie postanowił odpuścić zastanawianie się nad jej kondycją psychiczną. Sprawdzi na miejscu.

„Nie rozmawiaj z nią o ojcu, dobrze?” Wysłał, zanim zdołał się zastanowić. Odpowiedź nie nadchodziła kilka godzin. „Proszę” – napisał, zanim wyszedł do pracy. „Oczywiście” – odpowiedziała lakonicznie.

Nie dodał, żeby bliźniaki też trzymały buzię na kłódkę. Nie sądził, żeby z ich strony zagrażało jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Ojciec zamazał się w ich pamięci.

W tej spółdzielni coś było. Nie słyszał głosów, niewytłumaczalnych trzasków czy krzyków. Wyczuwał jednak inną (co za durne słowo!) obecność, coś, kogoś, kto do niego mówił, czegoś chciał. Zdał sobie sprawę, że wcześniej też tak było, ale to zagłuszał czy też po prostu nie potrafił nazwać. A może teraz to sobie wymyślił? Medium. Tak Aneta mówiła o sobie. Historia o duchu partyzancie zaciękała go, ale nie brał jej dosłownie. W domu jej koleżanki był skrywany sekret, energia, na którą Aneta okazała się wrażliwa. Ojciec tej koleżanki miał własne powody do wrażliwości. A tutaj? Rafał okazał się najwrażliwszy, a przecież nigdy nie pomyślałby, że jest medium. Do tej pory nie przeżył spotkania

z nieznanym. Dlaczego ten ktoś, albo raczej ta, miała mu coś do powiedzenia? Obcemu człowiekowi.

Tomasz o czymś opowiadał, a Rafał kiwał głową, wtrącając okazjonalnie „tak” czy „naprawdę?”, ale nie miał pojęcia, jaka jest treść monologu starszego kolegi. Z pewnością zwykle nudziarstwo, więc nawet nie próbował nadążać za słowami. Wolał jednak przestać wsłuchiwać się w niesłyszalne odgłosy, bo to trąciło wariactwem. Próbował skupić się na Anecie i wyjeździe nad morze, jednak to coś w budynku mu nie pozwalało. Może naprawdę był czubkiem, a nie żadnym medium. Sprzątaczką, pani chyba grubo po sześćdziesiątce, skończyła mopować podłogę przed portiernią i szła na górę.

– Idę do kibla – oznajmił Tadeuszowi.

Wcale nie musiał, ale gdy patrzył, jak starsza kobieta wspinała się po schodach, coś przyszło mu do głowy. Na parterze nie było ubikacji, na co zwykle pomstowali, ale Rafałowi było to teraz bardzo na rękę. Za toaletą znajdowała się kanciapa, pomieszczenie dla sprzątaczek. Miał nadzieję, że pani Ania tam się udała. Nie zawiódł się. Właśnie nastawiała wodę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział Rafał nieśmiało.

Uśmiechnęła się. Rafał pomyślał, że w tej twarzy pooranej zmarszczkami oczy zostały zaskakująco młode.

– W porządku. Czego potrzeba?

– Ja... chciałem... czy pani długo tu pracuje?

Patrzyła na niego, jakby urwał się z choinki.

– A dlaczego pan pyta?

– Czy mogłaby mi pani mówić po imieniu? Jestem Rafał.

– Dobrze, Rafałku. Napijesz się herbaty?

Potrząsnął głową.

– Nie mogę. Muszę wracać na portiernię, bo Tomasz mnie zabije.

– Usiądź chociaż.

Posłusznie zajął miejsce. Pani Ania włożyła torebkę do jednej szklanki, zalała wodą i usiadła na drugim krześle.

– Pracuję tu od osiemdziesiątego roku. Ponad czterdzieści lat. – Westchnęła. – Czas leci. Dobrze, że mnie nadal chcą, chociaż na pół etatu. Zawsze to trochę grosza do emerytury. No to teraz ty. Czemu pytasz?

– Bo wie pani... Głupio to zabrzmiało. – Trudno było mu to wykrztusić. Byłoby niefajnie, gdyby sympatyczna pani Ania pomyślała, że Rafałek ma nierówno pod sufitem. – Wydaje mi się, że coś tu jest.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

– Niby co? – spytała w końcu.

– Duchy jakies – powiedział prawie szeptem.

– Coś straszło? – upewniła się.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy to można nazwać straszaniem. Byłem w nocy i słyszałem jakieś kroki, jakieś westchnienie. Takie tam.

Nic nie mówiła, przewiercając go spojrzeniem.

– Czy nigdy nie zdarzyło się to wcześniej?

– Owszem – mruknęła. – W osiemdziesiątym piątym. Prezes wezwał nawet księdza. Egzorcystę chyba. Była msza, święcenie i potem przestało straszyć.

Przełknął ślinę.

– Dziękuję pani. Muszę wracać na dół.

Pokiwała głową.

– Powiesz mi, jeśli coś byś jeszcze słyszał, dobrze, Rafałku?

Miał wrażenie, że nie przemawia przez nią głód sensacji, a jeśli nawet, to wymieszany z troską.

– Oczywiście, pani Aniu!

Pobiegł na portiernię. Tomasz przyglądał mu się zjadliwie.

– Trochę długo ci zajęło.

– Przepraszam – bąknął Rafał.

– Teraz ja idę.

Straszyło. W osiemdziesiątym piątym. Był ksiądz, może egzorcysta. Poświęcił i przestało. Teraz znowu zaczęło. Co to jest, do cholery?! Przedawniło się?!

– Coś tu nie gra – mruknął.

– Co mówisz?

Tomasz już wrócił, ale Rafał nawet tego nie zarejestrował.

– Muszę coś sprawdzić w piwnicy. Sorry, że tak stale chodzę. Jeśli chcesz, wyjdź dziś wcześniej.

– Co sprawdzić? – spytał Tomasz, przyglądając się, jak młodszy kolega bierze klucz.

– Potem ci powiem – zawołał Rafał, biegnąc w kierunku schodów.

Na dole zwolnił. Coś tu było. Coś, co ciągnęło go do tamtego pomieszczenia. Zanim przekręcił klucz, przytknął ucho do drzwi. Nic nie usłyszał. Wewnątrz unosiło się równie dużo kurzu jak ostatnim razem. I pomieszczenie było równie puste. A jednak ktoś tu był. Bardzo blisko. Prawie wyczuwał oddech na swojej skórze, prawie poczuł dotyk długich palców we włosach. Idiota. Tym razem to naprawdę autosugestia.

– Nikogo tu nie ma – powiedział na głos.

Prawie usłyszał kobiecy śmiech, bardzo zresztą podobny do śmiechu Anety. Prawie, wszystko prawie. Osiemdziesiąty piąty. Dotknął segregatora z listami płac z tamtego okresu.

– Dlaczego wróciłaś? – szepnął. – Dlaczego teraz?

Znów prawie coś mówiła. Pokręcił głową i wyszedł.

– No i dlaczego tam laześ? – Tomasz domagał się informacji.

– Bo wiesz, jak byłem tu na nocce, wydawało się nam, że coś słyszeliśmy i poszliśmy sprawdzić do piwnicy. Jakiś dźwięk dobiegał z tamtego pomieszczenia. – Rafał potrząsnął kluczem i odwiesił go na miejsce.

– No i? – Kolega się zainteresował.

– I nic.

– Czyli duchy? – Tomasz zarechotał.

Rafał wzruszył ramionami.

– Tobie nigdy tu nic takiego się nie zdarzyło?

– Oczywiście, że nie! Duchów nie ma.

I rozpoczął się długi wykład podstarzałego kolegi. Na szczęście Tomasz urwał się całe dwie godziny przed końcem dyżuru. Rafał przetrwał na autopilocie. Według nowych wytycznych przypominał wszystkim, którzy w budynku nie pracowali, o obowiązku noszenia maseczek. Tym, którzy pracowali, nawet nie przyszło na myśl, żeby osłaniać nos i usta. Włącznie z Rafałem.

– A pan dlaczego nie nosi maski? – wypaliła kobieta w średnim wieku i ruszyła po schodach z nieosłoniętą twarzą.

Wzruszył ramionami. Kilkakrotnie słyszał już ten tekst, więc nie robił on na nim wrażenia. Baba pewnie sympatyzowała z Konfederacją.

Dopiero z domu zadzwonił do Anety i podzielił się tym, czego dowiedział się od pani Ani. Podeszła do tych rewelacji sceptycznie.

– Nie bardzo chce mi się w to wszystko wierzyć. Jeśli nawet wtedy coś było, jak sam mówisz, znikło. Jeśli – powtarzam – jeśli naprawdę coś słyszeliśmy, to by oznaczało, że jest jakiś nowy duch.

Skrzywił się. Nie przepadał za słowem „duch”, ale nie umiał znaleźć lepszego.

– A może wrócił ten stary?

– Co? Egzorcyzmy przestały działać? – powtórzyła to, o czym myślał wcześniej.

– No dobrze, to może być coś nowego. Coś się tam stało potem.

– W piwnicy?

– Może w piwnicy, może nie. Nie tylko tam ją słyszeliśmy.

Westchnęła.

– Już ci mówiłam, że słyszałam tam cokolwiek tylko wtedy. Tylko z tobą.

– Miałaś tam wcześniej noc?

– Kilka razy.

– I nic? Zupełnie nic?

– Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się?

– Wiesz, wmówić można sobie wszystko.

– A co sobie wmówiłaś?

– Daj spokój, to bez sensu. Autosugestia.

Znów używała jego wyrażenia. Uśmiechnęła się.

– Tak samo sobie pomyślałem. Bo dzisiaj uznałem, że cały czas to coś... ktoś... tu był i chciał czegoś ode mnie, tylko ja nie potrafiłem tego zinterpretować.

Ponownie westchnęła.

– Nie strasz mnie, bo wykituję na naszym wspólnym dyżurze.

– Nie wykitujesz, bo będę cię cały czas trzymał za rękę.

– Chciałbyś! Wiesz co, lepiej pogadajmy, co wziąć nad morze. Z czego twoja mama by się ucieszyła?

– Chcesz wziąć coś dla mojej mamy?

– Oczywiście! Przecież jadę do niej w gości. Jakieś drobiazgi dla dzieciaków też by się przydały. Co lubią?

– Jeśli bardzo chcesz, możesz kupić jakieś wino i wypijemy z nią wieczorem. A Tośce i Pawłowi... za żelki dadzą się zabić.

Dał się wciągnąć w lekką rozmowę.

O spółdzielni myślał już tylko w powiązaniu z Anetą. Dziewczyna bała się duchów. Nie miał zamiaru pogłębiać jej strachu. Będzie odpowiedzialny, opiekuńczy i w razie czego ją obroni.

Na miejscu wyparł wrażenie nieznanego obecności. Dużo ważniejsza była obecność znana. Gdy wszyscy opuścili budynek, Aneta i Rafał udali się na rutynowy obchód. Nic niepokojącego.

– Żadnych duchów – powiedziała dziewczyna.

Jej oczy były jasne i przejrzyste.

– Żadnych – zgodził się.

Roześmiała się, jakby to wszystko było świetnym dowcipem.

Przy herbacie trochę się kłócili, kto zapłaci za paliwo.

– Ja cię zaprosiłem – przekonywał Rafał. – Na dodatek dużo wygodniej jest mi jechać samochodem niż pociągiem, więc ja zapłacę.

– Rafał, absolutnie. Chcę pojechać, a to mój samochód i sama dbam, żeby zawsze była benzyna.

– Mamusia mi mówiła, że to osoba zapraszająca płaci.

Spróbował żartu, ale nie czuł się mistrzem humoru. Na szczęście Aneta się roześmiała.

– Dobra, zapłacimy po poł...

Wtedy to usłyszeli. Dźwięk windy, która ruszyła na górę.

– Nikogo nie ma w budynku – szepnęła Aneta.

Położył rękę na jej dłoni.

– Może nie zauważyliśmy, że ktoś został – powiedział bez przekonania. Owszem, nie chciał, żeby się bała, ale to nie znaczy, że powinien ją oszukiwać. – Masz zimne palce – dodał.

Winda stanęła, potem ruszyła w dół. Wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani. Minęła parter, nie zatrzymując się.

– Dokąd ona jedzie? Na minus jeden? Przecież u nas dla windy ostatnim poziomem jest parter! Nie można...

Jej głos był piskliwy. Rafał ścisnął jej rękę, ale nie pomogło. Wyrwała dłoń i pobiegła do windy. Ruszył za nią. Winda się zatrzymała, ale po kilku sekundach ponownie zaczęła jechać. Na parterze stanęła i drzwi się otworzyły.

– Niczego nie naciskaliśmy – powiedziała Aneta. Rafał zerknął na nią. Wyglądała spokojnie, jej głos też był opanowany. Tylko granatowe tęczyówki świadczyły o emocjach. – Wchodzimy?

– Do windy? – upewnił się.

– Wydaje się, że nas zaprasza, a w każdym razie nie ma zamiaru zamknąć tych cholernych drzwi.

Była niesamowita. Tak łatwo przyszło jej panowanie nad strachem.

– Ja pójdę – zdecydował. – Ty tu zostań.

– O nie! Ja tu pracuję dłużej – powiedziała ze śmiechem i wbiegła do windy.

Wszedł za nią, przyglądając jej się z podziwem. W każdej sytuacji potrafiła się śmiać. Nie zastanawiał się nad tym dłużej, bo winda znów ruszyła. W dół. Zatrzymała się, ale drzwi nie można było otworzyć. Nic dziwnego. Przecież nie było tu szybu, nie było wyjścia. Trzeba jechać na górę. Rafał naciskał wszystkie guziki, ale nic się nie działo. Stali gdzieś w podziemiu, w windzie, która nie miała prawa tutaj zjechać. Czy tej zjawie, czy komu tam, kto gadał „nie” w piwnicy, zależało, żeby tu zostali? Zadusili się albo umarli z głodu? Jakaś cholerna zemsta za to, co jej się przydarzyło? Dlaczego na nich? Rafał nie potrafił przypomnieć sobie, żeby skrzywdził jakiegoś człowieka tak bardzo, aby tamten chciał zemścić się z zaświatów.

– Nie zadusimy się ani nie umrzemy z głodu – powiedziała Aneta, jakby czytała w jego myślach.

– Co?

Patrzył w jej oczy, tak bardzo granatowe, i pomyślał, że jeśli jednak przydarzy się śmierć, to super, że w takim towarzystwie.

– Powietrze się wymienia. Przecież ten gruchot nie jest szczelny. Jutro przychodzi nowa zmiana, więc zgłoszą, że coś jest nie tak. Nie zdążymy nawet zgłodnieć.

Chciał coś odpowiedzieć, ale winda ruszyła tak gwałtownie, że Aneta straciła równowagę i poleciała na niego. Chciał ją przytulić, ale zabrakło

mu odwagi.

– Przepraszam – mruknęła i się odsunęła.

Winda jeździła bez opamiętania. W górę i w dół, przy czym na pewno schodziła poniżej parteru.

– Niedobrze mi – jęknęła dziewczyna.

Winda, jakby słysząc skargę, stanęła. Rafałowi też było niedobrze, jak kiedyś, gdy poszedł z ojcem do wesołego miasteczka i przejechał się na rollercoasterze.

– Poziom minus jeden – powiedział i zaczął się śmiać. Lepiej było potraktować to wszystko jak żart.

Aneta dołączyła do niego. Winda ruszyła, ucinając ich śmiech. Rafał miał wrażenie, że się wściekła. Jednak po chwili stanęła i drzwi się otworzyły.

– To parter – szepnął chłopak, chwycił dłoń Anety i pociągnął dziewczynę na zewnątrz. Lepiej wyjść, zanim to cholerne urządzenie się rozmyśli.

Stanęli kilka kroków przed drzwiami, trzymając się za ręce. Winda zamknęła się, jak działo się to zawsze, zanim zaczęła wariować.

– Chodźmy.

Aneta dała się zaprowadzić na portiernię i usadzić w krześle.

– Zrobię herbaty – powiedział.

Milczała. Miał wrażenie, że go nie słyszy. Nastawił wodę i wrócił do niej. Nieśmiało położył rękę na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku?

– Poczekaj! – Wyciągnęła dłoń i odwróciła się w obrotowym fotelu, podnosząc ku niemu twarz. – Musimy to przeanalizować.

– Co chcesz analizować? To, że winda jeździła jak głupia?

– Właśnie.

Czajnik się wyłączył. Rafał zalał torebki.

– Herbata dla pani. – Postawił kubek przed Anetą. – I dla pana.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna nieobecny tonem.

– Wytlumacz, co chcesz analizować.

– Zastanawiam się, co chciała nam przekazać.

– Winda?

– Oj tam, winda. Ona. Ten duch, który tu jest.

Otoczyła palcami kubek, ale go nie podniosła.

– Zimno ci?

Pokręciła głową.

– Już nie. Trochę zmarzłam ze strachu. – Roześmiała się. – Przyznaj, że ty też miałeś pietra.

– Ja... – Wolałby powiedzieć, że się nie bał, ale zapewne nie zabrzmiałoby to zbyt szczerze. – Ale i tak ty miałaś zimniejsze ręce – powiedział, wpadając w jej ton.

– Pewnie ty się spociłeś – odparowała.

Nie bardzo wiedział, jak to zripostować, więc zadał pytanie:

– Uwierzyłaś, że jest tu duch?

– Trudno by mi było nie uwierzyć po tej przejażdżce. – Machnęła dłonią w kierunku windy. – Pozostaje pytanie, dlaczego ujawnia się tylko przy tobie. Przecież nie jesteś medium? Ja często coś wyczuwałam, chociaż przygodę z duchem miałam tylko u Kaśki.

– Tutaj też wyczuwałaś – usiłował się bronić.

– Nie – zaprzeczyła. – A jeśli nawet, to było na tyle delikatne, że nie zdawałam sobie sprawy. A ty? Miałaś kiedyś taką przygodę? Wcześniej?

– Nie – powiedział stanowczo.

– Właśnie. Musi więc chodzić o coś innego. Wierzy... ten duch wierzy, że ty możesz pomóc.

– Skąd wiesz, że potrzebuje pomocy?

– A po co to wszystko?

– Może się z nami bawi? Jest złośliwy... złośliwa i chce nas postraszyć?

– Bardziej ciebie.

– Dlaczego niby mnie?

Milczała, wpatrując się w jego twarz, aż poczuł się nieswojo. Lubił jej wzrok, jednak nie taki. Nie tak oceniający. Badający. Taksujący.

– Właśnie – powiedziała w końcu. – Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Nie przypominam sobie, żebym zrobił komuś coś aż tak złego, żeby ten ktoś chciał się mścić nawet po śmierci.

– Wierzę ci. – Uśmiechnęła się. – Musi więc chodzić o coś innego. Zostawmy to na razie. Zastanówmy się, po co jeździliśmy tą windą.

– Jestem pewien, że masz jakąś teorię.

– Owszem. Zauważ, że winda zjechała tam, gdzie nie ma szybu. I tylko tam się zatrzymała. Moim zdaniem musimy szukać w piwnicy.

Westchnął.

– Poprzednio też szukaliśmy w piwnicy.

– Chodźmy jeszcze raz.

– Okej.

Czuł rozczarowanie. Głównie sobą. Miał ją chronić, a nic z tego nie wychodziło. Wręcz przeciwnie, to ona wykazywała większą odwagę. Ona brała się za bary z tajemnicą. Stłumił rozgoryczenie i ściągnął wszystkie klucze do dostępnych pomieszczeń piwnicznych.

Schodzili powoli, czekając na znak. Wołanie, westchnienie, krótkie „nie”, windę, której nie powinno być. Nic się nie wydarzyło, dopóki nie doszli na sam dół. Usłyszeli nieartykułowany kobiecy krzyk. Aneta chwyciła Rafała za rękę. Chłopak mocno trzymał jej dłoń, chociaż włosy na całym ciele stanęły mu na sztorc. Krzyk umilkł. Rafał nie poluznił uścisku, a dziewczyna nie próbowała się uwolnić.

– To znowu z tamtego pokoju – powiedział.

Pokiwała głową bez słów. Odszukał odpowiedni klucz. Żałował, że musiał puścić jej rękę. Otworzył pomieszczenie. Wszedł pierwszy i zapalił światło.

– Wygląda jak ostatnio – powiedział, rozglądając się.

– Tak – przytaknęła. – A jednak coś tu musi być. Może w tych segregatorach kryje się tajemnica? – zasugerowała.

– Może.

Zbliżył się do półki i wyciągnął rękę.

– Zacznijmy od najstarszych – powiedziała Aneta.

To chyba był najlepszy pomysł. Niektóre segregatory stały w rzędach grzbietami do przodu, inne leżały w pionowych stosach. Ktoś, kto je tu znosił, nie zawracał sobie głowy chronologią. Na przestrzeni lat mogło zresztą zebrać się kilkanaście osób. Aneta i Rafał układali dokumenty po swojemu, nowe na spodzie, starsze na wierzchu. Najstarszym okazał się skoroszyt opisany jako „Lista płac 1946–1950”.

– Dobrze – powiedziała Aneta. – Ja będę teraz czytała nazwiska. – Jeśli usłyszysz znajome, przerywaj.

– Znajome nazwisko z lat czterdziestych? – mruknął chłopak z powątpiewaniem.

– Czemu nie? Rodzina, znajomi. Znaczy znajomi rodziców czy dziadków.

– Znajomi dziadków? Mówisz poważnie?

Aneta westchnęła teatralnie.

– No dobra, słuchaj. Zaczyna się w lutym czterdziestego szóstego roku. Nie wiem, co zrobili ze styczniem. Marzena Arlińska – dwa tysiące trzysta złotych, Witold Bednarz – cztery tysiące sto. – Podniosła głowę. – Ciekawa dysproporcja, nie? – Rafał przytaknął i słuchał dalej. Żadne nazwisko nie mówiło mu nic. Owszem, jak każdy słyszał o jakimś Kowalskim czy Nowaku, których tu też nie zabrakło, ale żadnego osobiście nie łączył ze swoim losem czy historią rodziny. – Roman Ołdakowski. – Urwała. – To... Mój pradziadek tak się nazywa.

– A więc jednak nie chodzi o mnie, tylko o ciebie?

– Nie wiem. Muszę pogadać z mamą. – Wróciła do czytania. – Siedem tysięcy sześćset złotych. Dużo, nie? Katarzyna Pasik. Zofia Ronik.

Usłyszeli krzyk, tuż za ścianą. Skoroszyt wypadł z rąk Anety. Krzyk ucichł, ale ktoś walił w mur po drugiej stronie. Aneta przywarła do Rafała. Otoczył ją ramionami.

– To niemożliwe – szepnął, gdy wreszcie zapadła cisza.

– Co... jest... niemożliwe?

Aneta wyswobodziła się z jego objęć. Szczęki latały jej, jakby stała na mrozie od kilku minut.

– Tam – dotknął ściany, w którą przed chwilą ktoś walił – nic nie ma.

– Jak... to?

– Chodź.

Wyszli, nie gasząc światła. Aneta nadal się trzęsła. Rafał też, ale na szczęście tylko wewnątrz. Mógł odgrywać rolę tego silnego.

– To pomieszczenie jest kilka metrów od kolejnego. Tu – postukał w mur tuż za miejscem, z którego wyszli – nic nie ma.

Aneta przestała drzeć. Wyciągnęła rękę i dotknęła ściany.

– Widocznie kogoś tu zamurowali.

Spojrzeli sobie w oczy. Rafałowi zaczęły się przypominać różne przeczytane i zasłyszane historie.

– Powinniśmy... – kontynuowała Aneta – powinniśmy doprowadzić do rozprucia tej ściany.

– Jak? Opowiemy o naszej przygodzie z... duchem? Sądysz, że ktoś uwierzy?

– Nie wiem. Chyba musimy spróbować.

Stali, patrząc w ścianę. Słyszeli tylko własne oddechy.

– Wracajmy na górę – zaproponował Rafał.

– Trzeba sprzątnąć i zamknąć drzwi – przypomniała Aneta.

Weszli z powrotem. Aneta podniosła skoroszyt.

– Jakie było ostatnie nazwisko, które przeczytałaś? – zapytał Rafał.

– Ja... nie pamiętam.

– Wydaje mi się, że... – Nie dokończył i wyjął skoroszyt z jej dłoni. – Otworzył, przebiegając oczyma nazwiska. – Tak – powiedział cicho. – Zofia Ronik.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Coś ci to mówi?

Patrzył na listę, usiłując się skoncentrować.

– Chyba kiedyś słyszałem to nazwisko. Nie pamiętam tylko, od kogo i w jakich okolicznościach.

Do rana pili kawę, czekając na kolejne znaki. Nic nie nastąpiło. Następnym razem naprawdę trzeba pamiętać o mleku i cukrze. Gdy rano przyszedł Tomasz, Aneta opowiedziała, co się wydarzyło.

– Ej, czy wyście czegoś nie ćpali?

Dziewczyna prześwidrowała dziada wzrokiem, ale się nie spieszył.

– Już ja bym wiedział, jak to wykorzystać – powiedział, rechocząc i patrząc na jej biust.

– Hej! – Rafał chwycił go za ramię.

– Spokojnie. – W głosie dziewczyny brzmiała pogarda. – Szkoda na niego nerwów.

– Przecież ja nic...

– Chyba dasz sobie radę. Nasz dyżur już się skończył.

– Nie zgrywaj obrażonej damy. Nic ci przecież nie zrobiłem.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Idziemy – powiedziała do Rafała.

W drzwiach wejściowych wpadli na drugiego ochroniarza, ale nie wdawali się już w dyskusje.

– Podwiozę cię – powiedziała Aneta.

Wsiadł do auta, ciesząc się z kilku dodatkowych minut z nią.

– Zakochałem się – powiedział, gdy ruszyła.

Cokolwiek miała odpowiedzieć, nie żałował słów. Uświadomił sobie własne uczucia przy kolejnej nocnej kawie. Mógł je ukrywać, czekać na rozwój sytuacji. Niektórzy powiedzieliby pewnie nawet, że wyznanie na tym etapie znajomości narusza granice drugiej osoby. Niewytłumaczalne wydarzenia w budynku spółdzielni zburzyły jednak jego zahamowania, pchnęły do działania. Chciał wyjaśnić wszystko. Wszystko to nie tylko duch w piwnicy.

– Naprawdę? W kim?

Uśmiechała się. To chyba dobry znak.

– W dziewczynie, która podróżuje po całym świecie i zbiera na podróże jako ochroniarka. Jest odważna i mądra. Śliczna też. Pełna wdzięku. Jej oczy zmieniają barwę od jasnoniebieskiej po granatową.

– O! To ciekawe. A jak ma na imię twoja wybranka?

Wciąż patrzył na jej profil, na uśmiech, nieco ironiczny, błędzący po twarzy, rozświetlający oczy.

– Zgadnij.

– Hmm... Naprawdę nie wiem. Ania? To chyba najpopularniejsze imię w Polsce.

– Pudło.

– Może Julia? Podobno pokolenie naszych rodziców bardzo lubiło to imię. Sama znam chyba z sześć Julii.

– Nie.

– No to... Kasia?

– Nic z tego.

Zatrzymała się.

– To już twój dom.

Pocałowała go szybko w usta. Przyciągnął ją do siebie. Nie broniła się.

– Aneta – szepnął, patrząc w oczy, które robiły się coraz ciemniejsze.

– To jej im...

Przerwał jej pocałunkiem, dłuższym, bardziej namiętnym. Wsunęła dłoń w jego włosy, ale po chwili delikatnie go odepchnęła.

– To było miłe, ale dajmy sobie czas. Dowiem się o pradziadka i zadzwonię wieczorem.

– Aneta – powtórzył.

– Fajne ma imię ta laska. Na razie, pa!

Na schodach się zatrzymał. Czy naprawdę będzie miał odwagę wyjaśnić wszystko? Wyrzucił niechcianą myśl z głowy, skoncentrował się na niedawnym pocałunku.

Zanim wysiadła z samochodu, oparła głowę o siedzenie i pozwoliła sobie na wspomnienie pocałunku sprzed chwili. Urocze, pomyślała znowu. Wszystko związane z Rafałem było urocze. Czuli się jak uczennica przeżywająca pierwsze zauroczenie kolegą. Nie zdarzyło jej się to w szkole ani na studiach. Niewinne szczenięce zakochanie z opóźnieniem. Pokręciła głową z uśmiechem i opuściła auto.

Mama znów siedziała przy stole, pijąc kawę. Znowu sałatka czekała w lodówce. Aneta znów się uśmiechnęła, znów podziękowała.

– Mamo. – Odłożyła widelec i popatrzyła na Agnieszkę z wahaniem. – Pradziadek to Roman Ołdakowski, prawda?

– No tak – potwierdziła matka.

– Przeglądaliśmy dokumenty spółdzielni i w czterdziestym szóstym takie nazwisko było na liście płac. Nawiasem mówiąc, sporo zarabiał.

Agnieszka zamrugnęła.

– Przeglądaliście dokumenty spółdzielni? – powtórzyła wolno. – Z czterdziestego szóstego roku?

– Leżały zakurzone w piwnicy i nikt się nimi nie interesował. Myślisz, że to nielegalne? Tyle czasu już minęło, że chyba nie pociągną nas do odpowiedzialności. Na wszelki wypadek nie opowiadaj nikomu, co?

Agnieszka nie kupiła sztucznej wesołości córki, nawet się nie uśmiechnęła.

– Dlaczego przeglądaliście dokumenty?

– Z nudów.

– Słucham?

Opowiedzenie matce o przejażdżce windą i innych atrakcjach nie wydało się Anecie najlepszym pomysłem. Jeden błąd już popełniła z Tomaszem.

– No wiesz, poprzednio wydawało nam się, że coś jest w budynku, i pomyśleliśmy, że spojrzymy na te dokumenty. Taka zabawa.

– Zabawa?

To zaczynało się robić irytujące.

– Mamo, ja tylko chciałam zapytać, czy to pradziadek. Czy on pracował w czterdziestym szóstym w spółdzielni na Trzeciego Maja. Wiesz coś o tym?

– Nie, nie mam pojęcia. – Agnieszka wreszcie się uśmiechnęła. – Będę jutro u rodziców i zagadnę ich o to. Swoją drogą, to ciekawy zbieg okoliczności. Dopiero o nim rozmawialiśmy, a teraz znajdujesz go na starych listach płac.

– Ciekawy – zgodziła się Aneta.

– Mam coraz większe wyrzuty sumienia. Naprawdę muszę się umówić na wizytę.

Ja też, pomyślała Aneta.

Obudził się tuż przed południem. Zofia Ronik. W chwili, gdy Aneta przeczytała to nazwisko, rozległ się krzyk i walenie w ścianę. Zofia Ronik. Kiedyś to słyszał. Kiedy? Gdzie? Zakładając, że duch miał z nim coś wspólnego, trzeba wysilić pamięć. Roman Ołdakowski to pradziadek Anety. Chodzi jednak o nią. Pokręcił głową. Może przynajmniej spróbuje

porozmawiać z panią Anią. Błyskawicznie się ogarnął i wyszedł z mieszkania.

– A ty co tu robisz? – zapytał Tomasz mało przyjaźnie, gdy Rafał przekroczył próg spółdzielni.

– Zapomniałem czegoś.

– Nie zapomnij nałożyć maseczki! – zawołał za nim.

Rafał przystanął. Miał ochotę pokazać starszemu koledze wulgarny gest, ale zamiast tego zmierzył go pogardliwym spojrzeniem. Tamten szturchnął drugiego portiera w bok i obaj zaczęli rechotać. Rafał stracił nimi zainteresowanie, bo usłyszał głos sprzątaczkii.

– Dzień dobry, Rafałku!

– Dzień dobry! – W kilku krokach był przy niej. Mopowała podłogę. – Pomóc pani?

– Oszalałeś, chłopcze? – Roześmiała się. – Chcesz, żeby ktoś doniósł, że się objam? Już zresztą kończę.

– Będziemy mogli porozmawiać?

– Pewnie.

Zaprosiła go do kanciapki. Głupio się czuł, przechodząc przez toaletę, ale kiedy zamknęła drzwi, przestał myśleć, gdzie znajduje się to pomieszczenie.

– Może tym razem herbaty? – spytała.

– Chętnie.

– Owocowa czy czarna?

– Owocową poproszę.

– No i co tam? – spytała, wstawiając wodę. – Duchy wróciły?

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Tak. Będzie mi łatwiej przy herbacie.

Postawiła na stole dwie szklanki i paczkę herbatników.

– Poczęstuj się, jesteś taki szczupły.

Bezmyślnie wziął ciastko i opowiedział o wydarzeniach nocy. Wypowiadane na głos słowa wydawały się śmieszne, ale pani Ania pozostała poważna.

– Wierzy mi pani?

– Oczywiście. Już raz tak było.

– Podobnie?

– Tak. Krzyki, westchnienia i winda jeżdżąca sama z siebie.

– Ale się skończyło?

– Przyszedł ksiądz i się skończyło – potwierdziła.

– Pamięta pani, jaki to był ksiądz?

– No... był miły. Przystojny i dobrze mówił.

– Ale jak się nazywał?

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Chyba nawet wtedy nie wiedziałam.

– A skąd był?

– Nie mam pojęcia. Prezes go skądś wytrzasnął, bo ludzie bali się na noc do pracy przychodzić.

– Czyli wtedy wszyscy to widzieli?

– Od razu wszyscy. Głównie jego sekretarka. Wtedy nie było takiej ochrony jak teraz, ale po włamaniach trzeba było budynku pilnować, więc pracownicy biurowi parami na zmiany zostawali. Straszło tylko wtedy, kiedy ona była. Ludzie gadali, że ona to sprowadza. Dlatego prezes ją zwolnił.

Rafał zastygł w bezruchu. Zorientował się, że ma otwarte usta, co zapewne nie wyglądało zbyt estetycznie, bo tkwił w nich nie do końca pogryziony kawałek herbatnika. Szybko przełknął i popił herbatą.

– No to wygląda, że teraz ja TO sprowadzam. Mnie też zwolnią?

Wzruszyła ramionami.

– No, ty u nas nie pracujesz. Co najwyżej mogą poprosić, żebyś tu na noc nie przychodził.

Odstawił szklankę i stukał palcami w stół.

– A kto to był? Ta sekretarka?

– Miła dziewczyna. Szkoda mi jej było, ale ona sama chciała odejść.

– Chciała?

– Była tym wszystkim wykończona. Gdy przychodziła, wydawała się taka pełna energii, ale te duchy zabrały jej wszystkie siły. A może bardziej ludzie, którzy gadali.

Jedna myśl goniła drugą. Rafał przestał stukać w stół. Objął szklankę, żeby nie wykonywać więcej nieskoordynowanych ruchów.

– Czy mówi pani coś nazwisko Zofia Ronik?

Powoli potrząsnęła głową.

– Nie kojarzę.

– A jak nazywała się zwolniona sekretarka? Pamięta pani?

– Pewnie. Elżbieta Stróżewska.

Znów otworzył usta. Całe szczęście, że tym razem niczego w nich nie miał. Może się przesłyszał.

– Jak?

– Elżbieta Stróżewska. Wiesz, kto to?

– Chyba tak, ale muszę sprawdzić. – Spojrzał na zegarek. – Dziękuję, pani Aniu! Lecę, bo spóźnię się na dyżur.

Wolał nie mówić, że sam nazywa się Stróżewski. Później, kiedy już wszystko się wyjaśni.

Naprawdę musiał się pośpieszyć przed dyżurem w Markach. Wcześniej trzeba zadzwonić. Wolał to zrobić z domu, bo tam najłatwiej będzie opanować emocje.

Odnalazł kontakt, ale zanim nacisnął zieloną słuchawkę wziął kilka głębokich wdechów. Odebrała po trzecim sygnale. Głos miała pogodny. Jak zwykle.

– Cześć, ciociu.

– Cześć, Rafałku. Dawno się nie słyszeliśmy.

Rzeczywiście. Po wypadku kontakty trochę się rozluźniły. Na każde święta matka słała kartki, ciotka dzwoniła. Może one się spotykały, nie był pewien. Ostatnio widział ciotkę na weselu jej najstarszej córki. Jakies dwie godziny siedziała obok niego, jakby cała jej uwaga skupiła się na bratanku, a państwo młodzi zeszli na dalszy plan. Rafał się dusił. Za bardzo przypominała ojca, nawet pytania stawiała w podobny sposób. Odpowiadał z wymuszonym uśmiechem, próbując każdy temat obrócić w żart. Na szczęście nie poruszyła tego najgorszego. Kilka dni po ślubie była w Warszawie i chciała się spotkać. Wymówił się brakiem czasu.

– Tak właśnie sobie pomyślałem.

– Co słysząc?

– Jestem po pierwszym roku prawa.

– Wiem. Zaliczyłeś wszystko?

– Jakoś się udało. Ciociu, mama z bliźniakami jest nad morzem w Białogórze. Jadę do niej na dwa dni. Będę mógł wpaść na chwilę w czwartek wieczorem?

– Pewnie. Stęskniłam się za tobą. Jestem sama. Dzieciaki na wakacjach, a Maciek w podróży służbowej w Brukseli.

– Będę z koleżanką. Możemy przyjechać razem?

– Oczywiście. Chętnie ją poznam. To coś poważnego?

Postanowił być szczery w nadziei, że ona odpłaci tym samym.

– Chciałbym. Zobaczysz, ona jest niesamowita.

– Tym chętniej ją poznam.

– Pracuje ze mną.

– Pracujesz?

– Zbieram na Mont Blanc. W wakacje jest trochę czasu.

– A co robisz?

– Jestem ochroniarzem w agencji. Słyszałam, że w jednym z miejsc, w którym pracuję, ty też pracowałaś.

– Tak? A gdzie? – zainteresowała się.

– Spółdzielnia na Trzeciego Maja. W osiemdziesiątym piątym. Wtedy jeszcze nazywałaś się Stróżewska, prawda?

Zaległa cisza. Nie dłużej niż sekundę, ale jednak.

– Rzeczywiście – odezwała się normalnym tonem. – To czekam na was w czwartek. Przygotuję...

– Ciociu – wszedł jej w słowo. – Nie będziemy poruszać tematu taty, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała. – Pa!

Zdażył tylko odpowiedzieć „do zobaczenia” i już się rozłączyła. Nie miał pojęcia, czy pośpiech spowodowany był ostatnią prośbą, czy tematem spółdzielni. Ostrożnie odłożył komórkę. Skupił się na opanowaniu wewnętrznego drżenia. Udało się. Mógł wrócić do zastanawiania się nad – z braku innego określenia, zdecydował się na nieco kontrowersyjne – duchami.

Wszystko się układało. Jednak chodziło o niego. Ronik. Panieńskie nazwisko prababci. Babci ojca i ciotki Eli. Nic dziwnego, że nie pamiętał. Słyszał je od taty lub babci dawno temu. Raz czy dwa. Nikt nie próbował wbijać mu do głowy historii rodzinnej, a on sam nie interesował się genealogią. Prababci nie pamiętał. Umarła, gdy miał kilka lat. Nie miała na imię Krystyna? Irena? Tak czy inaczej, to nie ona pracowała w spółdzielni w czterdziestym szóstym. Była wtedy mężatką. A może nawet wdową.

Telefon zaczął dzwonić. Rafał uśmiechnął się, gdy spojrzał na wyświetlacz.

– Cześć, dziewczyno o pięknym imieniu.

– No hej. – Wyczuł, że ona też się uśmiecha. – Rozmawiałam z mamą. To rzeczywiście mój pradziadek.

– Kto? – zapytał rozkojarzony.

– Roman Ołdakowski. To nazwisko z listy płac. Mama potwierdziła.

Skoncentrowany na swojej rodzinie, zapomniał o Romanie Ołdakowskim.

– Pracował w spółdzielni? – zapytał.

– Mama nie wie. Ale wiesz... mój pradziadek nadal żyje.

– To możemy go o to zapytać.

Ekscytacja rosła. Z jednej strony ciotka, która widziała duchy, z drugiej bezpośredni świadek wydarzeń z czterdziestego szóstego roku. Jakich wydarzeń? Na razie Rafał miał tylko nazwisko, które wcale nie musiało być z niczym powiązane.

– Rozmowa z nim może być trudna.

– Dlaczego?

– No wiesz... on skończył już pięćdziesiąt pięć lat. Od piętnastu lat jest w domu opieki. Podobno był strasznie agresywny. Szczególnie w stosunku do mojego dziadka. Właściwie to przyszywany dziadek, drugi mąż babci. W każdym razie nie dawali sobie z tym rady. Dlatego zdecydowali się go oddać.

– Nadal jest agresywny?

– Nie wiem. Nie odwiedzałam go od roku albo i dłużej. Chodziłam wcześniej z mamą od czasu do czasu i nigdy... zawsze był dla nas miły. To takie dziwne. Czasem wydawało mi się, że jego umysł działa jak mój i twój czy nawet jest sprawniejszy, innym razem zupełnie nie kojarzył, był w jakimś tam swoim świecie. Zazwyczaj kojarzył.

– A twoja mama tam chodzi?

– Rzadko. Kiedy o niego zapytałam, poczuła wyrzuty sumienia. Powiedziała, że musi go odwiedzić. Babcia chyba nadal chodzi tam regularnie. Myślę, że możemy spróbować z nim pogadać. Już sprawdziłam. Można tam pójść, tylko na wejściu mierzą temperaturę i trzeba przestrzegać reżimu sanitarnego. Pradziadek może pamiętać dawne czasy.

Podobno często w starszym wieku tak to działa. Tyle że przed wyjazdem nie damy rady.

– Tak. Posłuchaj, ja też coś mam. – Opowiedział o rozmowie z panią Anią i z ciotką. – Ciotka mieszka w Gdyni. Wyszła za mąż i teraz nazywa się inaczej. Mamy ją odwiedzić w czwartek wieczorem – zakończył.

– To niesamowite. Tu naprawdę chodzi o twoją rodzinę.

– Twoja też może być trochę zamieszana – mruknął.

– Masz rację. Wpadam po ciebie jutro przed dziewiętnastą. Bądź gotowy!

Czuł się jak bohater powieści. Wyruszał z ukochaną rozwikłać zagadkę przeszłości i pomóc... nie potrafił doprecyzować komu, ale to było najmniej istotne. Komukolwiek. Temu komuś można było pomóc. Odgonił natrętną myśl i znów zaczął się uśmiechać.

Aneta odłożyła komórkę i sięgnęła po albumy ze zdjęciami. Przewracała kartki, skupiając się na zdjęciach pradziadka. Na pierwszym chyba jeszcze się nie ożenił, a przynajmniej nie widać było w pobliżu prababci. Pewnie dlatego babci nie zależało na zatrzymaniu tej fotografii. Zdjęcie prawdopodobnie pochodziło z jakiejś powojennej wieczerzy wigilijnej: grupa staromodnie ubranych osób w różnym wieku przy świątecznie zastawionym stole. Było niepełne, jakby jakieś dziecko się nim bawiło i odcięło kawałek. Aneta widziała je już wielokrotnie, ale dopiero teraz zaczęła zastanawiać się, kim są ludzie świętujący z Romanem Ołdakowskim. I co znajdowało się na wyciętej części? Kto ją wyciął? Ze ślubu z prababcią było tylko kilka fotek – większość została u dziadków. Kilka z małą Amelką, czyli babcią Amelią, a potem kilkanaście z mamą Anety i jej siostrą. Na wszystkich pradziadek wyglądał tak ciepło, że miała ochotę się do niego przytulić. Wreszcie doszła do wspólnych zdjęć i ogarnęła ją tęsknota za tym starym człowiekiem. Tu trzyma ją za rękę,

uczając stawiać pierwsze kroki, tu buja na huśtawce, a tu pomaga wejść po schodach. Świetnie się z nią dogadywał, zabierał na lody czy do cyrku. Opowiadał ciekawe historie, ale chyba nie wspominał o duchach. Co ona zresztą była w stanie pamiętać? Miała dziewięć lat, gdy pradziadek został oddany. Wspomnienia mogły być fałszywe, ukształtowane przez rozmowy z mamą czy fotografie. A może na to wszystko nakładały się jeszcze późniejsze wizyty w jego nowym miejscu pobytu. Zamknęła album i zapatrzyła się w okno.

Nie pamiętała momentu, gdy dziadkowie zdecydowali się na dom opieki. Nie była pewna, kiedy zapytała, dlaczego pradziadek już z nimi nie mieszka. Zapewne nie dostała szczerzej odpowiedzi. Mama wyjaśniła to dużo później. Słuchanie o agresji było szokujące. Takie zachowania zupełnie nie pasowały do człowieka, którego Aneta знаła i kochała. Jeszcze raz przejrzała fotografie, próbując dostrzec w jego oczach cień skłonności do przemocy. Nie dostrzegła. Wiedziała, że to o niczym nie świadczy. Wiek sieje spustoszenia w mózgu, niekiedy całkowicie zmienia ludzi. Dlaczego jednak nigdy ta agresja nie dotknęła jej? Aneta gwałtownie wstała i weszła do pokoju matki.

– Mamo!

Agnieszka oderwała wzrok od komputera i spojrzała na córkę.

– Tak, kochanie?

Aneta poczuła zawstydzenie za nagłe wtargnięcie.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy, ale myślałam o pradziadku i... na czym właściwie polegała jego agresja?

– Anetko, ja nie pamiętam dokładnie.

– Nie pamiętasz? A niedokładnie?

– Nie pamiętam.

– Tak po prostu zaakceptowałaś decyzję, żeby oddać go do domu opieki?

– Dlaczego miałabym kwestionować to, co powiedzieli mi mama i tata?

– To nie twój tata!

– Co?

Wzrok Agnieszki nagle stał się ostry.

– Mamo, przepraszam.

Aneta nie rozumiała własnego wybuchu. Sama traktowała drugiego męża babci jak dziadka. Dobrego dziadka. Kochała go.

– Ledwie pamiętam mojego biologicznego ojca. Twój dziadek Piotr – powiedziała z naciskiem, jakby przypominała córce, że mimo braku więzów krwi to jej dziadek – dał mi miłość i to była miłość ojcowska. Kocham go jak ojca i czy to ci się podoba, czy nie, będę nazywać go tatą.

– Tak, wiem – szepnęła Aneta. – Przepraszam – powiedziała jeszcze raz.

– Wracając do twojego pytania. Dlaczego miałabym kwestionować to, co powiedzieli rodzice? To przecież oni z nim mieszkali, nie ja.

Tak, dlaczego?

Aneta miała ochotę schować się do mysiej dziury, ale wykrztusiła:

– Nie pytałaś o szczegóły?

– Oczywiście, że pytałam. Po prostu już nie pamiętam. Kochanie, przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

– Tak, oczywiście.

Aneta wycofała się do swojego pokoju. Spojrzała na ostatnie zdjęcie. Pradziadek bawił się z nią klockami. Oboje siedzieli na podłodze, pochłonięci budowaniem. Aneta wyglądała już na dużą dziewczynkę, a więc ta fotografia musiała być zrobiona niedługo przed przeprowadzką do domu spokojnej starości, jak to czasem babcia ładnie nazywała. Jakie demony kryły się w tym człowieku o spokojnej twarzy i dobrych oczach? Jakie duchy go nawiedzały?

Gdy dotarli, było już po jedenastej. Dzieciaki rzuciły się na Rafała z dzikim okrzykiem.

– Ciszej – ofuknęła matka. – Mówiłam, że cisza nocna i niektórzy chcą spać.

– Dajcie mi przedstawić Anetę. – Rafał się roześmiał, targając rodzeństwo za włosy.

Bliźniaki odsunęły się i spojrzały z zainteresowaniem na towarzyszkę brata.

– Mamo, to moja koleżanka z pracy. Dodam, że najlepsza.

– Bardzo miło jest mi cię poznać. – Mama wyciągnęła rękę.

– Mnie też jest bardzo miło. Dziękuję za zaproszenie.

– A te dzikusy to moje rodzeństwo.

Tosia, naśladując matkę, wysunęła dłoń i powiedziała:

– Bardzo miło jest mi cię poznać.

– Mnie również jest bardzo miło – odpowiedziała Aneta poważnie. – Masz na imię Tosia, prawda?

Dziewczynka pokiwała głową.

– A ja jestem Paweł! – Chłopiec podskoczył. – Ty jesteś narzeczoną Rafała?

– Jeszcze nie – odpowiedziała z uśmiechem Aneta.

Rafał miał ochotę przełożyć brata przez kolano i zaserwować mu kilka klapsów. Kto wymyślił, że dzieci nie można bić?

– Chodźcie na balkon – powiedziała matka, wyczuwając napięcie. Nie musiała wyczuwać, wystarczyło spojrzeć na purpurową twarz starszego syna. – Przygotowaliśmy kolację.

– Świetnie! – Aneta się ucieszyła. Sięgnęła do torby. – Przywiozłam wino, mam nadzieję, że trafiłam w pani gust. Rafał nie był pewien.

– Cava! Najlepsze! Dziękuję. Ja mam tylko piwo. Położymy dzieciaki spać i będziemy pić.

– O, nie! – odezwały się dwa buntownicze głosy.

– Cicho! – zarządził Rafał. – Nie słyszeliście, że jest cisza nocna?

– Lubicie żelki? Wasz brat twierdził, że tak.

– Tak!

– Po kolacji – upomniwała matka. – Siadajcie – zwróciła się do Anety i Rafała. – Przyniosę kieliszki.

– Pomogę pani.

– Ty siedź. – Rafał położył jej rękę na ramieniu. – Ja pójdę z mamą.

Musiał wiedzieć, czy wesołość nie jest na pokaz. W kuchni matka zwróciła do niego twarz. Nadal wyglądała na rozluźnioną.

– Jak w Warszawie? – spytała.

Udał, że nie rozumie.

– Dobrze. Pracuję.

Uśmiechnęła się do niego. Szczerze. Odetchnął z ulgą.

– To był piękny dzień – powiedziała Aneta w drodze do Gdyni. – Plaża, słońce, zimny Bałtyk, tego właśnie potrzebowałam.

– No, ja też – przyznał Rafał. – Szkoda, że już jutro wracamy, nie?

– Szkoda. Masz wspaniałą rodzinę. Twoja mama jest taka... zrelaksowana, a przy tym tyle ma energii.

Matka szepnęła Rafałowi, że przywiózł do nich świetną dziewczynę. Sympatia była wzajemna.

– Tutaj się zrelaksowała. W Warszawie bywa spięta.

– W Warszawie każdy bywa spięty. Dzieciaki też super. Zazdroszczę ci rodzeństwa.

– Czasem miałbym ochotę zamknąć ich w jakimś ciemnym pokoju. – Roześmiał się. – Ty ich kupiłaś. I nie tylko żelkami. Powiedzieli, że jesteś cool.

– Pewnie dlatego, że wytrzymałam w wodzie prawie tyle co oni.

– Sądzę, że miało to niejakie znaczenie.

Aneta skakała z dziećmi przez fale, ganiała się z nimi po plaży i stawiała zamki z piasku. Zarówno Tośka, jak i Paweł patrzyli już na nią z uwielbieniem.

– Nawet te... duchy jakoś się rozmyły, nie?

Rafał nawet nie pomyślał o duchach, chociaż jechali do ciotki Eli właśnie z ich powodu.

– Tak. Nie wiem...

– Słucham?

– Nic. Wiesz, to takie dziwne. Poczulem coś jakby wyrzuty sumienia.

– Z jakiego powodu?

– Właśnie dlatego, że się rozmyły. Jakby... nie umiem tego wytłumaczyć.

A może wcale nie chodziło o duchy? Przełknął ślinę i spojrzał na Anetę. Nie odrywała wzroku od drogi. Była dobrym kierowcą, skoncentrowana na jeździe, pomimo prowadzonej konwersacji. Kolejna zaleta.

– Chyba cię rozumiem. Ten duch czy duchy, czy jak to nazwać, potrzebują pomocy, cierpią, a my się dobrze bawimy. Tylko że codziennie, w każdym zakątku świata, są ludzie, strasznie wielu ludzi, którzy potrzebują pomocy, cierpią, chorują, umierają. Czy to znaczy, że nie wolno żyć? Nie wolno się cieszyć?

– Nie – bąknął. – Ale wierzę, że naszym obowiązkiem jest pomagać.

Przynajmniej tym, którym pomoc można.

– Mnie się wydaje, że właśnie to mamy zamiar robić. To nie oznacza, że powinniśmy zabijać w sobie radość. Ludzie szczęśliwi lepiej pomagają. Ale mi się powiedziało! Powinnam zostać królową aforyzmów, nie uważasz?

– Nie, raczej psychoterapeutką. Mnie stale serwujesz darmową terapię.

– Hm – mruknęła. – Wydaje mi się, że to była złośliwość.

– Masz rację, wydaje ci się.

Oboje się roześmieli. Rafał jednak czuł pogłębiający się niepokój. Nie chciał spartolić spotkania. Bał się zawieść. Nie miał pojęcia kogo. Kogoś.

Aneta zatrzymała samochód, spojrzała Rafałowi prosto w oczy i położyła mu ręce na ramionach, zbliżając twarz do jego twarzy. Niepokój zniknął.

– Już się nie boisz, prawda?

Pokręcił głową i dotknął ustami jej ust. Cofnęła się.

– Może nie powinnam chodzić tam z tobą? Może ona nie otworzy się przy mnie?

– Powiedziałem, że będziesz.

– Tak, ale... Jeśli to sprawa rodzinna...

Prawie chciał powiedzieć, że być może oni też będą rodziną. Pomysł nie wydał się najlepszy.

– Siedzimy już w tym razem, prawda? Widziałaś i słyszałaś to samo co ja.

– Na pewno chcesz, żebym poszła z tobą?

– Oczywiście.

Ciotka przygotowała na kolację curry wegańskie, czym wzbudziła zachwyty Anety, która od kilku miesięcy nie jadła mięsa. Rozmowa toczyła się gładko, ale jeszcze przed końcem posiłku Rafał postanowił wziąć byka za rogi.

– Ciociu, chciałbym pogadać o spółdzielni.

Westchnęła i odłożyła sztucce.

– Wiedziałam, że nie przyjechałeś tylko z tęsknoty. Co się dzieje?

W miarę, jak mówił, twarz ciotki tężała, jej oczy robiły się puste, jakby ich właścicielka kurczyła się, zapadała w sobie. Gdy skończył, wzięła głęboki oddech.

– No tak – powiedziała zupełnie normalnym tonem.

– Nie jesteś zdziwiona, prawda? Tobie przydarzyło się to samo.

– Tak. Można tak powiedzieć.

– Można powiedzieć? – Zerknął na Anetę. Dziewczyna przyglądała się swoim dłoniom. – Ciociu, tam coś jest. Trzydzieści pięć lat temu też było. Potem się uspokoiło. Chyba jednak nie na serio? Najpierw ja, później ty. To coś ma związek z naszą rodziną. Dlatego nie ujawnia się przy innych.

Ciotka się nie odzywała. Nie potrafił wyczytać niczego z jej twarzy. Równie dobrze mogłaby grać w pokera.

– Czy wolałaby pani, żebym poszła? Może przy mnie jest pani niezręcznie mówić? – odezwała się Aneta.

– Aneta... – zaczął Rafał.

– Nie – przerwała mu ciotka. – Mogę mówić przy tobie. To stare sprawy. – Spojrzała na swój talerz. – Już nie będę jadła. Muszę zebrać myśli. Zrobię herbatę, co? Pogadamy przy deserze.

Aneta i Rafał pomogli posprzątać ze stołu i wrócili do salonu, zostawiając ciotkę w kuchni.

– Naprawdę nie jestem pewna, czy powinnam tu być – szepnęła Aneta.

– Już uzgodniliśmy, że tkwimy w tym razem.

Potrząsnęła głową, nieprzekonana. Zaczęła stukać palcami w stół. Ujął jej rękę.

– Tkwimy w tym razem – powtórzył.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, sztywna. Potem nagle się rozluźniła, zwróciła twarz do niego i się uśmiechnęła.

– Masz rację. Też cię nie wygonię, kiedy będziemy rozmawiać z moim pradziadkiem.

– Właśnie do tego chciałem doprowadzić.

Wysunęła dłoń z jego uścisku i potargała mu lekko włosy.

– Więcej. Przywiążę cię do krzesła, żebyś nie mógł uciec.

– Zgoda. To będzie prawdziwa przyjemność być przywiązanym do krzesła przez kobietę o pięknym imieniu.

– Wszystkie kobiety o takim imieniu mogą cię wiązać?

– Hm... same też muszą być piękne.

– O! To już chyba brzmi seksistowsko!

– Tylko jedna piękna kobieta o imieniu Aneta. Lepiej?

Pokręciła głową.

– Uroda dla ciebie najważniejsza?

– Jaką herbatę chcecie?

Zgłosili zamówienia i poszli do kuchni pomóc ciotce.

Przez jakiś czas siedzieli przy deserze w milczeniu, przerywanym tylko pochwałami domowego ciasta, aż Elżbieta zaczęła mówić.

– Zanim zaczęłam etat w spółdzielni, mama zrobiła rodzinny obiad. To była moja pierwsza praca po studium i rodzina chciała to uczcić. Sama byłam strasznie dumna. Babcia oczywiście wiedziała wcześniej, że już mnie zatrudnili, ale nie miała pojęcia gdzie. I... kiedy powiedziałam, że tam, babcia zemdląca.

– Zemdląca? – powtórzył Rafał.

Ciocia nie spojrzała na bratanka.

– Tak. Nie wiązaliśmy tego z miejscem mojej pracy. Kiedy jednak odzyskała przytomność, powiedziała, że tam pracowała jej siostra. Ta, która zaginęła.

Rafał uderzył się w czoło. Rzeczywiście. Ojciec przytoczył kiedyś historię jej zaginięcia, chyba w kontekście opresyjnego aparatu państwowego. Ktoś z rodziny. Rafał nie przypominał sobie, żeby usłyszał, kim dokładnie była zaginiona. Opowieść wpadała jednym uchem, drugim wypadła. Polska Ludowa dawno się skończyła. Inne już były problemy, inny świat.

– Tata opowiadał. Ta, która zaginęła, miała na imię Zofia, prawda?

– Owszem.

– Nie pamiętam dokładnie, jak to było. Przypomnisz?

– Zosia dostała tam pracę od razu, kiedy spółdzielnia otworzyła się po wojnie. Dobrze zarabiała. Na tamte czasy oczywiście. Przynosiła do domu tyle pieniędzy, że mogła pomóc babci i jej dzieciom. Zasilek, który dostawała babcia, był głodowy.

– Zasilek?

– Jej mąż zginął w powstaniu – wyjaśniła ciotka. – Nawet ten zasilek był problematyczny, ale sąsiad załatwił. Ten sam sąsiad załatwił pracę Zosi. Był członkiem PPR, przedstawicielem nowej władzy. To babci słowa. One się tej nowej władzy bały. Bały się Sowietów. Bały się, że Polska stanie się kolejną republiką Związku Radzieckiego. Miały inne wartości, inaczej były wychowywane.

Rafał nie przerywał tego przydługiego wstępu, chociaż zżerała go niecierpliwość. Spojrzał na Anetę. Dziewczyna nie odrywała spojrzenia od ciotki.

– Sąsiadowi jednak ufały. Znały go od dziecka. Chociaż już przed wojną był komunistą, pozostał uczciwym człowiekiem i patriotą. Walczył w powstaniu i nigdy nie opuścił Warszawy. Ukrył się wśród gruzów i tak przeżył do wyzwolenia. Jego marzeniem było reaktywować spółdzielnię działającą przed wojną i dopiął swego. Dostał budynek i wsparcie od partii. Został pierwszym dyrektorem, a Zosię ustanowił sekretarką.

Elżbieta wzięła widelczyk i rozgrzebała na talerzu kawałek ciasta, nie podnosząc go jednak do ust.

– A więc pani Zofia Ronik pracowała tam od początku powojennej działalności? – upewniła się Aneta.

– Tak. Wydawało się, że przynajmniej to idzie jak z płatka. Babcia straciła męża i była załamana, mając dwie córki na utrzymaniu. Nikt nie wiedział, co z narzeczonym Zosi. Był akowcem, mógł się ukrywać, ale najprawdopodobniej zginął.

Umilkła nagle.

– I co się okazało?

Ciotka pokręciła smutno głową.

– Sprawa się nie wyjaśniła – odpowiedziała. – W każdym razie chodziła do pracy, przynosiła pieniądze, wszystko zaczynało się normalizować. I któregoś dnia... nocy...

– Nocy?

– Tak, wyszła z domu w nocy, mówiąc, że idzie do pracy.

– Dlaczego? Wtedy były nocne zmiany w spółdzielni?

– Nie. Właśnie to było dziwne. Chodziła w nocy do spółdzielni.

– Dlaczego? – Rafał zmarszczył brwi.

– Babcia twierdziła, że goniła pracę. Wypełniła dokumenty czy coś takiego.

– Dokumenty?

Ciotka wzruszyła ramionami.

– A kiedyś po prostu nie wróciła.

– Może wcale nie chodziła do spółdzielni? – zasugerowała Aneta.

– Może.

– Ale jeżeli poszła do spółdzielni, to ktoś jej tam coś zrobił, skoro nie wróciła.

Ciotka wbiła w Anetę wzrok.

– Mogło tak być.

– Najprawdopodobniej ktoś ze spółdzielni. To mógł być... – Aneta zamilkła, odchrząknęła i dokończyła wolno: – Ten... sąsiad... dyrektor.

– Właściwie dlaczego miałby to robić? – zaprotestował Rafał. – Jeśli był uczciwy, a na dodatek życzliwie nastawiony do sióstr, to chyba nie on.

Elżbieta pokiwała głową, a potem zaczęła nią kręcić.

– Babcia mówiła, że to nie on. Że jest tego pewna. Że to przyjaciel. Zresztą ja go znałam.

– Znałaś?

– Tak. Widywałam go jako dziecko, ale nie wiedziałam, że był dyrektorem w spółdzielni. Na pewno przez chwilę rozmawiałam z nim po pogrzebie babci. Wydawał się rozbity.

– Może jej narzeczony wrócił i razem uciekli? – zasugerował Rafał. – Jeśli się ukrywał przed władzami, nie mógł przecież z nią po prostu zamieszkać.

– Babcia mówiła, że to niemożliwe, że ona by tak nie zrobiła. Kochała dzieci babci jak własne. Nie zostawiłaby ich bez słowa, bez środków do życia.

– Ale... – Rafał chciał jeszcze protestować.

– Rafał – przerwała mu Aneta. – Tam w budynku coś jest. Ktoś. Jak sam stwierdziłeś, ma związek z twoją rodziną. Powinniśmy więc chyba przyjąć, że to właśnie w spółdzielni Zosi stało się coś złego.

Elżbieta uśmiechnęła się smutno.

– Może tak. Może coś się tam stało. Raczej. Na pewno.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Tobie przydarzało się to samo co nam? – zapytał w końcu Rafał.

Skinęła głową.

– Tak. Już kiedy pracowałam w dzień, czułam tam jakąś obecność. Szłam korytarzem i wydawało mi się, że ktoś idzie za mną. Skrada się raczej, bo nie słyszałam kroków. Tyle że to było, jakbym je słyszała. – Machnęła ręką, a później otarła nią czoło. – Nie umiem wytłumaczyć. Odwracałam się, ale nikogo nie było. Albo siedziałam przy maszynie do pisania, a ktoś otwierał drzwi i stawał w progu. Byłam pewna, że dyrektor, ale gdy podnosiłam wzrok, drzwi były zamknięte i nikogo oprócz mnie w pokoju. Zdawałam sobie sprawę, że nie słyszałam żadnego dźwięku, mój umysł coś błędnie interpretował i przestawałam o tym myśleć. Innym razem myślałam, że babcia opowiedziała mi mroczną historię i teraz podświadomość płata mi figle. Ale w nocy to było nie do wytrzymania. Ta winda, jęki, krzyki.

Zamilkła. Czas wziąć byka za rogi. Rafał spojrzał na Anetę i wypalił:

– A więc... jeśli to ona... Jeśli daje nam znaki, to chyba tam umarła. Jak to inaczej wytłumaczyć?

Dziewczyna chyba nawet nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Jak nazywał się ten sąsiad?

Elżbieta spojrzała na nią smutno.

– Roman Ołdakowski.

– To mój... to pradziadek.

– Naprawdę?

– Tak.

– Żyje jeszcze?

– Jest w domu opieki.

Rafał przenosił wzrok z ciotki na Anetę, zastanawiając się, która z nich powinna powiedzieć coś, co wyjaśni skłębioną tajemnicę.

– Powiedziałam już wszystko. Zmieńmy temat, dobrze? Co tam u dzieciaków, Rafałku?

Rafał miał ochotę zignorować pytanie i snuć teorie na temat przeszłości, ale Aneta zaczęła mówić, z humorem przedstawiając Tośkę i Pawła. Początkowo słuchał z niechęcią, ale po kilku minutach napięcie opadło i wszyscy się śmiali.

Dopiero w samochodzie zwrócił się do Anety:

– Co o tym myślisz?

Dziewczyna włożyła kluczyk do stacyjki i westchnęła.

– Może jest tak, że pradziadek jest mordercą – głos jej zadrżał – czego bym nie chciała, bo to moja rodzina i go kochałam i w jakiś sposób nadal go kocham. – Zacisnęła usta, po czym się rozluźniła i mówiła dalej. – Sięga to tyle wstecz, że prawie mogę to zaakceptować.

– Prababcia o tym dyrektorze mówiła same dobre rzeczy.

– Tak, ale może nie wiedziała wszystkiego. Morderca. – Wstrząsnęła się. W takim wypadku my dwoje, czyli rodzina ofiary i kata... – Roześmiała się. – Ależ to brzmi! Jak zwał, tak zwał, mamy do spełnienia zadanie, czyli wyjaśnić przeszłość i pomóc tamtej dziewczynie, być może zamordowanej.

– Hm... – mruknął Rafał.

Nie odwróciła głowy, skupiona na drodze.

– Myślisz, że to zbyt fantastyczne?

– Tak jakby – odpowiedział. – Z drugiej strony, to jest...

– Fantastyczne od samego początku – dokończyła.

LIPIEC 1945

Zosia

Dzisiaj moja kolej wydoić krowy. Podnoszę się z trudem. Przez chwilę stoję, przyglądając się Irenie i dziewczynkom. Wszystkie jesteście bezpieczne. Powtarzam to sobie co rano jak mantrę. Po cichu, żeby ich nie obudzić, wychodzę z izby. Mama Staszka krząta się, przygotowując poranny posiłek.

– Dzień dobry, mammo.

– Dzień dobry – odpowiada, posyłając mi uśmiech.

Mówię do niej „mamo” – poprosiła mnie o to w Wigilię – powiedziała, że to będzie dla niej prezent. Zgodziłam się. To taka zatruta słodycz. Nie mam ślubu z jej synem i czasem lękam się, że nigdy nie będę go miała. Może mój narzeczony nie żyje. Zawsze odganiam tę myśl. Nie poddaję się. Nie mam czasu na rozpacz i czarne myśli. Tyle zajęć. Dzieci, praca w gospodarstwie. Tylko w takich momentach jak ten, gdy nie zaczęłam jeszcze na dobre dnia, przemywam zimną wodą twarz i rozczesuję włosy, przychodzą wspomnienia i nadzieja miesza się ze strachem.

Przed wyjściem wiążę na głowie chustkę. Czerwonoarmiści, których nie tak dawno witaliśmy kwiatami, okazali się gorsi od Niemców. Gwałcą i rabują. Kiedyś weszli do domu mamy Staszka. My byłyśmy w polu. Zabrali jej obrączkę i kasetkę z naszyjnikiem od męża. Na szczęście nie znaleźli banknotów schowanych za obrazem. We wszystkich żołnierze sowieccy budzą trwogę, ale szczególnie boją się kobiety. Ja też. Moja chusta oznacza, że jestem mężatką. Czuję się mężatką. Mam nadzieję, że chustka powstrzyma Sowietów. Że żaden mnie nie dotknie. Że mają jeszcze jakiegokolwiek hamulce. Ludzie szepczą, że cały oddział zgwałcił dziedziczkę. Nie pokazuje się, od kiedy do niej weszli. Ktoś powiedział, że to zemsta klasowa. Justyna, narzeczona Jana, gospodarza z sąsiedniego

domu, nie miała chusty na głowie. Tak przynajmniej gadają. Że sama sobie winna. Jan zerwał zaręczyny, a ona następnego dnia się powiesiła. Nie chcę o tym myśleć.

Na drodze widzę samotnego żołnierza. Zatacza się, najwidoczniej wypił sporo bimbrow. Szybko skręcam do obory. Nachylam się przy pierwszej krowie i zaczynam ją doić. Kiedyś tego nie lubiłam, teraz to zajęcie mnie uspokaja. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, czuję łapy na pośladkach.

– Kakaja popa – syczy mi ktoś w szyję.

Czuję przesycony bimbrem oddech. Odwracam się i uderzam Ruska w twarz. Jego oczy są mętne.

– Krasawica. Ja ciebia chcuzu. Ja w porjadke. Tolko ja, drugich niet.

Odpina pas z pistoletem i odrzuca go od siebie. Nie mam dokąd uciec. Nie mam jak dostać się do broni. Zaczynam wrzeszczeć, ale zamknięte drzwi obory wygłuszają hałasy. Rozrywa mi górę sukienki, wielki i silny, śmierdzący i odrażający. Owłosione grube łapy miętoszą mi piersi. Nie bronię się, nawet przestałam krzyczeć. Ciało jest sztywne, sparaliżowane. W głowie kołacze się tylko jedno imię: Staszek. Dlaczego go tu nie ma? Dlaczego? Dlaczego?! Chustka spada mi z głowy, włosy rozsypują się po twarzy. Olbrzym oddycha coraz głośniejszym, coraz bardziej chrapliwym, śmierdzącym coraz mocniej. Popycha mnie i się przewracam. Zsuwa spodnie, zanosząc się rżeniem. Krowy ryczą, dźwięki się mieszają. Zaciskam powieki, ale i tak widzę obleśną sterczącą pałę. On też jest na ziemi, podwija moją sukienkę i rozrywa bieliznę. Wkłada mi łapę między nogi, jego palec wchodzi do mojego wnętrza. Boli, szczypie, parzy. Nadal nie mogę wydać dźwięku ani się poruszyć. Ciężkie ciało bestii jest na mnie, kolanem rozsuwa mi uda. Za chwilę wejdzie we mnie, zabije wszystko, co pozostało dobrego. Niczego nie robię, nie walczę. Staszek! Nie umiem nawet zawołać ukochanego. Ohydne przyrodzenie dotyka już mojego. Jest takie wielkie, takie grube. Rozerwie mnie na strzępy. Chcę umrzeć.

Inny dźwięk wkrada się nagle między ryk krów i sapanie. Ciężkie ciało opada na mnie, nieruchomieje. Zalega cisza, kompletna, martwa. Nawet krowy przestają wydawać jakiegokolwiek dźwięki. Niespodziewanie wraca

mi umiejętność poruszania się i wysuwam się spod bestii. Odgarniam włosy z mokrej twarzy (pot? łzy?) i wpatruję się w moją siostrę, która wciąż stoi z pistoletem w ręku. Przenoszę wzrok na żołnierza. Rusek leży nieruchomo na brzuchu, gruby mundur jest przesiąknięty krwią. Zabiła go. Uratowała mnie. Chcę coś powiedzieć, ale tylko poruszam ustami. Nie potrafię zapanować nad drgawkami. Trzęsę się jak niektórzy ranni w naszej piwnicy. Tamte czasy wydają mi się już prehistorią. Irena odrzuca broń, jakby to była lekka zabawka, siada obok i przyciąga mnie do siebie.

– Już dobrze. Już dobrze. Już dobrze.

Krowy znów zaczynają ryczeć. Nie zostały wydojone, cierpią. Nadal się trzęsę.

– Już go nie ma. Już dobrze.

– Krowy – udaje mi się powiedzieć.

– Co wyście zrobiły?!

Mama Staszka patrzy to na nas, to na zabitego Ruska. Irena puszcza mnie i podrywa się na nogi.

– Gdzie są dzieci? – krzyczy i nie czekając na odpowiedź, wybiega z obory.

Biegnę za nią, trzymając rozerwaną na piersiach sukienkę. Dziewczynki zanoszą się płaczem. Irena bierze na ręce Basię, ja Klarę. Przytulamy je, szepczemy uspokajające słowa.

– Nie możecie tu zostać. Nie damy rady ukryć jego śmierci.

Patrzę na mamę Staszka nierozumiejącym wzrokiem.

– Musicie iść. Nikt nie wie, kim jesteście ani jak się nazywacie. Ja też.

– Jak...

– Nie wiem – przerywa mi. – Nigdy nie podałyście nazwiska – mówi z naciskiem.

– Musimy iść – zgadza się Irena. – Daj mi ją i przebierz się.

Oddaję Klarę i idę przebrać się w drugą sukienkę, nieco wytartą, ale całą. Chyba rozumiem. Mama Staszka chroni nas przed karą. Więzieniem,

może nawet śmiercią. Powie, że przyszliśmy znikąd i ulitowała się nad nami. Nie ma pojęcia, kim jesteśmy ani jak się nazywamy. Milicjant ją zna i stanie po jej stronie. My będziemy same. Nie same. Z dziećmi. Dwie małe osoby, za które trzeba wziąć odpowiedzialność.

Mama Staszka wyciąga zza obrazu zwitek banknotów. To dolary.

– Weźcie to.

Wciska mi pieniądze do ręki. Rozluźniam palce, papierki lecą na podłogę.

– Nie.

Znów zaczynam się trząść jak w oborze. Mama Staszka pochyla się, zbiera papierki. Wyciąga rękę do Ireny.

– Błagam, weźcie to. Jesteście moimi córkami, a to – wskazuje na Klarę i Basię – moje wnuczki.

Za chwilę zacznę wrzeszczeć. Gdy Rusek powalił mnie na ziemię i ścisnął obleśnymi łapami, gdy dotykał wstrętnym przyrodzeniem tego, co miało być tylko dla Staszka, krzyk był sparaliżowany jak moje ciało. Teraz wypełnia mnie, chce wydostać się na zewnątrz.

– Nie weźmiemy wszystkiego. – Irena odlicza kilka banknotów i zwraca resztę gospodyni. – Dziękujemy. Po raz kolejny pani nas ratuje.

– Ty też jesteś moją córką. Powiedz...

– Dziękujemy... mamó. – Głos Ireny zaczyna drżeć.

Mama Staszka kreśli znak krzyża na czołach dziewczynek, później bierze je na ręce i przytula. Oddaje nam dziewczynki. Irena klęka, ja też. Krzyk się uspokoił.

– Błogosławię was – mówi gospodyni, kładąc ręce na naszych głowach. – Niech was Bóg prowadzi.

Nie odprowadza nas na podwórze. Raz jeszcze odwracam się i patrzę na dom, gdzie ostatnia osoba kochała mnie jak córkę. Wychodzimy na drogę. Jedzie Antoni Kuźniak, ten sam chłop, który zawiózł nas do mamy Staszka.

– Prrr – woła i staje. – A wy dokąd?

– Do Warszawy – mówi Irena. – Podwiezie pan nas do lasu?

– Wskakujta!

Nie pyta o nic, my się nie odzywamy. Jedziemy długo, za las, do samej Wisły. Ludzie bywają dobrzy.

– Z Bogiem! – woła, gdy wsiadamy.

Już niedaleko. Patrzę na Irenę, ale ona ma wzrok utkwiony gdzieś w przestrzeni. Basia zaczyna płakać. Klara natychmiast się włącza.

– Musimy usiąść i je nakarmić – mówi Irena, nie patrząc na mnie.

– Tak.

Nie wiem, co będzie. Czy naprawdę Bóg nas poprowadzi? Czy On w ogóle jest? Odganiem bluźnierczą myśl. Wolę już koncentrować się na tym, co ludzkie. Czy gdyby Rusek dokończył to, co zaczął, też bym się zabiła? Nie! Nawet gdyby Staszek nie chciał się ze mną ożenić. Co za bzdura. On nie jest taki jak Jan. On... To jest mój Staszek. Zawsze by mnie chciał. Powiem mu, kiedy go zobaczę. Wszystko. On zrozumie. Kiedy mu powiem? Kiedy go zobaczę? Wyrzucam z głowy pytania. Najpierw musimy dotrzeć do Warszawy.

Ludzie gadali, że nie ma po co tam wracać. Z drugiej strony, jest to Biuro Odbudowy Stolicy i ponoć entuzjazm wielki. Mimo to, jeśli nasza kamienica została zburzona, gdzie będziemy mieszkać? Same może dałybyśmy radę w ruinach, ale dzieci? Jak zapewnimy im warunki do życia? Boże miłosierny, jak? Dokąd mogłybyśmy pójść? Jezu, zmiłuj się nad nami. Modłę się, jakbym chciała przekreślić poprzednią chwilę zwątpienia. Nagle coś przychodzi mi do głowy. Strach ściska gardło.

– W kancelarii parafialnej są dane dziewczynek. Były chrzczone – odzywam się cicho.

– Nie będą szukać u księdza. To bolszewicy.

W jej głosie jest pewność. Siła. Uratowała mnie. Wierzę jej. Chciałabym jej podziękować, powiedzieć, że ją kocham, ale nie mogę teraz. Nie chcę wracać do stodoły, nawet w swojej głowie. Nie chcę przeżywać tego jeszcze raz. Jeszcze nie.

LIPIEC 2020

Miał znów nocny dyżur w spółdzielni, tym razem z Darkiem. Gdy wchodził do budynku, ssało go w żołądku. Nie był pewien, czy boi się nowych niewytłumaczalnych wydarzeń, czy też odwrotnie: obawia się, że żadne wydarzenia nie nastąpią.

Dochodziła jedenasta i nic się nie działo. Żadnego odczucia, że ktoś mu się przygląda czy idzie za nim. Jak to określiła ciotka? Ktoś szedł, ale nie słychać było kroków? Tak czy inaczej – nic. Oczywiście westchnień czy jęków też nie było, nie mówiąc już o zwariowanej jeździe windy. Rozluźniał się. Zaczął się zastanawiać, czy to Darek blokuje inną obecność. Obecność Zosi. Nie miał już wątpliwości, czyj duch grasuje w budynku. Gdy zginęła – a cóż innego mogłoby się przydarzyć? – była młodsza niż on teraz. Zosia. Dziewczyna z rodziny. Prawie jak siostra. Żałował, że nie zapytał ciotki, czy nie ma jakiejś fotografii. Na razie, gdy próbował sobie wyobrazić Zofię Ronik, widział Toškę. Tylko trochę wyższą i z dłuższymi włosami. Z warkoczami może?

Poczuł delikatny ruch powietrza, jakby ktoś dmuchnął mu w czoło. Podniósł wzrok i dostrzegł postać czy też zarys postaci, chmurę w kształcie człowieka. Kobiety z warkoczami. Postać rozviała się, zanim Rafał zdążył cokolwiek pomyśleć, czy choćby się przestraszyć. Zerknął na Darka. Drugi ochroniarz nie odrywał wzroku od smartfona. Na stole stały dwie gorące herbaty. Czy para mogła uformować obłok? Rafał od początku dyżuru czekał na znak, ale teraz nie miał pojęcia, co o tym myśleć. Jeśli to naprawdę była Zosia, a nie wybryk natury czy też jego wyobraźnia, to co niby chciała mu przekazać? Nadal tu jestem i tak, miałam warkocze? Choooodź. Znów ten ruch powietrza, jakby ktoś szeptał mu wprost w ucho. Dobra, dokąd niby mam iść? Na schodach rozległy się lekkie kroki. Ktoś schodził do piwnicy.

– Co to było? – Darek podniósł głowę znad telefonu.

– Słyszałeś?

– E, nie wiem. Ten budynek jest stary i trzeszczy.

Choooodź. Tym razem to nie był szept. Na pewno nie trzask. Wyraźne wołanie z piwnicy.

– Ktoś tam jest. – Darek wstał. – Chodźmy.

Pobiegł w stronę schodów. Rafał sięgnął po klucz do pomieszczenia, w którym znajdowały się archiwalne listy płac i ruszył za nim. Obeszli piwnicę, ale nie było nikogo. Nic nie słyszeli. Wszystkie drzwi zamknięte na klucz.

– Mówiłem, że ten budynek trzeszczy. Wracamy.

– Ja się jeszcze rozejrzę.

Darek wzruszył ramionami.

– Jak chcesz.

Rafał poczekał, aż kroki kolegi ucichną, i wsunął klucz. Przez chwilę mocował się z zamkiem – nie był pewien, czy to z powodu sztywności palców, czy też dlatego, że zamek był stary i zardzewiały – ale w końcu drzwi się otworzyły. Nabrał powietrza w płuca i wszedł. Zapalił światło. Wszystko wyglądało jak ostatnim razem. Dużo kurzu i równo poustawiane segregatory. Wyciągnął ten, który przeglądali i odszukał nazwisko. Zofia Ronik. Przejechał palcem po literach.

– Jesteś tu, Zosiu?

W napięciu czekał na odpowiedź czy inny znak. Cisza. Przyłożył ucho do ściany, zza której poprzednim razem słyhać było krzyki. Nic. Może to wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Tylko kto kłamał? Zmysły? I dlaczego właśnie jego rodzina padła ofiarą oszustwa? Może ten duch drwił sobie z nich. Może za coś się mścił.

– Zosiu – powtórzył.

Zdażył polubić tę dziewczynę i nie chciał, żeby okazała się manipulantką. Postukał w ścianę i ponownie przystawił do niej ucho. Nic. Już się odsuwał, gdy z drugiej strony ktoś odstukał. Nie. Ktoś uderzył pięścią. Tak mocno, jakby chciał dać upust nagromadzonej przez lata

wściekłości. Drugie uderzenie. Trzecie. Czwarte. Ten ktoś walił już bez żadnych przerw. Pomieszczenie się trzęsło, segregatory chwiały się na półkach. Rafał cofnął się pod drugą ścianę. Już nie chciał żadnych znaków. Zamknął oczy i zatkał uszy. Nadal jednak słyszał, a jego ciało wibrowało od wstrząsów. Pomyślał o ucieczce, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Osunął się na podłogę, osłaniając głowę. Rozległ się huk, potężniejszy niż do tej pory, a zaraz po nim dźwięki, inne niż poprzednio, lecz równie przytłaczające. Później cisza. Chłopak powoli podniósł głowę. Zrozumiał, że ostatnie hałasy to łoskot spadających na ziemię dokumentów. Pokój wyglądał jak pobojuwisko. Pootwierane foldery, porozsypywane luźno papiery. I znów dźwięki. Tym razem kroki w korytarzu. Zbliżała się. Rafał nie chciał jej widzieć. Nie chciał tu być. Chciał cofnąć się do momentu, gdy szukał pracy. Teraz poszedłby za darmo do jakiejś kancelarii. Forsa do niczego mu niepotrzebna. Drzwi otwierały się ze skrzypnięciem. Schował głowę między kolanami, zacisnął powieki jak dziecko, które uważa, że jeśli zamknie oczy, nie będzie go widać.

– Rafał, coś ty narobił?

To nie był głos kobiety. To w ogóle nie był głos ducha. Rafał z trudem podniósł głowę i spojrzał na Darka. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że się trzęsie.

– To pomieszczenie wygląda jak pobojuwisko. – Kolega powtórzył to, co Rafał wcześniej pomyślał. – A ty jak pobita armia – dodał.

Rafał chciał odpowiedzieć, ale z ust wydobył się nieartykułowany dźwięk. To było nawet śmieszne. Dźwięk przerodził się w chichot, najpierw cichy, z każdą sekundą przybierając na sile. Po chwili chłopak śmiał się nie tylko ustami, śmiech ogarnął całe ciało.

– To... to... – Darek patrzył na niego jak na przybysza z innej planety, co wywołało jeszcze potężniejszą salwę śmiechu – To... – Rafał spróbował jeszcze raz, trzymając się za brzuch – to... duchy.

Darek jeszcze przez chwilę wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma, po czym też zaczął chichotać. Tym razem małe pomieszczenie piwniczne rozsadzane było śmiechem. Żadne stukające czy też walące

w ścianę duchy nie przebiłyby się przez ten dźwięk. Chyba. W każdym razie nie próbowały.

– Chłopie, musimy to posprzątać – powiedział Darek, gdy trochę się uspokoili.

Rafał tylko skinął głową. Uporali się szybko, bo nie dbali o kolejność wkładania dokumentów. Do końca dyżuru nie zamienili słowa na temat przygody w piwnicy.

A więc dzisiaj spotkanie z pradziadkiem. Mordercą? Tak pomyślała, nawet powiedziała to na głos, dodając, że po tylu latach ona, prawnuczka kata, jest gotowa stawić czoła jego przeszłości. Roześmiała się przy tym, żeby odjąć słowom realizmu. Nie była gotowa. Z drugiej strony, zawsze brała byka za rogi. Uchylenie się nie było w jej stylu.

Dlatego poszła wczoraj do babci. Dziadka – mama miała rację, to jej dziadek – nie było. Pojechał na kilka dni do siostry.

– A ty nie miałaś ochoty z nim jechać? – spytała Aneta.

– Czasami dobrze jest się za sobą stęsknić – odparła ze śmiechem babcia.

– Stale jesteśmy razem.

Aneta spojrzała na starszą kobietę nieprzekonana, ale postanowiła nie drażnić tematu. Nie o tym chciała rozmawiać.

– Świetnie wyglądasz, babciu – powiedziała, sącząc herbatę.

– Dziękuję, kochanie. Na twoje przyjście zrobiłam sobie makijaż.

Znów się roześmiała. Aneta poczuła niepokój. Miała wrażenie, że babcia tylko udaje wesołą. Czy ten śmiech, zbyt częsty, żeby wydawał się naturalny, miał związek z nieobecnością dziadka?

– No, ale chcesz mnie o coś zapytać, prawda?

Aneta się wyprostowała. Wesoła czy nie, babcia ją rozszyfrowała.

– Tak. Zastanawiałam się ostatnio nad pradziadkiem.

– Nad moim tatą?

– Tak. Dawno u niego nie byłam. A ty? Odwiedzasz go regularnie?

– Jestem tam co najmniej raz w tygodniu. To mało, prawda?

Babcia Amelia sięgnęła po herbatnika, lecz zamiast wsunąć ciastko do ust, położyła je na talerzyku i zaczęła kruszyć.

– Nie. Ja nie byłam już chyba rok.

– To co innego. Ja jestem jego córką.

– Babciu, masz własne życie.

– Zawsze był dobrym ojcem – ciągnęła Amelia, jakby nie słyszała wnuczki.

– Ale zrobił się agresywny, prawda?

Amelia spojrzała na wnuczkę.

– Słucham?

– No, przecież dlatego zdecydowaliście się go oddać do domu opieki.

– Tak. Zrobił się agresywny – potwierdziła.

– A w jaki sposób?

– Krzyczał, rzucał się.

– Na was?

– No, na mnie nigdy. Na Piotra. Próbowalam rozmawiać, ale jakby mnie nie słyszał.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie można powiedzieć, co dzieje się w mózgu człowieka. A on miał chory mózg.

– Stosował przemoc?

– Nie był na tyle silny, żeby stosować przemoc. Piotr był silniejszy.

– No, ale wcześniej?

– Nie – odpowiedziała zdecydowanie. – Nigdy nie zauważyłam. Mameę traktował jak księżniczkę, mnie zresztą też. Ludzie go lubili. Sąsiedzi, w pracy.

– Był w partii.

– No i? Wiele osób było w partii, a on nie robił tego dla korzyści. Był komunistą, również przed wojną. Był za to prześladowany.

– Naprawdę?

– Nie znam szczegółów, ale chyba raz siedział.

Aneta zastanowiła się chwilę.

– Tylko że po wojnie było inaczej. To komuniści dręczyli i prześladowali.

Amelia westchnęła.

– Tata nie był w żadnych tajnych służbach czy w milicji. Nie prześladował i nie dręczył.

Aneta nie miała zamiaru kłócić się o historię czy politykę. Interesował ją jeden człowiek.

– A... kiedy jego mózg się zmienił... rzucił się na kogoś innego? Oprócz dziadka?

Starsza kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie.

– To dziadek chciał, żebyście go oddali, prawda?

Babcia spojrzała twardo.

– Nie. To wyszło ode mnie.

– Jak to?

– To było piekło. Bezustanne krzyki, przekleństwa. Mamy za małe mieszkanie, żeby można było zablokować ich kontakt. Nie dałam rady. – Amelia spuściła głowę, ale natychmiast ją podniosła. – Oczywiście miałam poczucie winy, ale nadal uważam, że to była najlepsza decyzja.

– Oczywiście – przytaknęła Aneta. – Sama bym tak zrobiła.

Wsiadając do samochodu, Aneta jeszcze raz rozbierała rozmowę z babcią na czynniki pierwsze, ale nie potrafiła wysnuć wniosków. Może wizyta w domu opieki w tym pomoże.

W domu przespał się ze dwie godziny ciężkim od koszmarów, urywanym snem. Około dziesiątej siedział na łóżku, trzęsąc się jak w piwnicy, usiłując przypomnieć sobie, co wprawilo go w taki stan. Powoli uświadamiał sobie, że jest w domu, bezpieczny, nienarażony na gniew ducha.

– Dosyć tego – mruknął i poszedł wziąć prysznic.

Po południu Aneta zabierała go na wizytę w domu opieki. Usiłował się skoncentrować, ułożyć pytania do starszego pana, ale głowę miał przepełnioną wydarzeniami ostatniej nocy. Zosia. Dziewczyna, którą zdążył polubić. Delikatna. Nieszczęśliwa. Skrzywdzona, zapewne zamordowana. Czuł się rycerzem, który przywróci pamięć o niej i rozwikła zagadkę. A ona okazała się kimś zupełnie innym. Zwabiła go do piwnicy i przytłoczyła wybuchem wściekłości. Wybuchem, kompletnie niepasującym do subtelnej dziewczyny, którą Rafał sobie wymyślił. Z drugiej strony, bywało, że on sam dawał się ponieść złości. Jeśli Zosia naprawdę została zabita, może nawet zamurowana za ścianą, miała prawo się wściec. Subtelne domaganie się sprawiedliwości dotąd nie zadziało.

Wytarł włosy i przeszedł do kuchni. Po dobrym śniadaniu nabierze energii. W lodówce niewiele się uchoowało, ale znalazł jajka i chleb, więc uraczył się jajecnicą z grzankami. Aneta zadzwoniła, gdy był w trakcie uczyty.

– I jak minęła nocka?

Opowiedział wszystko, pomijając fakt, że siedział w kącie i trząsł się jak galareta.

– Ona nas ponagla – oceniła.

– Ponagla?! – wybuchnął. – Czy nie robimy już wystarczająco dużo?! Sama mówiłaś, że pomaganie nie oznacza, że nie wolno żyć i się cieszyć.

Aneta westchnęła.

– No tak... myślę jednak, że duchy... no, nie do końca rozumują racjonalnie. Pewnie tak jak i żyjący.

– Nawet ty? – wypalił.

– Co ja?

– Ty też nie rozumujesz racjonalnie?

Roześmiała się.

– Nie zawsze. Ale się staram. Przyjeżdżam po ciebie o piętnastej i jedziemy do domu opieki.

– Będę gotowy.

Dom opieki wyglądał, przynajmniej na pierwszy rzut oka, jak w hollywoodzkich filmach. Czyste korytarze, porozstawiane fotele, sala dzienna, gdzie kilka osób oglądało telewizję, a dwóch panów grało w szachy. Dziadkowie Anety nie skąpili środków. Inna sprawa, że emerytura byłego dyrektora i partyjniaka mogła pokrywać koszty. Uśmiechnięta pielęgniarka zaprowadziła Anetę i Rafała do pojedynczego pokoju.

– Jest dziś w dobrym stanie – powiedziała i wyszła.

Pokój lśnił czystością. Beżowe, niedawno odmalowane ściany, starannie przykryte rudozłotą narzutą łóżko, niewielki stolik, wygodne krzesło, drewniany taboret, kilka sosnowych szafek i ogromne okno. Pod nim, na wózku inwalidzkim, siedział mężczyzna w białej, świeżo wyprasowanej koszuli. Aneta zamknęła drzwi.

– Dzień dobry, dziadku! – powiedziała wesoło.

Mężczyzna się odwrócił. Miał pooraną zmarszczkami twarz i zadziwiająco jasne niebieskie oczy. Aneta też czasami takie miewała. Wargi starego człowieka rozchyliły się w uśmiechu.

– Dzień dobry, Anetko! – odezwał się dźwięcznym głosem. – Chodź, niech cię uściskam!

I to ten sam człowiek, o którym Rafał słyszał, że chwilami nie zdaje sobie sprawy z otaczającego świata? Nie widział prawnuczki od lat i rozpoznał ją bez problemu. Pielęgniarka twierdziła, że jest dziś w dobrym stanie, ale aż w tak dobrym?

– Wiesz, dziadku, że jest epidemia? Musimy przestrzegać reżimu sanitarnego.

Roman Ołdakowski machnął ręką.

– Epidemia? Tak, mówili o zarazie. My to mieliśmy prawdziwe zarazy. W powstaniu, po wojnie. Nie bałem się ich wtedy, tym bardziej nie boję się teraz. Uważasz, że nie żyłem już wystarczająco długo? I nie mam prawa ucałować prawnuczki, kiedy wreszcie do mnie przyszła?

Aneta zsunęła z ramienia torbę, ukucnęła przy wózku i objęła pradziadka.

– Zdejmij tę maseczkę, skarbie – powiedział, ściskając ją. Dziewczyna się zawahała, więc dodał: – Proszę. Nie chcę całować kawałka materiału.

Aneta zerknęła na Rafała i zdjęła maskę. Pradziadek wycisnął na jej policzkach dwa duże całusy.

– A to – powiedział, nie wypuszczając Anety z objęć i wskazując brodą na Rafała – to twój narzeczonny? Ty też zdejmij maskę, chłopcze.

Aneta wyswobodziła się i przyprowadziła do starszego pana Rafała, który posłusznie zsunął maseczkę.

– Jeszcze nie – powiedziała poważnie. – Na razie to mój dobry znajomy.

Czerwony jak burak Rafał ujął wyciągniętą rękę i się przedstawił.

– Rafał Stróżewski.

Uścisk dłoni byłego dyrektora spółdzielni był zdecydowany i silny.

– Siadajcie, siadajcie. Zrób dla nas wszystkich herbaty, dziecko.

– Jak się czujesz? – spytała dziewczyna, wstawiając wodę. – Wyglądasz kwitnąco.

Roman Ołdakowski odchrząknął.

– Tak się mówi raczej pannom na wydaniu. Takim jak ty, kruszynko.

Roześmiała się.

– Jako szanująca się panna na wydaniu ćwiczę umiejętności kulinarne. – Podniosła z podłogi torbę. – Zrobiłam szarlotkę.

– Moja ulubiona!

– Pamiętam. – Jej twarz spoważniała. – Przykro mi, że tyle czasu mnie nie było.

Stary człowiek pokręcił głową.

– Kochanie, wiem, że młodzi mają inne sprawy niż odwiedzanie staruchów. Cieszę się, że przyszedłeś. – Spojrzał na wciąż stojącego Rafała. – Usiądź, chłopcze.

Rafał posłusznie zajął miejsce na drewnianym zydelku. Kim, do jasnej cholery, był człowiek naprzeciwno?! Piętnaście lat temu oddano go domu opieki. Aneta mówiła, że pradziadek nie zawsze ją rozpoznawał. To chyba oznaka demencji. Można by przypuszczać, że przez piętnaście lat demencja się posunęła. Tymczasem umysł staruszka wydawał się ostry jak brzytwa. Lepszy dzień? Może, może. Rafał nie znał się na chorobach wieku podeszłego. Czy ten mężczyzna zabił? Jego oczy patrzyły tak łagodnie. Jedno, zdaje się, nie wyklucza drugiego. Morderca o łagodnym wzroku. Nie zawsze był dobroduszny. Z zięciem się nie cackał. Tak czy inaczej, musiał pamiętać coś z tamtego okresu. Z roku czterdziestego szóstego. Już zresztą wspominał wojenne i powojenne zarazy.

– Rafał, pomóż mi roznieść herbaty i szarlotkę.

Rafał podniósł się i spojrzał na dziewczynę. Jej włosy lśniły złocistymi refleksami we wpadającym przez okno słońcu. Przechodząc obok, kierowany impulsem, musnął je wargami i poczuł zapach szamponu rumiankowego. Aneta podniosła wzrok i się uśmiechnęła. Jej tęczówki były tak jasne jak nigdy przedtem.

– Możesz zabrać już herbatę – powiedziała, wracając do krojenia ciasta.

Postawił szklanę przed starszym panem, który wbił w niego oczy. Jego tęczówki również wydawały się jaśniejsze niż wcześniej. Rafał wrócił po resztę.

– Jak się czujesz, dziadku? – spytała Aneta, rozstawiając talerzyki. – Nie odpowiedziałeś.

– Jak na swój wiek, nieźle – mruknął. – Co tu jednak gadać o takim pryku. Opowiedz mi o sobie.

Aneta powiedziała kilka zdań o skończonych studiach i podróżach,

– Oczywiście potrzebuję na to wszystko pieniędzy. W ciągu roku szkolnego głównie daję korepetycje, a latem dużo pracuję w agencji ochroniarskiej.

– Dzielna dziewczyna! – pochwalił starszy pan. – Kiedyś przyniesiesz mi zdjęcia z tych wojaży, dobrze?

– Pewnie.

– To będzie prawie tak, jakbym sam gdzieś się wybrał – ciągnął marząco.
– Ale – zmienił ton – dajesz radę w ochronie? Twój znajomy wygląda na silnego, jednak ty...

– Jak słaba dziewczuszka? – przerwała ze śmiechem. – Znam judo i karate, dziadku. Nie życz nikomu, żeby wszedł mi w paradę.

– Imponujesz mi coraz bardziej. Moja krew!

– A wiesz, że przez agencję mam dyżury w spółdzielni, w której byłeś dyrektorem?

Ręka, w której Roman Ołdakowski trzymał widelczyk z szarlotką, zadrżała, a potem opadła. Ciasto wylądowało na podłodze. Rafał przykucnął i zbierał okruszki.

– Na – w głos pradziadka Anety wkradło się starcze trzęsienie – Trzeciego Maja?

– Tak – odpowiedziała lekko. – Na Trzeciego Maja. – Rafał odnalazł koszyk na śmieci. – Ciekawe miejsce.

Wrócił na krzesło. Czy staruszka nie były już jasne, straciły też poprzedni blask, rozmyły się, zapadły.

– Dziadku – zaczęła Aneta miękko – możesz mi opowiedzieć o czasach, kiedy byłeś tam dyrektorem? Wydaje mi się to strasznie ciekawe. Warszawa się wtedy odbudowywała, na pewno było mnóstwo problemów z mieszkaniami, no i ten kwaterunek... Jak sobie dawałeś radę?

Roman Ołdakowski nie odpowiadał. Nie patrzył na Anetę, wzrok miał wbity gdzieś w przestrzeń. Rafał mógłby przysiąc, że ten człowiek nic nie

widzi. Przynajmniej nic w tym pokoju. Cofnął się do tamtego okresu? Tak łatwo poszło? To była szansa i należało ją wykorzystać.

– Pracował pan z Zofią Ronik, prawda? – Rafał starał się nadać głosowi twarde brzmienie.

Były dyrektor spółdzielni drgnął jak dźgnięty widelcem. Próbował skoncentrować wzrok na Rafale.

– Kim ty jesteś? Co tu robisz?

– To mój kolega, dziadku – przypomniała Aneta. – Razem przyszliśmy.

Pradziadek jakby jej nie słyszał.

– Kim jesteś? – powtórzył. – Dlaczego tu przyszedłeś?

– Interesuje mnie historia rodziny. Zofia Ronik to siostra mojej prababci. Zaginęła w tamtym okresie.

Stary człowiek uniósł obie ręce.

– Ja nic nie wiem. Zosia mi nie powiedziała.

– Dziadku...

– Nie powiedziała. Mogła robić, co chciała. Nic wam do tego. Nic! Nic!

– Ale... – Aneta próbowała znowu.

Rafał Ołdakowski wreszcie na nią spojrział.

– Kim ty jesteś? Nie znam cię.

– To ja, Aneta. Jestem twoją prawnuczką.

– Nie znam cię! Wyjdź stąd!

– Ale... – Aneta podniosła rękę, chcąc położyć ją na ramieniu starszego pana.

Roman Ołdakowski odepchnął ją.

– Nie dotykaj mnie! Gadajcie szybko, po co tu przyszliście. Czego ode mnie chcecie?

Jego głos stracił starcze brzmienie, stał się ostry i nieprzyjemny. Agresywny. Rafał rozumiał już zięcia starszego pana, który nie mógł z nim wytrzymać. Siła, z którą pchnął prawnuczkę, nie pasowała do wątłego, schorowanego mężczyzny u schyłku życia. Jeśli teraz miał jej tyle, co działo

się piętnaście lat temu? A w czterdziestym szóstym, gdy był młodym człowiekiem? Pielęgniarka powiedziała, że dziś jest w dobrym stanie. Był w tak dobrym, że Rafał wątpił w demencję. Tymczasem wystarczyła jedna wzmianka, żeby obrócić psychikę tego człowieka o sto osiemdziesiąt stopni. Łagodnego zamienić w brutalnego, przytomnego na nieogarniającego rzeczywistości, Romana Ołdakowskiego z domu opieki społecznej na dyrektora Romana Ołdakowskiego ze spółdzielni mieszkaniowej na Trzeciego Maja. Chyba o to chodziło najbardziej. Nie wolno popuszczać. Nie bać się ani nie dać się zwieść współczuciu. Nie współczucie było teraz najważniejsze, ale sprawiedliwość. Żaden sąd po siedemdziesięciu czterech latach nie wymierzy sprawiedliwości mordercy. To ich zadanie. Jego i Anety.

– Co pan zrobił z Zofią Ronik?

– Rafał! – rzuciła Aneta ostrzegawczo.

Rafał, skoncentrowany na starym człowieku, nie zwrócił na nią uwagi.

– Nie wiem o czym, towarzyszu, mówicie.

I partyjniak. Teraz uznał, że jest przesłuchiwany. Może kiedyś był. Może ktoś zgłosił zaginięcie i odbyło się śledztwo. Czy też pseudośledztwo. Koniec atrapy. Czas na autentyk. Na prawdę.

– Zofia Ronik wyszła do pracy w godzinach wieczornych i już nie pojawiła się w domu.

– Rafał!

– To nieprawda – odpowiedział spokojnie Ołdakowski. – Dokończyła pracę.

– Jaką pracę?

– To było coś ważnego. Chyba... wpisywanie danych pracowników... przyjmowanie członków... nie pamiętam, ale...

– Tam jest pokój piwniczny z katalogami. Za nim był drugi. Zamurował ją tam pan.

– Nie! Tam nic nie ma! Nie było! Żadnego pokoju! Nieprawda!

– Rafał!

– Rozkujemy ściany i znajdziemy ją. Radzę się przyznać teraz!

– Rafał, co ty myślisz, że robi...

– Nie ma jej tam! Nic tam nie ma! Nie ma! Nie ma!

– Rozkuje...

– Przestań! – Aneta położyła mu dłoń na ustach.

Rafał się otrząsnął. Co on wyprawia?

– Nie ma! – krzyczał dalej stary człowiek. – Nie ma!

Za chwilę nie można było rozróżnić słów. Krzyk przeszedł w nieartykułowany warkot.

– Ani mi się waż powiedzieć jeszcze cokolwiek – powiedziała Aneta i zdjęła rękę z twarzy Rafała.

– Przepraszam – szepnął chłopak.

Ołdakowski trzął się jak w febrze. Z ust ciekła ślina i nadal wydawał nieartykułowane dźwięki. Jęki czy krzyki. Aneta ukucnęła obok.

– Dziadku, już wszystko dobrze.

Gładziła Ołdakowskiego po rękę, ale nie przynosiło to żadnych rezultatów.

– Idź po pielęgniarkę – zwróciła się do Rafała.

Chłopak zbiegł do recepcji.

– Chyba – wykrztusił – pan Ołdakowski źle się poczuł.

Recepcjonistka spojrzała na niego ostro i podniosła telefon.

– Coś się stało w siedemnastce. – Chwila przerwy, po czym krótkie: – Tak.

Rafał chwilę stał jak skamieniały, ale kobieta już na niego nie patrzyła. Ignorując go zupełnie, otworzyła jakąś książkę.

– Przepraszam – szepnął, ale nie doczekał się reakcji.

Wrócił na górę, czując gulę w gardle. Aneta nadal powtarzała łagodnie „już dobrze, już dobrze”, nadal gładziła Ołdakowskiego po rękę, a on nadal wydawał niezrozumiałe dźwięki, nadal ślina ciekła mu po brodzie, a oczy były nieprzytomne. Rafał stanął w kącie, przyglądając się tej scenie.

– Przepraszam – powtórzył.

Aneta nie zwróciła na niego uwagi. Gula w gardle pęczniała. Nie wiedział, po jakim czasie przyszła pielęgniarka. Minęła go bez słowa i stanęła przy Ołdakowskim, odsuwając Anetę.

– Muszę zrobić mu zastrzyk. – Podwinęła rękaw koszuli, która już nie wydawała się świeżo wyprasowana. – Zaraz będzie dobrze, panie Romanie.

Mężczyzna nie protestował, gdy wbijała igłę. Może nawet nie zauważył. Cały czas wydawał takie same dźwięki. Pielęgniarka się podniosła.

– Nie wiem, co mu zrobiliście, ale proszę o opuszczenie domu opieki.

Aneta pokręciła głową.

– Zadzwoń – szepnęła, po czym zwróciła się do Rafała: – Chodźmy.

– Przepraszam – powiedział Rafał po raz kolejny i ruszył za dziewczyną.

Zbiegła po schodach, nie patrząc na niego.

– Do widzenia – rzuciła recepcjonistce.

Rafał powtórzył za nią słowa pożegnania, ale kobieta tylko coś odburknęła. Do samochodu szli w milczeniu. Bez słowa też minęła droga do domu Rafała. Dopiero pod blokiem Aneta przemówiła.

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego? Jak mogłeś?

Gula w gardle nie odpuszczała.

– Przepraszam.

– Cholera, przestań to powtarzać! Powiedz dlaczego.

– Wydawało mi się... wydawało mi się, że on może coś powiedzieć... przyznać się... widziałem w tym szansę...

– Jaką szansę? Na co? To chory, stary człowiek. Widziałeś, co z nim zrobiłeś?! Jeśli teraz umrze, będziemy mieli go na sumieniu. Tak, ja też. To ja cię tam zabrałam. Jak mogłam... jak mogłam...

Ukryła twarz w dłoniach. Powoli, ostrożnie Rafał dotknął jej włosów. Poderwała głowę jak oparzona.

– Nie dotykaj mnie! Nigdy mnie nie dotykaj! Moja wina, że dałam się w to wciągnąć! Nie chcę mieć z tobą już nic wspólnego! Rozumiesz?! Nic!

– Aneta...

– Wsiadaj! Teraz, już! – Rafał się nie poruszył. – Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi?! – wrzasnęła. – Wypierdalaj!

Wysiadł, nie zamykając za sobą drzwi. Usłyszał trzask i warkot silnika, a po chwili pisk opon. Nigdy wcześniej nie ruszała w ten sposób. Skołowany, pusty w środku, stanął w oknie, spoglądając na ulicę, gdzie jeszcze niedawno stał samochód dziewczyny, w której się zakochał. Teraz nie pozostał po nim ślad. A dziewczyna? Wyjął z kieszeni komórkę, spojrział na nią i odłożył na stół. Da Anecie trochę czasu. Niech emocje opadną. Wtedy zadzwoni i wyjaśni. Nie miał pojęcia, jak z nią rozmawiać, ale musi spróbować. Po kilku minutach wybrał jej numer. Odrzuciła połączenie. Spróbował po kilkunastu. To samo. I znowu. Tym razem przyszedł esemes. Rafał otwierał wiadomość drżącymi palcami.

„Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie dzwoń więcej”.

LIPIEC 1945

Dzieci popłakiwały.

– Cicho, cicho, maleńka – szepnęła Irena do Basi, która wierciła się w chuście coraz bardziej.

Popatrzyła w bok. Klara zachowywała się podobnie. Zosia gładziła dziewczynkę po głowie, również powtarzała uspokajające słowa, ale jej oczy były puste. Czy znowu znajdowała się w stodole, po raz kolejny przeżywała próbę gwałtu? I to, co nastąpiło później? Irenie zabrakło tchu. Przypomniła sobie, jak obudziła ją pewność, że Zosia jest w niebezpieczeństwie. Zostawiła płaczące dziewczynki i pobiegła do obory. Zabicie oprawcy siostry było łatwe. Spojrzenie w jego twarz trudniejsze, ale jeszcze udawało jej się nie dostrzegać w nim człowieka. Obecnie, po raz kolejny przechodząc przez tę scenę, zastanawiała się, czy tam, w Związku Sowieckim, ktoś na niego czekał. Matka? Siostra? Może żona? Dzieci? Może nie był utkany z samego zła? Może wiadomość o jego śmierci kogoś załamała? Mimo to... Nie miała wyjścia. Czy jednak będzie potrafiła się z tego otrząsnąć? Oczywiście. Są dziewczynki. Jest Zosia. Władek. Przeszył ją gwałtowny ostry ból w okolicach klatki piersiowej. Władek. Zniosłaby wszystko, gdyby tylko otoczył ją ramionami. Gdzie był teraz jej mąż? Codziennie modliła się o spotkanie. Nigdy nie pozwoliła sobie na sformułowanie myśli, że on nie żyje. Jednak lęk tkwił w niej bezustannie. Niekiedy się uciszał, niekiedy wybuchał jak płomień. Musiała go gasić, żeby nie spalił jej wnętrza.

Dopiero teraz zaczęła przyglądać się okolicy. To Warszawa. Jej miasto. Pogorzelnisko i praca. Ruiny i zgiełk. Ogarniała ją rozpacz, gdy patrzyła na ulice, na których dawniej stały budynki, a teraz leżał gruz. Czuła nadzieję, kiedy obserwowała ludzi z zakasnymi rękawami, tworzących coś nowego.

– Idźmy wolniej – powiedziała do siostry. – Jesteś zmęczona.

Zosia na moment odwróciła twarz w jej stronę. Pokręciła przecząco głową, ale posłusznie zwolniła. Irena zdała sobie sprawę, że po prostu opóźniają czas dotarcia na miejsce. W głowie dudniło. Wiedziała, że władze chcą odbudować miasto. Słyszała o Biurze Odbudowy Stolicy. Co jednak, jeśli ich kamienica to popielisko? To przecież najbardziej prawdopodobne. Gdzie będą spać? Ona i Zosia dałyby sobie radę nawet w ruinach. Zakasałyby rękawy i budowały nowy dom. Co jednak z dziećmi? Władek wiedziałby, co robić. Tęsknota za mężem niemal zwała ją z nóg. Zacisnęła wargi, a potem się rozluźniła. Uda się. Nawet jeśli będą musiały urządzić sobie mieszkanie na zgłiszczach. Jest ciepło. Odwróciła się w stronę siostry. Zosia patrzyła na nią. W jej oczach nie było już pustki.

– Nie podziękowałam ci jeszcze – szepnęła. – Gdyby nie ty...

– Nie musisz. Posłuchaj...

Zosia uniosła rękę.

– Chcę, żebyś wiedziała. Dziękuję. Bez ciebie...

Irena się uśmiechnęła.

– Jesteś moją siostrą. Ja dla ciebie, ty dla mnie.

– Tak – zgodziła się Zosia. – I dla dzieci. – Po raz pierwszy od wydarzeń w stodole rozchyliła wargi w uśmiechu, chociaż jej oczy pozostały poważne. – Damy radę.

To jak odpowiedź na myśli Ireny. Nie pierwszy raz porozumiewały się prawie bez słów.

Stały przed kamienicą. Serce Ireny biło jak oszalałe. Budynek był częściowo zburzony, jednak wydawało się, że kule oszczędziły ich mieszkanie. Co będzie wewnątrz? Cokolwiek by to było, mają dach nad głową.

– Chodźmy – powiedziała do siostry.

Wchodziły po schodach, uśmiechając się do siebie. Dziewczynki spały. Irena pożałowała, że nie zobaczą, jak wkraczają do domu. I tak nic by nie

pamiętały. Wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć klamkę, ale drzwi się otworzyły. Stała w nich na oko czterdziestoletnia tęga kobieta o krótkich, ciemnych, kręconych włosach.

– Czego tu chcecie? – zapytała ostro.

– Ja... my... to... – jąkała się Irena.

Basia poruszyła się niespokojnie. Jeśli się obudzi, zacznie płakać. Klara do niej dołączy. Trzeba nakarmić dzieci. Umysł Ireny krążył wokół, odmawiając zrozumienia sytuacji. Później myślała, że może była zbyt oszołomiona, zbyt zmęczona, zbyt jeszcze pod wpływem porannego szoku, żeby odpowiednio zareagować.

– To nasze mieszkanie! – odpowiedziała Zosia. – Co pani tu robi?

Sposób, w jaki położyła nacisk na słowo „pani”, na chwilę wytrącił kobietę z równowagi. Zaraz jednak babsztyl – Irena, zazwyczaj życzliwa ludziom, pomyślała „babsztyl” – wziął się pod boki i wrzasnął:

– Stefan!

Za moment obok babsztyla stanął potargany krępy mężczyzna, a za nim Irena dostrzegła dwóch chłopców, na oko ośmio-, może dziesięcioletnich.

– To nasze mieszkanie! – krzyknął Stefan prosto w twarz Ireny. – Lepiej się stąd wynoście, żebym nie musiał wam pomagać!

Basia płakała. Klara zaczynała kwilić. To kwestia kilku minut, zanim zaczną ryk w duecie. W jakim duecie? Tu wszyscy wrzeszczą. Irena zapraagnęła znaleźć się na drugim końcu świata.

– Nie, to wy się wynoście! – usłyszała głos Zosi. Policzki siostry pałały, w oczach pojawiły się iskry. – To nasze mieszkanie! Nie macie prawa tu być!

– Dobrze sobie! – wykrzyknął babsztyl. – O prawie mi tu będzie mówić. – To my ratujemy ten dom! My pilnujemy, żeby się nie zawalił! My malujemy! Łatamy ściany! Prawo! Teraz jest inne prawo niż przed wojną! Paniusie, którym się wydaje, że mogą nic nie robić i im się należy! To się już skończyło!

– Co się tu dzieje?! – Irena się obejrzała. W drzwiach naprzeciwko stał Romek. Bawiła się z nim, gdy byli dziećmi. – Pani Irena! Panna Zosia!

– Romek, no co ty? Jaka pani?

Uśmiechnął się do niej.

– Pani Bawarska! – zwrócił się do babsztyla. – Dlaczego pani się tak drze?

– One chcą wejść do naszego mieszkania! – odpowiedział babsztyl trochę mniej pewnie. – Stefan, powiedz panu!

Stefan nie zdążył otworzyć ust.

– Romek! – zawołała Zosia. – Jak dobrze, że jesteś! – Powiedz państwu, że to nasze mieszkanie!

Romek wziął głęboki oddech.

– Panie Stefanie – zwrócił się do mężczyzny, ignorując babsztyla. – Musicie zmieścić się w dwóch pokojach. Jeden ma być dla tych pań. One tu mieszkały przed wojną, a teraz też potrzebują dachu nad głową.

– Ale... – powiedziały naraz Zosia i babsztyl.

– Są nowe rozporządzenia dotyczące powierzchni mieszkaniowej. Nie możemy wyrzucić państwa Bawarskich – wyjaśnił Zosi. – Daję państwu godzinę na zwolnienie pokoju – ciągnął, patrząc na Stefana.

Babsztyl próbował protestować, ale mąż ją odciągnął i zamknął drzwi.

– Cisza! – warknął po drugiej stronie.

– Te kruszynki wyglądają na wykończone – powiedział Romek, przenosząc wzrok z Klary na Basię. – Proszę, zaczekajcie u mnie.

– Dziękujemy – powiedziała Zosia drewnianym tonem.

– To moje córeczki – wyjaśniła Irena. – Bliźniaczki.

Uśmiech rozświetlił twarz mężczyzny.

– Są cudowne. – Szarmanckim przedwojennym gestem zaprosił kobiety do środka. W przedpokoju spojrział na nie niepewnie. – Ja mam na razie dwa pokoje. – Otworzył drzwi jednego. – Proszę, usiądźcie, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Zamknął za sobą drzwi, zapewniając im prywatność. Dziewczynki nie płakały. Rozglądały się wokół z ciekawością.

– Nasze mieszkanie! – syknęła Zosia. – To okropne, że będziemy dzielić je z tymi... tymi...

Zabrakło jej słów.

– Przestań – powiedziała Irena, wyjmując Basię z chusty. – To... może to dobrzy ludzie – dodała, postanawiając już nawet w myślach nie nazywać pani Bawarskiej babsztylem. – Będziemy miały dach nad głową, a przecież nawet tego nie byliśmy pewne. I... – głos uwiązł jej w gardle, ale przepchnęła słowa – niedługo spotkamy Władka i Staszka.

Położyła Basię na kanapie. Wzięła głęboki oddech i połaskotała ją w brzusek. Dziewczynka roześmiała się głośno.

– Wyjmij Klarę – powiedziała Irena – i połóż ją koło siostry.

Zosia obrzuciła Irenę ostrym spojrzeniem, ale położyła Klarę na łóżku, przyklękając obok. Malutka zawtórowała Basi w głośnym śmiechu.

– Widzisz, podoba im się.

– A on – mówiła Zosia – jakby nie słysząc. – Kim on jest?

– Kto?

– No, Romek. Zachowywał się jak pan i władca.

– Może... wiesz, że się... zmieniło. On zawsze był komunistą. Teraz nadeszły ich czasy.

Zosia pokręciła głową.

– Jeśli taki ważny, to mógłby załatwić, żebyśmy miały mieszkanie. Przecież jest nasze! On jakoś mieszka sam.

– Zosiu... Przecież...

– Tak, tak, wiem – mówiła rozdrażniona Zosia. – Powinnam być wdzięczna. I jestem. – Wzdrygnęła się. – Nie starczyłoby mi życia, żeby dziękować ci za to, co zrobiłaś. Ale... nasze mieszkanie... Co by powiedzieli rodzice?

– Rodzice się cieszą, że przeżyliśmy wojnę – odpowiedziała Irena, rezygnując z trybu przypuszczającego. – Cieszą się z wnuczek. – Głos zadrżał jej niebezpiecznie, ale dodała: – I z tego, że nie będziemy spać na ulicy.

Rozległo się pukanie.

– Nie może nas na moment zostawić w spokoju – syknęła Zosia.

– Proszę – powiedziała głośno Irena, patrząc na siostrę karcąco.

Romek uchylił drzwi.

– Przygotowałem trochę gorącej wody – powiedział nieśmiało. – Może chciałbyście odświeżyć się odrobinę przed jedzeniem.

Zosia nie odwróciła głowy. Irena obdarzyła gospodarza promiennym uśmiechem.

– Tak, bardzo dziękujemy.

LIPIEC 2020

Dziś znów miał dyżur w spółdzielni. Od odwiedzin w domu opieki minął prawie tydzień i Rafał uszanował wolę Anety. Chociaż wielokrotnie trzymał w ręku telefon, wybierał jej numer, nie nacisnął zielonej słuchawki. Odpałał Messengera, wpisywał wiadomość i natychmiast ją kasował. Dziś ją zobaczy. Nie wyobrażał sobie, że zignoruje go kompletnie. Porozmawiają.

Gdy przekraczał próg, nie interesowało go już, czy budynek naprawdę jest nawiedzony. Nie myślał o duchu. Czy duchach. Zosia, która jeszcze niedawno nabierała realnych kształtów, teraz rozwiała się, zapadła w niebyt.

W kanciapie za recepcją stał Darek i smażył jajecznicę.

– Hej – powiedział Rafał. – Kolacyjka?

– No, nie miałem czasu zjeść w ciągu dnia.

Rafał wycofał się do recepcji i spojrzał na zegar. Do dwudziestej pierwszej brakowało siedmiu minut. Aneta nie miała w zwyczaju przychodzić wcześniej. Dzisiaj może nawet specjalnie się spóźni, żeby krócej przebywać w jego towarzystwie. Z drugiej strony taka ostentacja nie była w jej stylu. Zapach z zaplecza stawał się coraz intensywniejszy. Rafałowi zrobiło się niedobrze od wypalanej słoniny. Więcej takiego smrodu i przerzuci się na weganizm. Darek usadowił się z talerzem na krześle obok.

– Mm – wymruczał. – Pychota. Chcesz spróbować?

Rafał pokręcił głową.

– Niedawno jadłem. Kiedy skończysz, to już idź. Sam poczekam.

Darek rzucił koledze skonsternowane spojrzenie.

– Na co poczekasz?

– Na kogo – poprawił Rafał. – Na Anetę.

– Na Anetę? – zdziwił się Darek, wpychając do ust kolejny widelec z jajecznicą. – A co, ona ma przyjść?

– Przecież ma dyżur ze mną.

– No co ty? Może tak miało być, ale szefowa zadzwoniła do mnie kilka dni temu ze zmianami. Mamy dziś razem nockę, chłopie.

Rafał miał ochotę wytrącić Darkowi talerz, albo jeszcze lepiej wcisnąć mu twarz w parującą jajecznicę. Potem wycić i uderzać pięściami w stół. Lub w głowę kolegi. Może lepiej we własną. Podniósł się.

– Zaraz wrócę.

Pokonał schody susami po trzy stopnie. Zamknął się w kabinie i wyciągnął telefon z kieszeni. Spokojnie, nakazywał sobie. Nie mógł zadzwonić. Nawet gdyby odebrała, nie potrafiłby rozmawiać bez okazania wzburzenia. To by ją zniechęciło jeszcze bardziej. Wystukał wiadomość: „Dlaczego? Uważasz, że nie możemy być nawet kolegami z pracy? Aż tak mnie nienawidzisz, że nie możesz mieć ze mną dyżuru?”. Nie, na coś takiego z pewnością nie odpowie. „Martwię się. Co u Ciebie? Jak pradiadek?”.

Uświadomił sobie, że o pradiadka powinien zapytać dawno temu. Na przykład następnego dnia po niefortunnej wizycie. Czuł się winny, ale myślał o Anecie, nie o tamtym człowieku. Wysłał wiadomość i czekał. Minuty mijały i nic. Aneta po prostu się odcięła. Co powiedziała szefowej? Proszę nie dawać mi na jeden dyżur z tym palantem? A może coś w stylu: Czuję się z nim nieswojo? Solidarność jajników sprawiła, że kobieta przychyliła się do prośby. I tak dobrze, że nie wylała go z pracy. Dobrze? W domu przynajmniej nie musiałby zamykać się w kiblu, żeby się nad sobą poużalać. Spojrzał na trzymany w ręku telefon, jakby było możliwe przegapienie wiadomości. Nic, oczywiście.

Pełne wściekłości walenie w drzwi kabiny, sprawiło, że się zatrząsł i komórka prawie wyleciała mu z dłoni.

– Spokojnie, już wychodzę! – zawołał.

Słuchał oddalających się kroków. Otworzył drzwi dopiero, gdy ucichły. Spojrzał w lustro. Nie wyglądał najlepiej. Zaczerwienione oczy i plamy na policzkach. Położył telefon na oknie obok umywalki i przemywał twarz zimną wodą, mając nadzieję, że to doprowadzi jego wygląd do stanu jako takiej normalności. Usłyszał dźwięk przedmiotu uderzającego o posadzkę. Podniósł głowę i zobaczył swoją komórkę na podłodze.

– Cholera!

Ekran telefonu był roztrzaskany. Rafał przeciągnął dłonią po parapecie. Powierzchnia nie wydawała się pochyła. Poczł mrowienie w palcach. Schował komórkę do kieszeni i w pośpiechu opuścił łazienkę.

– Co jest, sraczki dostałeś? – zarechotał Darek na widok kolegi.

Rafał rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Nie musiałeś się tak dobijać!

– E? Gdzie dobijać?

– Do mnie do kibla!

– Ja do ciebie do kibla? Oszalałeś? Nie jestem pedałem! – Obrzucił Rafała taksującym wzrokiem i dodał: – Nawet gdybym był, raczej bym na ciebie nie poleciał. – Ponownie zarechotał.

Rafał znieruchomiał, wpatrując się w drugiego ochroniarza.

– Nie waliłeś w drzwi?

Darek wzruszył ramionami.

– A niby po co? Gdyby mnie przycisnęło, poszedłbym do drugiej toalety.

Rafał uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech. Powoli wypuścił powietrze i usiadł. Wyjął telefon z kieszeni i spojrzał na roztrzaskany ekran. Oczywiście żadnych nieodebranych połączeń czy esemesów. Kto wie, czy komórka działa? Upadek na posadzkę mógł uszkodzić więcej niż szybkość. Odłożył telefon na ladę i przyjrzał się koledze. Może to dowcip. Gdy ostatnio mieli tu nocny dyżur, pozlatywały segregatory. Darkowi wydawało się to śmieszne. Zresztą obaj się śmiali. Teraz to taki kawał w nawiązaniu do tamtego.

– Ktoś jest jeszcze w budynku? – zapytał Rafał.

Może żartownisiem był kto inny.

– Nie. Już zamknąłem.

Rafał na wszelki wypadek podszedł do drzwi i je pchnął. Nie poruszyły się.

– Sprawdzasz mnie? – Darek się roześmiał.

Rafał pokręcił głową.

– Idziemy na obchód?

– Mus to mus.

Nic podejrzanego. Okna pozamykane. Cisza. Wrócili na portiernię. Rafał podnosił telefon, gdy usłyszeli hałas. Huk dochodzący z piwnicy.

– Cco tto, kkurwa, jest? – wyjąkał Darek.

Rafał tylko się uśmiechnął.

– Duchy – mruknął.

– Brzmiało, jakby ktoś strzelił, nie?

Rafał nie zdążył odpowiedzieć, gdy rozległ się ponowny huk. Darek wpatrywał się w niego okrągłymi ze strachu oczami. No cóż, obecnie mu nie do śmiechu. I znów hałas, przypominający strzał. Tak na filmach brzmiały pistolety bez tłumika. Rafałowi wydało się to całkiem śmieszne. Usiłował zdusić chichot, ale i tak z jego ust wydobył się dźwięk, najpierw przypominający parsknięcie czy czkawkę, potem zmienił się w głośniejsze gulganie, aż w końcu chłopak się poddał i śmiał się, trzymając się za brzuch.

– Rafał! – powiedział ostrzegawczo Darek. – Opanuj się!

Darek uważał, że to histeria. Ta myśl wydała się Rafałowi jeszcze śmieszniejsza niż poprzednie hałasy.

– Tttto... ttto... to jest – usiłował wytłumaczyć nieopanowaną wesołość.

Kolejny dźwięk, inny niż poprzednio, przykuł jego uwagę. Rafał powoli przestał się śmiać. Winda ruszyła. W dół.

– Dokąd ona, kurwa, jedzie? – wydukał Darek, szczękając zębami.

– Na minus jeden – odpowiedział Rafał, przypominając sobie słowa Anety.

– Tam nie ma szybu.

Darek trzymał się logiki. Logika jednak nie przystawała do wydarzeń. A może wydarzenia kierowały się inną, pokrętną logiką?

– Ona wraca.

– Kto?

– Winda! – odpowiedział kolega ze złością.

Rzeczywiście wróciła i stanęła. Drzwi się otworzyły.

– Ona nas zaprasza – powiedział lekko.

Uświadomił sobie, że nadal powtarza słowa Anety. To było miłe, jakby dziewczyna znajdowała się tuż przy nim i mu podpowiadała.

– Kkkto nnnnas zzzaprasza?

Darek nadal szczękał zębami i trząśł się jak w febrze.

– Winda oczywiście. – Rafał się podniósł. – Idziesz?

– Oszalałeś?! Ta winda jest zepsuta.

Rafał ruszył w stronę dźwigu. Gdy wchodził do środka, Darek minął go i stanął pod lustrem.

– To głupota – stwierdził.

Już się nie trząśł. A jego młodszy partner tylko się uśmiechnął. Drzwi zamknęły się gwałtownie i z trzaskiem, jakby winda dawała do zrozumienia, że jest wściekła. Ruszyła. Najpierw w górę. Dotarła na ostatnie piąte piętro i zaczęła zjeżdżać. Minęła parter i pojechała dalej. Do piwnicy, gdzie nie było szybu. I znów w górę. Tym razem szybciej. I w dół. I w górę. Rozpędzała się, pokazując do czego jest zdolna. Nie robiła przystanków. Mknęła z szybkością szalonego rollercoastera. Może raczej należałoby ją nazywać diabelskim młynem. Czy też diabelskim dźwigiem. Rafał zabawiał się takimi rozważaniami, ale ścisnęło go w żołądku. Gdyby

obok stała Aneta, wzięłby ją w ramiona i uciszył strach. Jej i swój. Niestety, jego towarzyszem był Darek i żaden z nich nie miał ochoty się przytulać.

– Dlaczego ona jeździ tak szybko?

W odpowiedzi winda przyspieszyła.

– Zaraz wyrzygam. Nigdy nie lubiłem huśtawek ani karuzeli.

Rafał wprawdzie lubił, ale również czuł wzbierające mdłości. Winda zjechała do piwnicy i zatrzymała się, jakby obawiała się o czystość podłogi. Darek naciskał guziki. Nic się nie działo.

– Co to wszystko ma...

Darek zamilkł, bo na zewnątrz rozległy się krzyki. Kobięce głosy pomieszane z męskimi wypowiadały niezrozumiałe słowa. Ktoś się kłócił. Ktoś wrzeszczał ze strachu. Ktoś płakał. Rafał nie byłby w stanie powiedzieć, po jakim czasie wszystko umilkło. Winda ruszyła gwałtownie. Zatrzymała się na parterze i otworzyła. Ochroniarze wypadli i pomknęli do recepcji. Drzwi się zamknęły. Winda już nie ruszyła. Przez chwilę panowała cisza. W końcu Darek westchnął.

– To nie było normalne – ocenił.

Rafał pokiwał głową. To było, jakby ktoś się wściekł.

– Idziemy jeszcze sprawdzić budynek?

Darek popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ja mam chwilowo dosyć.

Rafał też miał dosyć, ale sięgnął po klucz do piwnicznego pomieszczenia z dokumentami spółdzielni.

– Zejdę na moment do piwnicy.

Darek nie zareagował. Dopiero gdy jego towarzysz był na schodach, zawołał:

– Tym razem nie powywalaj wszystkiego z półek!

– Postaram się! – odkrzyknął Rafał.

Czuł się źle; żołądek nie uspokoił się jeszcze po szalonej jeździe windą, w głowie wirowało, nogi były słabe, ledwie dawały radę utrzymać ciężar

ciała. Rafał miał ochotę wrócić, usiąść w wygodnym fotelu na zapleczu, odprężyć się, wypić gorącą herbatę, ale szedł, pchany przez wolę silniejszą od własnej. Bzdura, bzdura, bzdura. Sam chciał konfrontacji, żądał wyjaśnień. Duch czy też duchy pogrywały z nim. Przez nie jego życie się sypało. Twoje życie? A cóż takiego ci się rozsypało? Możesz mieć wszystko. A ja... a ja... Jakiś głos łkał mu w głowie. To jego wersja Zosi. Ubzdurał sobie, że dziewczyna została zamordowana, a później ktoś ją zamurował. Nie miał przecież pojęcia, co się stało. Wierzył w to, co sobie wymyślił. Powoli wsunął klucz do zamka. No, dalej. Przekręcaj. Była niecierpliwa. Nie, to on wyobrażał sobie, że jest niecierpliwa. Odsunął rękę, przyglądając się kluczowi. A gdyby tak już nic nie robić? Wrócić na górę i dotrzeć do końca dyżuru, a później poprosić szefową, żeby nie kierowała go do spółdzielni? Akurat! Klucz sam zaczął się przekręcać. Rafał nie odrywał od niego wzroku. Drzwi się otworzyły. Wchodzi. Nie chcę robić za ciebie wszystkiego. Stał nieruchomo, aż jakaś dłoń go pchnęła. A może wcale nie. Może to tylko wiatr. Wiatr w piwnicy? Coraz lepiej, chłopie. Nie miał już siły. Osunął się pod ścianę. Przy regałach stała dziewczyna z warkoczami. Wyciągnęła jakiś segregator i odwróciła się w stronę Rafała. Może wcale nie trzymała w dłoniach segregatora, tylko pistolet, i mierzyła do chłopaka. Może nie miała warkoczy albo nawet nie była dziewczyną. To mężczyzna. Chyba nawet nie jeden. Kilka osób, ale nie sposób ich policzyć. Mężczyźni, kobiety. Zachodzili na siebie, stając się nierozróżnialni. Jeden. Jedna. Kilku. Nie wiadomo. Pistolet. Pistolety. Liczby sprawiają taką trudność. O co w tym wszystkim chodzi? Kto tu jest? Co robią? Co on tu robi? Próbował skoncentrować wzrok, zrozumieć, co się dzieje, ale było coraz trudniej. Kształty coraz bardziej zamazane. Jakieś rozmowy. Dyskusja lub kłótnia. Strach. Polskie słowa do niczego niepodobne. Ogłuszające lub ciche. Zderzające się ze sobą. Hałas, szum czy coś zupełnie innego. Pokój coraz ciemniejszy. Czarny. Koniec.

– Rafał! Rafał!

Ktoś klepał go po twarzy. Rafał z trudem otworzył oczy.

- Co robisz? – wymamrotał.
- Zemdlałeś – odpowiedział Darek. – Cuceę cię.
- Tak... się... nie... powinno... udzielać pierwszej... pomocy.
- Dobra. Nie mędrkuj. Idziemy na górę.

Darek pomógł koledze wstać i trzymał go, gdy wchodzili po schodach. Rafał nie protestował. W kanciapie opadł na fotel.

- Zrób mi herbaty, dobrze? – poprosił.

Darek bez słowa wstawił wodę.

- Co się stało? – spytał, stawiając na stole kubek z parującym płynem.

Spełnienie marzeń sprzed... no właśnie, ile czasu minęło, od kiedy Rafał pomyślał o herbacie?

- Ty mi powiedz. Jak to się stało, że się zaniepokoiłeś?

– No, stary, nie było cię z piętnaście minut. Stałem przy schodach i zacząłem wołać. Nie odpowiadałeś, więc poszedłem sprawdzić, a ty leżałeś jak kłoda. – Darek przyjrzał mu się uważnie. – Często tak mdlejesz?

- Nigdy dotąd nie zemdlałem.

Darek pociągnął łyk ze swojego kubka i czekał. Rafał poczuł się zobowiązany do wyjaśnień. Ostatecznie został przez faceta naprzeciwko wyciągnięty z tego... pokoju zła. Nazwanie tak w myślach tamtego pomieszczenia poprawiło mu humor, pozwoliło odciąć się, nabrać dystansu.

- Coś tam było. Nie otworzyłem drzwi.
- Byłeś w środku – zaproponował Darek.
- Włożyłem tylko klucz i on sam się przekręcił.
- E – mruknął Darek. – Klucze nie przekraczają się same w zamkach.

– Czyżby? – Rafał starał się brzmieć ironicznie, ale wychodziło po prostu żałośnie. To tyle, jeśli chodzi o dystans. – A windy jeżdżą same i otwierają się, kiedy chcą?

– Myślę, że to jakaś awaria – odpowiedział Darek z nieco mniejszą pewnością. – Trzeba zgłosić.

– Aha. No i to, że ta zepsuta winda pojechała tam, gdzie nie ma szybu.

– To... jestem pewien, że to się da wytłumaczyć.

– Aha, tak. I te krzyki. I strzały.

– Budynek... – Darek zapewne miał zamiar powiedzieć, że budynek jest stary i trzeszczy, ale zrezygnował. – No, dobra, to co się stało, kiedy drzwi same się otworzyły?

– Coś mnie pchnęło i wszedłem. – Urwał, czekając na kolejną drwiącą reakcję, a kiedy nie nastąpiła, kontynuował: – Usiadłem, bo nie miałem siły. Coś widziałem, coś słyszałem, ale nie umiem tego opisać. I w końcu to coś mnie pokonało.

Ciekawe określenie. Czy temu czemuś... komuś chodziło o zwycięstwo? A może to cały czas było wołanie o pomoc? Jeśli tak, wołanie przepełnione wściekłością.

Darek wydał jakiś dźwięk, połączenie parsknięcia i westchnienia.

– Jeśli coś nawet było, to się uspokoiło, no nie? – Przyjrzał się Rafałowi. – Wiesz, stary, byłem tu już wiele razy i nic takiego mi się nie przytrafiło. Może to z tobą jest coś nie tak?

– Co niby?

– E, nie wiem.

Jego telefon wydał jakiś dźwięk, więc Darek wyciągnął go z kieszeni. Rafał podniósł pozostawiony na ladzie kilka godzin temu smartfon. Może... może... Położył palec na strzaskanym ekranie i wyskoczyły wszystkie ikony. Była wiadomość. Od Anety.

– Co jest? Znowu masz zamiar mdleć?

Rafał drgnął.

– Co ty gadasz? – zaprotestował.

– Jesteś błąd jak trup. Jak kiedy znalazłem cię w piwnicy.

– Odwal się. – Uśmiechnął się blado, żeby pokazać, że żartuje. – Nic mi nie jest.

– Okej, okej, skoro tak mówisz. Żebym tylko nie musiał znów cię cucić.

Darek wrócił do studiowania swojego telefonu. Rafał kliknął na wiadomość drżącym palcem i zacisnął powieki. Tak, bał się. Może nawet bardziej niż w tamtym... pokoju zła. Prawie się roześmiał. Dawaj, Panie Niesamowicie Odważny. Przecież naprawdę nie masz zamiaru mdleć. Otworzył oczy.

„Dzięki, że pytasz. Z pradziadkiem lepiej. Odcięłam się zupełnie, ale potrzebuję dystansu. Za jakiś czas się odezwę, ale nie zaangażuję się już w wyjaśnianie sprawy sprzed lat. Nadal Cię lubię”.

Nadal go lubiła. Miał szansę. Fala radości zmyła strach. On też przestanie interesować się historią sprzed lat. Przeszłości nie zmieni. Ważna jest przyszłość.

– Nie!!! Nie!!! Nie!!!

Wrzask wypełnił budynek.

– Co to, do jasnej cholery, jest?!

Słowa Darka były ledwie słyszalne wśród bezustannych krzyków. Ochroniarze siedzieli jak sparaliżowani przez kilkanaście minut, kiedy wreszcie nastąpiła cisza. Nie odzywali się jeszcze jakiś czas, a potem paplali jak najęci, jeden przez drugiego. O szefowej. O Angolach z Sulejówka. O Tomaszu, który uważa, że jest cool, a jest tylko śmieszny. O górach. O morzu. Temat duchów już nie wypłynął.

Ważna jest przyszłość, pomyślał Rafał, otwierając drzwi budynku. Jeśli takie sformułowanie miało sprowokować, cel został osiągnięty. Chłopak znowu poczuł ból brzucha, jakby ktoś przyłożył mu pięścią. Cofnął się, ale po chwili przekroczył próg. Rozmasował żołądek. Nic mu nie było.

– Ważna jest przyszłość – szepnął.

Na wszelki wypadek dopiero po wyjściu za bramę.

WRZESIEŃ 1945

Zosia

Mieszkamy w małym pokoju, który kiedyś był tylko mój. Ja, Irena i dziewczynki. Bawarscy zajmują pomieszczenie, które kiedyś odgrywało rolę salonu i sypialni rodziców, oraz pokój Ireny. Jest ich dużo. Okazało się, że mają piątkę dzieci. Dwóch chłopców: dwanaście i jedenaście lat i trzy dziewczynki: jedną czteroletnią i bliźniaczki trzy latka. Trochę mi wstyd, że wtedy tak się wściekłam. Naprawdę bym nie chciała, żeby ich rodzina znalazła się na bruku, żeby te dzieci spały na gruzach. Mimo to, gdy przypominam sobie ich matkę, która wzięła się pod boki i broniła nam wstępu do naszego mieszkania, nadal mnie trzęsie. Wcale nie muszę sobie przypominać, ona tu jest, stale, nie tylko za ścianą. Wpadam na nią w przedpokoju czy w kuchni. Z jej dziećmiakami się dogaduję, męża toleruję, ale jej nie potrafię polubić. Nawet nie chcę. Nasz brak sympatii zresztą jest wzajemny. Bawarska na mój widok zawsze robi tę swoją minę przekupki, wyklócającej się o wszystko. O, ja też mam ochotę, ale się hamuję. Po prostu ją ignoruję. Ją hamuje mąż. Inaczej chyba baba wydrapałaby mi oczy. Mówię jej „dzień dobry”, Irena na to nalega, ale babsztyl i tak nie odpowiada.

To zresztą nieważne. Mamy tak wiele problemów, że stosunki z jakąś Bawarską są najmniejszym z nich. Na przykład finanse. Romek załatwił Irenie zapomogę. Nie było łatwo, bo jej mąż był akowcem. Jest. Wierzymy, że żyje, a przecież z AK tak po prostu się nie wychodzi. Nie on. I nie mój Staszek. W każdym razie Irena coś dostaje. Niewiele, nie starcza do końca miesiąca. Ona musi zostać z dziewczynkami, ja znalazłam pracę. I znowu pomógł mi Romek. Czasem mam wrażenie, że bez niego nie dałybyśmy rady. Pracuję na poczcie, niewiele płacą, ale to zawsze coś. Łącząc nasze pieniądze i tak trudno wyżyć. Sprzedałyśmy już część dolarów. Staramy się jak najbardziej oszczędzać, a pieniądze od mamy Staszka są

zabezpieczeniem. Dobrze nie mieć wszystkiego w złotówkach. Już jedną złodziejską wymianę przechodziłyśmy. Nas to specjalnie nie dotknęło, ale mama Staszka dużo straciła. I tak dobrze, że miała dolary. Tak przynajmniej mówiła, a później chciała nam dać wszystko. Boże, tak bardzo mi jej brakuje.

– Proszę pani? Wszystko w porządku? – pyta mężczyzna przed okienkiem, który przyszedł odebrać list.

Uświadamiam sobie, że łzy lecą mi po policzkach. Głupia, płacę w pracy. Wycieram szybko twarz wierzchem dłoni i się uśmiecham.

– Tak, tak. Wszystko dobrze.

Znajduję list do niego i mu podaję. Patrzy na mnie z troską i z czymś jeszcze. Nie lubię takich męskich spojrzeń. Szczególnie od czasu wydarzenia w stodole. Zaczyna brakować mi tchu, duszę się. Na szczęście jest kolejka i ludzie zaczynają go poganiać.

– Do widzenia – mówię lodowato.

Udaje mi się opanować i myśleć o tu i teraz.

Dopiero gdy opuszczam pocztę, pozwalam sobie na inne myśli. O tym, jak udało nam się załatwić przeniesienie mamy na cmentarz, do ojca. To akurat dobre wspomnienie. Patrzyłam, gdy była odkopywana. Zrobiło mi się niedobrze, ale zgadzam się z Ireną, że to nie ona. To ciało, któremu oddajemy szacunek. Wiem, że rodzice chcieli leżeć obok siebie. Przy grobie był ksiądz, zmówił modlitwę. Tylko że jedno wspomnienie prowadzi do kolejnego. W głowie wiruje obraz sprzed kilku dni. Odkopywanie płytkiej zbiorowej mogiły. Smród straszny. Tłum ludzi. I my. Dziewczynki zostały z Bawarskimi. Nie miałyśmy wyjścia. Romek wyjechał do Lublina załatwiać sprawy partyjne. Dotykałam każdego z zabitych, oglądałam odmienione przez rozkład twarze, badałam kieszenie. Nie było go. Nie było Staszka. To też dobre wspomnienie. Staszka nie ma wśród umarłych. To gdzie jest? Szloch zatrzymuje się w gardle.

Staję przed naszą kamienicą.

– Panno Zosiu! Dzień dobry!

Uśmiecham się i macham do Maćka i Antka, chłopaków Bawarskich, którzy ganiają z innym dzieciakami. Nie przeszkadzają im gruzy, bawią się wśród nich codziennie. Wczoraj przeczytałam w gazecie o niewypałach. Giną ludzie. Dzieci. Na szczęście nie w naszej okolicy. Tu życie triumfuje nad śmiercią.

Wchodzę do budynku i patrzę na pierwsze drzwi po lewej stronie. Płacz niemowlęcia miesza się z odgłosami jakiejś kłótni. Co się dziwić, nam też nie zawsze udaje się zachowywać przyzwoicie, a tutaj na takiej samej powierzchni mieszkają trzy rodziny. Piętnaścioro ludzi. Przed wojną mieszkanie należało do żydowskiego małżeństwa Goldszejnow. Dwie uprzejme osoby w średnim wieku nigdy nie robiły hałasu. Prowadzili pobliski sklep bławatny, gdzie mama zaopatrywała się w tkaniny. Zawsze chodziła do nich, bo byli miłsi niż wyniośli polscy sklepikarze. Teraz sklepu już nie ma, a Goldszejnowie... Boję się myśleć, co się z nimi stało. A jeśli przeżyli getto i obóz? Jeśli tu wrócą? Wiem, jakie są nastroje. Sąsiad z mieszkania naprzeciwko ze śmiertelną powagą opowiadał mi, że Żydzi zabijają chrześcijańskie dzieci i piją ich krew. Opowieści stare jak antysemityzm, ale znam ludzi, którzy dają im wiarę. Którzy chcą dawać im wiarę. Słyszałam, co stało się w sierpniu w Krakowie. Jakaś grupa zaatakowała modlących się w synagodze. Skóra mi cierpnie na myśl o pogromach i że już nie robią tego Niemcy, ale moi rodacy. Wiem, ilu Polaków ryzykowało życie własne i swoich dzieci, żeby udzielać schronienia rodzinom żydowskich. Tu, w naszej kamienicy, też tacy są. Mimo to nie wiem. Nie wiem, co by się stało tutaj i teraz.

Gdy jestem pod naszymi drzwiami, zapominam o Żydach. Słyszę płacz dziewczynek Bawarskich i pokrzykiwanie babsztyla. Typowe. Jej mąż zapewne siedzi z gazetą i odcina się od wszystkiego. Szybko, żeby nikt nie zdążył mnie zauważyć, przechodzę przez przedpokój. Bawarska użera się z dziewczynkami w dużym pokoju. Z kuchni dochodzi przyciszony głos jej męża. A więc pan Jan nie zaszył się z gazetą w drugim pokoju. Gada z kompanem. Jak na potwierdzenie rozlega się drugi męski głos, który

chyba skądś znam. Otwieram drzwi mojego – naszego – pokoju i zastygam. Nie widzę śladu życia. Podchodzę do kołyski, którą Bawarska podarowała Irenie. Byłam skłonna zakładać się, że to pomysł jej męża, ale siostra tylko mnie uciszyła. W środku leżą obie dziewczynki. Nasłuchuję. Oddychają głęboko i regularnie. Z ulgi robi mi się słabo. Siadam na łóżku. Takie ataki paniki powtarzają się regularnie. Irena twierdzi, że to efekt wojny, która dla nas jeszcze się nie skończyła. Skończy się, gdy wrócą nasi mężczyźni. Irena. Gdzie Irena? Wybiegam z pokoju i od razu ją słyszę. Moja siostra płacze. Szlocha przy obcych facetach. Nie rozumiem.

Biorę głęboki wdech i wchodzę do kuchni. Nie widzę twarzy Ireny, bo klęczy przed nią mężczyzna i trzyma w objęciach, przyciskając do siebie tak mocno, że łkania są stłumione. Bawarski przygląda im się z troską na twarzy. Na stole stoją trzy kieliszki i butelka bimbrowa. Pan Jan częstował nas tym specjałem jakiś czas temu. Odmówiliśmy. Jak to możliwe, że moja siostra pije teraz z nim i z... Kim jest ten facet, który przed nią klęczy? Pytania pojawiają się w ułamku sekundy. Nikt na mnie nie patrzy, nikt nie zwraca uwagi na moje wejście.

– Co się stało? – udaje mi się powiedzieć.

Mężczyzna przed Ireną odwraca się, nie wypuszczając jej z ramion. Uśmiecha się blado.

– Witaj, Zosiu.

To Antek Rański, przedwojenny przyjaciel Ireny. Może nawet kiedyś się w niej kochał. Kiedy zaręczyła się z Władkiem, stał się przyjacielem ich obojga. To raczej za dużo powiedziane, ale czasem się widywali.

– Co się stało? – powtarzam.

Irena wyswobadza się z objęć Antka. Wreszcie widzę jej twarz, całą w plamach. Chce coś powiedzieć, ale z jej ust wychodzą jakieś nieartykułowane dźwięki.

– Ła... ła... dek.

Ona mówi „Władek”. Patrzę na Antka, a ten kiwa głową. Potwierdza. Co potwierdza?

– Co się stało? – pytam jeszcze raz.

– Mąż pani Ireny nie żyje. Zginął w powstaniu – wyjaśnia Bawarski.

Odpycham Antka, który nadal jest na kolanach, i sama przyciągam do siebie siostrę.

– Chodźmy stąd – szepczę jej do ucha.

Podnoszę ją i prowadzę do pokoju. Tu jest nasze miejsce. W takiej chwili nie powinna być z obcymi. Tamci są obcy. Antek też. Kiedy wyszła za męża, widywała się z nim może raz na pół roku. Od wybuchu powstania nie miała z nim kontaktu. Rozpacz powinna przeżywać z rodziną, nie z nim. Dziewczynki nadal śpią. Układam Irenę na łóżku, przykrywam kocem, sama wsuwam się pod przykrycie i przytulam ją ciasno. Nie broni się, przestała płakać, ale jest kompletnie sztywna. Nie porusza się nawet, gdy z kołyski dochodzą dźwięki. To nie płacz, to radosne gaworzenie. Życie triumfuje nad śmiercią, pomyślałam, gdy tu szłam. Później wiadomość uderzyła obuchem w ciemność, zamroczyła. To jednak nadal prawda. Wsłuchuję się w ten świergot, gładząc włosy siostry. Odwraca się do ściany.

– Zobacz... czy... nie... mają... mokro – słyszę jej stłumiony głos.

Całuję ją w czubek głowy i wstaję. Dziewczynki nadal są promienne, gadają do siebie językiem, którego nikt poza nimi nie rozumie. Wytworzyły siostrzaną więź. Jak my. Patrzę na plecy Ireny. Nie tylko ona jest za mnie odpowiedzialna. Ja za nią też.

– Dzień dobry, kruszynki. – Dziewczynki patrzą na mnie i jak na komendę wybuchają śmiechem. – Taka jestem śmieszna, co? – grucham do nich i sprawdzam, czy nie zrobiły siku.

Jeszcze nie. Nie są też chyba głodne, nie miałyby tak dobrego humoru.

– Mają sucho – informuję.

Irena nie reaguje.

– Kiedy je karmiłaś? – pytam.

Znów brak odpowiedzi. Odcięła się, zamknęła w swojej rozpacz. Zostawiam dziewczynki i siadam na łóżku. Kładę rękę na ramieniu siostry. Irena się wzdryga.

– Irenko, to ja, twoja siostra. Masz mnie, są dziewczynki. Zawsze będę przy tobie.

Nie umiem pocieszać. Nie wiem, jakich użyć słów, jak przytulić, jak okazać, że więź sióstr przetrwa wszystko. Że jeśli jedna upada, druga ją podtrzyma. Że nawet zabije, jeśli będzie groziło jej niebezpieczeństwo. Irena zrobiła to dla mnie. Jestem gotowa uczynić to samo. Zabić dla niej lub umrzeć. Moja siostra nadal leży sztywna, odgradzona od wszystkiego i wszystkich. Dziewczynki gruchają coraz głośniej. Nagle przeszywa mnie strach. Władek nie żyje. Staszek zawsze był blisko. Co z nim? Antek to przyjaciel Ireny, jej męża trochę też. Nic mi nie wiadomo, żeby podobna więź łączyła go ze Staszkiem. Mnie nigdy nie traktował poważnie, uważał za smarkulę. Nie ma pojęcia, że się zaręczyłam, a tym bardziej z kim. Zrywam się na równe nogi, nie zwracając uwagi, że gaworzenie dziewczynek staje się mniej wesołe.

Jeszcze jest. Pije z panem Janem, który tłumaczy coś bełkotliwie.

– Antek – przerywam. – Znasz Staszka Antolaka?

Antek odstawia kieliszek i mi się przygląda. Jego oczy są mętne. Mam nadzieję, że jeszcze kontaktuje.

– Staszek Antolak – prawie sylabizuję. – Znasz go?

Kiwa głową. Nie wiem, czy zrozumiał.

– Ty pijaku! – W progu kuchni staje Bawarska i bierze się pod boki. – Ja użeram się z dziewczynkami, a ty sobie przyjęcia urządzasz?!

– Ja... ja tylko... – zaczyna się tłumaczyć jej mąż.

– Idź z nimi na dwór, a ja odgrzeję obiad. Macie być tu równo za pół godziny. Chłopaków też przyprowadź.

Bawarski potulnie oddała się chwiejnym krokiem. Baba rzuca na mnie wściekłe spojrzenie, po czym bezceremonialnie ściąga butelkę ze stołu i chowa ją w jakiejś szafce. Mnie to nawet na rękę. Mniej mi się podoba, że zaczyna tłuc się po kuchni.

– Dziewczynki płaczą! – zwraca mi uwagę.

Rzeczywiście, z naszego pokoju dochodzi płacz Klary i Basi. Nakręcają się, będzie coraz głośniejsze. Antek smętnie przygląda się pustemu kieliszkowi.

– Antek! – Mężczyzna podnosi głowę i znów patrzy mi w oczy. – Czy wiesz, co się stało ze Staszkiem Antolakiem?

– Ze Staszkiem – mówi, pocierając czoło. – Antolakiem.

Nadal nie jestem pewna, czy mnie rozumie, czy tylko bezmyślnie powtarza moje słowa. Dziewczynki krzyczą głośniejsze.

– Tak. Wiesz, kto to? Wiesz, co się z nim stało?

– Nie wiem. To znaczy, nie wiem, co się z nim stało. Wiem, kto to.

Jego głos nie jest już bełkotliwy, oczy nie są mętne. Zalewa mnie fala ulgi. Bawarska energicznym ruchem zbiera kieliszki. Antek się podnosi.

– Przepraszam panią – zwraca się do Bawarskiej. – Do widzenia. – Podchodzi do niej i całuje ją w rękę. Babsztyl wydaje się zadowolony.

– Do widzenia – mówi, wdzięcząc się.

Antek odwraca się do mnie.

– Przyjdę jutro – mówi. – Pokażę Irenie, gdzie spoczywa jej mąż. Do zobaczenia, Zosiu.

Odprowadzam go do przedpokoju i biegnę do dziewczynek. Irena nadal leży bez ruchu. Biorę na ręce Klarę, przytulam ją i wkładam do wózka. Powtarzam to samo z Basią. Trochę się uspokajają. Jedziemy do kuchni. Odgrzewam jedzenie, starając się nie zwracać uwagi na gderającą Bawarską. Mówię do nich tak dużo, że wygania to wszystkie myśli. Wracam do pokoju i karmię dzieci, a potem udaje mi się je uśpić.

W głowie zaczyna dudnić. Gdzie jest Staszek? Nikt nie ma wiadomości o jego śmierci. Nie znalazłam go wśród umarłych. Jeśli żyje... nie. Żyje. Gdzie jest? Tęsknię. Tak bardzo tęsknię. Nie tylko za nim. Chciałabym przytulić się do jego matki. Nikt już nie traktuje mnie jak córki.

Antek wskazał, gdzie jest zakopane ciało Władka. Dziś jest prawdziwy pogrzeb. Irena wstała, umyła się, nie protestowała, gdy ją ubierałam. Nie odzywa się, nie reaguje na mój dotyk, a nawet na płacz dziewczynek. Rozumiem to. Gdyby to było ostateczne pożegnanie mojego mężczyzny, zachowywałabym się podobnie. Odganiając tę myśl i zajmując się Basią i Klarą. Zagaduję do nich, łaskoczę je. Ich wybuchy śmiechu wydają się niestosowne w zetknięciu z martwą twarzą Ireny. A może to jej martwa twarz jest niestosowna, bez względu na cierpienie, jakie przechodzi? Nie wiem. Nic już nie wiem. Jestem tutaj, żeby ją wydobyć, a nie oceniać. Nie potrafię. Biorąc pod uwagę to, co mi zrobiła, nie potrafię. Potem przypominam sobie, że mnie uratowała.

Podczas mszy dziewczynki na szczęście śpią. Zerkam na nie, próbując jednocześnie skoncentrować się na kazaniu. Chcę w godny sposób pożegnać szwagra. To on nauczył mnie grać w szachy. Mówił, że mam talent, i rzeczywiście byłam najlepsza z rodziny. Nie umiałam tylko pokonać mistrza, którym dla mnie pozostał. Nigdy się nie wywyższał i bawił się ze mną w berka, jeśli miałam ochotę. Tym kupił mnie jeszcze bardziej niż szachami. A może tym, że zawsze traktował mnie jak równą sobie, a nie jak rozwrzeszczanego bachora.

Zocha.

To jego głos. Tak wyraźny jak za życia. Rozglądam się na boki, ale nie wyglądam, żeby ktoś poza mną go usłyszał. Irena siedzi tak samo nieruchomo jak przed chwilą. Dziewczynki śpią. Ksiądz dalej mówi o walce i bohaterstwie.

Zocha.

Prawie jak przed wojną. Prawie jakby miał zamiar dodać: „Chodź, rozegramy partyjkę”. Dlaczego zwraca się do mnie? Oczywiście, lubił mnie, ale tu jest jego najbliższa rodzina.

Zocha.

Teraz słyszę gniew. Może rozpacz. Wszystkie włoski podnoszą mi się na rękach.

Zocha, nie dopuść do tego.

Wstaję przerażona. Z tyłu ktoś pociąga mnie za sukienkę. Wiem, co oznacza ten gest. Nie rób z siebie widowiska. To zapewne ten babsztyl Bawarska. Siadam posłusznie. Czy rozum tracę? Nigdy nie zaobserwowałam u siebie podobnych symptomów. Nie rozmawiam z duchami. Nawet rodzice mnie nie odwiedzają.

Władek więcej się nie odzywa. Krew pulsuje mi w skroniach tak głośno, że zagłusza mowę księdza. Powoli się uspokajam. To stres. Niewyspanie. Wyobraźnia. Władek był mężem mojej siostry, ale mnie również był bliski. Wspomnienia mieszały się z terażniejszością i dlatego tak wyraźnie go słyszałam.

Przez świątynię przechodzi gwałtowny podmuch wiatru i gasi świece przy ołtarzu, po czym trzaskają drzwi. Ludzie szepczą, że to znak. Dziewczynki zaczynają płakać, więc wyjmuję je z wózka i przytulam do siebie. Ksiądz pospiesznie kończy kazanie. Tylko Irena siedzi nieruchomo, jakby niczego nie zauważyła.

Przy grobie nie zdarza się nic dziwnego. Dziewczynki zasnęły, ludzie modlą się głośno. A mnie jest zimno pomimo słońca padającego wprost na głowy żałobników. Znak. Tak mówili. Znak czego?

Dopiero wieczorem, gdy położę już Klarę i Basię, przychodzi kolejne pytanie. Do czego mam nie dopuścić?

I dlaczego ja?

SIERPIEŃ 2020

Po powrocie znad morza Tośka i Paweł zaczynali dzień o dziewiątej i nie pozwalali bratu wysypiać się po nocnych dyżurach. Rafał czasami zabierał dzieciaki na dwór, żeby się wyszalały, czasami grywał z nimi w planszówki, ale brak mu było poprzedniego zaangażowania. Matka nie zapytała o Anetę, a Rafał nie roztrząsał jej motywów. Czuł się przybity.

Aneta nadal odmawiała spotkań, prosiła, żeby do niej nie dzwonił. Jeśli napisał, odpowiadała grzecznie i zwięźle. Obojętnie. Czy naprawdę potrzebowała czasu do nabrania dystansu, czy też po prostu Rafał ją irytował, a wolala nie mówić tego wprost, oszczędzać jego uczucia? Nie pasowało to do prostolinijnej dziewczyny, za którą ją uważał, ale przecież nie znali się długo. Mógł wytworzyć w głowie obraz, w którym się zakochał. Obraz zupełnie fałszywy. Jeśli nawet, zakochanie nie słabło. Pragnął Anety, kimkolwiek była. Narzucanie się nie jest dobrą taktyką. Tak zawsze słyszał i właściwie w to wierzył. Początkowo postanowił, że będzie pisać dwa razy w tygodniu, ale nie dał rady. Nie przekraczał jednak jednej wiadomości dziennie, chociaż wymagało to żelaznej woli.

Pisał głównie z komputera, bo rozbity wyświetlacz kierował myśli na sprawy, nad którymi Rafał nie chciał się już zastanawiać. Poprosił szefową o niekierowanie go na dyżury do spółdzielni. Westchnęła, ale się zgodziła. Spotykał się z Darkiem, ale nie rozmawiali o pamiętnym nocnym dyżurze. Czasami tłukła mu się w głowie myśl, że kogoś zdradził, zostawił w potrzebie, ale panował nad nią. Przeszłość odeszła, przyszłość była ważna. Nie miał zobowiązań w stosunku do... właściwie w stosunku do kogo? Wmówił sobie duchy, nawet rodzinne, ale zjawiska w spółdzielni mogły mieć wyjaśnienie naukowe. Jeśli nawet nie, dlaczego on miał się w to wikłać? Ciotka się wywinęła. Cała rodzina się wywinęła. Jego ojciec też. Zostawił syna z odpowiedzialnością za wszystko i wszystkich. Rafał był gotów wziąć odpowiedzialność za żyjących. Umarli to nie jego sprawa.

Również ta dziewczyna z warkoczami, która nie chciała dać mu spokoju i nadal nawiedzała go we śnie. Za każdym razem budził się wściekły.

– Hej! – Tośka szturchnęła go w bok. – Namysliłeś się wreszcie? Robisz coś?

Grali w Kolejkę, która miała niby przybliżać czasy PRL-u. Pewnie takie były założenia, ale Tośka i Paweł myśleli głównie o dowaleniu przeciwnikom. No cóż, może o to właśnie chodziło w peerelowskich kolejkach.

– Nie, pasuję.

– A ja robię remanent – powiedziała z satysfakcją Tośka.

Jęk Pawła został zagłuszony przez dźwięk komórki Rafała. Gdy chłopak zobaczył imię na stłuczonym wyświetlaczu, serce podskoczyło mu do gardła. Aneta! W pośpiechu opuścił kuchnię. Chciał przywitać ją jak kiedyś: „Cześć, dziewczyno o pięknym imieniu”, ale ledwie dał radę wykrztusić:

– Halo?

– Hej! – Wsłuchiwał się w ten głos, zycliwy i wesoły, czując, że wszystkie problemy znikają, a przez ciało przepływa fala ciepła. – Miałam telefon z domu opieki. – Zamilkła. Dlaczego przestała mówić? Chciał jej słuchać, napawać się radością. – Słyszysz mnie?

– Tak, oczywiście – wykrztusił. – Miałas telefon z domu opieki. – Dopiero teraz dotarł do niego sens słów. – Co się stało?

– Pradziadek czuje się już zupełnie dobrze. Wcześniej mówiono, że lepiej go nie odwiedzać. Teraz sam powiedział, że mamy przyjść.

– Mamy? – powtórzył Rafał niepewnie.

– Tak. Oboje. Ja i ty. Chce nas widzieć.

Nas. Oboje. Ja i ty. Jakiś głos rozsądku próbował powiedzieć, żeby nie wyciągać pochopnych wniosków, że to tylko słowa Romana Ołdakowskiego, ale euforia narastała.

– Oczywiście. Kiedy pójdziemy?

– Jutro po południu masz wolne?

– Jutro mam dyżur – odpowiedział z żalem.

– A teraz? Dziadek mówił, że zależy mu na rozmowie jak najszybciej.

– Teraz mogę.

– To będę za dwadzieścia minut.

Wyłączyła się. Rafał pocałował telefon i pobiegł do kuchni.

– Nie mogę już grać. Muszę zaraz wyjść.

– Co?! – zawołali razem Tośka i Paweł.

Krzyk tak pełen oburzenia, jakby oświadczał, że wybiera się na drugą półkulę i zostawia ich bez środków do życia.

– Aneta po mnie przyjeżdża, jedziemy odwiedzić jej pradziadka – wyjaśnił.

– O! – powiedziała Tośka. – To dobrze. Możesz iść.

– Tak! – potwierdził Paweł. – Spoko, że znowu się spotykacie.

Zaraz po przyjeździe pytali o Anetę. Odpowiadał ogólnikami i pytania się skończyły. Pewnie matka im zakazała.

Wziął prysznic i umył włosy. Były tak krótkie, że prawie wyschną przez dwadzieścia minut. Spryskał się wodą po goleniu.

– Ale jedzie! – powiedział Paweł, gdy brat opuścił łazienkę.

– Ładnie pachnie. – Tośka wzięła Rafała w obronę. – Anecie na pewno się spodoba. Będziecie się przytulać?

– Tośka! – ryknął Rafał.

– No co?

– Będą się całować!

– Jak cię zaraz złapię, to pożałujesz!

Paweł zachichotał.

– Akurat się ciebie boję!

Rafał zrobił krok w kierunku brata, ale ten ze śmiechem rzucił się do pokoju bliźniaków.

– Powiem mamie, że mi grozisz! – zawołał przez drzwi.

Tośka stała poważna.

– Bardzo się cieszę – powiedziała. – Aneta jest spoko.

Rafał westchnął w duchu. Nie miał siły ich słuchać.

– Dobra, idę. Nie rozwalcie domu.

Brakowało jeszcze pięciu minut. Staął w słońcu i zamknął oczy. Ciepłe promienie na policzkach były takie przyjemne. Przez ostatnie tygodnie Rafał nie miał pojęcia, jaka jest pogoda. Było mu obojętne, czy z nieba leje się żar, czy deszcz. Teraz wszystko się zmieni. Każda aura będzie dobra.

– Hej, hej! Śpisz na stojąco?

Otworzył oczy. Aneta wychylała się przez okno samochodu.

– Opalam się! – odkrzyknął.

Wsiadł. Dziewczyna pocałowała go w policzek.

– Cześć. Ładnie pachniesz.

Ruszyła, zanim zdążył odpowiedzieć. Przez chwilę przyglądał się jej profilowi. Była nieskazitelnie piękna. Chciał to powiedzieć, ale bał się, że uzna to za tani komplement. Że jego uzna za taniego.

– Tęskniłem za tobą.

Źle. Może to odebrać jako narzucanie się albo błaganie o czułość. Gdyby miało to pomóc, gotów był błagać ją na kolanach. Odbijało mu kompletnie.

– To dobrze. – Aneta się uśmiechnęła. – Bo ja za tobą też.

– To dlaczego... – wybuchnął i urwał.

Obiecał sobie nie robić jej wyrzutów.

– Dlaczego potrzebowałam przerwy? – Już się nie uśmiechała. Rafał dostrzegł kroplę spływającą jej po policzku. Podniósł rękę, żeby ją zetrzeć, ale opuścił. Jeszcze nie śmiał jej dotykać. – Uważałam, że zrobiłam dziadkowi straszną krzywdę.

– To była tylko moja wina – powiedział.

Aneta pokręciła głową.

– To była wina mojego zaangażowania. W tę sprawę i w znajomość z tobą. A przynajmniej tak mi się wydawało. Nasza znajomość jest dobra.

Poruszył ustami, ale nie udało mi się nic powiedzieć. Dopiero gdy się zatrzymała, wykrztusił:

– Naprawdę tak uważasz?

– Słucham?

– Że nasza znajomość jest dobra?

Spojrzała mu w oczy. Jej tęczówki były granatowe, źrenice ogromne.

– Naprawdę.

Już się nie bał. Przyciągnął ją do siebie. Wydawała się krucha i uległa w jego ramionach. Przez chwilę.

– Idziemy! – powiedziała ze śmiechem, odpychając go lekko. – Wydaje ci się, że wystarczy użyć ładnego zapachu i możesz zrobić ze mną wszystko?

Roman Ołdakowski wyglądał tak dobrze jak na początku ich poprzedniej wizyty. Rafał powtórzył sobie, żeby nie wyskakiwać z żadnym kontrowersyjnym tekstem, odpowiadać tylko na pytania i to jak najkrócej. Uśmiechać się w odpowiednich momentach, sprawiać wrażenie miłego chłopaka. Chłopaka odpowiedniego dla prawnuczki. Trzeba więc zachować również względną pewność siebie, żeby nie wyjść na mięczaka. Najważniejsze jednak to nie denerwować starszego pana.

– Cieszę się, że przyszliście – powiedział stary człowiek. Uściskał Anetę, wyciągnął rękę do Rafała. – Zrób herbaty, kruszynko. Musimy porozmawiać.

Aneta poszła do kuchni. Ołdakowski zmierzył Rafała taksującym spojrzeniem.

– Siadaj, siadaj. Co tak stoisz?

– Dziękuję. – Rafał zajął miejsce.

– Kim ty jesteś, młody człowieku?

– Dziadku, mówiłam ci, że to mój kolega z pracy! – zawołała Aneta z kuchni.

– Przecież wiem, że prawie twój narzeczony. – Były dyrektor spółdzielni puścił do Rafała oko. – Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o rodzinę.

– Rodzinę – powtórzył Rafał. – Co właściwie powinien odpowiedzieć? Zagłębianie się w przeszłość było niebezpieczne. – Jestem synem Małgorzaty i Roberta Stróżewskich, mam dwójkę rodzeństwa – Tosię i Pawła – to bliźniaki. Moja mama jest pielęgniarką, tata był inżynierem – recytował.

– Dobrze, dobrze – przerwał wywód Ołdakowski. – Wiesz, że nie o to pytałem.

Rafał spojrział na Anetę, która pojawiła się przy stoliku z pokrojoną szarlotką, po czym z powrotem przeniósł wzrok na byłego dyrektora.

– A o co pan pyta?

– O... tamte czasy. Mówiłeś ostatnio, że Zosia... Zofia Ronik to siostra twojej prababci.

Rafał znów zerknął na Anetę. Stała nieruchomo. Nie zamierzała mu pomagać, nawet na niego nie patrzyła.

– Tak.

Ołdakowski pokiwał głową.

– Tak – powiedział, przedłużając „a”. – Dobrze pamiętałem. Masz jej oczy.

Rafała przeszedł dreszcz.

– Czyje? – zapytał. – Zosi?

Starszy pan już jednak na niego nie patrzył.

– One miały podobne oczy – powiedział gdzieś w głąb siebie.

Otrząsnął się, uśmiechnął i spojrział na Anetę.

– Znów zrobiłaś szarlotkę? Rozpieszczasz mnie.

Dziewczyna w odpowiedzi ukazała dołeczki.

– Herbata też już gotowa. Zaraz przyniosę.

Rafał się podniósł.

– Pomogę ci.

Gdy zjedli po kawałku szarlotki, pradziadek Anety wyraził zachwyt, po czym spoważniał.

– Nie o oczach chciałem rozmawiać. Niedługo umrę.

– Dziadku! – zaprotestowała Aneta.

– Mam prawie sto lat. Żyłem wystarczająco długo. – Ścisnął rękę prawnuczki, po czym ciągnął: – Kochałem się w Zosi.

Rafał wziął głęboki oddech. Będzie więc opowieść o tamtych czasach. Z jednej strony się bał, z drugiej poczuł ulgę. Wreszcie nadeszła pora sprawiedliwości. Nie rozumiał własnych myśli. Skoncentrował wzrok na twarzy mężczyzny, chłonął słowa.

– Była piękna, ale nie to najbardziej mnie w niej pociągało. Pozostała taka... niewinna. Pomimo przeżycia wojny... tych wszystkich nieszczęść... śmierci rodziców... pomimo całego brudu naokoło... ona była czysta. Czysta jak kryształ. – Ołdakowski surowo spojrzał na Anetę, potem na Rafała. – Uważacie, że przesadzam? Że byłem ślepy? Że miłość odebrała mi rozum?

– Nie, nie – szepnęła Aneta, a Rafał tylko pokręcił głową.

– Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem z miłości – oznajmił.

Co pan zrobił? Rafał ugryzł się w język. Sprawiedliwość nie sprawiedliwość, musiał chronić swój związek z Anetą. Powojenna przeszłość to kwestia nie jego sumienia.

– Co zrobiłeś, dziadku? – spytała Aneta.

Stary człowiek patrzył na nią i nic nie mówił. Oczy mu zwilgotniały.

– Co zrobiłeś? – powtórzyła Aneta.

Dwie łzy stoczyły się po pomarszczonych policzkach. Ołdakowski szybko starł je wierzchem dłoni.

– Nie nazywałem tego zbrodnią. Nie było innego wyjścia. Tylko to pozostawało. Tylko to. Gdyby ktoś się dowiedział, skutki byłyby katastrofalne. Musiałem chronić tajemnicę.

Co ten człowiek pieprzył? Kręcił, motał. Chciał oczyścić sumienie? Niech zrobi to bez zagadek, bez wybielania się.

– Co pan zrobił?! – wykrzyknął Rafał.

Aneta patrzyła z wyrzutem.

– Przepraszam – powiedział w jej stronę bezgłośnie.

Pokręciła głową.

– Tylko że teraz... zaraz umrę i nie mogę tak tego zostawić. – Stary człowiek mówił, jakby zupełnie nie słyszał Rafała. – Nie mogę. Każdy ma prawo do chrześcijańskiego pochówku. W ziemi. W poświęconej ziemi. – Wzdrygnął się. – Wiem, wiem, jestem partyjny, ale do takiego wniosku doszedłem. Nie wiem, co jest tam... – Zrobił nieokreślony ruch dłonią.

– Dziadku. – Głos Anety drżał. – Nie musisz. Dopilnuję twojego pogrzebu, kiedy przyjdzie czas. To jeszcze nie teraz.

Czy naprawdę myślała, że jej pradziadek mówi o własnym pogrzebie? Czy też starała się zatrzeć swoje słowa sprzed chwili? To przecież ona pierwsza spytała: „Co zrobiłeś?”. Jeśli naprawdę był ktoś za ścianą, to uczciwość nakazywała doprowadzić do rozkucia muru. Ciała ludzkie nie powinny gnić w nieznanym miejscu. Ich miejsce jest na cmentarzu. Nie trzeba nazywać tego chrześcijańskim pochówkiem, ale wieczny odpoczynek należy się każdemu.

– Byłem zazdrosny. Każdy by był. Wiedziałem, że ona już nigdy mnie nie pokocha. Poszliśmy więc tam. – Ołdakowski wbił pociemniałe oczy w Rafała, aż chłopak się cofnął. – Twój ojciec... czyim jest synem?

– Słucham?

– Jak ma na imię twoja babcia: Klara czy Basia?

– Barbara... babcia Basia.

– To nie ona. – Ołdakowski skurczył się i ukrył twarz w dłoniach. – To jeszcze gorzej.

Bredził bez sensu. Zaczął od zbrodni i tajemnicy, przeszedł do chrześcijańskiego pogrzebu, a kończył na babci Basi.

– Co moja babcia ma do tego?

Głos Rafała pisał jak nienastrojone skrzypce. Chłopak nienawidził własnego braku opanowania.

– Wiele... bardzo wiele... porozmawiajcie z Klarą. Albo nie... wcześniej jedźcie do Bartników... coś będziecie mieć w ręku.

W pokoju słychać było tylko chrapliwy oddech Ołdakowkiego. Rafał zastygł w oczekiwaniu.

– Dlaczego do Bartników?

Ucieszył się, że to wyszło od Anety.

– Do kancelarii parafialnej. Bartniki. Na Mazowszu. Ale najważniejsze po tym... porozmawiać z Klarą... rozkuć ścianę... Irena...

– Co Irena? – zapytał Rafał.

Tak jakby spodziewał się logicznej odpowiedzi. Bez żadnego porządku padały imiona kobiet z jego rodziny. Zosia, Irena, Klara, Basia. Starszemu panu mieszało się w głowie.

– Próbowałem rozmawiać z Klarą po pogrzebie – powiedział Ołdakowski. – Nie chciała mnie słuchać. Z Basią... to byłoby zbyt trudne.

Po twarzy staruszka łzy spływały strumieniem, a on już ich nie ocierał.

– Zosia... To nie jej wina. To on. Bałem się, nadal się boję, ale to musi być załatwione. Zadawali mi pytania. Nikt nie pomyślał. Ten drugi chrzest... Tak było trzeba... wtedy.

Zamilkł. Jego oddech się uspokoił.

– Dziadku – szepnęła Aneta.

– Zabiłem. Jedźcie do Bartników, porozmawiajcie z Klarą i zburzcie mur. Tam jest...

Znieruchomiał. Aneta drżała.

– Dziadku – powtórzyła.

Ołdakowski się wstrząsnął i spojrzał na nią szklanym wzrokiem.

– Kim jesteś? – spytał.

– To ja, Aneta.

– Aneta? Jestem zmęczony – powiedział spokojnie. – Gdzie jestem?

Aneta próbowała wyjaśniać, ale nie słuchał jej, zapadał się w głąb, we własny świat. W przeszłość, prawdziwą czy wymyśloną. Znów wymawiał

imiona Zosi i Ireny, wtrącał nazwiska Bawarskich, mówił coś do jakiegoś Staszka i Antka. Słowa nie były już skierowane do Anety i Rafała, obecność żyjących młodych ludzi zdawała się niedostrzeżona. Nie reagował nie tylko na głos, ale nawet na dotyk prawnuczki. Wyłączył zmysły.

– Myślę, że powinniśmy pójść – powiedziała Aneta. – Przyprowadź pielęgniarkę.

Rafał podniósł się i na nogach jak z waty doszedł do recepcji.

– Pan Ołdakowski źle się poczuł.

Chyba tych samych słów użył poprzednim razem. Recepcjonistka podniosła telefon.

– Coś się stało w siedemnastce. – Chwila przerwy, po czym krótkie: – Tak.

Rafał nie miał zamiaru dać się opanować uczuciu déjà vu. Pobiegł na górę. Aneta spojrzała smutno, gdy otworzył drzwi. Stary człowiek wyglądał zupełnie inaczej niż poprzednim razem. Nie był przestraszony ani wściekły. Po prostu jego kontakt z tym światem został przerwany.

– To nic takiego – oceniła pielęgniarka. Tym razem nie mówiła, że mają natychmiast opuścić dom opieki. Nie patrzyła z pretensją. – To się zdarza. Po kolacji dostanie normalne leki.

Ołdakowski nie zwrócił na nią uwagi.

– Będzie dobrze – powiedział w stronę kogoś, kogo widział tylko on. – Załatwiłem.

– Zaraz będzie spał – powiedziała pielęgniarka z uśmiechem.

Rafał był pewien, że to nie ta sama co poprzednio. Tamta się nie uśmiechała.

– Myśli pani, że to nasza wina? – spytała Aneta.

– Nie, zupełnie nie. To przydarza mu się regularnie. Ostatnio było aż za dobrze. Wyglądało, jakby mobilizował organizm do jakiegoś zadania.

Stary człowiek zamknął oczy.

– Będzie dobrze – powtórzył i się uśmiechnął.

Po chwili rozległo się pochrapywanie. We trójkę opuścili pomieszczenie.

– Zmęczenie – wyjaśniła pielęgniarka. – Reakcja na tę mobilizację.

– Myśli pani, że można go odwiedzać? – spytała Aneta.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Aneta bez słowa przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła. Rafał bał się przerwać milczenie. W końcu zdecydował się pokonać wewnętrzny opór. Chowanie głowy w piasek nie jest dobrą taktyką.

– Jesteś na mnie zła?

– Zła? Za co miałabym się złościć na ciebie? – Rafał wypuścił z ulgą powietrze. – Słyszałeś, co powiedziała pielęgniarka. On mobilizował organizm i to... to, co stało się potem, to normalna reakcja. Myślę, że prześpi się, odpocznie i będzie lepiej. Zastanawiam się...

Urwała. Zmieniła pas i wyprzedziła ciężarówkę.

– Nad czym się zastanawiasz?

– Ja? A, no tak. Widzisz, on mobilizował organizm, żeby coś nam powiedzieć. Zrozumiałeś to?

Rafał zawahał się.

– To było dość chaotyczne. Ale chyba przyznał się do morderstwa. – Aneta zadrżała i Rafał momentalnie pożałował użycia ostatniego słowa.

– Tak, tak – powiedziała szybko. – I żeby rozbić mur. Przedtem jednak radził nam rozmowę z Klarą... wiesz, kto to Klara?

– Siostra mojej babci.

– No właśnie. A jeszcze wcześniej mamy jechać do Bartników. Może pojedziemy teraz?

– Naprawdę?

– Chyba że nie masz czasu...

– Mam! Przecież nie pracuję.

Zadzwoił do domu i powiedział, że będzie późno. Tośka chyba się ucieszyła. Powiedziała, żeby uściskał Anetę.

– Dobra, dobra – mruknął. – Tylko nie rozwalcie domu.

Rozłączył się.

– Wszystko dobrze? – spytała Aneta.

– Tak. Tośka powiedziała, żeby cię uściskać.

– Poszukaj tych Bartników w Google i ustaw trasę.

Rafał wykonał polecenie.

– Będziemy jechać godzinę dwadzieścia minut – oznajmił.

Skinęła głowę. Gdy wyjechali z Warszawy, zjechała na pobocze.

– Więc zrób to – powiedziała.

– Co takiego?

– Uściskaj mnie.

Spojrzał w jej przejrzyste oczy i dostrzegł uśmiech.

– Sama o to prosisz – powiedział, biorąc ją w ramiona.

Znów wydawała się krucha i uległa, ale kiedy spróbował ją pocałować, odepchnęła go ze śmiechem.

– O pocałunkach nie było mowy.

GRUDZIEŃ 1945

Irena usiadła, przebudzona przez jakiś koszmar. Zosia odwróciła się do ściany, podciągając kołdrę na głowę. Irena na palcach podeszła do kołyski. Obie dziewczynki oddychały spokojnie. Wróciła do łóżka. Wszystko było dobrze. To, co jeszcze mogło być dobrze. Zdusiła szloch. Jutro Wigilia, należy radować się z przyjścia Pana. Radość nie nadchodziła. Trzeba jednak nad sobą panować, nie wolno wrócić do stanu sprzed kilku tygodni.

Wiadomość o śmierci Władka była ciosem w splot słoneczny. Śmiertelnym. Tak przynajmniej Irena uważała, gdy leżała we wspólnym łóżku, słuchała płaczu i śmiechu dziewczynek czy uspokajających słów Zosi. Gdy siostra ją obejmowała, Irena tylko się kuliła. Nie odtrącała jej, bo nie miała siły. Umarła i znajdowała się w piekle.

Następnego dnia Antek zaprowadził ją w miejsce, gdzie, jak twierdził, leżał Władek. Rano podmyła się, umyła pod pachami, przemyła twarz. Bez szemrania włożyła wybraną przez Zosię sukienkę i siedziała nieruchomo, gdy siostra ją czesała. Wykonała wysiłek, bo gdzieś na dnie tliła się nadzieja, że to wszystko nieprawda. Absurdalna pomyłka. Okrutny żart losu.

Zosia poprosiła Bawarskich o zajęcie się dziećmi i poszła z nią i z Antkiem. Przez całą drogę podtrzymywali Irenę. Niepotrzebnie. Nie przewróciłyby się. Romek im towarzyszył, ale trzymał się z boku.

A później Antek wskazał to miejsce. Mężczyźni rozkopali ziemię i Irena rzuciła się do grobu, nie zważając na ostry smród. Odnalazła prawą dłoń. Na palcu tkwiła obrączka, identyczna jak na jej własnej ręce. Irena zsunęła ją siłą i odczytała napis wygrawerowany od wewnętrznej strony: „Irena. 12.12.1939 r.”. To nic. To jeszcze nic. Ktoś włożył to temu mężczyźnie albo zmarły wziął ślub tego samego dnia i jego żona nosiła takie imię.

Popularne. Irena sięgnęła do kieszeni na piersi i wyciągnęła zdjęcie, z którym Władek się nie rozstawał, a które podarowała mu w czasach narzeczeńskich. Grzeczna dziewczynka w granatowej sukience z kołnierzykiem. Z tyłu wykaligrafowane: „Zawsze będę Cię kochać. Irena”. To też jeszcze nic. Ktoś odebrał to Władkowi i podrzucił tutaj w jakimś niezrozumiałym celu. Wpatrywała się w twarz, jednak rozkład posunął się na tyle daleko, że rysy były nie do rozpoznania. Plecy. Musiała zobaczyć plecy. Koszula rozdarła się, gdy ją rozpinęła. Irena oparła ciało na swoich kolanach i dotknęła znamienia, które tyle razy całowała, powtarzając: „Jesteś jedyny i wyjątkowy. Kocham cię właśnie takiego”. Wsunęła się do dołu i przycisnęła do męża. Nie pozwoli się oddzielić. Nigdy. Zostanie z nim. Oderwali ją siłą. Długo walczyła, uderzając na oślep pięściami. A potem wyczerpana rzuciła się na ziemię i wyła jak torturowane zwierzę.

Nie wiedziała, po jakim czasie i w jaki sposób znalazła się w pokoju. Zmobilizowała się jeszcze raz i poszła na pogrzeb, który Zosia zorganizowała przy pomocy Antka i Romka. Nic z niego nie pamiętała. Nie policzyła, ile dni spędziła w łóżku, nie reagując na bodźce. Zapewne Zosia ją karmiła i wyprowadzała na załatwienie potrzeb fizjologicznych, ale w umyśle nie pojawiała się pamięć o tym. Któregoś dnia głos Zosi powtarzający jej imię przedarł się przez barierę, dotąd szczelnie ją chroniącą. Skuliła się, położyła dłonie na uszach. Nie chciała wracać do świata. Nie chciała też nikogo wpuszczać do piekła. Siostra jednak nie odpuszczała:

– Proszę, nie zostawiaj mnie samej. Kocham cię. Potrzebuję cię. Dzieci cię potrzebują. My cię potrzebujemy.

Z pewnością nie pierwszy raz wypowiadała takie słowa. Irena chciała się odgrodzić, zabarykadować w piekle, ale coś jej nie pozwoliło. „To nie ma znaczenia. Musicie żyć” – usłyszała głos Władka. Tak mówił, gdy wypchnął ją z Warszawy. Obiecywał też, że przeżyje. Złamał tę obietnicę, a teraz błagał Irenę o opamiętanie. Nie tylko on. Mama też krzyczała: „Chroń Zosię. Błagam. Opiekuj się moją małą dziewczynką”. I wnuczkami, dodawała. Teraz to dodawała. I ojciec, na swój cichy, pozbawiony

ostentacji sposób mówił, że ją kocha. Nadal ją kocha i prosi, żeby żyła. Dla innych, ale przede wszystkim dla siebie. Może by to wszystko zignorowała, ale w tym momencie rozległ się płacz dzieci. Zosia wstała momentalnie. Irena słyszała, jak siostra mówi do dziewczynek, jak śmieje się do nich, jak ich płacz cichnie i odpowiadają radosnym gaworzeniem.

– Nie zostawię cię samej. Ich nie zostawię.

Irena nie była pewna, czy rzeczywiście to powiedziała. Coś – ktoś – może Władek, może mama, może tata, a może razem – pomogli jej wstać. Podeszła do kołyski. Zosia uśmiechnęła się do niej.

– Weźmiesz Basię?

Irena skinęła głową. Wyciągnęła córkę i przytuliła. Dziecko roześmiało się radośnie. Zosia wzięła na ręce drugą dziewczynkę. Irena pogłaskała Klarę po główce, a ta odwróciła się do niej ze szczęśliwym wyrazem twarzy.

– Chodźmy do kuchni przygotować dla nich jedzenie.

Wieczorem Irena obracała w palcach sygnet rodowy rodziny Barcickich. Przed pogrzebem nawet nie pomyślała, żeby wsunąć go mężowi na palec. A teraz on nigdy go nie założy. Nigdy. Nigdy.

Wróciła do życia. Opiekowała się dziewczynkami, kiedy Zosia pracowała na poczcie. Wcześniej w tym czasie zajmowała się nimi Bawarska. Irena wstydziła się, że na początku uznała współlokatorkę za wstrętne babsztyla. To była dobra życzliwa kobieta. Trochę nieokrzesana i szorstka. Jaka jednak mogła być po tym, co zrobiła jej wojna? Dwójkę jej dzieci: dziesięcioletniego chłopca i sześciolletnią dziewczynkę rozszarpał granat. Kiedyś, gdy jej własne dzieci bawiły się w oddaleniu, a Basia i Klara spały, Bawarska, zachłystując się, opowiedziała o tym Irenie. Rana, gdy giną dzieci, rwie i pali przez całe życie. Irena, która ledwie pozbierała się po stracie męża, blokowała myśl, że mogłoby ją spotkać coś takiego. Gdyby to się stało, nie podniosłaby się z łóżka. Nie pomogliby ani żywi, ani umarli. Teraz pomagali wszyscy. Irena wierzyła, że jej bliscy czuwają z zaświatów, ale pomoc żywych była bardziej namacalna. Zosia... wiadomo... to Zosia

wyciągnęła ją z piekła, Zosia i dziewczynki. Żyła dzięki nim. Byli też jednak inni. Bawarscy. Romek załatwił rentę po mężu. Bez jego wstawiennictwa nic by nie dostała, bo Władek walczył w AK. Antek wpadał codziennie. Pisał do „Życia Warszawy” i mógł wygospodarować czas w ciągu dnia. Traktował ich jak rodzinę, sam stracił wszystkich oprócz siostry. Niekiedy chodził z Ireną i z dziećmi na spacer. Z czasem nauczyła się ufać mu na tyle, że wkładała dziewczynki do wózka, Antek szedł z nimi na dwór, a ona w tym czasie zajmowała się obiadem. Zostawał potem, jadł coś, ale najczęściej towarzyszył jej przy herbacie. Czasem z nim rozmawiała, czasem milczeli. Przyzwyczaiała się do jego obecności.

Odczuła wreszcie coś na kształt radości. Święta spędzą we własnym mieszkaniu. Ona, dzieci, Zosia. Bawarscy będą z nimi. Zaprosiły też Romka i Antka. Od kilku dni gotowały razem z Bawarską. Pan Jezus będzie obecny na wieczery. Ci, którzy odeszli, ci, którzy powinni być z nimi, też przyjdą. Władek. Oczy wypełniły jej się łzami. Gdzieś, w innym świecie, mąż ją przytulił. To musiało wystarczyć. Znów wyjęła sygnet. Chociaż mąż nigdy go nie nosił, dotykając go, czuła się bliżej niego.

Zosia odczytała fragment z Biblii. Bawarski jako najstarszy mężczyzna i gospodarz podniósł talerz z opłatkiem.

– Niech Dziecina pomaga nam w życiu – powiedział po prostu.

Każdy wziął po kawałku i rozpoczęło się składanie życzeń. Irena mówiła krótko. Od kiedy pamiętała, kreatywność zawodziła ją w takich momentach. Nie mogła też skoncentrować się na słuchaniu. Pozwalała brać się w ramiona, ciepło drugiego człowieka dawało inne uczucie, w zależności od tego, z kim się przytulała. Klara i Basia nie tylko w Wigilię potwierdzały sens. Zosia oznaczała siłę, jaką się czerpie z siostrzanej miłości. Bawarscy solidarność. Ich dzieci nadzieję. Romek przyjaźń. Antek też. Chociaż, gdy ją objął i szeptał w ucho jakieś słowa, obudziło się w niej

coś jeszcze, coś, co powinno umrzeć razem z jej mężem, co uważała za nieżywe. Wolała się na tym nie skupiać, jednak za każdym razem, gdy spojrzenia jej i Antka się krzyżowały, przesywał ją dreszcz. Przyjemny. Spuszczała oczy, śpiewała z innymi kolędy, brała udział w rozmowach o odbudowie, o pracy, o dzieciach. A później znów szukała wzroku tamtego mężczyzny i odczytywała w nich obietnicę. W głowie jej szumiało, chociaż nie tknęła alkoholu. Ktoś zastukał do drzwi frontowych.

– Kto to może być? – zastanawiał się Bawarski, wstając.

– Ja pójdę – powiedział Antek.

Widziała blask w jego oczach. Wiedział, kto to. Po chwili wrócił z nieznanym mężczyzną, dźwigającym okazałą walizkę.

– To pan Dominik Marczewski, fotograf. – Mężczyzna skłonił głowę. – Zrobi nam zdjęcie. Pierwsza powojenna wieczerza wigilijna wymaga upamiętnienia.

Pomyślał o tym. Sprawił wszystkim najlepszy prezent.

Irena wzięła na rękę Basię, Zosia Klarę. Dziewczynki Bawarskich ukucnęły z przodu, a chłopcy ustawili się po bokach w pierwszym rzędzie. Ich rodzice stanęli w ostatnim, razem z Antkiem po prawej stronie i Romkiem po lewej. Irena nie musiała się szczerzyć, uśmiech rozjaśniał jej twarz. Po raz pierwszy od rozstania z Władkiem poczuła się szczęśliwa.

Fotograf usiadł z nimi przy stole. Wychylił kieliszek wódki z mężczyznami. Bawarska usiłowała go namówić do skosztowania śledzia. Pokręcił głową.

– Dziękuję, ale muszę wracać do żony.

Niedługo po jego wyjściu dziewczynki zasnęły w kołysce.

– Przenieśmy je do naszego pokoju – powiedziała Irena do Zosi.

Zosia się podniosła, ale Antek był pierwszy.

– Pójdę z tobą.

Irena skinęła głową.

Gdy razem przyglądali się śpiącym dzieciom, Antek szepnął:

– Są takie słodkie. – Oboje podnieśli głowy i na moment Irena zatopiła się w jego spojrzeniu. – Prawie tak słodkie jak ty.

Uśmiechnęła się.

– Chodźmy już.

Przy drzwiach musnął ustami jej włosy. Udała, że nie zauważyła. Usiadła przy stole i rozpamiętywała tamten moment. Chciała więcej. I więcej.

Dziewczynki nie obudziły się do końca wieczery. Romek i Antek wyszli około pierwszej w nocy. Pożegnanie było bardziej czułe niż zwykle. Wiadomo, Wigilia. Nikt nie mógłby dopatrzeć się w tym niczego niewłaściwego. Nawet w tym, że wargi Antka dotknęły jej warg. Szybko, przelotnie. Chciała więcej.

Śnił jej się Władek. Był z nią w jednym łóżku. Przytulał ją, całował. Obudziła się i spojrzała na równomiernie oddychającą siostrę. Zalały ją tęsknota i poczucie winy. Władek. Władek. Władek. Nigdy go nie będzie. Nigdy. Chciała krzyknąć i uderzać głową w podłogę. Przeszył ją nagły strach, prawie zatrzymując akcję serca. Dlaczego dziewczynki nie płaczą? Rzadko zdarzało im się przesypiać całą noc. Podeszła do kołyski, nachyliła się. Żyły. Oddychały. Obie. „Są słodkie. Prawie tak słodkie jak ty”. Coś było nie tak. Z nią coś było nie tak. Uklękła przy kołysce, schowała twarz w rękach i płakała. Usłyszała szelest. To Zosia wstała, osunęła się na kolana obok i wzięła siostrę w ramiona. Łzy popłynęły jeszcze obficie.

SIERPIEŃ 2020

– Czego właściwie szukamy?

Nawigacja wskazywała, że do Bartników pozostało sześć kilometrów, sześć minut jazdy.

– Kościoła w Bartnikach. Dokładniej kancelarii parafialnej – odpowiedział Rafał.

– Tak, wiem – mruknęła Aneta. – Załóżmy, że znajdziemy i uda nam się tam z kimś porozmawiać. O co zapytamy?

Rafał szukał wskazówki w chaotycznych słowach Ołdakowskiego.

– No, nie wiem. Jedyne, co mamy, to nazwiska. To musi być związane z moją prababcią i jej siostrą. Moja prababcia nazywała się Irena Barcicka – sprawdził tę informację, kiedy okazało się, że strachy w piwnicy mogą mieć coś wspólnego z jego rodziną – a...

– A jej siostra to Zofia Ronik – dokończyła Aneta, zatrzymując się na parkingu kościoła.

Gdy weszli do przedsionka i szukali na ścianach informacji na temat kancelarii, Rafał dostrzegł obszerną notatkę o historii świątyni. Kościół budowano w latach 1909–1913.

– Neogotyck – mruknął.

Aneta spojrzała pytająco. Uśmiechnął się.

– Słabo u mnie z wiedzą o architekturze – wyjaśnił.

Nie słuchała.

– Tu jest. Zobacz. – Podążył za jej spojrzeniem. – Kancelaria parafialna czynna od poniedziałku do piątku w godzinach od trzynastej do czternastej – odczytała.

Spojrzał na zegarek.

– Jest wpół do trzeciej.

– Właśnie. Możemy tylko mieć nadzieję, że ktoś się nad nami zlituje. Chodźmy do środka.

Kościół był pusty. Rafał odruchowo przeżegnał się i przyklęknął.

– Chcesz się pomodlić? – spytała Aneta.

Nie był pewien, czy z niego nie drwi.

– Niekoniecznie.

– Ja chcę – powiedziała i weszła do rzędu ławek.

Ukląkł obok. Tak, chciał się pomodlić, ale nie wiedział, jakich użyć słów. Odmówił więc Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo – pacierze wyuczone w dzieciństwie. Bóg, jeśli istnieje, wie, o co chodzi. Lepiej wyrzucić „jeśli”. Rafał nie chciał się narażać. Przez takie myśli tylko się pograżał. Skoncentrował się na słowach modlitw.

– Idziemy? – szepnęła Aneta.

Wstał i poszedł za nią. Salka po lewej stronie od ołtarza była pusta. Aneta westchnęła.

– Musimy poszukać czegoś lub kogoś na zewnątrz.

W przedsionku natknęli się na wysokiego mężczyznę w dzinsach i T-shircie. Dziewczyna obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Dzień dobry. – Jej oczy były jasnoniebieskie, przejrzyste. Rafał chciałby, żeby w ten sposób uśmiechała się tylko do niego. – Nie wie pan, gdzie jest ksiądz?

Wargi mężczyzny rozciągnęły się w uśmiechu.

– Dzień dobry – odpowiedział, patrząc tylko na nią. – Wiem.

– A więc gdzie możemy go znaleźć?

Nie wyglądało, żeby straciła pewność siebie. Mężczyzna nie przestawał się uśmiechać. Rzucił okiem na Rafała i skinął mu głową. Chłopak odpowiedział tym samym.

– Wejdę na moment się pomodlić i zaprowadzę was do niego, dobrze?

– Oczywiście – odpowiedzieli chórem.

Wyszli na dziedziniec. Dwie zakonnice, przyglądając im się podejrzliwie, minęły ich i podążyły do kościoła.

– Ty też czułeś się niepewnie, gdy tak na nas patrzyły? – spytała Aneta.

– No tak. Chyba wyglądamy na czarne charaktery.

Wybuchnęli śmiechem.

– Chyba tu mają mało turystów, chociaż kościół ładny – powiedziała dziewczyna. – Dlatego każdego obcego traktują jak potencjalnego bandytę.

– Myślisz, że nie tylko nas?

– Tak myślę, o ile inni w ogóle tu zaglądną. – Umilkła, a po chwili dodała:

– Mam tremę. Ten ksiądz przypuszczalnie nas wyrzuci, bo sami nie wiemy, czego chcemy.

– Będzie dobrze – powiedział Rafał, chociaż przeczucie mówiło mu coś zupełnie innego.

– Obiecujesz?

– Pewnie. Przecież się pomodliliśmy.

Skinęła głową. Nie potraktowała tego jak dowcip. I to chyba nie miał być dowcip.

– Posiedźmy trochę. – Aneta wskazała ławkę.

Usiedli. Nie było skwierczącego upału. Słońce grzało przyjemnie. Aneta położyła głowę na jego ramieniu. Prawie wstrzymał oddech. Żył w bajce. Przynajmniej przez chwilę.

– To chodźcie.

Rafał otworzył oczy. Naprawdę spał kilka minut. Sen się kończył, bajka się kończyła. Spojrzał na Anetę. Nadal przy nim była. Wstali i podążyli za mężczyzną. Weszli do niewielkiego budynku tuż za płotem kościelnym. Plebania, pomyślał Rafał. Nieznajomy otworzył kluczem pierwsze drzwi.

– Proszę.

Aneta bez wahania weszła do środka. Rafał pomaszerował za nią. Znajdowali się w pokoju pełnym półek. Stały na nich głównie segregatory, ale też trochę książek. Na stole leżała otwarta gruba księga. Zapewne

Biblia. Na ścianie naprzeciwko wielki krzyż i obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Mężczyzna z uśmiechem zajął miejsce przy księżce i wskazał krzesła naprzeciwko.

– Słucham, co was sprowadza?

– To pan jest księdzem? – spytała Aneta. – To znaczy, to ksiądz...

– Tak. Jestem księdzem.

Przez chwilę milczeli.

– Szukamy – zaczął Rafał. – Chcemy coś wyjaśnić, ale mamy tylko nazwiska. Skierowano nas tutaj. – Mężczyzna uniósł brwi, a Rafał brnął dalej: – Bo... wydaje nam się, że jest jakaś zagadka związana z moją rodziną. Irena Barcicka i Zofia Ronik. – Wziął głęboki oddech i dodał: – Czy mógłby ksiądz sprawdzić, czy nie ma żadnych wzmianek o nich w dokumentach?

– Z jakiego okresu?

– Nie wiem. – Dokonał w pamięci obliczeń. Jego prababcia nie mogła urodzić się później niż w tysiąc dziewięćset dwudziestym. – Mniej więcej od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku do... – Zawahał się. Zosia zaginęła w czterdziestym szóstym. – Do czterdziestego szóstego.

– To szmat czasu – powiedział ksiądz. – Nie mamy jeszcze wersji cyfrowej z tamtego okresu. Ale to nic. Podam wam dokumenty, poszukacie sobie. Nie mogę was zostawić samych, ale poczytam Pismo Święte.

Stół zapełnił się segregatorami. Zaczęli od najstarszych. Aneta wzięła jeden, Rafał kolejny. Nic. I znowu nic. I znowu.

– Zobacz – powiedziała Aneta. – Jej głos drżał.

Wskazywała palcem notatkę. Rafał spojrzał.

Barbara Barcicka, urodzona 12 kwietnia 1945 roku. Matka: Irena Barcicka. Ojciec: Władysław Barcicki. Chrzest odbył się 22 kwietnia 1945 roku. Rodzice chrzestni: Zofia Ronik i Bartłomiej Załęski.

Rafał nie rozumiał. Później jakiś ślub. I jeszcze jeden. Kolejne dziecko było już z maja.

– Ale... – zamilkł. – Tu jest tylko Barbara.

– Właśnie. Może o to chodziło pradziadkowi.

– To znaczy o co? Klara została adoptowana? Nie jest biologiczną siostrą mojej babci?

– Adoptowana – powtórzyła w zamyśleniu. – To chyba nie znaczyło wtedy to samo. Może jej rodzice zginęli. Nie wiem. Poszukajmy dalej.

Szukali. To Rafał pierwszy zauważył. Teraz on położył palec w odpowiednim miejscu, nie będąc w stanie wykrztusić słowa.

Klara Ronik, urodzona 1 czerwca 1945 roku. Matka: Zofia Ronik. Ojciec: Stanisław Antolak. Chrzest odbył się 12 czerwca 1945 roku. Rodzice chrzestni: Irena Barcicka i Bartłomiej Załęski.

Potańczało.

– Kim był Bartłomiej Załęski?

Znalazł szokującą informację, a pytał o jakieś bzdury. Mężczyzna naprzeciwno podniósł oczy znad Biblii.

– W czasie wojny i po wojnie był księdzem w naszej parafii. To brat mojego dziadka.

Rafał bębnił palcami po stole, usiłując zrozumieć, co wynika z właśnie poznanej informacji. Klara była córką Zosi. Nieślubną, bo Zosia nie miała męża. Słowa Ołdakowskiego chyba oznaczały, że ją o tym poinformował. Albo próbował. Nawet jeśli, nie wiadomo, czy uwierzyła. Może wołała nie wierzyć. No i co z tego? To z tego, że za ścianą w spółdzielczej piwnicy jest jej matka. Nie wiesz tego, upomniał się w duchu. To tylko spekulacje wzmagane przez gadki prawie stuletniego starca. W jednym z jego dobrych okresów, które gęsto przeplatały się ze złymi. Mogło mu się mącić w głowie w każdym czasie. Okruchy prawdziwych informacji mogły się mieszać z fikcją.

– Przestań.

Aneta na moment położyła rękę na jego dłoni.

– Przepraszam – szepnął, zdając sobie sprawę, że od jego stukania trząść się stół.

– Czy brat dziadka księdza żyje? – spytała.

Duchowny pokręcił głową.

– Niestety, nie. Zmarł w ubiegłym roku.

– A dziadek?

– Nie, nie. On zmarł jeszcze wcześniej.

– Przykro mi – powiedziała dziewczyna, a ksiądz skinął głową.

– Dlaczego te chrzty były tutaj?

Rafał nie zdawał sobie sprawy, że powiedział to na głos, dopóki nie usłyszał odpowiedzi.

– W czasie wojny wielu ludzi szukało schronienia na wsi. Tu zazwyczaj było bezpieczniej. Jeśli ktoś miał rodzinę...

– Były u rodziny? – przerwał Rafał.

Znów idiotyzm. Skąd ten facet może wiedzieć? Rafał sam powinien do tego dojść. Rodzina sióstr to równocześnie jego rodzina.

Ksiądz uśmiechnął się życzliwie.

– Nie wiem. Wiem tylko, że u nas żyje rodzina Antolaków. Może to rodzina ojca Klary? – zasugerował.

Rafał wpatrywał się w mężczyznę z otwartymi ustami. Ojciec Klary. Właśnie. Kim był ojciec Klary? Czy to jej narzeczony akowiec, o którym nie mogła zapomnieć?

– Myśli ksiądz, że porozmawialiby z nami? – odezwała się Aneta.

Mężczyzna patrzył na nią bez uśmiechu.

– Dlaczego to was tak bardzo interesuje? – odpowiedział pytaniem. – Kim właściwie jesteście?

– Przepraszam – powiedziała Aneta. – Nie przedstawiliśmy się. – Jestem Aneta Rogucka, a to mój przyjaciel Rafał Stróżewski.

– Ksiądz Dominik Załęski – zrewanżował się duchowny. – Jestem proboszczem tutejszej parafii.

Pierwsze pytanie księdza Dominika nadal pozostawało bez odpowiedzi. Rafał pomyślał niechętnie, że jego rolą jest wyjaśnienie.

– Pracujemy w agencji ochroniarskiej w Warszawie – zaczęła Aneta – i wydaje nam się, że tam straszy. To znaczy nie w agencji, tylko w jednym miejscu, do którego chodzimy. W spółdzielni mieszkaniowej.

– Straszy? – powtórzył zdezorientowany duchowny.

– Ksiądz nie wierzy w duchy?

– Muszę wierzyć w duchy. W końcu jestem księdzem. Tylko nie wiem, czy one... czy one mogą się z nami kontaktować.

– Dzieją się tam dziwne rzeczy – podjął Rafał. – Winda sama jeździ, słyhać szepty, krzyki, wołania o pomoc. Dowiedzieliśmy się, że pracowała tam Zofia Ronik. Właśnie ta. – Wskazał nazwisko w dokumencie. – To siostra mojej babci. Zaginęła w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku. Pradziadek Anety skierował nas tutaj. To ma nas przybliżyć do rozwiązania.

Pominał fakt, że Ołdakowski praktycznie przyznał się do zabójstwa.

– W osiemdziesiątym piątym też tam straszyło – dodała Aneta.

– Wtedy pracowała tam moja ciotka – uzupełnił Rafał. To chyba oznacza, że ten... ktoś w budynku chce czegoś od mojej rodziny.

– Może to prawda. Kiedyś dziadek, to znaczy brat dziadka, mi opowiadał, że gdy był młodym księdzem i umarł proboszcz, coś chodziło po bibliotece. Noc w noc. Tylko że nikogo tam nie było. Dziadek Bartek – tak go nazywałem – w końcu przeszukał książki i w jednej znalazł wypominki. Nie zostały odprawione. Dziadek odprawił i nocne hałasy umilkły. Zmarły ksiądz prosił, żeby załatwić niezłatwione sprawy.

– No widzi ksiądz – powiedziała Aneta. – A więc kontakt jest możliwy, jeśli sprawa jest ważna.

Ksiądz Dominik westchnął.

– Dobrze – powiedział wolno. – Pójdę z wami do Antolaków.

STYCZEŃ/LUTY 1946

Zosia

Zostałam z dziewczynkami. Antek zaprosił Irenę do kina. Początkowo odmówiła, ale ponowił zaproszenie. Tym razem przy mnie. Jakby prosił o wstawiennictwo. I wstawiłam się. Powiedziałam Irenie, żeby poszła, trochę się zabawiła, że ja zostanę z dziewczynkami i to będzie przyjemność. Patrzyłam na nią twardo i powiedziała „tak”. Później nawet trochę się wstydziłam za ten wzrok. Obie dobrze wiemy, o co mi chodziło. Nie o to, żeby moja siostra odetchnęła.

Ta twardość pojawiła się niedawno. W Bartnikach wszystko było normalne. Irena nie udawała matki mojej córki. Nawet jej to do głowy nie przyszło. Dopiero tutaj się zaczęło. Moje córeczki. Tak powiedziała o nich do Romka, a ja nie zaprotestowałam, nie krzyknęłam, że Klara jest moja. Byłam zbyt słaba albo zbyt wdzięczna za to, co zrobiła dla mnie wcześniej. I tak zostało. Wszystkim mówiła, że to jej dzieci. Zarejestrowała je tak w urzędzie. Próbowałam z nią rozmawiać, ale tłumaczyła, że tak jest lepiej. Nikt nie wytyka mnie palcem. Mogę iść do pracy, a przecież jedna z nas musi zarabiać. Zasiłku nie wystarczy. Ona jest mężatką i ludzie się nie dziwią, nie obgadują.

– To tymczasowe – dodawała. – Kiedy Staszek wróci, zmienimy wszystko w dokumentach.

Mój bunt był zbyt słaby, argumenty niewystarczające. Może nie tylko dlatego, że jest starszą siostrą, która mnie zawsze chroniła. Może tak było mi wygodniej. Nie chciałam nosić piętna panny z dzieckiem. Nie chciałam, żeby ktoś szeptał za mną „puszczalska” albo może wykrzyczał mi to w twarz. Nie chciałam, żeby wołano za Klarą „bękart”. Podporządkowałam się. Kiedy przyszła wiadomość o śmierci Władka, skupiłam się, żeby zapewnić siostrze wsparcie, a dzieciom opiekę. Od jakiegoś czasu jednak

Irena funkcjonuje i nie muszę obchodzić się z nią jak z jajkiem. Na razie nie wracam do tematu, rzucam jej tylko te spojrzenia, a ona udaje, że ich nie dostrzega. Nie będzie mogła udawać bez końca, a ja nie będę milczeć bez końca. Dzisiaj powtarzałam Klarze: „Jestem twoją mamą, wiesz? Twoją mamusią”, a ona się śmiała. Jestem tchórzem, bo robiłam to tak, żeby nikt poza dziewczynkami nie słyszał. Basi mówiłam, że jej mamusia poszła do kina i zostałyśmy we trzy: ona, ja – czyli jej ciocia – i Klara – jej siostra. Też się śmiała. Obie śmieją się razem. Razem też płaczą. Wbrew temu, co Irena wszem i wobec rozgłasza, nie są bliźniaczkami, nie są nawet rodzonymi siostrami, ale i tak istnieje między nimi bliźniacza więź.

Teraz śpią, a ja patrzę na ich słodkie twarzązki. Obie są śliczne, ale to Klara jest moim dzieckiem. Krew z mojej krwi, kość z mojej kości. I Staszka. Ma jego nos i brwi. Basia jest podobna do swojej matki. Na razie nie umiem doszukać się w niej cech ojca. Znów przyglądam się swojej córce. Zbieram odwagę. Kiedy Irena wróci, muszę z nią porozmawiać. Muszę postawić na swoim.

– Zosieńko, połóż się do łóżka.

Gwałtownie się prostuję i otwieram oczy. Zasnęłam nad kołyską. Odruchowo patrzę na zegarek. Zbliża się północ.

– Nie – protestuję. – Najpierw porozmawiajmy.

Irena wygląda na zmęczoną. Nic mnie to nie obchodzi. Była na filmie z Antkiem, później pewnie chodzili po mieście, może nawet weszli do kawiarni.

– Dobrze.

Siada na łóżku i patrzy na mnie. Wydaje mi się, że jej oczy są smutniejsze niż zwykle. To też mnie nie obchodzi. Nie jest laleczką z porcelany. Jest moją starszą siostrą, której muszę się przeciwstawić.

– Klara nie jest twoją córką – zaczynam.

Wstrząsa się.

– Wiem o tym.

– Tak – mówię cicho. Nauczyłyśmy się rozmawiać niemal bezgłośnie, nie przeszkadzać innym lokatorom i nie budzić dziewczynek. – I to koniec. Nikt inny nie wie. A one? Co im powiesz? Czy tak jak wszystkim wokoło, że jesteś ich mamą?

– Nie.

– Nie? A więc co? Powiesz Klarze, że to ja jestem jej mamą, ale musi tak mówić do ciebie, żeby nikt się nie dowiedział? A do mnie „ciociu”? Nawet kiedy jesteśmy same, żeby jej się nie wyrwało przy obcych?

Nadal mówię cicho, właściwie szepczę, ale Irena cofa się pod ścianę, jakbym krzyczała.

– Powiedz coś – ponaglam.

Kręci głową, a po policzkach spływają jej łzy. Chciałabym ją przytulić, znów ją pocieszać, ale nie. Muszę pilnować własnych praw. To ona zabiera mi córkę.

– To tylko tymczasowe – mówi jak wcześniej. – Dopóki Staszek nie wróci. Wtedy wszystko się uporządkuje.

– A jeśli nie wróci?!

Milknę przerażona. Do tej pory wyganiałam nawet takie myśli, a teraz powiedziałam to na głos. Chciałabym cofnąć słowa, jakby mogły sprowadzić zły los. Irena przestaje płakać. Wstaje i przytula mnie. Nie bronię się.

I tyle. Znów jesteśmy w zawieszeniu. Znów idę do pracy. Znów wszyscy uważają mnie za ciocię Klary. A przecież dalej tak być nie może. Klara niedługo zacznie mówić. Czy naprawdę zgodzę się, żeby nazywała mnie ciocią? Staszku, błagam w myślach. Wróć do mnie. Boję się. Tak bardzo się boję.

Po kolacji przychodzi do nas Romek. Do pokoju, żeby nie przeszkadzać Bawarskim. Lubię go, bardzo nam pomaga, ale nie chcę go tu widzieć.

Zastanawiam się, czy to Irena go zaprosiła, bo boi się rozmów sam na sam ze mną.

– Udało mi się! – mówi Romek. – Spółdzielnia będzie działać. Będę dyrektorem.

Od długiego czasu starał się o wznowienie działalności spółdzielni. Nie potrafię i nie chcę podzielać jego entuzjazmu. Jedyne, o czym myślę, to Klara. I Staszek. I Irena, która uwięziła mnie w chorym kłamstwie.

– Gratuluję!

Irena uśmiecha się do niego. Powinnam przyłączyć się do gratulacji, ale nawet nie patrzę na sąsiada. Wzrok mam wbity w twarz siostry.

– Zosiu. – Powoli, niechętnie, przenoszę spojrzenie na Romka. – Zastanawiam się, czy nie chciałabyś pracować tam jako sekretarka. – Nie odpowiadam, bo i po co? Mam pracę. Przyzwyczyłam się do poczty. – Myślę, że będę w stanie zaproponować ci godziwą pensję.

Wymienia sumę, od której kręci mi się w głowie. To trzy razy więcej niż zarabiam na poczcie.

– Ja...

– Zosiu, myślę, że to wspaniała oferta. – Irena wchodzi mi w słowo.

Ma rację. Nie mogę pozwolić sobie na odrzucenie takich pieniędzy. Chociażby ze względu na Klarę. Patrzę na siostrę. Tak twardo jak tylko potrafię. Spuszcza oczy.

– Pomyślę – zwracam się do Romka. – Jutro dam ci znać.

– Dobrze. Będę zbierał kadrę i ruszamy już od lutego.

Uśmiecha się do mnie. Sądzę, że się we mnie podkocha. Stąd te wszystkie propozycje, stąd ta cała pomoc.

– Może znajdziesz też coś dla mojego narzeczonego – rzucam.

Jego uśmiech znika. Zraniłam go. Chciałam go zranić.

– Staszek wrócił?

– Jeszcze nie, ale mam nadzieję, że niedługo.

Wymieniają z Ireną spojrzenia.

– Napijesz się jeszcze herbaty? – Moja siostra przerywa niezręczną ciszę.

– Dziękuję, już późno. Muszę wracać do siebie. Dobranoc.

Po jego wyjściu biorę Klarę na ręce.

– Jestem twoją mamą, wiesz? Twoją mamusią.

Mam zamiar to powtarzać, niezależnie od tego, czy Irena będzie obecna, czy nie. Przynajmniej tyle.

Następnego dnia mówię Romkowi, że będę pracować w spółdzielni. Z Ireną nie rozmawiam. Nie wyrywam się z klatki.

Wracam do domu po pierwszym dniu w spółdzielni. Pozycja sekretarki podoba mi się bardziej niż praca na poczcie. Mam do uporządkowania sporo papierów, niektóre jeszcze przedwojenne, i tym się dziś głównie zajmowałam. Romek wszędzie musi złożyć podpis, ale mnie nie sprawdza. Samodzielność mnie uskrzydla. Było kilkunastu interesantów, nie wszystkich kierowałam do dyrektora, niektóre sprawy załatwiałam sama. Ludzie traktują mnie z szacunkiem. To miłe. Wcale nie miałam wiele kontaktu z Romkiem. Mam nadzieję, że tak pozostanie.

Nagle staję jak wryta, wpatrując się w afisz. Zawiadomienie o publicznej egzekucji. Nigdy nie miałam zamiaru oglądać takiego spektaklu. Wieszają zbrodniarzy, rozumiem to, ale nie potrafiłabym patrzeć, jak ktoś się szarpie, dusi, może kona w mękach. Godzina zapłaty. Bawarski używa tego wyrażenia. Powiedział, że wybrałby się popatrzeć. Nawet to rozumiem. Taka symboliczna zemsta za śmierć dwójki dzieci. Nie, zareagowała wtedy jego żona. Nie wybrałbyś się. Nie jesteś taki jak oni. Zdumiała mnie. Wyszła natychmiast, ale słyszałam jej płacz. Obudziłam się koło drugiej w nocy i poszłam do łazienki. Bawarski siedział w kuchni przy lampie naftowej. Pił, a jego oczy były puste.

Zatrzymałam się przed tym afiszem, bo moją uwagę przyciągnęło nazwisko. Adrian Kenig^[1]. Zastępca Szefa Urzędu Gubernatora Dystryktu Warszawskiego. Ten sam, w którego towarzystwie odbyłam jedyną

przejażdżkę samochodem. Pomimo zgliszcz i trupów na ulicach, pomimo rozstania z ukochanym, pomimo roztrzęsionej ciężarnej siostry obok, czerpałam z niej przyjemność. Ten, który nas wiozł, zostanie teraz stracony. Ten, który nam pomógł. Zbrodniarz. Czas zapłaty. Zbrodniarz? Nic o nim nie wiem. Nic, oprócz tego, że to on wywiózł nas z Warszawy. Że dzięki niemu dotarliśmy bezpiecznie do mamy Staszka. Egzekucja jest zaplanowana na dzisiaj. Za pół godziny. Nie chcę tam iść, patrzeć na jego śmierć. Mimo to stawiam kolejne kroki, ledwie powłócząc nogami. Coś mnie tam pcha.

Gdy docieram na miejsce, wokół gromadzi się całkiem spory tłum. W pobliżu sprzedają lody i napoje. Mnóstwo osób kupuje, jakby oszczędzali właśnie na tę okazję. Słysząc śmiechy i obelgi. Wreszcie ludzie mogą sobie na to pozwolić. Wcześniej musieli ustępować miejsca, kłaniać się w pas, przyjmować razy. Przepycham się przez roześmianych mężczyzn, kobiety, dzieci. Coś zimnego spada mi na dłoń. To kawałek lodu. Strząsam go, ale tłusty ślad brudzi sukienkę.

Kenig stoi ze spuszczoną głową. Boję się. Tak bardzo się boję. Ktoś rzuca ogryzkiem jabłka. Skazaniec jakby tego nie zauważa, nie podnosi wzroku.

– Panie Kenig!

To też wyszło wbrew mojej woli. Głos jest wyraźny, przebija się przez śmiechy zgromadzonych. Kenig podnosi głowę, rozgląda się. Gdy jego oczy spotykają moje, na nadal przystojnej twarzy pojawia się uśmiech.

– Panna Zosia!

Brzmi jak wtedy, gdy prowadził nas do samochodu. Grzecznie i miło. Prawie czekam, żeby dodał: „Wolałbym, żebyśmy spotkali się w weselszych okolicznościach”.

– Nie róbcie tego! – krzyczę, jakbym miała nadzieję, że nie dopuszczę do egzekucji.

– Hej, paniuńciu, spokojnie. Może to nie dla paniuńci widoki.

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu, ale strząsam ją natychmiast. Mam ochotę walić na ślepo, uciszyć ten beztroski śmiech dzieci, te pełne

zadowolenia głosy, tę bezustanną drwinę. Czas zapłaty. Stoję nieruchomo. Nie chcę, żeby mnie stąd usunięto. To znaczy chcę, ale wiem, że muszę oglądać. Widzieć wszystko. Co za bzdura. Pojawia się kat we fraku i białych rękawiczkach. Tanecznym krokiem zbliża się do skazańca.

– Panno Zosiu! – Kenig zwraca się do mnie ponownie. – Władek... Władek...

– Hej! – przerywa mistrz sprawiedliwości. – Nie ma pogaduszek. Wybieramy się w ostatnią podróż.

Popycha Keniga w kierunku podwyższenia. Kenig idzie posłusznie, ale nadal patrzy na mnie. Co on chce powiedzieć? Zapewne, że Władek nie żyje. Wiemy o tym. Chcę zapytać o Staszka, ale głos więźnie mi w gardle.

– Władek – powtarza Kenig.

Kat uderza go w głowę pięścią.

– Pogaduszek mu się zachciało – zwraca się do tłumu. – Lepiej żałuj za grzechy.

Pluje Kenigowi w twarz. Ludzie odpowiadają gwizdami i śmiechem. Ktoś wiwatuje na cześć kata, inni to podchwytują.

– Widziałem to. On się ruszał. Władek się ruszał.

Nic nie rozumiem. Kat wkłada pętlę na szyję skazańca.

– Władek nie...

To ostateczne słowa skazańca. Kat usuwa podwyższenie. Pętla się zaciska, Kenig milknie. Jego ciałem zaczynają wstrząsać drgawki. Nie mogę przestać patrzeć. Ludzie krzyczą, niektórzy z zachwytem, inni nadal dają wyraz wściekłości na Niemca. Czas zapłaty. Kenig nieruchomieje. Ludzie rzucają się do szubienicy, odcinają go. Ściągają ubranie, przeszukują kieszenie. Ktoś triumfalnie chowa sznur do kieszeni i zaczyna uciekać. Inni go gonią, chcąc odebrać najważniejszą zdobycz. Tak, znam ten przesąd. Sznur wisielca przynosi szczęście. Nie dam rady. Osuwam się na ziemię i chowam twarz w dłoniach.

– Chodź. – Ktoś pociąga mnie za rękę. – Pójdziemy stąd.

Podnoszę wzrok. To kobieta, trochę starsza ode mnie. Daję się jej prowadzić.

– Nie mam siły – mówię w końcu.

– Usiądziemy tutaj. – Wskazuje na jakiś murek.

Siadamy, a ona mnie przytula. Zaczynam się trząść. Prawie jak Kenig w ostatnich chwilach. Kobieta gładzi mnie po włosach.

– Straszne są te uliczne egzekucje – mówi. – Żałuję, że dałam się namówić mężowi. Zbrodniarze muszą zostać ukarani, ale nie tak. Nie tak.

Uwalniam się z jej ramion i patrzę jej prosto w oczy.

– Znałam go.

– Boże, naprawdę? Zrobił ci coś?

Kręcę głową, a potem opowiadam, jak Kenig wywiózł nas z miasta. Gdy kończę, zaczynam szlochać tak rozdzierająco jak chyba nigdy w życiu. Na pewno nie płakałam tak od wybuchu wojny. Nawet gdy zginął ojciec. Nawet gdy chowałyśmy mamę w płytkim powstańczym grobie.

– Wiem, jak się czujesz – mówi kobieta. – Ale on na pewno był winny. Inaczej nie wieszaliby go.

Przestaję płakać i patrzę w jej dobrą twarz.

– Na pewno?

Kiwa głową, ale bez przekonania. Lepiej myśleć, że był winny. Podaje mi butelkę z wodą. Piję chciwie.

– Muszę iść.

Podnoszę się, ale ona wstaje wraz ze mną.

– Odprowadzę cię.

Chcę, żeby była przy mnie, ale pytam:

– Naprawdę? A twój mąż? Dzieci?

– Nie mam dzieci, a mąż... świętuje egzekucję z kolegami.

Ja mam dziecko, przypominam sobie i przyspieszam kroku.

Pod kamienicą obejmuję tę obcą kobietę.

– Dziękuję.

Uśmiecha się i odchodzi. Do męża, który świętuje egzekucję. Nie znam nawet jej imienia.

Wbiegam po schodach. Mijam kuchnię, gdzie Irena coś pichci, i pędzę do kołyski. Dziewczynki śpią, trzymając się za rączki. Zaczynam płakać, ale inaczej niż przed chwilą. Łzy płyną bezgłośnie po twarzy. Irena otwiera drzwi.

– Boże, co się stało?

– Nic – odpowiadam lodowato, a potem zmieniam ton. – Nic. Wzruszyłam się, że one tak ładnie śpią.

Patrzemy na siebie nad kołyską.

– A jak w pracy?

Dziś byłam pierwszy raz w nowej pracy. Wydaje mi się, jakby to było przed wiekami.

– W porządku.

Nigdy nie powiem jej o Kenigu. Żeby wynagrodzić jej egzekucję, o której nie ma pojęcia, biorę ją w ramiona.

– Na pewno w porządku?

– Tak – mówię po pewnym czasie i wyswobadzam się z jej objęć.

Co za dużo to niezdrowo. Nie wierzy mi, ale nie ma pojęcia, o co chodzi.

W nocy budzi mnie jakiś koszmar. Leżę do rana z otwartymi oczyma. Co Kenig chciał powiedzieć o Władku?

MARZEC 1946

Sytuacja się ustabilizowała. Relacja z Zosią nie była tak dobra jak kiedyś – na przykład w Bartnikach czy nawet po powrocie do Warszawy – ale siostra nie okazywała już jawnej wrogości. Irena wiedziała, że wcześniej czy później trzeba będzie przeciąć wszystkie kłamstwa, ale wierzyła, że lepiej później. Lepiej dla wszystkich. Zosia kiedyś to zrozumie. Zapewne nawet teraz rozumiała. Przestały rozmawiać o Staszku. Irena przypuszczała, że powrót narzeczonego Zosi graniczyłby z cudem. Romek był w porządku. Miała nadzieję, że Zosia też to dostrzeże. Byłby dobrym mężem. Dobrym ojcem dla Klary. To kwestia przyszłości. Na razie musiała ją chronić. Tak jak chroniła ją przed informacją o egzekucji Keniga, o której przeczytała w gazecie. Kenig został osądzony wcześniej niż inni wielkorządcy Warszawy. Był mniej ważny, więc może dlatego zdecydowano się rzucić go na pierwszy ogień, dać mieszkańcom stolicy choćby tymczasowe poczucie zemsty. Irena natychmiast zniszczyła gazetę i prosiła wszystkich, żeby nigdy, przenigdy nie wspomnieli o niej Zosi. Może siostra i tak się dowiedziała. To by tłumaczyło roztrzęsienie po pierwszym dniu w pracy. Irena odchorowała publiczne powieszenie człowieka, który wywiózł je z Warszawy, ale przywołała zdolności aktorskie i udawała humor lepszy niż zazwyczaj. Tylko w nocy koszmary budziły ją częściej.

Obecnie największym jej zmartwieniem był Antek. Miły, inteligentny, nawet przystojny. Najważniejsze, że dobry. Dla niej. Chciałabym zobaczyć jakiś film, mówiła. Szli do kina. Zostań na chwilę z dziećmi, ja wyskoczę do sklepu. Zostawał. Miał na nie jakiś sposób. Nigdy nie płakały, gdy Irena wracała, co zdarzało się często przy Bawarskiej. Chyba był zakochany. Z nią stało się coś dziwnego. Jego dotyk działał jak prąd, kręciło jej się w głowie, gdy był w pobliżu. Kilkakrotnie pozwoliła się pocałować. Czowała potem odrazę do siebie, jakby dopuściła się zdrady. Za każdym razem

nadchodziła fala tęsknoty za mężem. Przepraszam, przepraszam, powtarzała w głowie. To było do Władka. Nie żył. Nie było go. Przynajmniej tutaj, z nią. Na pewno chciałby, żeby ułożyła sobie życie. Ona nie chciała. Coś w niej krzychało. Dusza. Ciało tęskniło za męskim dotykiem, było słabe. Brzydziła się sobą. Trochę to nielogiczne. Planowała przyszłość Zosi u boku innego mężczyzny, a sama wolała pozostać samotną matką. To co innego. Zosia była panną z dzieckiem, nie tylko ona, ale i jej córka byłyby narażona na obelgi, albo i coś gorszego. Basia była owocem miłości małżeńskiej, nosiła nazwisko ojca, a Irena jako wdowa po bohaterze, który zginął za ojczyznę, zasługiwała w oczach świata na szacunek. Niepotrzebny był jej nowy mąż. Kochanek też nie.

Ukryła twarz w dłoniach. To wszystko było takie trudne. Może po prostu działa się zbyt szybko?

– Mama! – usłyszała dziecięcy głosik.

Dziewczynki były już za duże na spanie w kołysce. Teraz miały łóżeczko, również podarowane przez Bawarską. Basia właśnie się z niego wygramoliła, Klara podążyła za nią. Za każdym razem serce Ireny topniało. Mama. Warto żyć i to słyszeć.

– Mamamamamamama.

Klara na razie tylko gaworzyła. Przyjdzie dzień, kiedy zacznie mówić świadomie. Niedługo. Co wtedy? Irena nie była pewna, czy siostra nadal powtarza Klarze, kto jest jej mamą. Przy niej przestała to robić.

– Moje słodkie kruszynki się obudziły! Chodźcie do mnie, panienki!

Na wyścigi szły na czworaka. Basia robiła już pierwsze chwiejne kroki, ale nigdy rano. Bywało, że ludzie się dziwili, że jest większa od siostry i szybciej się rozwija. Irena tylko wzruszała ramionami i tłumaczyła, że każde dziecko rozwija się we własnym tempie. Teraz wzięła obie na ręce i mocno przytuliła. Dziewczynki chichotały. Kochała je do bólu, do euforii, w każdym momencie codzienności, bezgranicznie. Obie. Były sensem i światłem.

Dziewczynki bawiły się w kącie pokoju, porozumiewając się po swojemu. Więż między nimi była tak silna jak między prawdziwymi siostrami. Nic nie będzie w stanie jej zerwać. Nic. Nic. Jeśli jedna będzie musiała dla drugiej zabić, zrobi to. Irena się wstrząsnęła. Dawno nie myślała już o tamtym wydarzeniu w stodole. Pojawiało się tylko w koszmarach. Jeśli jedna będzie musiała dla drugiej umrzeć, też to zrobi. To już lepiej. To nie kojarzyło się z niczym.

Rozległ się dzwonek. Nie mogła przyzwyczać się do jego dźwięku. To Antek skądś skombinował to urządzenie i zainstalował przy drzwiach. Kołatka nadal wisiała i większość gości z niej korzystała, ale dzieciaki Bawarskich lubiły nowości. Początkowo bezustannie dzwoniły, aż ich matka porządnie na nie nawrzeszczała. Irena się nie poruszyła. Niech Bawarscy otworzą. Po chwili ktoś zapukał do drzwi pokoju. Nie chciała gości.

– Proszę.

Jej głos brzmiał beztrosko. Od dawna udawało jej się mówić wesoło, kiedy dziewczynki ją słyszały. Nie będzie wprowadzać zamętu w ich życie.

– Dzień dobry, Irenko. – Antek wszedł do pokoju. – Byłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak sobie radzicie.

Pozwoliła się przytulić, pozwoliła jego wargom musnąć swoje. Fala jednoczesnego pożądania i poczucia winy niemal zwała ją z nóg.

– Wybierałyśmy się na spacer – powiedziała. – Pójdiesz z nami?

– Chętnie. Piękna pogoda.

Słońce grzało przyjemnie, chociaż śnieg jeszcze się nie roztopił. Irena w zachwycie wpatrywała się w pierwsze pąki. Życie zwyciężało. Znowu. Dziewczynki wpasowały się w nastrój. Były jak triumfująca nad zimą wiosna. Bez przerwy się śmiały. Może dlatego, że Antek brał je na ręce i objaśniał cuda natury. Mijający ludzie przyglądali się z uśmiechem. Irena też się do nich uśmiechała. Uważają, że jesteśmy małżeństwem, a to nasze dzieci, pomyślała nagle. Uśmiech zamarł i pomimo ciepłych promieni na

twarży, Ireną wstrząsnął dreszcz. Wypełnił ją lodowaty chłód. Chciała wziąć dzieci i uciekać. Daleko. Jak najdalej.

– Dużo jeszcze gruzów, ale coraz piękniej w tej naszej Warszawie, prawda? – usłyszała głos Antka.

Dziewczynki znów wybuchnęły śmiechem.

– Tak! – zgodziła się Basia, a Klara spróbowała ją naśladować.

Pragnienie ucieczki znikło. Antek doskonale radził sobie z dziewczynkami. Dostawały od niego to, co powinny dostawać od ojca. Ich ojciec wybrał śmierć. Boże, co z nią? Ojcowie. Ich ojcowie wybrali śmierć. To nie pierwszy raz, kiedy zapominała, kto jest ojcem Klary. Co gorsza, kto jest jej matką. To nieuczciwe. Dopuściła do sytuacji, w której uznawała obie dziewczynki za własne córki. Może Zosia miała rację, gdy oskarżała siostrę o kradzież dziecka.

– Jesteś dziś bardzo cicha – powiedział Antek półgłosem, gdy odłożył zmęczone dziewczynki do wózka i zaczęli iść częściowo odgruzowaną ulicą.

Pchał wózek. Był tak blisko, że niekiedy ich ramiona się stykały. Mogła się odsunąć, ale nie chciała. I nie chodziło tylko o fizyczne przyciąganie. Ten mężczyzna zapewniał bezpieczeństwo. Dlaczego miałyby mu tego bronić? Nigdy nie pokocha już nikogo w sposób, w jaki kochała Władka, ale nadal była zdolna do przywiązania. Mogliby zbudować trwałą związek.

– Podziwiam wiosnę – powiedziała, odwracając do niego głowę.

Patrzył jej w oczy, jak tylko on potrafił. Związek oparty na przywiązaniu i cielesności. Czemu nie? Położyła rękę na poręczy wózka tak, żeby jej mały palec dotknął jego. To takie miłe. Po co się bronić? Szli jakiś czas w milczeniu.

– Dziewczynki zasnęły – szepnął Antek. – Usiądziemy na chwilę? – Wskazał pustą ławkę nad stawikiem, wokół którego ze śmiechem krążyły dzieci.

Skinęła głową. Zaczęli się całować, gdy tylko usiedli. Chyba ona to zainicjowała. Pocałunki były śmielsze, bardziej zachłanne niż wcześniej.

Chciała więcej i więcej. Gdy jego dłoń objęła i ścisnęła jej pierś przez płaszcz, jęknęła. Pragnęła, żeby to nigdy się nie skończyło, żeby wziął ją nawet na tej ławce. Właśnie on.

– Antek – wydyszała.

– Kocham cię – szepnął. Pocałował ją po raz ostatni i się odsunął. Oboje oddychali głośno. – Irenko, posłuchaj.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Oczywiście, że nie mogli kochać się na ławce. Trzeba znaleźć jakieś miejsce. Jak najszybciej.

– Tak? – powiedziała leniwie.

– Chciałbym cię prosić... to, co powiedziałem przed chwilą... kocham cię... to prawda... chcę to powtarzać do końca świata. – Osunął się na kolana i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni małe pudełeczko. – Chciałbym... czy zostaniesz moją żoną?

Zupełnie już przytomna patrzyła na połyskujący złotem pierścionek z brylantem.

– Mój dziadek dał go babci – mówił Antek. – Czy zgodzisz się, żebym wsunął go na twój palec?

Związek oparty na przywiązaniu i cielesności. Tak myślała przed chwilą. A jednak, gdy patrzyła na klęczącego mężczyznę i pierścień, który jej ofiarowywał, coś ją zablokowało. Splotła dłonie i wymacała ślubną obrączkę, którą nadal nosiła.

– Czy mogę... czy dasz mi kilka dni do namysłu?

– Oczywiście.

Podniósł się. Widziała w jego twarzy rozczarowanie. No i dobrze. Zaskoczyła ją własna reakcja. Przecież nic nie było dobrze. Niczego nie rozumiała. Najmniej samą siebie. Również wstała.

– Chodźmy.

Pchała wózek w drodze powrotnej. Antek nie próbował położyć ręki obok. Gdy znaleźli się przed jej kamienicą, powiedziała:

– Dam już sobie radę. Dziękuję ci.

– Pomogę ci wnieść wózek, a potem rzeczywiście będę leciał. Muszę wracać do redakcji.

Nadal uprzejmy, nadal dżentelmen. Pod spodem Irena wyczuwała chłód. Może to nie był chłód, tylko zranienie? Co za różnica?

Dziewczynki nadal spały. Irena położyła się, wciskając głowę w poduszkę. Prosiła o czas do namysłu, więc powinna się zastanowić. Nie teraz. Czekwała na uczucie wstępu do siebie czy zwyczajowe wyrzuty sumienia, ale nie przychodziły. Obracała na palcu obrączkę. Wygrzebała sygnet, a później znów schowała go na dnie szuflady. Wcale nie chciała przeproszać. Nikogo nie zdradziła. To Władek zdradził. Został i dał się zabić. A obiecywał, że przeżyje. To jego wina. Wszystko. I co z tego? Tak bardzo tęskniła. Nigdy nie przestanie.

– Mama! – usłyszała i wstała.

Nigdy też nie przestanie czuć tej radości, gdy bierze na rękę córkę. Musiała rozwiązać te kłamstwa. Zosia też była matką. Dzieckiem, którym zobowiązała się opiekować, siostrą, dla której zabiła, ale też matką.

Antek nie pojawiał się przez kilka dni. Irena nie była pewna, czy przeważa w niej ulga, czy rozczarowanie. Nie skupiała się na tym. Z Zosią nadal ślizgała się po powierzchni. Czuła w siostrze narastającą urazę, a mimo to odsuwała czas przecięcia kłamstw. Tak było lepiej dla wszystkich. Przynajmniej wygodniej.

– Wyjdź na spacer, zrelaksuj się – powiedziała Zosia. – Ja nakarmię dziewczynki i zajmę się nimi przez kilka godzin.

– Ale...

– Idź.

Irena wyczuła w głosie siostry determinację. Może nawet groźbę. Na pewno tylko sobie wyobraziła, ale wołała nie dyskutować. Narzuciła płaszcz.

– Zajmę się nimi przez kilka godzin – powtórzyła Zosia z naciskiem.

Irena czuła dławienie w gardle, gdy zbiegała po schodach. Nie przechodziło, kiedy oddalała się od domu, z każdą mijaną ulicą stawało się silniejsze. Do czego doprowadziła? Zwolniła, skoncentrowała się na oddechu. Rozglądała się na boki. Warszawa podnosiła się z ruin. Nie będzie taka sama. Nie będzie żydowskich sklepów. Nie będzie ich właścicieli. W tej chwili to miało najmniejsze znaczenie. Nie będzie Władka. Zdławiła płacz. Doszła do Starego Miasta. Nadal było gruzowiskiem. Wiedziała jednak, że istnieją plany odbudowy. Budynek jak przed wojną. Nowe, a stare. Czy tak samo można zadziałać w relacjach międzyludzkich? Ostrożnie stawiała kroki. Przed trzydziestym dziewiątym przychodziła tu z Władkiem. Spacerowali, trzymając się za ręce, rozkoszując się zakochaniem i czarem tego miejsca. Serce biło jej mocno, gdy szła Wąskim Dunajem. Tu ją przyprowadził pewnego wiosennego wieczoru, tu uklęknął i prosił, żeby została jego żoną. Zatrzymała się gwałtownie. Przed tą kamienicą.

– Tak – szepnęła wtedy.

Zdała sobie sprawę, że powiedziała to znowu. Budynek był zniszczony, lecz parter się zachował. Czy to znak?

– Władek.

To powiedziała głośniej. Przechodzący mężczyzna spojrzał na nią jak na wariatkę. Otarła dłonią mokre policzki. Ruszyła dalej. Schodziła Kamiennymi Schodkami ku Wiśle. Ogrom zniszczeń w tym miejscu przytłoczył ją bardziej niż gdzie indziej. Wiatr, coraz chłodniejszy, rozwiewał jej jasne włosy. Stała nad rzeką. Tutaj Władek pierwszy raz ją pocałował. Zamknęła oczy, próbując cofnąć się do tamtych czasów. Nie udało się. Znowu zaczęła iść. Nie zważając na przejmujące zimno, oddalała się od domu. Nie zauważyła, kiedy zrobiło się całkiem ciemno.

– Która godzina?

Nadal szła, nie zwracając uwagi na pytanie.

– Która godzina? – powtórzył natarczywy głos.

Zatrzymała się. Obdarty, może siedemnastoletni chłopak również stanął.

– Zabij mnie, to sam zobaczysz.

Wspaniale, popisywała się przed wyrostkiem znajomością literatury.

– Proszę?

Chyba nie zrozumiał, że to cytat z Lalki. To idiotyzm odpowiadać słowami Wokulskiego. Nawet jeśli znajdowała się w podobnym miejscu, nawet jeśli czuła się podobnie. Spojrzała na zegarek. Blask księżycy był na tyle silny, że odczytała godzinę.

– Wpół do dziesiątej.

Uśmiechnęła się do chłopaka. Podziękował i oddalił się w podskokach. Wpół do dziesiątej! Wyszła około trzeciej, więc kilka godzin z pewnością minęło. Może nawet Zosia zaczęła się martwić. Ręce Ireny zdrętwiały z zimna. Wiosenny płaszcz nie nadawał się raczej na zimny wieczór. Zdała sobie sprawę, że włosy ma wilgotne. Od jakiegoś czasu padał mokry śnieg. Duże płatki wirowały w powietrzu. Irena westchnęła i zawróciła. Lepiej, żeby się nie rozchorowała.

Wchodziła do kamienicy, gdy ktoś położył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się przerażona.

– Irena.

Prawie go nie poznała. Miał długie włosy, brudną, zarośniętą twarz i zapadnięte policzki.

– Staszek.

Żył. Stał się cud. Staszek wrócił do Zosi. Jej siostra będzie miała mężczyznę u boku, a Klara ojca.

– Chodźmy stąd.

Pociągnął ją w wąską uliczkę.

– Czy Zosia jest z tobą?

O co mu chodziło?

– Jest w mieszkaniu – odpowiedziała.

– To dobrze. Powiedz jej... powiedz, żeby zeszła do mnie. Będę tu na nią czekał.

Zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nie wejdiesz?

Oddychał ciężko. Zdała sobie sprawę, że wygląda na chorego.

– Nie mogę. Powiedz jej! – Podniósł głos, a potem rozejrzał się wokół z niepokojem. – Powiedz jej – powtórzył szeptem. – Nikomu innemu.

Pokiwała głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Władek nie żyje – powiedział.

– Tak, wiem.

Ponieważ sprawiał wrażenie, że chce jeszcze coś dodać, odwróciła się i pobiegła do domu. Rozmowa o Władku z jego najlepszym przyjacielem nie wchodziła w grę. Nie tej nocy.

Weszła do pokoju, nie zdejmując płaszcza. Dziewczynki spały, Zosia siedziała przy łóżeczku, patrząc na nie lub tylko na Klarę – trudno powiedzieć – z wyrazem rozmarzenia. Dopiero po chwili podniosła głowę i zmarszczyła brwi, wyraźnie niezadowolona z pojawienia się siostry.

– Staszek czeka na ciebie – powiedziała Irena szeptem.

Zosia zaczęła drżeć, jakby to ona spędziła kilka godzin na lodowatym powietrzu.

– Co... ty... mówisz? – zapytała, szcękając zębami.

– Cicho. – Irena nie miała pojęcia, dlaczego Staszek robił tajemnicę ze swojego powrotu, ale widocznie miał powód.

Powiedziała siostrze, gdzie jest jej narzeczony, a ta wybiegła w noc, nawet się nie ubierając. Przeziębi się. Irena chciała lecieć i dać siostrze ciepłe okrycie, ale zrezygnowała. Konspiracja to konspiracja. Trzeba robić jak najmniej hałasu. Zdjęła płaszcz, chociaż było jej jeszcze zimno. W głowie pojawiały się pytania, a każda odpowiedź wydawała się gorsza od poprzedniej.

Nie tak wyobrażała sobie powrót Staszka.

SIERPIEŃ 2020

Zatrzymali się przy uchylonej furtce. Młoda kobieta w zaawansowanej ciąży rozwieszała pranie, obok kilkuletni chłopiec pluskał się w dmuchanym basenie. Kobieta była tak skupiona na wykonywanej czynności lub pogrążona w myślach, że nie zauważyła księdza i jego towarzyszy.

– Szczęść Boże, pani Marto! – zawołał ksiądz Dominik.

Kobieta drgnęła przestraszona, a potem spojrzała na nich z zaciekawieniem.

– Szczęść Boże – odpowiedziała z uśmiechem.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście. Muszę tylko zapędzić Bartka do domu.

Podeszła do synka.

– Bartuś, wychodzimy.

– Nie! – zaprotestował chłopiec.

– Tak. Wcale nie jest już tak gorąco, a ty zaczynasz się trząść.

Nie zważając na protesty, wyjęła go z wody i wytarła.

– Leć do taty, niech cię przebierze.

– Sam się przebiolę! – zawołał chłopiec i pognął do domu.

– Przepraszamy za najście – powiedział proboszcz. – Tych państwa interesuje historia rodziny Rafała, która może być powiązana z rodziną pani męża.

Kobieta przyglądała im się życzliwie.

– Marta Antolak.

Gdy uścisnęli sobie ręce, zaprosiła ich do domu. W środku wysoki mężczyzna ganiał za Bartkiem z koszulką w rękę.

– Masz to nałożyć, bo mama będzie zła. – Urwał, widząc wchodzących. –
Szczyść Boże – powiedział niepewnie.

Bartek, korzystając z zamieszania pobiegł na górę.

– Państwo właściwie do ciebie, Andrzej – powiedziała Marta. –
Interesuje ich historia twojej rodziny. Może jesteście spokrewnieni.

Ksiądz Dominik dokonał prezentacji i usiedli przy dębowym stole.

– Nastawię wodę. Herbaty czy kawy?

Wszyscy poprosili o kawę. Andrzej patrzył niepewnie na Anetę i Rafała.

– Co byście chcieli wiedzieć?

Rafał wziął głęboki oddech. To on musiał mówić, nie obarczać tym
księdza czy Anety.

– Do tej pory byłem przekonany, że moja babcia i jej siostra to
bliźniaczki. Teraz sprawdzaliśmy w parafialnych dokumentach i okazało
się, że siostra mojej babci to tak naprawdę jej kuzynka. – Głos mu zadrżał,
jakby zdradzał rodzinną tajemnicę. Z drugiej strony, o to przecież
chodziło. O prawdę. – Klara – ta niby bliźniaczka babci – to córka Zofii
Ronik i Stanisława Antolaka.

Andrzej Antolak patrzył pustym wzrokiem.

– Nigdy pan nie słyszał o Stanisławie Antolaku? – spytała Aneta.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– To popularne imię. Nazwisko zresztą też – powiedział wolno.

– I nie kojarzy pan nikogo z bliskiej rodziny, kto by się tak nazywał? –
naciskała Aneta. – Te chrzty odbyły się tutaj.

– Nie, przykro mi.

– A może – wtrącił się ksiądz – zapytamy pana taty? Jest w domu?

– Został jeszcze w polu. Zaraz żniwa. – Zanim ktoś zdążył odpowiedzieć,
dodał tonem usprawiedliwienia: – Kazał mi wrócić wcześniej, żeby pomóc
Marcie. No wiecie, cała chałupa teraz na jej głowie, bo mama pojechała do
Szczecina do mojej siostry, która dwa tygodnie temu urodziła.

Marta pojawiła się przy stole, stawiając tacę z kawą.

– Teść o mnie bardzo dba – powiedziała ze śmiechem. – Ale rzeczywiście szybciej się teraz męczę. – Położyła wymownie rękę na brzuchu. – A za Bartkiem trzeba cały dzień ganiać.

– Przyniosę stare zdjęcia. – Andrzej się podniósł. – Dawno ich nie oglądałem, a są podpisane. Może znajdziemy Stanisława.

Znaleźli. Zdjęcie było z pewnością zrobione przez fotografa. Młody mężczyzna w białej koszuli z blond czupryną i poważnym spojrzeniem. Podpis głosił: „Stanisław, 12 czerwca 1938 r.”. Czy to naprawdę ojciec Klary? Rafałowi wydawało się, że dostrzega podobieństwo z dawno niewidzianym wujkiem Władkiem, synem siostry babci, nazwanym tak zapewne na cześć mężczyzny, którego Klara uważała za ojca.

– O, jest i tata – powiedziała Marta.

Łysiejący mężczyzna podszedł do stołu.

– Widzę, że mamy gości. Dawno księdza nie widziałem. Może moja wina, dawno nie byłem w kościele.

Ksiądz Dominik pokręcił głową.

– Przepraszamy za najście.

Kiedy wyjaśnił powód, ojciec Andrzeja tylko skinął głową. Usiadł i spojrzał na fotografię.

– Stanisław – mruknął. – Tata nazywał go Staszkiem. – To trochę legenda rodzinna.

– Legenda? – zdziwił się Andrzej. – Nigdy mi o nim nie opowiadałeś.

– Opowiadałem. Może nie słuchałeś, może zapomniałeś. Zresztą z pokolenia na pokolenie to się wydaje mniej ważne. – Powiódł po zgromadzonych ostrym spojrzeniem, po czym znów skoncentrował wzrok na zdjęciu. – Ojciec opowiadał mi wielokrotnie o wujku Staszku. Jakby w tym gadaniu znajdował siłę, żeby nie ufać komunistom. I nas tego uczył. A przecież sam był przykładem, że komunistom nie powinno się ufać.

– A co mówił? – spytał Rafał, gdy cisza zaczynała się przeciągać.

– O dziadku wiem. – Andrzej się wyprostował.

– Tak, mój tata przed wojną studiował w Wilnie. Po zajęciu miasta został wtrącony do gułagu.

– Ale później zaciągnął się do Armii Andersa. Dla mnie to on jest legendą.

Pan Antolak pokiwał głową.

– Niechętnie o tym wszystkim mówił. Wolał mówić o bracie. Gdy wrócił do Polski, był już czterdziesty siódmy rok. Jego matka umierała.

– Ale... mówił pan, że jego brat też był legendą? Spotkał się z nim po powrocie?

– Nie.

– No to... na jakiej podstawie...

– Babcia mówiła... i stary Kuźniak.

Rafał miał ochotę zapytać, kim był stary Kuźniak, ale ugryzł się w język. I tak jeszcze nie dotarli do sedna.

– Co mówili? – zapytał zamiast tego.

– Staszek walczył w powstaniu, a po jego upadku udało mu się uciec z transportu i dołączył do chłopaków w lesie. Gdy partyzanci przyszli do wsi, mieli już wyroki śmierci od komunistów.

– A więc ostatecznie został zabity?

– Nie wiem. Babcia powiedziała, żeby mój tata go szukał. I jego narzeczonej. Mieli dziecko. Staszek dowiedział się o tym dopiero od babci, kiedy przyszedł do niej z lasu. Wtedy uciekł od partyzantów i więcej o nim nie słyszała. Nawet nie napisał. Mój tata szukał, ale nigdy nie znalazł jego ani Zosi.

– Zosi – powtórzyli chórem Aneta i Rafał.

– No to macie Stanisława Antolaka – powiedział ksiądz.

– Znalazł tylko siostrę Zosi – dokończył Antolak. – Powiedziała, że Zosia zaginęła, a ze Staszkiem nie spotkała się do końca życia.

– A dziecko?

– No, to było najdziwniejsze. Upierała się, że nie było żadnego dziecka. Babci na łożu śmierci mogło się pomylić, a Kuźniak strasznie zdziwaczał. Gdy mój tata naciskał o to dziecko, wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że on nie wie. Że może naprawdę nie było dziecka Zosi.

– A jednak – powiedział ksiądz. – Gdyby poszedł do kancelarii parafialnej, miałby to czarno na białym.

– Było dziecko – szepnął Antolak.

Wszyscy pokiwali głowami.

Jechali w milczeniu. Rafał zbierał myśli. Za dużo tego było. Klara wcale nie była córką prababci. Pradziadek Anety twierdził, że z nią rozmawiał, zapewne o tym, więc wiedziała, ale z jakiegoś powodu zdecydowała się trzymać w tajemnicy. Wstyd? Może ma dla niej znaczenie, że jest nieślubnym dzieckiem, jej pokolenie jest inne. Złość? Ale na kogo? Gdyby złościła się na kobietę, która udawała jej matkę, ujawniłaby jej sekrety. A może ją kochała, może wcale nie chciała innej. A ten Stanisław? Żołnierz wyklęty, kurde. Rafał słyszał już tyle sprzecznych opinii na temat ludzi z lasu, ale nigdy się tym specjalnie nie interesował.

– Myślisz, że dostał kulkę? – zwrócił się do Anety.

– Ojciec Klary?

– No.

– To możliwe. Nie wiadomo tylko, od kogo. Czy to rzeczywiście komuniści go dopadli, czy może partyzanci. Jakkolwiek było, zdezerterował.

– A może... – Zamilkł. Teoria była pociągająca, ale dość naciągana. Komplikowała sprawę już i tak skomplikowaną.

– Może co?

– Może dotarł do Zosi. Może zobaczył swoje dziecko.

– Może.

– Może on też tam jest.

– Gdzie?

– No wiesz. W spółdzielni.

– Że niby mój pradziadek zabił nie tylko Zosię, ale i jego?

Tego właśnie nie chciał mówić. To właśnie komplikowało sprawę. I niestety, nie sprawę duchów. Nie sprawę z przeszłości.

– Aneta... ja nie wiem. Myślę na głos.

– Tak – mruknęła. – Nie wiemy tego. Ale to pradziadek nam powiedział, żeby szukać i zburzyć ścianę. Wyjaśnijmy więc sprawę.

MARZEC 1946

Zosia

Wbiegam w ciemną ulicę i znajduję się w jego ramionach. Wreszcie. Płacę tak, że cała się trzęsę, prawie się przewracam. Mój ukochany mnie podtrzymuje. Już zawsze będzie przy mnie. Nie upadnę. Już dobrze. Już nie będzie mnie boleć scena w stodole czy martwy radziecki żołnierz. Już nie będzie goryczy w stosunku do Ireny, która codziennie kradła mi Klarę. Nie będzie tęsknoty wyrrywającej serce z piersi. Nie będzie rozpacz. Koniec. Staszek, Klara i ja. Nasza trójka. Rodzina. Więcej dzieci. Przyszłość. Nasza. Razem. Zawsze.

– Kochana. Kochana. Moja. Moja. Zosia. Kochana – powtarza, całując moje włosy, policzki, oczy, usta.

Nic nie odpowiadam. Wczepiam się w niego, jakbym chciała, żebyśmy już tak trwali. Chcę. Na całą wieczność. Chociaż jego zarost kaleczy mi twarz, chociaż zapach świadczy, że dawno się nie mył.

– Chodźmy do domu – odzywam się w końcu.

Nasze miejsce jest przy córce. Może kiedyś uda się mieć własny pokój.

– Czy często was ktoś odwiedza? – pyta.

Nie rozumiem. Chcę tylko jego ramion, tylko jego ust. Jego całego.

– Chodźmy do domu – powtarzam.

– Czy często was ktoś odwiedza? – pyta znowu.

Kręcę głową.

– Owszem, ludzie wpadają, ale...

– Posłuchaj. Za udzielanie mi pomocy grozi więzienie. Rozesłano już za mną listy gończe. To będzie w gazetach.

– Nie... nie rozumiem.

– Według ich terminologii jestem bandytą. Byliśmy wczoraj w naszej wsi i mama... mama powiedziała... – jego głos drży tak, że muszę domyślać się, co mówi – że mamy dziecko.

– Mamy. Klarę. – Ponownie wczepiam się w niego. – Poczekaj. Nic nie rozumiem z tego, co mówisz.

– Jeżeli ktoś doniesie, że jestem z wami, aresztują zarówno mnie, jak i was. Musimy uważać.

Wreszcie jakiś przebłysk.

– Ukrywasz się? – szepczę.

– Tak.

– Co ci grozi?

Przecież wiem, co robią komuniści. Wiem o egzekucjach. I nie tylko na Niemcach.

– Posłuchaj...

– Co chcą z tobą zrobić?

– Mam wyrok śmierci – mówi, patrząc w ziemię.

Chcę krzyczeć, ale udaje mi się zachować spokój. Dla niego.

– To u nas... To już nie tylko nasze mieszkanie. Jest tam inna rodzina.

– Nie martw się. – Odgarnia mi włosy z czoła. Są mokre. Dopiero teraz zauważam, że sypie śnieg. – Coś wymyślimy. Czy mogę... Czy przyniesiesz Klarę? Chciałbym na nią spojrzeć.

– Tak. – Wspinam się na palce i całuję go w usta. – Tak, oczywiście.

Wreszcie się od niego odrywam i pędzę do domu. Bez jego dotyku czuję się bezbronna. Bawarscy chyba śpią. Ich pokoje są pozamykane i nie dochodzi stamtąd żaden dźwięk. W naszym pokoju też cisza. Irena siedzi na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy otwieram drzwi, podnosi głowę i wbija we mnie wzrok.

– Zosiu, co się dzieje?

Ignoruję ją i wyjmuję Klarę z łóżeczka. Budzi się i zaczyna pochlipywać. Kołyszę ją chwilę w ramionach.

– Ubierzemy się i zaraz zobaczysz tatę – szepczę.

Protestuje, gdy wkładam jej ciepłe ubranie. Mam nadzieję, że nie obudzi wszystkich w mieszkaniu. Może nikomu nie przyjdzie do głowy wyjść i zapytać, dlaczego wynoszę siostrzenicę w nocy na dwór.

– Nie możesz jej zabierać stąd teraz – mówi Irena.

Patrzę na nią lodowato.

– Mylisz się. To ty nie możesz mi mówić, co mogę robić, a czego nie.

– Nałóż jej szalik. Jest zimno.

Podaje mi szaliczek, który Klara dostała na gwiazdkę od dzieciaków Bawarskich. Wyrywam go z jej rąk.

– Dobrze wiem, jak ubierać moją córkę.

– I sama też nałóż płaszcz. – Narzuca na mnie okrycie.

Nie zrzucam z siebie palta.

– Wróćcie zaraz?

Klara już nie płacze. Nie odpowiadam. Otwieram i zamykam za sobą drzwi tak cicho, jak nigdy dotąd.

W świetle księżyca przyglądam się Staszкови. Wpatruje się w naszą córkę. Chyba wstrzymał oddech.

– To właśnie nasza Klara. Klaruś, to twój tata.

Wyciąga po nią ręce. Zazwyczaj Klara płacze, gdy ktoś obcy chce jej dotknąć, teraz jednak wybucha śmiechem. Wie w swoim dziecięcym serduszku, że to nie obcy. Opowiadałam jej o tacie. Twarz Staszka jest mokra. To nie śnieg. Mój ukochany ostrożnie przytula dziecko.

– To twój tata – powtarzam.

– Tata – mówi Klara.

To nie gaworzenie.

– To pierwsze słowo, jakie powiedziała.

– Moja dziewczynka. Moja córeczka. – Staszek przenosi na mnie wzrok.

– Już wiem, że dobrze zrobiłem.

– Co zrobiłeś?

– Kochanie. – Całuje Klarę w główkę i nie wiem, do której z nas się zwraca. – Powiem ci, ale teraz musicie iść do domu. Jest środek nocy, zimno i nasze maleństwo powinno spać w ciepłym łóżeczku. Ja znajdę sobie jakąś kryjówkę. Wrócę tu jutro, około dwudziestej pierwszej, dobrze?

O nie! Zbyt długo czekałam, zbyt wiele cierpiałam, żeby teraz tak po prostu pozwolić mu odejść.

– Zaniosę ją i wrócę tutaj. Możemy razem poszukać kryjówki dla ciebie.

Przytula dziecko po raz ostatni, całuje.

– Idź do mamusi. Do widzenia, kochanie.

– Tata – mówi Klara na pożegnanie.

– Zróbmy tacie „pa, pa”.

Klara macha rączką. Na szczęście zachowuje się cicho. Dopiero w pokoju zaczyna popłakiwać.

– Czy mogłabyś ją przewinąć i uspić? – zwracam się do Ireny.

Patrzy na mnie w milczeniu i przez chwilę boję się, że odmówi. Może jest obrażona. Nie traktowałam jej zbyt dobrze. Może zżera ją zazdrość. To mój mężczyzna wrócił, jej jest głęboko w ziemi.

– Tak, oczywiście.

– Ja muszę jeszcze wyjść.

– Dokąd... o... co... dlaczego?

Niczego nie rozumie. Ja też jeszcze niewiele.

– Nie pytaj. Lepiej, żebyś nie wiedziała. – Całuję ją w policzek. Moje pretensje zniknęły. – Dziękuję. Kocham cię.

Oczy jej wilgotnieją.

– Ja też cię kocham. Boję się.

Na dyskusje przyjdzie jeszcze czas. Zanim otworzę drzwi, mówię tylko:

– Wszystko będzie dobrze.

Jak mogłoby nie być, skoro wrócił?

Stoi w tej wąskiej, pustej uliczce. Gdybym nie wiedziała, że to on, nie rozpoznałabym go. Podarty płaszcz, broda, długie brudne włosy.

Wcześniej tak dbał o siebie. Nawet w czasie powstania codziennie się golił. Wtulam się w niego ponownie i tym razem przeszkadza mi nieświeży zapach, ale serce przepęlnia czułość.

– Chodźmy stąd.

– Dobrze. Poszukajmy czegoś, gdzie mógłbym przeczekać.

Miasto jest jeszcze pełne ruin. Nie powinniśmy mieć problemu. Jednak nawet w ruinach mieszkają ludzie, a jeśli nie, zapędzają się tam dzieciaki. Nie będzie tam wody, a tym bardziej mydła. A jedzenie? Boże, nie pomyślałam o tym.

– Kiedy ostatnio jadłeś?

– Przedwczoraj u mamy. Wiesz, ona zawsze mnie tak karmiła, że wystarczałoby na co najmniej dwa dni.

– Te dwa dni już minęły. Poczekaj jeszcze. Przyniosę coś z domu.

Gdy wchodzę na górę, coś przychodzi mi do głowy. Nie jestem w stanie jeszcze ocenić tego pomysłu, ale lepszego nie mam. Gdy otwieram drzwi frontowe, widzę w przedpokoju Bawarskiego. Niedobrze. Zapomniałam, żeby nie robić hałasu. Wbiegałam po schodach tak, że każdy mógł to usłyszeć.

– A co panna Zosia tak dzisiaj spaceruje? – mówi szeptem.

– Przepraszam, panie Stefanie – odpowiadam tak samo. – Postaram się już ciszej zachowywać.

Kręci z uśmiechem głową.

– Nie mogę dzisiaj spać, panno Zosiu. To nie panna mnie obudziła.

Przyglądam mu się uważniej. Rzeczywiście, chociaż jest w piżamie, nie sprawia wrażenia wyrwanego ze snu.

– A żona śpi?

– A jakże! Teraz nawet armaty by jej nie dobudziły! A panna Zosia z jakimś kawalerem tak spacerowała?

Zawsze był dla mnie miły, nawet na początku, więc opanowuję odruch i nie odpowiadam, że to nie jego sprawa. Przywołuję nawet na twarz coś

w rodzaju uśmiechu.

– Może.

– To dobrze. Dobrze. Panna Zosia taka śliczna, że mnie też by zawróciła w głowie, gdybym był młodszy.

Nadal się uśmiecham.

– Panie Stefanie, pan przede wszystkim żonaty!

Uderza się w głowę otwartą dłonią.

– Ano tak! – Śmieje się bezgłośnie. – No to idę do żony. Dobranoc.

– Dobranoc. – Gdy już kładzie rękę na klamce, przychodzi mi coś do głowy. – Panie Stefanie!

Odwraca się.

– Tak?

– Czy mógłby pan... – Trochę mi trudno to sformułować. Z drugiej strony, nie powinnam mieć skrupułów. Mieszka w naszym mieszkaniu, korzysta z mebli kupionych przez rodziców, a nawet wkłada garnitur taty. Jedyne jego strój, którego mama nie oddała, gdy tata zginął. Kiedyś widziałam, jak stała przy otwartej szafie, wtulając twarz w marynarkę. Na pogrzebie Władka Bawarski był w ten garnitur wystrojony. Irena nie zwróciła uwagi, ale ja miałam ochotę go z niego zedrzeć. I nie ma znaczenia, że Bawarscy dają nam rzeczy po swoich dzieciach. – Czy mógłby pan dać mi którąś ze swoich koszul i jedną parę spodni? – O bieliznę nie poproszę, chociaż też by się przydała. – Zapłacę.

Przygląda mi się w milczeniu, jakby analizował moją prośbę, po czym kiwa głową.

– Zaraz przyniosę. Nie ma mowy o pieniądzach.

I całe szczęście, bo nie wiem, skąd bym wskrobała jakąkolwiek sumę. Po chwili wręcza mi koszulę i spodnie.

– Dziękuję. Niech pan nikomu nie mówi, dobrze?

– Oczywiście.

Czy mogę mu wierzyć? Pewnie powie żonie, a ona zacznie paplać na prawo i lewo.

– Nikomu. – Patrzą mu prosto w oczy. – Nikomu, rozumie pan?

– Oczywiście, oczywiście – powtarza.

– Nawet żonie. Błagam.

– Oczywiście, panno Zosiu.

– Niech pan przysięgnie.

Patrzy szeroko otwartymi oczyma, ale w końcu mówi:

– Przysięgam.

Muszę jeszcze iść do naszego pokoju. Irena nie zadaje pytań, ale patrzy z taką troską, że jest mi jej szkoda. Zbieram wszystkie potrzebne rzeczy i nagle się decyduję. Mam nadzieję, że to dobry pomysł.

– Wrócę dopiero jutro po pracy – mówię. – Nie martw się o mnie.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Później. Nie mów nikomu, że go widziałas, dobrze?

– Ale...

– Nikomu – powtarzam z naciskiem i Irena kiwa głową.

Od niej nie żądam przysięg.

SIERPIEŃ 2020

– Gdzie mieszka Klara?

– W Warszawie. Myślisz, żeby jeszcze dzisiaj złożyć jej wizytę?

– Która godzina?

– Siedemnasta pięćdziesiąt pięć. – Rafał odczytał cyfry na zegarze samochodowym.

– Jest mężatką?

– Kto? – zapytał zbity z tropu.

– No przecież nie godzina! Klara.

– A, oczywiście. Była. Jej mąż zmarł dwa lata temu. Zupełnie nagle. Na serce.

– Hmm, a ile ona ma lat?

– Urodziła się w czterdziestym piątym, więc siedemdziesiąt pięć.

– No właśnie. Sądzę, że nie jest fanką niespodzianek. Kiedy ostatnio miałeś z nią kontakt?

– Była u nas na obiedzie jeszcze przed pandemią.

– A więc nie dzwonisz i nie wpadasz bez przerwy. Tym bardziej musimy dać jej czas. Jak pracujesz jutro?

– Mam nockę. – Uśmiechnął się z trudem. – W spółdzielni.

Napisał szefowej, że może pracować również tam.

– Ja też mam noc. Właściwie... chciałabym być tam z tobą. – Wiesz, kto jest z tobą wpisany?

– Darek.

– Dobrze. Spróbuję się zamienić. Ustaw mój telefon na głośnomówiący i zadzwoń do niego. Jest pod „Darek – agencja”.

Przysłuchiwał się rozmowie. Aneta trochę flirtowała z ich agencyjnym kolegą, ale nie miał jej tego za złe. To z Rafałem chciała być. Przynajmniej na dyżurze. I Darek zgodził się łatwo. Gdy się rozłączyła, Rafał miał ochotę powiedzieć, że ją kocha, ale ugryzł się w język. Na ponowne deklaracje przyjdzie czas. Miał nadzieję.

– Twoja kolej. Umów się jakoś z Klarą. Jeśli się uda, mnie też uwzględnij. Klara odebrała momentalnie.

– Dzień dobry, ciociu.

– Rafał? – Nie przypuszczał, że miała wpisany jego numer, a poznała go od razu. – Właśnie o tobie myślałam.

– Naprawdę, ciociu?

To było dziwne. Ciotka Klara miała bliższą rodzinę. Chyba że w jakiś sposób wyczuwała, że zajął się sprawą jej matki. Naciągane, ale przecież wydarzały się ostatnio dużo dziwniejsze rzeczy.

– Tak. O tobie, twoim rodzeństwie, twoim tacie.

Zesztywniał. Nie mógł dopuścić, żeby mówiła o ojcu i o wypadku.

– Ciociu – powiedział szybko. – Pomyślałem sobie, że dawno się nie widzieliśmy. Co byś powiedziała, żebym wpadł do ciebie jutro na szybką herbatkę? Pogadaliśmy trochę.

Zaległa cisza. Rafał przeklął brak zdolności dyplomatycznych. Jaki z niego będzie prawnik?

– To miłe – powiedziała w końcu Klara. Miał wrażenie, że nie jest szczerą. – A o której chciałbyś przyjść?

– Około siedemnastej? Taka poobiednia herbata. I nie kłopot się o nic. Obok nas jest świetna cukiernia. Kupię ciasto.

– Co ty mówisz? – zaprotestowała słabo. – To ja będę gospodynią. To ja...

– Mają tam świetną szarlotkę – wszedł jej w słowo.

– No dobrze. To ja upiekę sernik. Nie będę robić konkurencji świetnej szarlotce.

Próbowała tryskać energią, a brzmiała smutno.

– Ciociu, a mógłbym wpaść z koleżanką?

– Oczywiście! – Tym razem usłyszał w jej głosie entuzjazm. Aż tak się cieszyła, że cioteczny wnuk przyjdzie z dziewczyną? A może nie miała ochoty rozmawiać z nim sam na sam? – A jak się czuje mama i bliźniaki?

– Dobrze. Niedawno wrócili z wakacji nad...

– To świetnie! Opowiesz mi wszystko jutro, dobrze? Do zobaczenia!

– Do zobaczenia.

Rozłączyła się, zanim skończył mówić.

– Zgodziła się?

– Tak – odpowiedział wolno. – Mamy przyjść jutro koło piątej. Jest jej na rękę, że nie przyjdę sam.

– Dlaczego niby miałyby być jej na rękę?

– Nie wiem, ale się ucieszyła, a wcześniej wcale nie sprawiała wrażenia ucieszonej.

– Oj, Rafał. Na pewno się cieszy, że przedstawisz jej swoją dziewczynę.

Zerknął na profil Anety. Spodobał mu się dobór słów.

– Nie. Ciotka Ela – akcentował imię – cieszyła się z tego. Klara... Klara nie chce gadać ze mną sam na sam.

– Chyba ci się wydaje. Dlaczego tak miałyby być?

– Nie wiem. Na początku powiedziała, że o mnie myślała, ale potem zależało jej, żeby szybko zakończyć rozmowę.

– To trochę sprzeczne, nie uważasz? – Wzruszył ramionami. Sam tę sprzeczność zauważył. – Zresztą zobaczy cię jutro, więc po co miała gadać przez telefon?

– Rozłączyła się, kiedy się zegnałem.

– Pewnie po prostu zaczynał się jakiś jej serial.

Siedzieli przy herbacie, rozmawiając o rodzinie i pandemii. Klara zachowywała się naturalnie i doskonale pełniła rolę gospodyni, włączając

do rozmowy Anetę. Elegancka starsza pani. Nie próbowała się odmładzać, ale wyglądała dobrze. Zupełnie siwe włosy do ramion były doskonale ułożone, gęste i błyszczące. Zmarszczki na muśniętej delikatnym makijażem twarzy dodawały ciepła. Letnia sukienka do kolan podkreślała młodzieńczą figurę. Rafał dostrzegał to wszystko, ale głowę zaprzętała mu myśl, że czas mija, a oni nie przechodzą do sedna. Miał nadzieję, że Aneta zacznie temat, ale dziewczyna jedynie się uśmiechała i odpowiadała na pytania. To jego ciotka, jego rodzina. Wziął głęboki oddech i wypalił:

– Ciociu, wiesz, że pradziadek Anety to Roman Ołdakowski? Podobno się znaliście.

Klara odłożyła widelczyk z ciastem na talerzyk i spojrzała na ciotecznego wnuka. W jej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

– Tak, to znajomy mojej mamy. – Przeniosła wzrok na Anetę. – Co się z nim teraz dzieje?

– Jest w domu opieki.

– No tak. – Klara pokiwała głową. – Ile on ma lat? Pewnie już ze sto?

– Dziewięćdziesiąt dziewięć, ale zazwyczaj zachowuje przytomność umysłu – odpowiedziała Aneta. – Sporo o pani mówił.

– Tak? – Głos Klary brzmiał jak do tej pory, naturalnie i życzliwie. – A co mówił?

– Żebyśmy z panią porozmawiali.

W śmiechu Klary Rafał usłyszał pierwszą fałszywą nutę.

– I rozmawiacie. – Spojrzała na ciotecznego siostrzeńca. – To jemu zawdzięczam, że sobie o mnie przypomniałeś?

Rafał pokręcił głową.

– Powiedział nam jeszcze, żebyśmy pojechali do Bartników.

Klara nie wyglądała już na pewną siebie starszą panią. Pomimo zmarszczek i siwych włosów przypominała przestraszoną dziewczynkę.

– Pojechaliście?

– Tak, ciociu – odpowiedział łagodnie.

Nie chciał jej straszyć ani przygnębiać. Uśmiechnęła się jak poprzednio, pewnie i życzliwie.

– I...

– I odkryliśmy, że twoją mamą była Zosia. Zofia Ronik.

Ujęła widelczyk i włożyła do ust kawałek ciasta.

– Ta szarlotka naprawdę jest wyborna.

– Ciociu!

Odsunęła talerzyk.

– Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

– Ciociu, tu chodzi o twoją matkę! Twoje dzieci nie wiedzą, kto był ich babcią! I dziadkiem!

– Myślisz, że to ma dla nich znaczenie? Mają własne rodziny, własne sprawy. Może pora pogrzebać historię. A ty? Czy to takie istotne dla ciebie? Tyle już lat minęło.

– Nie tylko o to chodzi – wtrąciła Aneta. – Mój pradziadek praktycznie przyznał się do zabójstwa. Podejrzewamy, że pani mama, uznana za zaginioną, jest w piwnicy budynku spółdzielni, zamurowana.

Dwie łzy stoczyły się po policzkach starszej kobiety.

– Na pewno się mylicie – powiedziała smutno.

– Ciociu, my tam pracujemy.

– Tak? – powiedziała obojętnie. – To ciekawe. Córka Basi też tam pracowała.

– Właśnie – podchwycił Rafał. – Tam...

– Sama to sobie znalazła – ciągnęła, jakby go nie słyszała. – Wujek Romek... twój pradziadek jej nie załatwiał. Mojej... mamie tak. I Antkowi Bawarskiemu.

– Komu?

– Antkowi. Spotkałyśmy go kiedyś z mamą. Czy, jak wolisz, z mamą Basi. To sąsiad.

Zamilkła.

– Sąsiad?

– Tak mama mówiła – powiedziała sucho. – To była nasza mama.
Nieważne.

– Tam coś... ktoś jest.

– Gdzie?

– W spółdzielni. Ciocia Ela też to czuła. Tam...

– To rozkujcie ścianę, jeśli sądzicie, że to coś zmieni – przerwała. – Ja nie mogę wam w tym pomóc. Kiedy tylko... kiedy poruszałam kwestię przeszłości... – Zamilkła i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili dopowiedziała: – Kończyło się tragicznie.

Coś miała na myśli. Coś, co nie powinno mieć związku z tematem.

– O czym mówisz?

– To moja wina.

– Co jest twoją winą?

Podniosła głowę i wbiła w niego wzrok. Nieprzyjemny, niespodziewany dreszcz przeszedł mu wzdłuż kręgosłupa.

– Zadzwoiłam do twojego ojca. Miałam dosyć tajemnicy.

– Dlaczego do mojego ojca?

– Myślę, że się zdenerwował. Myślę, że...

– O czym mówisz? – zapytał jeszcze raz.

– Ten wypadek był moją winą.

Rafał patrzył, nie rozumiejąc. A może rozumiał. Nie powinien pytać. W odpowiedzi Klara może powiedzieć jedno słowo za dużo. Mimo to zapytał.

– Masz na myśli wypadek samochodowy?

Zadrzała.

– Tak. Wybacz mi.

– Wypadek samochodowy mojego ojca? – upewnił się.

– Rafalku...

– Wypadek zdarzył się, bo tata jechał po nieprzespanej nocy.

– Nie spał, bo mu powiedziałam. Tak jak... – Urwała. – To moja wina. Wiem, to zrzucenie ciężaru. Znowu. Ale nie tylko. Nie rozgrzebuj przeszłości. Teraz już idźcie. Przepraszam.

Podniosła się, trzęsąca i stara, ale nadal wystraszona dziewczynka. Sam się trząsał, ale nie chciał zostawiać jej w takim stanie.

– Ciociu...

– Idźcie. Proszę.

Aneta pociągnęła go za rękaw.

– Chodźmy.

Ruszył za nią bezwolnie.

– Do widzenia.

Ciotka nie uścisnęła ręki Anecie, nie pocałowała Rafała. Otworzyła drzwi i czekała, aż wyjdą.

– Jeśli zmieni pani zdanie... Jeśli będzie pani chciała porozmawiać, proszę dzwonić. Jeśli będzie pani wołała zadzwonić do mnie, nie do Rafała, proszę... – Aneta wygrzebała z torebki amatorską wizytówkę – tu jest mój telefon.

Klara obracała kartonik w palcach, nie odzywając się. Aneta znów pociągnęła Rafała. Kiedy tylko znaleźli się za progiem, drzwi się zamknęły, po czym rozległ się dźwięk obracanego w zamku klucza.

MARZEC 1946

Zosia

Idziemy brzegiem Wisły. Nikogo tu nie ma, ale Staszek i tak ma daszek czapki opuszczony na twarz, a kołnierz starego płaszcza postawiony. Nikt nie zdołałby dostrzec jego oczu. Nikt by go nie rozpoznał. Jedną ręką mnie obejmuje, drugą trzyma pakunek, który dla niego zniosłam. Jeszcze wszystkiego nie wyjaśniłam. Nadal nie wiem, czy to dobry pomysł, ale innego nie mam.

– Dlaczego dostałeś wyrok śmierci?

Opowiada o partyzantce. Mam tyle wątpliwości.

– Staszku... ludzie mówili... o ban... – Gryzę się w język. Nie powinnam nazywać bandami oddziałów partyzanckich, bo staję się jak komunistyczna propaganda. – Ludzie mówili, że partyzanci wpadali do domów i łupili, co popadło. Słyszałam nawet, że tych, którzy nie chcieli dać, zabijali.

Nie uważam, że ojciec mojego dziecka byłby zdolny do takiego postępowania. Mimo to muszę rozwiązać niepewność. Muszę wiedzieć.

– Dla nas nadal jest wojna. – Przechodzi mnie dreszcz i odsuwam się od niego. Staszek patrzy smutno w moją stronę. – Nie chcemy być pod okupacją sowiecką. Potrzebujemy jedzenia, potrzebujemy ubrań, lekarstw.

Zatrzymuję się.

– Czy to znaczy... czy... ty...

Nie daję rady skończyć.

– Czy uważasz, że byłbym zdolny zrobić cokolwiek jakiemuś cywilowi?

Kręcę głową, ale odpowiedź pytaniem na pytanie mnie nie uspokaja.

– Powiedz – mówię zdrętwiałymi wargami.

– Wchodziliśmy do domów. Prosiłiśmy. Czasem mocno prosiłiśmy.

Trzęsę się. Położył nacisk na „mocno”, jakby chciał, żeby coś do mnie dotarło.

– Co to znaczy? – pytam, szczękając zębami.

– To znaczy, że czasem jeden z nas wyciągał pistolet. – Opuszcza kołnierz, poprawia czapkę. Śnieg przestał padać, światło księżyca pada na twarz Staszka. Żałuję, że patrzę w jego oczy. Jest w nich mrok gęstszy niż dzisiejsza noc. – Ja nigdy – dodaje. – Oni zresztą tylko po to, żeby postraszyć. Kiedyś jeden z chłopaków pobił stawiającego się gospodarza do nieprzytomności. Dowódca dowiedział się po fakcie. Powiedział mu, że jeśli coś takiego się powtórzy, każe go rozstrzelać.

– Co?

Daję krok do tyłu. Nie wiem, co mnie bardziej przeraża: pobicie czy groźba dowódcy. Staszek pozostaje nieruchomy. Postawił na ziemi pakunek, opuścił ręce.

– To wojna.

– Ja już nie chcę wojny!

Rozpoznaję ton rozpuszczonego dziecka. Nigdy się go nie wyzbyłam. Jego nuty brzmiały w moich kłótniach z Ireną czy w rozmowach z Bawarskimi. A teraz tupię nogą na ojca mojej córki, który walczył za naszą wolność. Na tego, który zrozumiał, że miłość jest ważniejsza niż walka. Który wreszcie do nas wrócił. Poraniony, zziębnięty i niezbyt pięknie pachnący.

– Ja też nie chcę. Gdy tylko dowiedziałem się o Klarze, uciekłem z oddziału. I teraz dla jednych jestem zaplutym karłem reakcji, a dla drugich zdrajcą. Dezerterem.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Zaciskam ręce na jego szyi, wtulam się niego.

– Kochana, kochana – powtarza.

– Była amnestia – szepczę. – Rok temu. Niecały. Może znowu będzie.

– Może – mówi w moje włosy.

– Chodźmy. Mam dobrą kryjówkę.

Jestem już pewna, że chcę go tam zaprowadzić.

W łazienkach spółdzielni są krany z ciepłą wodą. Jest też elektryczność, jednak nie korzystamy z niej, żeby ktoś nie dostrzegł światła w oknach. Zapomniałam latarki, ale Staszek jest przygotowany. Jakże mogłoby być inaczej? Jest przygotowany nie tylko na ciemność. Z kieszeni spodni wyjmuje pistolet i kładzie go na parapecie. Nie potrafię oderwać wzroku od broni.

– Pozbądźmy się tego – mówię wreszcie.

– Nie teraz. Jeszcze nie.

Chociaż Staszek mówi spokojnie, słyszę nieoczekiwaną twardość. Może ma rację. Może potrzebne nam zabezpieczenie.

– Zdejmij z siebie wszystko i się umyj. Ja wypiorę twoje ubrania.

Sięgam do torby po mydło i podaję je Staszekowi.

– Śmierdzą, prawda?

– Kochany... – Uśmiecham się. – Trochę czuć.

– Nie chcę śmierdzieć – mówi, zrzucając odzież. – Chcę, żebyś mnie chciała.

– Chcę. Zawsze.

Odwracam wzrok i zbieram z podłogi ubrania. Piorę dla ukochanego. Kręci mi się w głowie. Nie wiem, jak długo spodnie będą schły w piwnicy, ale na szczęście mamy rzeczy Bawarskiego.

– Jestem czysty.

Wstydzę się spojrzeć na niego, więc nadal zajmuję się praniem. Odciąga mnie od umywalki. Nie protestuję, gdy rozpina mi sukienkę. Nie mówię nic, gdy zsuwa mi bieliznę. Czuję jego wilgotną skórę na mojej nagiej skórze. Tak długo na to czekałam. Nie mam żadnych wątpliwości, tak jak nie miałam ich tamtej nocy w powstaniu. To mój mąż. Nie dla ludzi, ale dla mnie i dla Boga. Ofiarowuję się w uniesieniu.

– Jesteś taka piękna – mówi potem, przesuwając dłońmi po moim ciele. – Taka moja.

Chciałabym tak trwać, ale całuję go w usta i się odsuwam.

– Muszę skończyć z praniem, a później zetrzeć podłogę.

Przyciąga mnie z powrotem. Nie mam siły się opierać. Należę do niego. Chcę do niego należeć.

– Zaraz zacznie świtać – mówię w końcu. – Musimy z tym skończyć i umieścić cię bezpiecznie na dole.

Kiwa głową i się ubiera.

– Proszę, ty jeszcze nie zakładaj sukienki. Chcę na ciebie patrzeć.

Piorę zupełnie naga. Staszek bierze szmatę i ściera podłogę, ale wiem, że nie spuszcza ze mnie wzroku. Nagle się odwracam i wciągam sukienkę. Muszę mieć to za sobą. Opowiadam o stodole, zachłystując się słowami.

– Kochana. – Przytula mnie. – Moja biedna kochana dziewczynka.

Wyrywam się z jego objęć.

– Czy gdyby to zrobił... gdyby Irena się nie pojawiła... czy nadal byś mnie kochał?

– Kochałbym cię zawsze – mówi uroczyście. – Gdyby to się stało... to przecież... Nie byłoby w tym żadnej twojej winy.

Wierzę mu.

Zaczyna robić się szaro, gdy schodzimy do piwnicy. Otwieram pomieszczenie, które Romek przeznaczył na nieużywane dokumenty. Na razie znieśliśmy tu przedwojenne papiery.

– Zobacz. – Nie wiem, dlaczego szepczę. Nikogo tu nie ma, ale czuję się nieswojo. – Tutaj są jeszcze jedne drzwi.

Otwieram. To pomieszczenie jest nieużywane. Być może przed wojną ktoś przechowywał tu jakieś niepotrzebne graty. Teraz nikt tu nie wchodzi. Sama otworzyłam je kiedyś z ciekawości, a później już tu nie zaglądałam.

– Tutaj mam być w ciągu dnia, prawda?

Wiem, że to straszne. Komórka może trzy na trzy metry, bez okien, z odrapanymi ścianami.

– Zostawię ci klucz. – Wypinam go z pozostałych i podaję ukochanemu. – Zamkniesz się od środka, ale będziesz mógł przejść tutaj, kiedy tylko będziesz chciał.

Gładzi mnie po twarzy.

– Pewnie będę chciał często.

– Po prostu, kiedy usłyszysz, że ktoś idzie, przejdziesz tam. – Wskazuję komórkę.

– Dobrze. Wszystko dobrze. Będę myślał o tobie i o Klarze.

– Jeśli... jeśli bbbb... będziesz chchcchiał... – Zaczynam się jąkać. Ostatni raz zdarzyło mi się w drugiej klasie szkoły powszechnej. Zmuszam się do opanowania. – Jeśli będziesz chciał skorzystać z toalety, tu masz dwa wiadra.

– Dobrze, kochanie. Nie martw się tym.

– Przyjdę do ciebie w dzień.

– Nie musisz. Spotkamy się wieczorem.

– Chcę. Zapukam tak. Trzy razy, przerwa, potem cztery, znów przerwa i jeszcze trzy.

Demonstruję. Staszek bierze moją rękę i podnosi do ust. Całuje każdy palec.

– Kocham cię.

– Ja też cię kocham – mówię przez łzy.

Pora na rozstanie. Staszek wchodzi do komórki i przekręca klucz od środka.

Idę do sekretariatu. Odwieszam klucze na miejsce i siadam przy swoim biurku. Mam trochę papierkowej roboty.

SIERPIEŃ 2020

Znów byli razem w pustym budynku spółdzielni. Rafał milczał. Nie czekał na znak od Zosi ani nie delectował się bliskością Anety. Ponownie przeżywał chwilę, w której dowiedział się o wypadku.

Jedli obiad, gdy zadzwonił telefon mamy. Poszła rozmawiać do innego pomieszczenia, a bliźniaki zaczęły się kłócić, które szybciej biega. Rafał położył ręce na uszach. Zdjął je, gdy Tosia i Paweł zamilkli i patrzyli z otwartymi ustami w kierunku wejścia. W progu stała matka. Jej twarz miała barwę wosku. Wargi poruszały się, ale nie wychodził z nich żaden dźwięk.

– Mamo! – Zerwał się z krzesła i doskoczył do niej przerażony.

Zaczęła się trząść. Sam poczuł dreszcze, jakby to było zaraźliwe.

– Tata – usłyszał.

– Co... tata?

– Był wypadek. Nie wiem... nie wiem... Musimy... Musimy...

Podprowadził matkę do kanapy, usadził. Próbował zadać jakieś pytania, ale nie reagowała. Siedziała z szeroko otwartymi, suchymi oczyma i się trzęsła. Atak paniki. Przykrył ją kocem, wziął jej komórkę i wybrał numer, który ostatnio się z nią łączył. To był kolega ojca z pracy, towarzyszący mu w podróży.

Gdy skończył rozmawiać, matka siedziała w tej samej pozycji. Nadal drżała.

– Zadzwoń... do... cioci... Heli. Ona musi nas zawieźć. Nie... dam... rady... prowadzić.

Te słowa znaczyły, że zaczynała dochodzić do siebie. Mimo to dzieciaki stały w pewnym oddaleniu, jakby mogła zarażać. Zaprowadził je do

drugiego pokoju i zadzwonił do bliźniaczki matki. Przyjechała natychmiast. Przeprowadziła szybką rozmowę z Toską i Pawłem, odtransportowała ich do swojego mieszkania, a Rafała i mamę zawiozła do szpitala w Chełmie. Rozmawiała z lekarzami, załatwiała formalności. Następnego dnia wrócili. Tylko ojciec już nigdy nie pojawił się w domu.

Rafał w jednej chwili stał się dorosły. Matka, jakby zapomniała, że ma dzieci, skupiła się na jednym, więc przez pierwszy okres na niego spadała opieka nad bliźniakami. Odprowadzał je do przedszkola, odbierał, bawił się z nimi popołudniami. Uczył się nocą. Czasem ślaniał się na nogach ze zmęczenia, ale może to było błogosławieństwo. Zajęty czym innym, nie rozpamiętywał najgorszego.

Dopiero gdy się kładł, przychodziła rozpacz. Nie znikwała nawet, gdy zasnął, dręczyła mózg koszmarami. Budził się w środku potwornego snu, zawsze przedstawiającego zderzenie samochodu z drzewem, krwawiącą głowę ojca, jego krzyk i następującą po nim martwą ciszę. Rafał siadał wypełniony wdzięcznością.

– To tylko sen – szeptał.

I wtedy uświadamiał sobie rzeczywistość nie lepszą od snu. Rozpacz nie rozluźniała uścisku do rana.

I teraz wróciła.

– Zrobię herbatę, co?

Pokiwał głową, nie wiedząc, na co się zgadza, ani nie dbając o to. Ten wypadek był moją winą.

– Herbata dla pana.

Rafał podniósł głowę i spojrzał w przejrzyste oczy dziewczyny. Czy jeszcze kiedyś pomyśli, że ją kocha?

– Dziękuję – wymamrotał.

Usiadła.

– Powiedz coś do mnie.

Odwrócił wzrok.

– Przecież mówię.

– Nie, Rafał. Nie mówisz. Od kiedy opuściliśmy mieszkanie Klary, nie odezwałeś się. „Tak”, „nie”, „cześć” czy „dziękuję” nie będę liczyć.

Zacisnął palce na szklance z herbatą.

– Co byś chciała, żebym powiedział?

– To wróciło, prawda?

Wstrząsnął się.

– Co?

– Ta ciemność, którą nosiłeś w sobie po wypadku.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Klara coś poruszyła i wywlekła ją z jakiegoś miejsca w tobie. Bo ona... ta ciemność się schowała, ale nie znikła.

– Aneta...

– Nie przeżywałeś żałoby w odpowiedni sposób, prawda?

Gdyby tylko o to chodziło.

– Umiesz zdefiniować odpowiedni sposób żałoby?

Próbował mówić nonszalancko, ale słyszał piskliwy ton małego chłopca.

– Płakałeś?

Nie uronił łzy, od kiedy dowiedział się o wypadku. Płakać mogły bliźniaki. I mama. On miał być skałą. I był.

– Tym razem wcale mi się nie podoba ta sesja terapeutyczna.

– To nie sesja. Jestem twoją przyjaciółką. Nie potrafię znaleźć właściwych słów. Myślę, że rozmowa pomaga. Podzielenie się z kimś bólem pomaga.

Zaczął trząść głową. Nie. To chciał powiedzieć tej dziewczynie o jasnych oczach. Nie będzie dzielił się ciemnością.

– Dlaczego ona tak powiedziała? – szepnął zamiast tego.

– Klara?

– Tak. Dlaczego wypadek miałby być jej winą?

– Też o tym myślałam. – Wciągała go w rozmowę, wrywała z samotności, w której chciał się pogrążyć. Pozwalał jej. – Dlaczego rozmowa o starych czasach miałaby aż tak zdenerwować twój tatę? Nawet jeśli jego babcia wychowywała jego mamę i drugą dziewczynkę, która nie była jej biologiczną siostrą? Od tamtej sprawy dzieliło go pokolenie rodziców.

– Właśnie. – Nagle przyszło skojarzenie. – Niedawno przed wypadkiem umarła jego mama. Babcia Basia. Może rozmowa z Klarą coś poruszyła. Klara z pewnością nie powiedziała nam o wszystkim. Może babcia Basia...

Zabrakło mu tchu. Wątek się urwał, nie wiedział już, co chciał powiedzieć. Aneta dotknęła jego twarzy.

– Płaczesz – powiedziała.

Objęła go. Początkowy opór zelżał. Wcisnął twarz w jej ramię i szlochał, nie dbając już o pozory. Mały chłopiec, który musiał w jednej chwili dorosnąć, płakał z tęsknoty. Nagły huk dochodzący z piwnicy sprawił, że oboje podskoczyli.

– Co to było? – szepnęła Aneta.

Rafał otarł mokrą twarz wierzchem dłoni.

– Brzmiało jak wystrzał z pistoletu – powiedział obojętnie. – Chodźmy.

Znów usłyszeli hałas, przypominający pierwszy.

– Może lepiej zadzwonić na policję? – zasugerowała Aneta.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś teraz strzelał?

– Nie teraz?

Uśmiechnął się. Wciąż wszystko go bolało. Jeszcze będzie płakał. Może nawet w ramionach tej dziewczyny. Później.

– Twoja terapia działa. A co do strzałów, sądzę, że należą do przeszłości. Te duchy... czy co tam jest na dole... znów nam coś mówią. Tak mi się wydaje.

– Więc chodźmy.

Tak mi się wydaje. Tak powiedział. Nie miał pewności.

– Nie. Ty zostań. Jeśli nie wrócę w ciągu dziesięciu minut, dzwoń na policję.

– Chyba żartujesz – powiedziała, sięgając po klucz. – Jeśli idziemy, idziemy razem.

Znów się uśmiechnął.

Na dole odwrócił się do Anety.

– Odsuń się. Ja wejdę tam najpierw.

– Chyba żartuje...

– Nie – przerwał jej. – Nie będziemy wchodzić naraz. Jeśli coś... ktoś tam jest, będziemy mieć większe szanse, jeśli wejdziemy pojedynczo.

– To ja pier...

– Nie – znów jej przerwał.

Patrzył ostro, aż cofnęła się dwa kroki, i dopiero wtedy przekręcił klucz. Wszedł do pokoju i zawołał:

– Cholera!

W jednej chwili znalazła się przy nim.

– Co się sta...

Patrzyli osłupiali na przewalony regał.

– Duchy go przewaliły? – mruknęła Aneta.

Rafał wzruszył ramionami.

– Chyba trzeba to posprzątać.

– Poczekaj. – Powstrzymała go. – Jeśli to duchy czy też duch, to pewnie chce nam coś powiedzieć.

– Niby co?

– Poczekaj – powtórzyła. – Przyjrzyjmy się.

Rafał posłusznie patrzył na rozrzucone segregatory.

– No i?

Aneta podniosła z ziemi jeden.

– Tylko ten jest otwarty, prawda?

Ból mijał. Rafał poczuł znajome podniecenie.

– Co jest na tej otwartej stronie?

– Antoni Bawarski – odczytała Aneta.

Coś mu to mówiło. Coś...

– Który rok?

– Poczekaj... Pięćdziesiąty piąty. – Ich spojrzenia skrzyżowały się. – Czy to nie ten...

– Tak. To ten, któremu twój pradziadek załatwił pracę. Ten, o którym mówiła Klara. Że go spotkały.

– Nie chciała dużo mówić o tym spotkaniu, prawda?

– Właśnie.

Podszedł do dziewczyny i zajrzał do segregatora.

– Jest adres!

– Pewnie nieaktualny, ale zapiszmy. To może być jakieś zaczepienie.

– Myślisz, że facet żyje?

MARZEC 1946

Bała się zadawać pytania, a Zosia prawie się nie odzywała. Pierwszego dnia po nocy pojawienia się Staszka bez słowa położyła na stole gazetę. Były w niej zdjęcia poszukiwanych bandytów, w tym Stanisława Antolaka. Bandyta! Irena nie wierzyła. Powtarzała sobie, że nie da się omamić komunistycznej nagonce. Przychodziły jednak wspomnienia rozmów z gospodarzami, którzy pomstowali na chłopców z lasu. Pomstującymi nie byli komuniści, to chłopci, którzy chcieli tylko spokoju i zachowania owoców własnej pracy. Wszyscy im to wrywali: kiedyś panowie, później Niemcy, jeszcze potem Sowietci. Bandy. Słowo wracało. Staszek nie był bandziorem. Gdyby chociaż potrafiła całkowicie zdystansować się od nowej władzy. Romek był jej przedstawicielem, a przecież Romek był dobry. Dobry nie dobry, wołała nie poruszać z nim tematów politycznych. Staszek był nie tylko polityczny, rozmowa o nim z sąsiadem, który kochał się w jej siostrze, byłaby kwestią osobistą. Irena wetknęła gazetę głęboko do szafy. To pewnie nie na wiele się zdało; była prawie pewna, że Ołdakowski wie o poszukiwaniu Staszka. Nie mówił nic z siebie tylko znanych powodów. Chciała wierzyć, że z delikatności.

Antek od chwili oświadczyń przyszedł raz i zabrał ją na spacer. Prawie nie rozmawiali. Jak dzieci? Świetnie. Ładna pogoda. Rzeczywiście, robi się ciepło. Co w gazecie? Dużo pracy. Temat gazety był niebezpieczny, bo w „Życiu Warszawy” też pojawiło się zdjęcie Staszka. Antek albo je przeoczył, albo był równie delikatny jak Romek i wołał nie niepokoić kobiety, którą chciał poślubić. Delikatność rozciągała się na sferę fizyczną. Nie próbował dotknąć Ireny. Czekał. Powinna powiedzieć „tak”. Nie była gotowa. Odłożyła decyzję i pożegnała go z ulgą.

Zosia wracała do domu po pracy i kilka godzin zajmowała się Klarą. Usypiała ją, całowała Irenę w policzek, głaskała Basię po główce i zniknęła

na kolejną noc. Chociaż nie było już w niej agresji, wydawała się twardsza niż wcześniej. Irena miała nadzieję, że to dojrzałość.

Obie siedziały teraz na kanapie i przyglądały się dziewczynkom baraszkującym na podłodze.

– Zosiu – odezwała się Irena. – Jak długo chcesz to ciągnąć?

Siostra posłała jej ostre spojrzenie.

– Co?

– Rozumiem, że Staszek musi się ukrywać.

Po raz pierwszy po tamtej nocy wróciła do tematu Staszka. Ryzykowała, że siostra zareaguje złością, lub, co gorsza, wycofa się w głąb siebie. Zosia jednak się uśmiechnęła.

– Musi. Przynajmniej na razie.

Rozmawiały. Trzeba wykorzystać szansę.

– Antek twierdzi, że niedługo będzie następna amnestia.

– A skąd Antek może takie rzeczy wiedzieć? Jest tylko dziennikarzem.

– Dziennikarze mają dojścia. Nie tylko do tego. Podobno ktoś dzięki takim dojściom wyjechał do Francji na fałszywym paszporcie.

Zosia kilka razy zamrugnęła powiekami.

– Mówisz poważnie?

– Tak. To mogłaby być dla was szansa. Wyjechalibyście razem. Z Klarą.

– I on... myślisz, że on...

– Mogłabym zapytać.

– Mogłabyś? Naprawdę? Ale... może teoretycznie. Nie mów, że chodzi o Staszka.

– Dobrze.

– I myślisz, że by to zrobił? Że załatwiłby nam wyjazd?

– Myślę, że zrobiłby to dla rodziny żony... czy przyszłej żony.

– Co?

– Poprosił mnie o rękę.

– I chcesz za niego wyjść?

Irena przyglądała się niewinnej twarzy siostry. Pomimo wojny, pomimo straty rodziców, pomimo urodzenia córki, Zosia pozostawała dzieckiem.

– Myślę, że mogłabym go pokochać.

Nie mogłabyś! Coś w niej krzychało. Kazała głosowi zamilknąć i pohamowała pokusę powiedzenia siostrze, że wyjdzie za Antka tylko po to, żeby ona mogła bezpiecznie wyjechać ze Staszkiem i Klarą. Że się poświęci. Tym bardziej, że to nie byłaby prawda.

– To byłoby... No, to byłoby cudowne! Moglibyśmy żyć normalnie!

Tak, Zosia była dzieckiem. Podobny entuzjazm okazywała przed wojną, gdy częstowano ją cukierkami. Przynajmniej teraz nie skakała.

– Poczekaj. Nie mów jeszcze Staszewi. Najpierw pogadam z Antkiem.

Albo i nie, dodała w myślach.

– Dobrze.

Zupełnie niespodziewanie Zosia zarzuciła jej ramiona na szyję.

– Jesteś taka kochana – szepnęła i przycisnęła świeży policzek do twarzy siostry.

Irena przyciągnęła ją do siebie. Poczucie obowiązku, wzruszenie, strach – wszystko się mieszało.

– Mama! Mama! – wołały dziewczynki jedna przez drugą.

Zosia się roześmiała, Basia i Klara zawtórowały. W głowie Ireny panował chaos.

Była zadowolona, że dziewczynki śpią, a Zosia wyszła. Samotna noc oznaczała możliwość uporządkowania myśli. Należało zacząć od faktów. Staszek gdzieś się ukrywał. Może był bandytą, może nie. Przeżył i chciał być ojcem Klary, mężem Zosi. Irena powiedziała Zosi o możliwościach Antka. Zapewne jego „dojścia” nie załatwiłyby wszystkiego, jednak mówił o hakach na nowych polityków. Brzydka przeszłość, którą dziennikarze mogli ujawnić. Jeden wydawał Żydów, inny okradał sąsiadów, jeszcze jakiś

pobił żonę tak, że wylała jej wątroba, a kolejny był zwykłym szabrownikiem. W żadnej sprawie nie było dowodów, jednak artykuł był w stanie złamać obiecującą karierę. Zapewne niewielu podjęłoby ryzyko. Irena mogła pomóc siostrze. Wystarczy sprzedać wolność i ciało. Dlaczego wciąż wracało słowo „sprzedać”? Lubiła Antka. Jego dotyk działał elektryzująco. Umiał radzić sobie z dziećmi. Był opiekuńczy. Byłby dobrym mężem...

Pukanie przerwało ciąg myśli. Dziewczynki poruszyły się w kołysce. Irena podeszła do drzwi i je otworzyła. W progu stał Romek.

– Chodźmy do kuchni – powiedziała szeptem.

W nieokreślony sposób czuła wdzięczność, że się pojawił. Nie chciała już samotności ani porządkowania chaosu. Nie chciała podejmować decyzji.

Bawarska krzątała się przy garnkach. Cudownie. Irena wołała nie rozmawiać sam na sam. Z nikim.

– Zrobię herbaty. Napije się pani z nami, pani Janko?

– Chętnie. Usiądę przynajmniej przez chwilę jak człowiek. Cały dzień tylko na nogach. A ten leń patentowany już się do łóżka położył.

Irena uśmiechała się, słuchając utyskiwań współlokatorki. Bawarski nie był leniem. Ciężko pracował na budowie, a potem zajmował się dziećmi. Wiadomo, nie zawsze idealnie. Czasem zajrzał do kieliszka. Czasem zaszył się w kącie z gazetą. Jak to mężczyzna. Bawarska kontynuowała monolog przy herbacie. Romek potakiwał, uśmiechał się. Brał kobietę pod włos. Gdy mieli już puste szklanki, powiedział:

– Chciałbym pokazać Irenie kolor ściany w moim mieszkaniu. Zostało mi trochę farby i może im się przyda. Porwę ją na chwilę, dobrze?

– Oczywiście, oczywiście – mruknęła Bawarska.

– Ale... – próbowała protestować Irena.

– Jeśli dzieci będą płakać, da nam pani znać, dobrze, pani Janko? – ciągnął Romek.

– Jak najbardziej, panie Romku.

Oszołomiona Irena przyglądała się, jak sąsiad całuje rękę współlokatorki. Bawarska lubiła szarmanckich mężczyzn. Za tego rodzaju puste gesty dałaby się sprzedać. A za co ja dałabym się sprzedać? Irena wyrzuciła pytanie z głowy. Uśmiechnęła się do Bawarskiej i dała się wyprowadzić.

– Nie zmieniłeś koloru ściany – powiedziała.

Romek opadł na kanapę.

– Usiądź. Przepraszam, że ja pierwszy.

Zajęła miejsce na krześle. Dopiero teraz zauważyła, że Romek ma bladą wymizerowaną twarz i ogromne wory pod oczyma.

– Wyglądasz na zmęczonego.

Machnął ręką.

– Nic mi nie jest. – Pokiwała głową. Nie chciała dopytywać. Nie chciała słyszeć odpowiedzi. – Ostatnio mało śpiam – dodał.

Nie ma co chować głowy w piasek. Przyszła tu i nie wywinie się od konfrontacji.

– Dlaczego?

– Martwię się o Zosię.

Nie spuściła oczu. Czekwała na dalszy ciąg. Romek podniósł się i otworzył szufladę w komodzie. Rzucił na stół „Życie Warszawy”. Spojrzała na fotografie poszukiwanych bandytów, po czym wbiła wzrok w gospodarza.

– Nie dziwisz się – powiedział, kładąc palec na nazwisku Staszka.

– Widziałam to.

– Zosia też widziała, prawda?

Nie kłamać bez potrzeby. To zasada, którą przyjęła od wybuchu wojny.

– Widziała.

– A teraz znika na całe noce.

– Skąd wiesz? – spytała ostro.

– Skąd wiem? Słyszę, jak drzwi waszego mieszkania się otwierają, słyszę kroki na schodach. Staję w oknie i widzę, jak biegnie. Jest w pracy

pierwsza, zawsze. Nawet gdy raz przyszedłem o wpół do szóstej, ona siedziała już przy biurku.

– O ile wiem, nie ma prawa, które zabraniałoby kobietom opuszczać w nocy dom.

Romek podszedł do okna. Patrzyła na jego plecy, zastanawiając się, co grozi siostrze ze strony przedstawiciela nowej władzy. Zakochanego i zazdrosnego. Co można zrobić, żeby zażegnać niebezpieczeństwo?

– Myślę, że się z nim spotyka.

W każdym słowie słyszała ból. No i co? Powinna zaprzeczać? Pocieszać? Błagać o litość? Powoływać się na wspólne dzieciństwo? A może próbować merytorycznej dyskusji? Milczała.

– To jest przestępstwo – ciągnął. – Staszek jest wyjęty spod prawa.

– Znasz go! – przerwała. – Nie wiesz, czy się z nim spotyka – dodała szybko – ale naprawdę myślisz, że to pospolity bandyta? Że ten szmatławiec – wskazała na „Życie Warszawy”, tłumiąc wyrzuty sumienia – pisze prawdę?

– Nieważne, co myślę. Ja...

– O komunistach też różne rzeczy mówili przed wojną. Różne rzeczy gazety pisały. Mimo to nikt z naszej rodziny nie traktował cię źle. Nikt, nigdy!

Odwrócił się.

– Wiem o tym. – Potarł czoło. – Wiesz, że jeśli jej udowodnią udzielanie pomocy bandycie, kara będzie bardzo surowa? Wiesz, jak wyglądają teraz procesy? Udowodnić winę nie jest trudno.

– O czym ty...

– Po prostu się martwię.

Ostrzegał. Groził.

– Co powinnam... co mam robić?

– Porozmawiaj z nią. Powiedz, żeby przestała. Wpłyn na nią. To może być kwestia dni.

Podniosła się. Stała przy nim i wbiła wzrok w jego twarz.

– Nie skrzywdzisz jej – szepnęła.

Jego oczy błyszczały. Może miał gorączkę, może prawie płakał. Pokręcił głową. Nie wiedziała, co oznaczał ten gest.

– Porozmawiaj z nią – powtórzył.

Stała jeszcze chwilę, tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Parzył. Odwróciła się. Gdy była już w progu, usłyszała ponownie:

– Porozmawiaj z nią.

Musiała działać szybko. Bawarska była jeszcze w kuchni. Irena zauważyła na twarzy kobiety kilka łez. Pewnie współlokatorka wspominała swoje zmarłe dzieci. W innej sytuacji Irena by ją pocieszała, rozmawiała z nią.

– Pani Janko, muszę wyjść.

Kobieta otarła twarz wierzchem dłoni.

– Teraz?

– Tak. To ważne. Czy pani... Otworzę drzwi, żeby było słycać dziewczynki... Czy mogłaby pani je przypilnować? Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Dlaczego chcesz wyjść teraz?

Po raz pierwszy Bawarska nie nazwała jej panią.

– Janko, proszę, nie pytaj. To naprawdę ważne.

Bawarska kiwała głową, nie próbując już ocierać policzków.

– Dobrze. Posiedzę tu i poczekam na ciebie.

– Dziękuję. Wejdę jeszcze tylko na moment do pokoju.

Nawet nie spojrzała na dziewczynki. Zsunęła obrączkę, schowała na dno szkatułki.

Biegła przez noc. Płuca paliły, pot spływał po twarzy. Przed kamienicą Antka zatrzymała się, uspokajając oddech. Przetarła policzki i czoło

chusteczką, przeczesła palcami włosy. Zapewne nie wyglądała najpiękniej. Może Antek nie zauważy. Jest ciemno. Może nie będzie palił światła.

Użyła dzwonka. Po chwili drzwi się otworzyły. W progu stał mężczyzna, który zajmował z rodziną drugi pokój w tym samym mieszkaniu.

– Ja... do Antka.

– O tej porze?

Antek pojawił się w przedpokoju.

– Irena. – Uśmiechnął się. – Chodź.

W pokoju patrzył na nią bez słowa.

– Tak – powiedziała. – Chcę za ciebie wyjść.

Wyciągnął ramiona. Przyłgnęła do niego, poszukała jego ust.

– Poczekaj – szepnął.

Otworzył jakąś szufladę i wrócił. Wsunął na jej palec pierścionelek.

– Teraz jesteś moją narzeczoną.

Przyciągnął ją z powrotem. Rozpinała jego koszulę, spodnie. Wyginała się pod pieścizotą dużych męskich dłoni. Oddała mu się w półmroku ascetycznego pokoju, na twardym wąskim łóżku. Czuła tylko ból i pieczenie, ale jęczała, udając rozkosz, prosząc o więcej.

– Muszę iść – powiedziała w końcu. – Zostawiłam dziewczynki z Bawarską.

Usiadła, sięgając po biustonosz. Antek gładził jej plecy.

– A Zosia? – zapytał leniwie.

– Zosi nie ma.

Roześmiał się.

– A więc obie jesteście latawicami.

Wstała, nałożyła bieliznę i pończochy, wciągnęła sukienkę.

– Idę – powiedziała, powstrzymując chęć dania mu w twarz.

Zerwał się z łóżka całkiem nagi i ją przytulił.

– Przepraszam, to głupi żart. Kocham cię.

Pokiwała głową. Powinna odwzajemnić wyznanie, ale nie potrafiła. Podniosła twarz, nadstawiając usta do pocałunku. Ciało umiała sprzedać.

– Odprowadzę cię – szepnął, odrywając się od niej. – Nie pozwolę, żeby moja narzeczona sama wracała po nocy.

Gdy wychodzili, współlokator pojawił się w przedpokoju i przyglądał się Irenie z drwiącym uśmiechem.

– A dokąd poszła Zosia? – zapytał Antek na ulicy.

Poprosi go o wsparcie, ale jutro. Narzeczony nie może podejrzewać, że jej motywem jest paszport dla siostry i jej mężczyzny.

– Nie wiem. – Westchnęła, przywołując zdolności aktorskie. – Pytałam, ale nie chciała powiedzieć. Martwię się o nią.

Potrzebowała pójść do grobu. Nie prosiła Bawarskiej o przypilnowanie dzieci, chociaż współlokatorka rzadko odmawiała pomocy. Dla Klary to będzie symboliczne pożegnanie z wujkiem, a Basi trzeba wytłumaczyć, kto jest jej ojcem. Nie można pozwolić, żeby Antek przypisał sobie tę rolę. Jakiś głos z tyłu głowy oznajmiał drwiąco, że Irena po prostu boi się zostać sama z mężem i dlatego bierze dziewczynki. Sama z mężem? Nie była przesądna, nie wierzyła w nawiedzone cmentarze czy groby, od których dusza nie może odejść. A jednak. A jednak tam szła porozmawiać z Władkiem. To potęga sugestii. Ludzie od wieków przyozdabiają nagrobki, żeby oddać hołd zmarłym, komunikują się z nimi w miejscu pochówku. Tak lepiej. Łatwiej.

Zapaliła świecę i wzięła dziewczynki na ręce. Odgoniła natrętą myśl, że używa Basi i Klary jak tarczy ochronnej.

– Klaruniu – zaczęła. – Tu leży twój wujek. Basieńko, to twój tata. To znaczy jego ciało, bo dusza jest w niebie.

Mam nadzieję, pomyślała. Gdzie jednak mógłby pójść bohater, jeśli nie do rajy?

– Basieńko, będziemy tu przychodzić często. Żebyś wiedziała. Żebyś nie zapomniała, kto jest twoim tatusiem. Był bohaterem. Zginął za Polskę. Za nas. – Głos jej się załamał. Wzięła kilka oddechów i dokończyła: – Żebyśmy miały lepsze życie. Klaruś, mam nadzieję, że będziesz mogła kiedyś wrócić do Polski i odwiedzić jego grób. Jestem pewna, że byłby twoim ulubionym wujkiem.

Dziewczynki zachichotały. To dobrze. Nie przychodziła tu przecież po to, żeby je straszyć. Odłożyła je do wózka.

– Władek... Wrócę, kiedy zasną.

Nie będzie się nimi osłaniać. Przeszła się po cmentarnych alejkach, nucąc cicho. Klara i Basia zamknęły oczy. Gdy usiadła na ławce, ręce jej drżały. Splotła je, dotknęła pierścionka zaręczynowego. Był taki ciężki. Serdeczny palec prawej dłoni natomiast wydawał się pusty bez obrączki. Skóra w miejscu, gdzie złoty krążek znajdował się tyle lat, była biała, niedotknięta słońcem.

– Kochanie, pewnie już wiesz – szepnęła. – Wychodzę za mąż.

Nic się nie stało. Nie spodziewała się, że jej odpowie, ale odetchnęła z ulgą, jakby najtrudniejszą część miała za sobą. Opowiedziała wszystko, starając się nie wybielać.

– Zawsze będę cię kocha...

Nagły podmuch wiatru zgasił znicz. Wstrząsnęła się. Coś takiego już miało miejsce. Bawarska jej opowiadała, że w czasie mszy żałobnej ni stąd, ni zowąd zrobił się przeciąg i wszystkie świece zgasły. Ponoć ludzie szeptali, że to znak. Irena nic nie pamiętała, a na opowieść Janki tylko wzruszyła ramionami, mamrocząc: „Przesady”.

Dziewczynki poruszyły się w wózku. Jeszcze nie płakały, ale za chwilę zaczną. Irena wstała.

– Do widzenia, kochany.

Oddalała się od grobu szybkim krokiem.

Znak czego?

SIERPIEŃ 2020

Do rana nie wydarzyło się już nic niezwykłego. Gdy wyszli, Aneta zasugerowała przejażdżkę na posterunek policji.

– Do pana Antoniego, czy ktokolwiek tam mieszka, nie wypada chodzić przed jedenastą. Na policji chyba nikt nie będzie zły, jeśli odwiedzimy ich po siódmej.

Rafał nie był w stanie stwierdzić, czy to dobry pomysł. Po nieprzespanej nocy czuł się zmęczony, myśli miał rozbiegane. Na komendzie kazano im czekać do ósmej. Zamknął oczy, głowa mu opadła.

– Mogą już państwo wejść.

Półprzytomny Rafał podążył za Anetą. Za biurkiem siedział napakowany blondyn, który zapewne nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Patrzył tylko na Anetę.

– W jakiej sprawie państwo przychodzą?

Przynajmniej używał liczby mnogiej. Nie, żeby Rafała specjalnie to obchodziło. Aneta wyjaśniła, że jej pradziadek opowiadał o zamurowaniu kogoś w piwnicznym pomieszczeniu.

– Pradziadek? – zdziwił się blondyn. – Kiedy to było?

– Kilka dni temu.

– Kilka dni temu ktoś został zamurowany?

– Nie, nie. Pradziadek opowiedział nam o tym kilka dni temu.

– Aha. – Policjant pokiwał głową. – A kiedy odbyło się zamurowanie?

– Siedemdziesiąt cztery lata temu.

– Siedemdziesiąt cztery lata temu – powtórzył.

Na jego twarzy pojawił się nieokreślony uśmiech. Nie wyrzucał ich z pokoju, zapewne jedynie ze względu na wdzięk Anety.

– Tak. Chcielibyśmy, żeby ktoś tę ścianę rozkuł.

– Którą ścianę?

Aneta powiedziała, gdzie znajduje się budynek.

– Należy do spółdzielni mieszkaniowej – dokończyła.

– Tak, wiem – mruknął policjant.

– Przyjmie pan nasze zgłoszenie?

Policjant pokręcił głową.

– To nie jest zgłoszenie.

– Przecież... – zaczęła Aneta.

Mężczyzna uśmiechnął się tak szeroko, że odsłonił większość nieco poźółkłego uzębienia.

– Podejrzewam, że siedemdziesiąt cztery lata temu nie było pani na świecie. Nie możemy tak po prostu tam wkroczyć i zniszczyć cudzą własność.

– Ale...

– Gdyby zgłoszenie wpłynęło od świadka zdarzenia – tłumaczył cierpliwie – mielibyśmy obowiązek zareagować. Ale tak... Każdy może przyjść i opowiedzieć niestworzoną historyjkę.

– Czyli jest potrzebne zgłoszenie od pradziadka? – upewniła się Aneta.

– Owszem.

Dziewczyna westchnęła, a policjant znów się uśmiechnął, tym razem przepaszająco. Aneta wstała.

– Dobrze, dziękujemy bardzo.

Na szczęście jest pandemia, pomyślał Rafał. Wcale nie miał ochoty ścisnąć ręki temu byczkowi. Tym bardziej nie miał ochoty, żeby byczek dotykał dłoni Anety.

– To było do przewidzenia – powiedziała w samochodzie. – Zawiozę cię teraz do domu i przyjadę o dwunastej. Prześpij się trochę.

Rafał zakazał dzieciakom wchodzić do pokoju i nastawił alarm na jedenastą trzydzieści. Sądził, że będzie miał problemy z zaśnięciem, ale odpłynął, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Żadnych koszmarów,

żadnych snów. Gdy wstał, czuł się zregenerowany. Po wzięciu prysznicą również odświeżony. Gotowy na spotkanie z Anetą. Prawie gotowy na działanie. Wybiegł przed dom równo o dwunastą. Aneta już czekała w aucie. Rafał usiadł obok.

– Cześć.

– Hej. To jedziemy. – Pocałowała go w policzek i ruszyła. – Byłam u dziadka.

– Co?

– Pojechałam do domu opieki. Próbowałam go namówić, żeby złożył zawiadomienie, ale nie wiedział, o czym mówię. Niby mnie poznawał, ale wszystko mu się mieszało.

– Źle się czuje?

– Nie, nie czuje się źle. Jest wesoły, ale nie może się skoncentrować. Pielęgniarki twierdzą, że ma różne okresy. Zresztą sami to widzieliśmy. Musimy poczekać na lepszy. Spróbujemy szczęścia z Bawarskim.

Na ulicy podanej w dokumentach spółdzielni stało mnóstwo samochodów, a na dodatek sporo miejsc parkingowych zostało zajętych przez ogródki restauracji. Trzy lokale w odległości kilkunastu metrów w wąskiej uliczce ocienionej wysokimi lipami wydawały się pewną przesadą. Ktoś wszedł do starego forda i ruszył.

– Mamy szczęście – mruknęła Aneta, czekając aż zwolni się miejsce.

– Trendy lokalizacja – zauważył Rafał, wychodząc z auta.

Klienci restauracji rozkoszowali się pogodą i jedzeniem, prowadzili ożywione dyskusje, śmieli się cicho. Przy jednym ze stolików siedziała gwiazda serialu, który oglądała niekiedy mama.

– Tak – zgodziła się Aneta. – To podobno jedno z ulubionych miejsc spotkań celebrytów.

Kamienica, do której szli, była stara, ale niedawno odnowiona. Aneta bez wahania przycisnęła szóstkę na domofonie. Po kilku sekundach usłyszeli kobiecy głos:

– Halo?

– Dzień dobry. Nazywam się Aneta Rogucka i jestem z przyjacielem Rafałem Stróżewskim. Badamy historię naszych rodzin, które są powiązane z rodziną Bawarskich. Czy ktoś z państwa Bawarskich jeszcze tu mieszka?

Przez chwilę panowała cisza, a potem kobieta spytała:

– Jakich rodzin?

– Mój pradziadek to Roman Ołdakowski, a prababcia Rafała to Irena Barcicka.

– Hmm, córka mówi, że nie powinnam wpuszczać nikogo, kogo nie znam.

– Doskonale to rozumiemy. Czy zgodziłaby się pani porozmawiać, w którejś z restauracyjek tutaj? Zapraszamy panią na obiad.

– Obiad już jadłam.

Rafał wyczuł, że kobieta się uśmiecha. Wyczuł również, że ma ochotę z nimi rozmawiać.

– To na deser i kawę lub herbatę – odezwał się.

Znów cisza. Aneta i Rafał patrzyli na siebie z uśmiechem. Byli pewni, że starsza pani się złamie.

– Mam lepszy pomysł. Upiekłam szarlotkę i chętnie nią was poczęstuję. Córka nie musi wiedzieć.

Rozległ się sygnał otwierający bramę.

– Mam tremę – szepnął Rafał na schodach.

– Ja też.

Kobieta stojąca w drzwiach miała siwe włosy elegancko obcięte na boba i doskonałą figurę, którą podkreślały dopasowane dzinsy i równie dopasowana granatowa koszulka. Zmarszczki na twarzy, zapewne umiejętnie muśniętej makijażem, dodawały jej uroku i ciepła, bynajmniej nie babcinego. W niejasny sposób kojarzyła się Rafałowi z bardzo dojrzałymi modelkami, których zdjęcia mama niekiedy wklejała na Facebooka.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się i kurcze łapki wokół ciemnych oczu wywołały myśl, że może babcia też byłaby dobrą. – Zapraszam.

Poprowadziła ich do salonu i posadziła na sofie przy stoliku kawowym. Gdy poszła nastawić wodę, Rafał rozejrzał się po wnętrzu. Pokój, podobnie jak kamienica, wyglądał na odnowiony, ale stary. Dębowe meble zapewne osiągnęłyby wysokie ceny w sklepie z antykami.

– Nie czujesz się nieswojo? – spytał szeptem. – Jak w muzeum?

– Skądże znowu! Sofa jest bardzo wygodna i z pewnością nowa.

– Może. Ale poza tym... – Nie ustępował.

– I nasza gospodyni nie mogłaby być eksponatem. Ona aż promieniuje wewnętrzną młodością.

Aneta dobrze to ujęła, ale Rafał pokręcił głową.

– Mimo to wygląda jak produkt z minionej epoki. Dobrze zakonserwowany.

– Rafał!

Mówił szeptem, więc kobieta z pewnością go nie słyszała, ale Aneta miała rację. Nie powinien wypowiadać takich słów w domu miłej starszej pani. Tym bardziej, że tak nie myślał.

– Jest bardzo ładna – powiedział, chcąc zatrzeć ślad poprzednich słów. – Podobna do modelek, które promują dojrzałe piękno.

Gospodyni pojawiła się z tacą. Gdy goście wyrazili zachwyt nad ciastem, spytała:

– Jak tu trafiliście?

– Pracujemy w spółdzielni, w której mój pradziadek był dyrektorem – odpowiedziała gładko Aneta.

– Twój pradziadek tu was przysłał?

– Nnnie – zająknęła się dziewczyna, tracąc pewność siebie. – Dowiedzieliśmy się natomiast, że państwo Bawarscy mieszkali pod jednym dachem z prababcią Rafała i jej córkami. I siostrą. I znaleźliśmy w spółdzielni ślad, że Antoni Bawarski też tam pracował. I tam był podany

ten adres. I pomyśleliśmy, że zapytamy, czy może nadal tu mieszka. A jeśli nie, może ktoś będzie w stanie nam pomóc go znaleźć.

Wyjaśnienia Anety wydały się Rafałowi dość chaotyczne. Gospodyni wyglądała jednak, jakby wszystko rozumiała.

– Czy pan Antoni nadal tu mieszka? – zapytał, ponieważ Aneta zamilkła.

– Nie – odpowiedziała kobieta, spuszcżając wzrok.

– A wie pani, jak się z nim skontaktować?

Podniosła oczy, błyszczące bardziej niż wcześniej. Łzy, pomyślał.

– Niestety, mój brat nie żyje.

Z Rafała uszło powietrze. Szansa na rozmowę o spotkaniu, o którym wspomniała Klara i ucięła temat, jakby się go bała, rozwiła się bezpowrotnie.

– Przykro mi – mruknął, uznając, że tak wypada.

– Dziękuję.

– Pani brat? – podchwyciła Aneta.

– Tak. – Rafał podniósł głowę. Podekscytowanie wróciło. Zbliżali się do rozwiązania tajemnicy. – Nie przedstawiłam się wam. Mam na imię Anna i jestem z domu Bawarska. Tu – ogarnęła dłońmi pokój – moja rodzina mieszkała od wyzwolenia Warszawy. Twoja... to znaczy pana też.

– Proszę mówić mi po imieniu – powiedział automatycznie. – Czyli moja rodzina też mieszkała w tej kamienicy?

– W tym mieszkaniu. Przed wojną ono należało do twojej rodziny. Gdybyś się postarał, pewnie mógłbyś mnie eksmitować.

Uśmiechnęła się, łagodząc słowa.

– Co? – spytał lekko oszołomiony.

– Po wojnie nie było tak jak teraz. Moja rodzina jest z Warszawy. W czasie powstania zostali wypędzeni, ale wrócili tuż po wyzwoleniu. Naszego domu nie było, więc wprowadziliśmy się tutaj. Mieszkanie stało puste. – Spojrzała na Rafała i dodała: – Nie pamiętam tamtych czasów, urodziłam się w czterdziestym drugim.

– Ale... one... Zosia i Irena... i córki też wróciły.

– Tak. Nie wiem, czy pamiętam je naprawdę, czy bardziej z opowieści. Małe dziewczynki, Basia i Klara, mniejsze od nas. Ode mnie, mojej siostry bliźniaczki Kasi i rok starszej Anielki. Pchałyśmy czasem wózek czy bujałyśmy kołyską. Mama opowiadała.

– Mieszkały z wami.

– Tak. – Pani Anna wstała. – Chodźcie, pokażę wam ich pokój. Niewiele się zmieniło. Większość mebli jest jeszcze sprzed wojny. – Zawahała się i dodała, spoglądając na Rafała: – Kupionych przez twoich przodków.

Rafał tylko wzruszył ramionami. Kobieta zatrzymała się przed pomieszczeniem po lewej stronie korytarza i otworzyła drzwi.

– Kuchnia była wspólna. Tutaj dużo się zmieniło. Jest teraz kuchenka elektryczna i nowe meble.

– Bardzo ładnie – powiedział Rafał.

– Tak – potwierdziła Agata.

– A to ich pokój – powiedziała pani Anna, otwierając kolejne drzwi.

Meble wyglądały na stare, ale mapa korkowa nad łóżkiem i przyczepione do niej fotografie młodych ludzi oraz laptop i kilka frotek na stole z pewnością były nowe.

– Teraz mieszka tu moja wnuczka studentka – wyjaśniła gospodyni. – Jest w górach.

Na zdjęciach najczęściej pojawiała się dziewczyna z długimi ciemnymi lokami.

– To ona? – spytała Aneta, dotykając jednej z fotografii.

– Tak. – Pani Anna uśmiechnęła się z czułością. – To moja Julka.

– Śliczna dziewczyna – odpowiedziała Aneta. – Ma coś z pani.

Rafał stał pośrodku pokoju, wyłączony z konwersacji. Usiłował się skoncentrować. Czy poczuje tu Zosię? Mieszkała w tym pokoju, tutaj zajmowała się córką, spała na tym łóżku. Nic z tego. Dziewczyna ze zdjęć na ścianie narzuciła swoje rządy i to jej obecność się czuło. Może w nocy

sytuacja by się zmieniła. Może duch dziewczyny z warkoczami odwiedzał swoje łóżko. A może uparł się na spółdzielnię. Może ludzie, którzy odeszli nagle, nawiedzali tylko miejsca własnej śmierci. A może Zosię ciągnęło do ziemskiego ciała, chociaż po takim czasie niewiele chyba z niego zostało.

– Chodźmy.

Aneta dotknęła jego ramienia. Gospodyni wyszła już z pokoju. Podążyli za nią.

– Jak długo Barbara Barcicka tu mieszkała? – spytała Aneta przy stole.

– O, one się wyprowadziły, kiedy byłam jeszcze bardzo mała. W czterdziestym szóstym. To znaczy, nadal były tu zameldowane, dlatego kwaterunek nikogo nam nie przydzielili. A później, kiedy już nie było takich hec, zostaliśmy tu sami zgodnie z prawem.

– Dokąd się wyprowadziły?

– Nie mam pojęcia. Mama mówiła, że to było bardzo dziwne. Jednej nocy Irena poprosiła ją o zajęcie się dziewczynkami, a nad ranem przyszła Zosia i powiedziała, że je zabiera, bo będą z siostrą mieszkać gdzie indziej. Pan Romek Ołdakowski – Anna zwróciła się do Anety – twój pradziadek woził im rzeczy. Nigdy nie powiedział, gdzie są. One też nigdy tu nie wróciły.

Coś się nie zgadzało.

– Zosia? – spytał.

– Słucham?

– Zosia przyszła po dziewczynki? Czy Irena?

– Wydaje mi się, że mama mówiła o Zosi, ale nie jestem pewna. Może pomieszałam.

Może tak, może nie. Ta kobieta nie stanowiła wiarygodnego źródła informacji. Była w tamtym czasie małą dziewczynką. Zbyt małą, żeby pamiętać. Opowieści matki zapewne wpadały jednym uchem, drugim wypadały.

– A kiedy się wyprowadziły, nigdy już się państwo z nimi nie spotkali? – spytała Aneta.

Pani Anna pokręciła głową.

– Nie, chyba nie.

– Podobno pani brat wpadł na nie po kilku latach – powiedział Rafał.

Gospodyni zmarszczyła brwi.

– Rzeczywiście. Skąd o tym wiecie?

– Siostra mojej babci nam powiedziała. Klara. Podobno – zdecydował się skłamać – zdarzyło się wtedy coś dziwnego. Ona nie pamiętała, co, ale coś było.

To nawet nie było kłamstwo, zaledwie nagięcie prawdy. Ciotce Klarze się wymknęło, ale nie chciała rozwinąć tematu. Coś ukrywała.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała pani Anna. – Przynajmniej ja nic na ten temat nie wiem. Mówił, że je zaprosił. Cieszyłam się, że przyjdą dziewczynki. Tak mi się wydaje. Lubiłam gości, a sądzę, że kiedyś traktowałam Basię i Klarę jak młodsze siostry. Ale nie przyszły.

– No tak – mruknął Rafał.

Gospodyni chyba wyczuła jego rozczarowanie.

– Ale wiecie co? Podam wam telefon do swojego brata. Drugiego. Jemu Antek mógł powiedzieć coś więcej. Zawsze trzymał się najbardziej z Maćkiem. Był między nimi tylko rok różnicy. Nas nie traktowali poważnie.

– To wspaniale!

Rafał próbował panować nad podnieceniem, ale miał przeczucie, że rozmowa z bratem Antoniego zbliży ich do rozwiązania tajemnicy, czy też raczej do zburzenia piwnicznej ściany.

– Albo ja zadzwonię i zapytam, kiedy mógłby się z wami spotkać – zaoferowała.

– Mogłaby pani? To byłoby wspaniale.

– Powiedzcie, kiedy wam pasuje. On jest na emeryturze, więc pewnie łatwiej mu przyjdzie się dostosować.

Spojrzał na Anetę.

– Za jakąś godzinę? Dwie? – zaryzykował.

Dziewczyna zerknęła na gospodynię, jakby sprawdzając, czy ta nie uzna takiego pośpiechu za natarczywość, po czym skinęła głową.

– Mam też wolną środę po południu – powiedziała.

Rafał nie był pewny swojego grafiku, ale potwierdził, że on również wtedy nie pracuje. Najwyżej z kimś się zamieni. Pani Anna zadzwoniła od razu.

– Czeka ją na was z żoną – powiedziała, odkładając telefon.

MARZEC 1946

Zosia słańiała się na nogach. Irena nie musiała się zastanawiać, co siostra robiła w nocy. To samo co ona. Jedna z nich z miłości.

– Pytałam Staszka, co by powiedział na wyjazd za granicę.

– Powiedziałaś mu?!

Irenę zaskoczyła ostrość własnego głosu.

– Nie mówiłam konkretnie. Zresztą nie wziął mnie poważnie. Razem marzyliśmy.

Oczy siostry błyszczwały. Mała marzycielka. Irena ścisnęła dłonie w pięści, po czym się rozluźniła.

– Zgodziłam się zostać żoną Antka – oznajmiła. – Dzisiaj poruszę kwestię paszportów.

Zosia rzuciła się jej na szyję. Irena zeszywniała, ale na szczęście w tym momencie rozległ się płacz Basi. Uwolniła się z uścisku siostry i podniosła córkę. Niedługo obudziła się Klara. Zosia zaczęła do niej szczebiotać.

– Przyjdzie koło osiemnastej – powiedziała Irena, gdy przewinięte i nakarmione dziewczynki bawiły się na podłodze. – To – zerknęła na zegarek, chociaż doskonale wiedziała, która jest godzina – za niecałe dwadzieścia minut. Porozmawiam z nim bez świadków, na razie teoretycznie, bez podawania nazwisk. Możesz wziąć Klarę i Basię na spacer?

Zosia godziła się na wszystko. Posłuszna młodsza siostra.

– Nie wracajcie przed wpół do ósmej.

– Jesteś sama?

Antek zamknął drzwi i wpił się ustami w jej usta.

– Jest Bawarski. Widziałeś go – szepnęła, gdy udało jej się oderwać wargi.

– Nie o tym mówię.

Wsunął rękę pod jej bluzkę. Tym razem jej ciało reagowało prawidłowo. Albo nieprawidłowo. Było przyjemnie.

– Zosia wzięła dziewczynki na dwór – odpowiedziała.

– Niedawno? – spytał, prowadząc ją w kierunku łóżka.

Pozwoliła się położyć, wyciągnęła ramiona.

– Tak.

– A więc mamy trochę czasu. – Pocałował ją i spojrzał w oczy. – Wiesz, wziąłem tydzień wolnego. Chcę być z tobą i z dziewczynkami. Tak będę świętował, że się zgodziłaś.

Powoli rozpiął guziki jej sukienki. Powoli zsunął bieliznę. Nie piekło. Zwykła zwierzęca przyjemność. Pojękiwała, opracowując plan rozmowy.

– Zrobię herbaty – powiedziała, ubierając się. – Idę do kuchni,

Leżał wyciągnięty na łóżku, całkiem nagi, z błogim wyrazem twarzy. Zrobiło jej się niedobrze. Położyła dłoń na jego oczach.

– Ubierz się, bo Zosia może wrócić. – Przeraziła się, że jej narzeczony roześmieje się lubieżnie. Na szczęście to nie nastąpiło. – Wolę być jedyną, która ogląda cię takiego – dodała.

Nie dosłyszał fałszywej nuty. Przytrzymał jej rękę i pocałował palce.

– Przyjdę do ciebie.

Pokręciła głową. W przedpokoju słyszała tupot nóg i piski. Dzieciaki Bawarskich ganiały po mieszkaniu.

– W kuchni ktoś może być. Wolę posiedzieć z tobą sam na sam. Przyniosę tutaj.

Rzeczywiście w kuchni urzędowała Janka. Irena nie mogła wykrzesać zwykłej uprzejmości. Odpowiadała monosylabami, nie rozumiejąc, co mówi współlokatorka. Gdy wróciła do pokoju, cały misternie ułożony plan

rozmowy runął. Nie potrafiła sobie przypomnieć, od czego zacząć. Pociągnęła łyk herbaty, ale i tak czuła suchość w ustach, w żołądku ją ssało.

– Byłbyś w stanie załatwić fałszywe paszporty dla rodziny?

Idiotka. Dlaczego zaczynała tak obcesowo? Gdzie podziały się jej delikatność i takt? Naprawdę chciała wszystko zepsuć? Antek przyglądał się jej zdumiony.

– Chciałabyś wyjechać? I dlaczego fałszywe?

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie, ja chcę tu zostać. Z tobą.

Pocałował ją.

– W takim razie zostajemy. Chcę być tam, gdzie moja rodzina. To wy jesteście moją rodziną.

Powiedział to tak żarliwie, że poczuła łzy w oczach. Kochał ją. Kochał jej dzieci. Widziała to w każdym spojrzeniu, wyczuwała w każdym dotyku. Dziecko. Miała jedną córkę. Z drugą się rozstanie i może nigdy jej nie zobaczy. Z tym mężczyzną będzie miała więcej dzieci. Pokocha go. Kiedyś. Oddała pocałunek z czułością, której wcześniej nie doświadczyła w stosunku do narzeczonego. Owca

– Nie. Nie chodzi o nas.

– A o kogo?

Chciała okazać bezwarunkowe zaufanie, opowiedzieć wszystko. Jeszcze nie. Własne sekrety zdradziłaby wszystkie, o cudze trzeba dbać. Powie, kiedy będzie trzeba.

– Chodzi o bliską przyjaciółkę. Jej mąż jest poszukiwany za działalność wywrotową. Ukrywa się. Mają dziecko. Moja przyjaciółka jest w rozpacz. Mówiłeś... pamiętasz...

– Tak. – Przyglądał się jej z miłością. – Pamiętam. Mogą być potrzebne pieniądze.

– Ile?

Wymienił sumę w dolarach, od której super w żołądku ponownie się zacisnął. Skąd wezmą tyle pieniędzy? Nawet jeśli Zosia poświęci pierścionek zaręczynowy. Nawet jeśli uda im się sprzedać zegarki. Nawet jeśli oddadzą ostatnie pieniądze od Antolakowej. Nawet jeśli Irena pozbędzie się ślubnej obrączki. Nawet jeśli spienięży sygnet rodowy Barcickich. To wszystko mało. Mało. Mało.

– Kochanie? – Dotknął jej policzka. – Nie płacz.

Dopiero teraz poczuła, że twarz ma mokrą od łez.

– To takie... takie trudne – szepnęła.

– Ona jest ci bliska, prawda? Ta przyjaciółka?

Powiedział to jakimś szczególnym tonem. Wiedział.

– Jak siostra – odrzekła, patrząc mu intensywnie w oczy.

Ujawniła cudzą tajemnicę. Przed czasem. Pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział uroczyście. – Zrobię, co w mojej mocy. Wyciągnę z rękawa największego asa. Wyjadą bez pieniędzy.

Gdy wróciła Zosia z dziewczynkami, siedzieli w milczeniu, wtuleni w siebie. Wstali, pomogli rozebrać dzieci.

– Muszę iść – powiedziała Zosia, całując Klarę, a po chwili pogładziła główkę Basi.

Kochała je obie, ale zawsze okazywała własnej córce więcej względów. Może to był jej sposób zaznaczenia, że ją urodziła. Żeby Irena nie zapomniała.

– Może cię odprowadzę? – spytał Antek. – Lepiej nie chodzić samej po nocy.

– Nie, nie – odpowiedziała szybko dziewczyna. – Mam randkę – dodała ze śmiechem.

Antek jej zawtórował, po czym ścisnął mocniej rękę Ireny. Ponownie dawał jej znak, że wie i wszystko będzie dobrze.

Irena pocałowała siostrę z większą czułością niż zazwyczaj, dłużej przytrzymała ją w ramionach. Jak będzie wyglądało ich życie, gdy będzie je

dzielić kilka tysięcy kilometrów, może nawet kilkaset?

– Załatwione – szepnęła jej do ucha.

– Dziękuję – odszepnęła Zosia.

I wyszła.

Antek pomógł usnąć dziewczynki. Potem przeszli do kuchni. Bawarscy w pokojach użerali się z dziećmi. Irena zaparzyła kolejną herbatę. Usiadła, studiując z czułością twarz mężczyzny naprzeciwko. Tak będzie wyglądało ich małżeństwo. Antek będzie pracował, ona ugotuje obiad, posprząta i zajmie się dziećmi, potem Antek się z nimi pobawi, a kiedy pójda spać, dorośli usiądą i będą rozmawiać o minionym dniu. Nie dziećmi, przypomniała sobie. Jednym dzieckiem. Na razie. Urodzi jeszcze kilkoro następnych. Nawet jeśli, nigdy nie zapomni Klary. Nigdy nie przestanie za nią tęsknić. Ani za własną siostrą.

– Znów płaczesz? – Poglaskał ją po policzku. – Będzie dobrze, obiecuję.

– Wiem. Będziemy razem.

Zupełnie nagle wydało jej się, że obok stoi Władek, smutny jak nigdy dotąd, kręci głową. Przytuliła się do Antka, żeby przegnać uludę, ale mąż nadal był w kuchni, obserwował ich.

– Nie! – krzyknął.

To nie halucynacja, to jego głos przepełniony wściekłością. Przerażona Irena oderwała się od kochanka. Antek zmarszczył brwi.

– Boisz się piorunów? – Dotknął z czułością jej włosów. – Pierwsza wiosenna burza.

To nie głos Władka. To piorun. I następny. I znowu. Kolejny. Grzmiało i błyskało coraz bardziej. Irena jednak nadal słyszała „Nie!” wykrzywane przez męża. Dostrzegła wykrzywioną gniewem twarz w każdej błyskawicy. I coraz bardziej się bała.

Prawie się ucieszyła, gdy przyszedł Bawarski i zaczęli z Antkiem rozprawiać o drożyznie. Chciała włączyć się do rozmowy, ale gdy otwierała usta, poczuła dłoń na ramieniu. Serce podeszło jej do gardła. Odwróciła się.

Twarz męża była zalana krwią. Poruszał ustami, ale wydobywał się z nich tylko jęk.

– Co się stało?!

Antek potrząsał nią delikatnie. Mąż wyciągnął rękę, jakby zamierzał ostatkiem sił oddzielić ją od kochanka. Chciała chwycić dłoń Władka, przyciągnąć go do siebie, ale nie było go. Rozwiał się w powietrzu lub zapadł pod ziemię. Irena zaczęła się trząść.

– Widzieliście?

– Co? – spytał Bawarski.

– Co? – powtórzył Antek i zaczął ją głaskać.

Strąciła jego rękę.

– Widzieliście Władka?

Szczęki jej latały, ledwie zdołała wypowiedzieć imię męża.

– Kogo? – zapytał skonsternowany Bawarski.

Za oknem rozległ się kolejny grzmot. Irena nie rozpoznała już w nim krzyku męża.

– Irenko...

W głosie Antka słyszała łagodność. Zwracał się do niej jak do wariatki. Nienawidziła tego tonu. Nienawidziła tego mężczyzny.

– Nie chcę!

Pobiegła do pokoju. Burza nie obudziła dziewczynek. Spały, trzymając się za rączki. Coraz częściej im się to zdarzało. Niedługo ich więź zostanie zerwana. Nie ma innego wyjścia. Irena się uspokajała. Gdy po kilku minutach drzwi się uchyliły i Antek wsunął głowę, uśmiechnęła się do niego.

– Przepraszam – powiedziała szeptem. – Ta burza mnie rozstroiła.

Wszedł i przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się. Jakiś głos w głębi, nieprzypominający już głosu Władka, mówił, że to fałsz.

– Przepraszam – powtórzyła, zagłuszając go.

Antek ją pocałował.

SIERPIEŃ 2020

Siedzieli naprzeciwko dwojga starszych ludzi. Trudno było nie dostrzec czułości w każdym spojrzeniu męża i żony. Mieli tyle lat i nadal tak na siebie patrzyli. Czy gdyby nie zdarzył się wypadek, za trzydzieści, czterdzieści lat rodziców Rafała łączyłaby podobna więź? Nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Tak długo obciążał ojca odpowiedzialnością, a teraz Klara przejmowała część winy. Musiała istnieć w tym jakaś pokręcona logika, ale Rafał jej nie dostrzegwał. Dlaczego ojciec miałby aż tak przejąć się przeszłością, żeby ignorować ryzyko? Babcia Basia... Jakaś lampka znów zapaliła się w głębi umysłu i za chwilę zgasła.

Odegnął własne demony i skoncentrował się na opowieści Bawarskiego. Mężczyzna wiele pamiętał. Najbardziej Zosię.

– Podkochiwaliśmy się w niej obaj z Antkiem – powiedział.

Zerknął na żonę, a ona pokręciła głową.

– Ja w wieku kilkunastu lat kochałam się w nauczycielach.

– Nasze nauczycielki nie wyglądały tak jak Zosia. Nie miały takich niebieskich oczu i włosów w kolorze dojrzałego żyta.

Aneta uśmiechnęła się, a pani Bawarska wybuchnęła śmiechem. Życzliwym.

– Nie wiedziałam, że jesteś takim romantykiem.

– Staram się każdego dnia, żebyś to dostrzegła, Halinko.

Pan Maciej ścisnął rękę żony.

– Miała warkocze? – zapytał Rafał.

– Zosia? Tak, czasem nosiła warkocze. Najbardziej mi się podobało, gdy rozpuściła włosy. Były długie do pasa, a ona wyglądała jak anioł.

Aneta i pani Bawarska znów się uśmiechały. Rafał nie czuł chęci do śmiechu. Zosia była matką Klary. Nawet jeśli Klara była czemuś winna,

sama straciła najwięcej. Własną tożsamość. Rodziców. Czy jej rodzice kochaliby się do końca życia? Matka spoczywała zamordowana i zamurowana w spółdzielczej piwnicy. A ojciec? Gdzie był ojciec? Rafał przypomniał sobie, że nie zna faktów, nawet na temat dziewczyny z warkoczami, którą sobie wyobraził. Przecież nie był pewien, że wizje, których doświadczał, nie były halucynacją. Halucynacje mogą być zbiorowe. Trzeba szukać faktów.

– Czy... – Własny głos wydał mu się obcy. Odkaszlął i ciągnął. – Czy Zosia przed wyprowadzką się zmieniła?

– Nie, nadal była śliczna.

– No, ale jej zachowanie. Czy było jakieś inne?

Bawarski spojrzał na żonę, jakby prosił ją o pozwolenie albo o odpowiedź.

– Pamiętasz coś? – spytała pani Halina.

– To było tak dawno – szepnął pan Maciej i potarł skronie. – Mogę się mylić.

– Niech pan powie.

– Chy... chyb... chyba – zająknął się.

Wszyscy patrzyli zdziwieni.

– Chyba co? – spytała pani Halinka. – Teraz czuję się nie tylko zazdrosna, ale i zaciekawiona.

– Chyba miała gacha – wykrztusił Bawarski. – Znaczy kochanka – poprawił się, patrząc na żonę. – Mama mówiła „gacha”, ale ojciec się wtedy złościł.

– A dlaczego tak uważali? – wtrąciła się Aneta.

– Wychodziła na noc. Wracała po pracy, zostawała do wieczora i znowu szła. To musiał być mężczyzna.

Aneta i Rafał patrzyli na siebie. Stanisław znalazł narzeczoną. Do kogoż innego Zosia wychodziłaby w nocy? Zapewne znalazł też śmierć. Aneta spuściła wzrok. Rafał wiedział, że jej myśli podążały tym samym tropem.

Śmierć nie od władzy ludowej i nie od partyzantów. Śmierć od zazdrosnego rywala.

– Podobno – powiedziała Aneta, podnosząc oczy, tak jasnoniebieskie, że niemal przejrzyste – pana brat spotkał kiedyś Irenę z dziewczynkami. Kilka lat po wyprowadzce.

– Tak? – zdziwił się Bawarski. – Chyba o tym nie wiedziałem.

– Pana siostra pamiętała, jak o tym opowiadał. Mówiła, że się umówił, że was odwiedzą. Cieszyła się, że zobaczy dziewczynki.

Pokręcił głową.

– Nie pamiętam.

Rafał patrzył skonsternowany. Jak to Bawarski nie pamiętał? Coś się podczas tamtego spotkania wydarzyło. Inaczej Klara nie porzuciłaby tematu, nie sprawiałaby wrażenia, że chce wymazać słowa. Może Rafał się pomylił. Może wcale nie chodziło o tajemnicę jego rodziny. Może to jakiś sekret Antoniego Bawarskiego. Może pan Maciej stał na jego straży. Po takim czasie?

A może rzeczywiście nie pamiętał. Po tylu latach to by nie było nic dziwnego.

MARZEC 1946

Zosia

Słyszę kroki. Ktoś za mną idzie. No i co z tego? Moje miasto powstało z martwych. Mimo nocy ulice nigdy nie są zupełnie puste. Do tej pory się nie bałam. Staję i odwracam się gwałtownie. Widzę całującą się parę, a nieco za nimi starszego pana z laską. Uspokajam oddech, serce zwalnia. Skąd to uczucie, że ktoś mnie śledzi? Skąd strach? Może dlatego, że już tak blisko. Tak blisko ucieczki. Nowego życia. Ściskam torbę z jedzeniem i wznawiam marsz. Niedługo nie będę musiała rozglądać się na boki, przerażona, że ktoś mnie śledzi. Mój ukochany nie będzie spędzał całych dni uwięziony w ciasnym piwnicznym pomieszczeniu. Nie będzie zamknięty z upokarzającymi wiadrami. Nasza córka będzie z nami. Zostawimy przeszłość za sobą. Czuję niespodziewany ból w sercu. Przeszłość to nie tylko wojna, trauma powstania, próba gwałtu, brud i głód. Przeszłość oznacza też grób rodziców. Irenę. Matkę Staszka. Basię. Nie będę płakać. Moja rodzina jest najważniejsza. Moja rodzina teraz to Staszek i Klara.

Jestem już przy spółdzielni. Przeczucie wraca. Coś jest bardzo źle. Patrzę w prawo, w lewo, za siebie. Nikogo tu nie ma. Wsuwam klucz, przekręcam, zamek ustępuje. Kolejny. I jeszcze. Wchodzę i zamykam za sobą drzwi. Stoję jeszcze chwilę, nasłuchując. Cisza. Jedyńm dźwiękiem, który słyszę jest dzwonięcie w uszach. Powoli się odprężam, gdy rozlega się odległy huk pioruna. Burza już zawsze będzie mi się kojarzyć ze strzałami, ale teraz jest najmniejszym problemem. Zbiegam na dół.

Otwieram piwniczne pomieszczenie, po czym pukam, jak uzgodniliśmy. Następnie jak zwykle się cofam. Staszek o to prosił. Wstydzi się zaduchu. Ustępuję mu, ale mogłoby tam śmierdzieć dziesięć razy bardziej i bym to zniosła. Byłabym szczęśliwa tylko dlatego, że jestem w jego ramionach. Idzie do łazienki, opróżnia i myje wiadra. Czekam na zewnątrz. Gdy

wychodzi, przyciąga do siebie moje spragnione ciało, całuje wygłodniałe usta. Rozlega się kolejny grzmot, nadal daleki.

– Muszę się doprowadzić do porządku – szepcze Staszek.

Zawsze powtarzamy ten sam rytuał.

– Masz coś do prania?

Mówił, że będzie prał sam, ale się nie zgodziłam. To część troski o mojego mężczyznę.

– Przyniosę.

Piorę, on się myje. A jeszcze później kochamy się w sekretariacie na szorstkim dywanie. Burza jest tuż za oknem, grzmoty mieszają się z naszymi słowami.

– Moja... Zosia... ukochana...

– Staś... jestem... twoja... tylko.

Rozkosz jest dziś obezwładniająca, bolesna, straszna jak śmierć. Nigdy tak się nie czułam. Nigdy tak nie pragnęłam. W świetle błyskawicy widzę pochyloną nad sobą twarz, nabrzmiałe żyły. Chcę tak trwać do końca świata. Grzmot głośniejszy niż dotąd. Oboje eksplodujemy jednocześnie.

Groza opada. Burza się uspokaja, moje ciało się odpręża. Ramiona ukochanego dają poczucie bezpieczeństwa. Zapadam w krótki sen. Gdy otwieram oczy, słyszę równy oddech Staszka.

– Musimy coś zjeść – mówię i całuję bliznę na jego ramieniu.

Staszek obserwuje, jak się ubieram.

– Zawsze jesteś śliczna, ale wolę cię bez niczego.

Rzucam w niego jego ubraniami.

– Wkładaj to, bo umieram z głodu!

– A nie moglibyśmy zjeść jak Adam i Ewa?

Kręcę głową. Przy stole należy usiąść w pełnym stroju. To jedna z zasad, które wpoili mi rodzice, i zamierzam przestrzegać jej we własnej rodzinie.

– O, nie! Przy kolacji trzeba wyglądać przyzwoicie!

Staszek wzdycha.

– No dobrze. Pani tu rządzi.

Potem, już w pełni ubrany, przytula mnie i dodaje:

– Uwielbiam spełniać twoje rozkazy, moja śliczna.

Gdy jesteśmy tu sami, możemy udawać, że budynek należy do nas. Korzystamy z tego, jednak ze względów bezpieczeństwa nie używamy elektrycznych świateł. Latarnie na zewnątrz sprawiają, że nigdy nie jest zupełnie ciemno, ale już za drugim razem przyniosłam świece i zawsze zapalam jedną przy posiłku. Najczęściej jemy w sekretariacie, w którym urzęduję tylko ja i nie muszę myśleć, że zostawimy ślady, ale sprawdzaliśmy też inne pokoje. Państwo na włościach. Dziś chcę złamać tabu i zaproponować gabinet dyrektorski. Bawi mnie myśl, jak wściekły byłby Romek, gdyby się o tym dowiedział. Ostatnio patrzy na mnie częściej i dłużej niż wcześniej. Przypuszczam, że chce się oświadczyć. Mam nadzieję, że gdy zbierze się na odwagę, mnie już nie będzie w Polsce.

– Zjedźmy dziś...

Urywam. Nagle, zupełnie niespodziewanie wraca niepokój. Silniejszy niż ten, który czułam, gdy tu szłam. Przeczucie śmierci. Nie chcę umierać.

– Gdzie masz ochotę jeść, księżniczko?

Umrę tej nocy. To bzdura. Nie miewam przeczuć. Ostrożności jednak nigdy dość, szczególnie w naszej sytuacji. Dziwne, że do tej pory zachowywałam się tak lekkomyślnie. Gabinet Romka odpada. Jest zbyt odizolowany. Gdyby ktoś próbował dostać się do budynku, nawet byśmy nie usłyszeli.

– Zjedźmy przy stoliku recepcjonistki.

– Wszystko w porządku? – pyta Staszek.

– Tak, tak – odpowiadam, ale prawie nie rozumiem, co mówi.

Recepcjonistka urzęduje na parterze, na wprost wejścia. Siedzi za wielką ladą, ale jest tam też niewielki stolik. Obok znajduje się małe pomieszczenie, a w nim kuchenka gazowa. Możemy nastawić wodę na herbatę. On nakrywa, ja zapalam świeczkę. Zawsze nakładam na swój

talerz mało, a Staszewi tłumaczę, że jadłam z siostrą. Prawda jest taka, że muszę oszczędzać, żeby starczyło jedzenia dla wszystkich.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. – Próbuję się uśmiechnąć. – Dlaczego pytasz?

– Trzęsą ci się ręce.

Nie będę psuć wspólnych chwil gadaniem o głupich przeczuciach. Gdy już znajdziemy się za granicą, bezpieczni, pośmiejemy się z mojego bezpodstawnego strachu.

– To, że jesteśmy razem, tak mnie ekscytuje, że aż – unoszę dłonie – widać to, kiedy patrzy się na moje ręce.

Staszek nie nalega na więcej wyjaśnień, chociaż nie jest przekonany. Gdy siedzimy przy posiłku, prosi, żebym opowiedziała mu, co dziś robiła Klara. Zdaję relację ze spaceru, jej gaworzenia i śmiechu, a w jego oczach są zachwyty i tęsknota.

– Tak bardzo chciałbym brać w tym udział – mówi.

Wprawdzie Irena żądała dyskrecji, ale dziś wyraźnie szepnęła, że wszystko załatwiła. Chyba można to uznać za zwolnienie z tajemnicy? Nie zamierzam zresztą podawać szczegółów.

– Już niedługo wyjedziemy za granicę.

Staszek poważnieje. Jego oczy tracą blask. Nie chce najwidoczniej powtarzać naszych rozmów z wczoraj. Marzeń niemożliwych do spełnienia. Chce rzeczywistości. Dam mu ją.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Nie winię go za nagłą szorstkość głosu. To przecież on jest uwięziony całymi dniami, zmuszany do załatwiania potrzeb fizjologicznych do wiadra. To on nie ma dostępu do naszego dziecka. Zanim zdążę odpowiedzieć, dodaje: – Noce z tobą są jak bajka, ale podjąłem decyzję. Nie chcę tu być dłużej. Muszę opuścić to miejsce.

– Staszek...

– Nie rozumiesz? Wcześniej się ukrywałem, ale byłem wojownikiem. Żołnierzem słusznej sprawy. Nie będę jak szczur.

– Posłuchaj mnie...

– Nie, to ty posłuchaj. To moja ostatnia noc tutaj. Może mnie aresztują i wykonają wyrok śmierci, ale opuszczam to miejsce. Znajdę nocleg w ruinach. Tam będziemy się spotykać. Nie chcę, żeby moja córka uważała mnie za tchórza.

– Jeszcze tylko trochę. Irena załatwiła.

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– Co załatwiła?

– Jej narzeczony jest dziennikarzem. On może...

– Narzeczony Ireny? – przerywa Staszek.

– Tak, zaręczyła się.

– Przecież ona była żoną Władka.

Kręci z niedowierzaniem głową. Rozumiem jego rozczarowanie. Byli z Władkiem najlepszymi przyjaciółmi.

– Nie osądzaj jej – teraz ja mówię ostro.

– Przepraszam. Tylko że Władek... – Milknie.

– Co Władek?

– Najpierw muszę to załatwić.

– Co załatwić?

– Nie mogę ci teraz powiedzieć, ale to jeden z powodów, dla których muszę opuścić to miejsce.

Nie rozumiem niczego, ale teraz to najmniej ważne.

– Opuścisz. Niedługo nie będziesz musiał się ukrywać.

Opowiadam, co usłyszałam od Ireny.

– I dzisiaj... zanim wyszłam, powiedziała „załatwione”.

Staszek jeszcze nie wierzy.

– Kim on jest... ten narzeczony dziennikarz?

Nie dostałam pozwolenia na zdradzanie jego nazwiska. Przynajmniej w jednej kwestii pozostanę lojalna.

– Nie znasz go.

W tym momencie słyszę, że ktoś wkłada klucz do jednego z zamków. Zamieram. Staszek wstaje.

– Chodźmy na dół. Tam mam pistolet.

Kiwam głową. Mamy trochę czasu, zamknęłam na wszystkie zamki. Zbiegamy. Może nawet nas nie znajdą. Nikt nie ma klucza zapasowego do komórki w piwnicy. Siedzimy w całkowitej ciemności, zamknięci od środka w cuchnącym pomieszczeniu. Staszek obejmuje mnie jedną ręką. Przytulam się do niego i wyczuwam broń w drugiej. Nie wiem, co mnie bardziej przeraża. Niespodziewany gość w spółdzielni czy palec ukochanego na spuście.

SIERPIEŃ 2020

Aneta się uśmiechała.

– Czy pana brat – zwróciła się do Bawarskiego – opowiadał coś o pracy w spółdzielni?

– W spółdzielni? – powtórzył pan Maciej.

Ten człowiek miał spore kłopoty z pamięcią. Dla Antoniego Bawarskiego praca w spółdzielni była jedną z pierwszych, może pierwszą. Na pewno dzielił się wrażeniami. Wiek czynił spustoszenia. To by tłumaczyło, dlaczego pan Maciej kompletnie nie kojarzył spotkania brata z Ireną i dziewczynkami.

– Podobno pracował w spółdzielni mieszkaniowej, w której mój pradziadek Roman Ołdakowski był dyrektorem.

– Pan Romek to pani pradziadek? Naprawdę? To był niesamowity człowiek! Grał z nami w piłkę częściej niż ojciec!

Aneta się uśmiechnęła, jakby komplement był przeznaczony dla niej.

– Powtórzę dziadkowi pana opinię.

– On żyje?

Powiedziała, gdzie jest i jak można go odwiedzić, a Bawarski wszystko zanotował, po czym podniósł wzrok na dziewczynę.

– Oczywiście, że pracował w spółdzielni pana Romka. Był kasjerem. Miał łeb do matematyki, najlepszy z nas wszystkich.

– I co mówił o tej pracy?

– Podobało mu się, chociaż twierdził, że zawsze się denerwuje o pieniądze. Żeby się nie pomylić. Tyle forsy! A jakby ktoś na nich napadł?

– Tak, to musiała być duża odpowiedzialność – zgodziła się Aneta. – Tym bardziej, że był wtedy bardzo młody.

– Tak, ale właśnie dlatego tak się cieszył, kiedy pan Romek zaproponował mu to zajęcie. No i to było duże ułatwienie dla naszej rodziny. Z finansowego punktu widzenia.

Aneta skinęła głową.

– Z pewnością. A pracował tam też w nocy?

Rafał wreszcie zrozumiał, do czego dziewczyna zmierza.

– Tak. Pan Romek wprowadził nocne dyżury, żeby pilnować budynku. Antek je lubił, bo były lepiej płatne.

– A czy nigdy nie zdarzyło mu się nic niezwykłego?

Bawarski zmarszczył brwi.

– Takiego jak na przykład co?

– No nie wiem. My teraz pracujemy tam czasami i czujemy się nieswojo, najbardziej w nocy. Jakby coś tam było.

– Niby duchy?

Rafał wbił wzrok w twarz pana Macieja. Bawarscy znali Zosię. Mogła przychodzić do Antka.

– Niby duchy – przytaknęła Aneta.

– Nnnnnnie – odpowiedział wolno mężczyzna. – Nie przypominam sobie.

No, cóż, gościu niewiele sobie przypominał. Pamięć miał dziurawą. Albo nie był z bratem tak blisko jak powiedziała pani Anna. Lub kłamał. Wszyscy kłamali. Pradziadek Anety. Klara. Rafał też kłamał. Dlaczego Bawarski miałby być wyjątkiem? Sekret. Każdy chronił swój sekret. Lub czyjś.

– I naprawdę nie przypomina pan sobie, że brat wspomniał o spotkaniu z rodziną, która mieszkała razem z wami?

– Oczywiście, że sobie przypominam – odpowiedział Bawarski.

Rafał powstrzymał westchnienie.

– Wydawało mi się – powiedziała Aneta łagodnie – że pan nic o tym nie pamięta.

– Nie. Nie powiedziałem, że nie pamiętam, jak Antek spotkał nasze sąsiadki.

Sklerotyk, wariat lub oszust.

MARZEC 1946

Siedzieli w półmroku i ciszy, żeby nie obudzić dziewczynek. Strachy Ireny znikły jak niedawna burza. Antek trzymał ją mocno. Zawsze będzie ją trzymał. Nie wypchnie jej ze swojego życia jak... Nie chciała teraz wspominać imienia męża. Nie po szaleństwie, którego doświadczyła w kuchni. Ktoś pukał do drzwi frontowych. W kołysce jedna z dziewczynek poruszyła się niespokojnie.

– Zobacz, kto to.

Antek skinął głową. Podniosła się. W przedpokoju słyszała przyciszone głosy. Drzwi się uchyliły. Romek stał przed jej narzeczoną.

– Irena, muszę z tobą porozmawiać.

– Poczekaj w kuchni – szepnęła.

Oddalił się posłusznie. Antek wszedł do pokoju. Podeszła do kołyski i poprawiła kołderkę.

– Chodź – powiedziała do narzeczonego.

– Jesteś pewna? On chciał rozmawiać z tobą. Mnie też to powiedział.

– Najzupełniej.

Twarz Romka była szara, wzrok mętny. Wyglądał na chorego lub pijanego.

– Co się stało?! – szepnęła przerażona.

– Ja... powiedz mu, żeby poszedł. Chcę rozmawiać tylko z tobą.

Antek położył rękę na jej ramieniu.

– Pójdę.

– Nie – zaprotestowała. – Jeśli masz cokolwiek do powiedzenia, mów przy nim. Nie mamy sekretów. To mój narzeczoną. – Romek nadal się wahał. – Mów – powiedziała stanowczo. – Bez niego nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

– Irena. – Oddychał ciężko, chrypliwie. – Chodzi o Zosię.

Serce podeszło jej do gardła.

– Co się stało?! – powtórzyła.

Ołdakowski spojrzał na Antka, po czym podszedł do Ireny i ujął obie jej dłonie. Jego ręce były przeraźliwie zimne, ale na czole widziała kropelki potu.

– Gdy dziś wyszła, poszedłem za nią.

Wyrwała ręce.

– Ty! Ty! – Wszystkie wyzwiska, jakich chciała użyć, ją opuściły. – Śledziłeś ją?! Jakim prawem?!

Dusiła się. Antek nadal trzymał dłoń na jej ramieniu, ściskając delikatnie. Złapała oddech. Ktoś był po jej stronie. Romek otarł czoło.

– Poszła do spółdzielni. Rozglądała się jak złodziej.

A więc Zosia ukryła ukochanego w spółdzielni. To takie oczywiste. Irena domyśliła się od razu. Dlaczego nie poruszyła tego tematu z siostrą? Dlaczego nie powiedziała jej, żeby zmieniła kryjówkę? Romek nie potrzebował zdolności detektywistycznych, żeby wiedzieć, dokąd Zosia chodzi co wieczór, z kim spędza noc. Znał każdy zakamarek na jej trasie. Dlatego był w stanie pójść za nią niezauważony.

– Moja siostra nie jest złodziejką – powiedziała Irena z naciskiem. – Wiesz o tym dobrze. – W jej ton wkradła się pogarda. – Czy coś zginęło?

Prawie dodała „ty parszywy komunisto”. Nigdy nie traktowała ludzi z wyższością, nie przyczepiała im łatek, jednak teraz nie było jej wstyd, wręcz przeciwnie; coś kazało jej okazywać koledze z dzieciństwa odrazę.

– Nie o to chodzi. – Ołdakowski się wyprostował, spojrzał jej w oczy. Odebrała to jak wyzwanie. – Wiem, że ona go tam ukrywa. To nielegalne. Może za to dostać wysoki wyrok. Może nawet najwyższy.

– Ty kanalio! – wysyczała. – Grozisz nam?!

– Nie. Dlatego przyszedłem do ciebie. Zrozum. Człowiek poszukiwany, bandyta, ukrywa się na terenie budynku, za który jestem odpowiedzialny. Jeśli będę to tolerował, mnie też grozi wysoki wyrok.

Irena otworzyła usta, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszała głos Antka. Pojednawczy.

– Rozumiem, że mówicie o jej narzeczonym, Stanisławie Antolaku?

Irena wzięła głęboki oddech. Nie mogła zdecydować, czy to dobrze, że Antek wymienił nazwisko.

– Tak – powiedział Romek.

– I nie chcesz – Antek zwrócił się bezpośrednio do niego – żeby ten człowiek ukrywał się w spółdzielni, bo to może grozić konsekwencjami?

– Zgadza się.

Gównu, nie wierz mu. On chce zniszczyć rywala. Chce też zniszczyć Zosię, bo wybrała innego. Nie odezwała się jednak.

– Myślę, że możemy temu zaradzić. Chodźmy tam. Wyprowadzimy go stamtąd.

– Dobrze – zgodził się Romek.

– Może nawet lepiej bez ciebie – ciągnął Antek, patrząc na dyrektora spółdzielni. – Nie powinieneś wiedzieć, co stanie się z tym bandytą.

– Antek! – zawołała Irena.

Narzeczony ścisnął uspokajająco jej rękę, jakby chciał powiedzieć: „używam jego słów, bo to dobrze na niego działa”. Musiała zaufać, że to dobra strategia. Innej nie miała.

– Nie! – zaprotestował Romek. – To mój budynek i moja pracownica. Muszę tam być.

– Nie jesteś właścicielem ani... – zaczęła Irena.

– To taka przenośnia – wtrącił pojednawczo Antek. – Romek nie uważa się za właściciela.

– Nie – przyznał Ołdakowski, spuszczaając wzrok. – Przepraszam, jeśli tak to odebrałaś.

Nie zareagowała na jego słowa.

– A więc chodźmy – zwróciła się do Antka.

– Może... może ty powinnaś zostać? Dla własnego bezpieczeństwa.

– Chyba żartujesz! – powiedziała gwałtownie. – Muszę wiedzieć, co się dzieje z moją siostrą.

– Kochanie – spróbował jeszcze raz Antek. – To naprawdę może być niebezpieczne.

– Nie! – odpowiedziała. – Idę z wami.

Zastanowiła się, czy Bawarscy słyszeli ich rozmowę. Nie, to niemożliwe. Drzwi były zamknięte, a ich trójka, pomimo emocji, instynktownie mówiła przyciszonymi głosami. Nie było świadków.

– Poproszę tylko Jankę, żeby miała oko na dziewczynki.

Pukała do Bawarskich, dopóki nie usłyszała wydobywających się stamtąd dźwięków. Pan Stefan stanął w progu pokoju.

– Czy coś się...

Żona pojawiła się przy nim. Spojrzała na Irenę, przeniosła wzrok na mężczyznę w przedpokoju, po czym zwróciła się do męża.

– Idź spać.

– Ale...

– Powiedziałam.

Pan Stefan machnął tylko ręką. Janina wyszła na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi. Dopiero potem zawiązała pasek szlafroka. Romek z Antkiem dyskretnie usunęli się do kuchni.

– Kochana – powiedziała Irena i nagle się rozplakała.

Bawarska wzięła ją w ramiona. Dobrze byłoby wyszlochać się na jej piersi, ale czas naglił. Irena uwolniła się delikatnie.

– Janko kochana – mówiła niemal zwykłym głosem. – Czy mogłabyś zajrzeć do dziewczynek od czasu do czasu? Muszę wyjść z nimi. – Wskazała na kuchnię.

– Teraz?

– Tak. Proszę.

Bawarska wyglądała, jakby miała zadać kolejne pytanie.

– Dobrze – powiedziała. – Powiedz, co się stało – dodała.

Irena wzięła głęboki oddech. Nie mogła powiedzieć wszystkiego, ale była winna tej kobiecie wyjaśnienie. Nie chciała kłamać.

– Chodzi o Zosię. Obawiam się, że wpakowała się w straszne kłopoty. Boję się o nią. Muszę... muszę ją wydobyć.

Bawarska już nie pytała. Dla osoby, która zazwyczaj nie potrafiła powściągnąć ciekawości, to był niemal heroizm. Irena z wdzięcznością ścisnęła rękę współlokatorki i weszła do kuchni.

– Chodźcie.

Bawarska ze zmarszczonym czołem przyglądała się wychodzącym.

SIERPIEŃ 2020

– Mówił pan, że nie pamięta, żeby brat opowiadał o spotkaniu z Ireną i jej córkami – przypomniła cierpliwie Aneta.

– Tak. Nie pamiętam, żeby Antek opowiadał o spotkaniu z Ireną – zgodził się Bawarski.

Był starszym facetem. Pierwsze wrażenie robił dobre, ale wiek uczynił spustoszenie w umyśle. Ten człowiek płątał się, zmyślenie mieszał z rzeczywistością.

– Przecież...

Aneta nadal wierzyła, że coś wyciągnie.

– Z Ireną – powtórzył z naciskiem gospodarz. – Mówił o spotkaniu z Zosią.

– Z Zosią? – zapytał mimowolnie Rafał.

– Tak. Rzeczywiście je zaprosił. Ale nie przyszły.

– Jest pan pewien, że z Zosią?

Pan Maciej zerknął na żonę.

– Tak.

– To było tak dawno – zauważyła Aneta.

– To prawda. Ale...

Bawarski ponownie popatrzył na panią Halinę.

– Ale co? – zapytała gospodyni, marszcząc brwi. – Muszę przyznać, że mnie też zaciekałeś.

– Ale my obaj cieszyliśmy się na spotkanie właśnie z Zosią – wykrztusił. – To była... teraz się mówi... laska.

– Maciek! – zawołała z dezaprobatą jego żona, a później wybuchnęła śmiechem.

Aneta jej zawtórowała. Bawarski siedział ze spuszczoną głową, czerwony jak uczeń. Po chwili podniósł wzrok i spojrzał wprost w oczy Rafała. Jak gdyby on jeden mógł go zrozumieć. I Rafał próbował. Posłał nawet starszemu panu uśmiech typu „między nami facetami”, na co tamten ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Nawet teraz, kiedy ją wspominasz, jesteś trochę zakochany – oceniła pani Bawarska.

– Żyje jeszcze? – zapytał pan Maciej, nie patrząc na żonę.

– Zaginęła – odpowiedziała Aneta.

– Naprawdę?! – zawołał Bawarski. – Kiedy?!

Aneta spojrzała na Rafała, ale on wzruszył ramionami.

– Nie wiemy. – Dobrze, że mówiła, bo Rafał nie wykrztusiłby teraz słowa.

– Wydawało nam się, że na długo przed spotkaniem z pana bratem.

– W jaki sposób? – dopytywał pan Maciej.

– Myśleliśmy, że poszła do spółdzielni i wtedy coś się stało. Z tego, co pan mówi, wynika jednak, że widział pan ją na długo po tym, jak przestała tam pracować. Proszę nam o niej jeszcze trochę opowiedzieć.

– Poczekajcie chwilę.

Pan Maciej otworzył jakąś szufladę. Chwilę w niej grzebał, po czym wrócił do stołu z albumem.

– Tu jest jedno nasze wspólne zdjęcie. – Przewracał kartki aż trafił na odpowiednią. – Tutaj. To była Wigilia, pierwsza po wojnie.

Wszyscy pochylili się nad fotografią. Aneta wciągnęła głęboko powietrze.

– Mam... mam takie zdjęcie w domu.

– Co? – spytał zdezorientowany Rafał, ale dziewczyna tylko potrząsnęła głową.

– Naprawdę ma pani takie zdjęcie? – Gospodarz popatrzył na nią z ciekawością.

– Prawie – odparła cicho.

Rafał zrozumiał, że nie chciała teraz mówić.

– To Zosia? – spytał, wskazując dziewczynę o długich blond włosach, upiętych po bokach. Fale w stylu przedwojennych gwiazd.

Bawarski potwierdził skinieniem głowy.

– Śliczna dziewczyna – oceniła jego żona. – A to jej siostra? – Wskazała bardzo podobną kobietę z roziskrzonymi oczyma. Jej włosy były szykownie upięte do góry.

– Tak. To pani Irena.

Zarówno Zosia, jak i Irena trzymały na rękach dzieci. Z przodu ukucnęły małe dziewczynki, a po bokach stali chłopcy, wszystkie latorośle Bawarskich. Ich rodzice trochę z tyłu razem z dwoma mężczyznami.

– To pan Romek – powiedział Bawarski. – Ale to pewnie pani wie.

– Tak, tak. A to kto? – zapytała Aneta, wskazując mężczyznę z lewej strony.

– Pan Antek.

– Kto? – spytał zdumiony Rafał.

Temu gościowi już wszystko się myliło. To nie mógł być Antek Bawarski, wyglądał zbyt dorośle. Poza tym, kto nazywa własnego brata panem?

– Pan Antek. Znajomy pani Ireny. Był dziennikarzem w „Życiu Warszawy”. To on zorganizował fotografa.

– Pan Antek – powtórzyła wolno Aneta. – A pamięta pan, jak miał na nazwisko?

– Tak. – Bawarski się uśmiechnął. – Szukaliśmy jego artykułów. – Rański. Rafał się wyłączył, próbując rozsypać myśli.

– O co chodzi z tą fotografią? – spytał w samochodzie.

Aneta patrzyła na drogę.

– Mam w domu taką samą. Tylko... bez Rańskiego.

– Jak to?

– Wygląda, jakby ktoś go wyciął.

– Ale... dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– A w ogóle rozumiesz coś z tego?

– Niewiele – przyznała. – Ludziom po takim czasie się miesza.

Albo kłamią, chciał powiedzieć. Coś jednak kazało mu milczeć. Jakby uważał, że dziewczyna obok również nie mówi całej prawdy. Gdy pocałowała go przed domem, pomyślał, że wybaczyłby jej każde oszustwo. A czy ona by mu wybaczyła?

Naprawdę potrzebował rozplątać myśli. Nie zwracając uwagi na bliźniaki, zamknął się w pokoju i zadzwonił do ciotki Eli.

– Kiedy zaginęła Zosia? – zapytał prosto z mostu.

– Słucham? To ty, Rafałku?

W tle słyszał uliczne hałasy.

– Tak. Ciociu, staram się zrozumieć, co się dzieje w spółdzielni. Powiedz mi, kiedy zaginęła Zosia.

– Rafał, nie wiem. Babcia nigdy nie podała żadnej daty.

Nagle przyszła mu do głowy inna myśl.

– Czy tata przed wypadkiem rozmawiał z tobą?

Słyszał tylko przejeżdżające samochody.

– Ciociu? – powiedział głośniejszym głosem. – Słyszysz mnie?

– Oddzwonię do ciebie.

Wyłączyła się. Rafał ostrożnie położył telefon na biurku.

– Skończyłeś już gadać?

Tosia weszła do pokoju.

– Teraz macie mi nie przeszkadzać! – huknął.

Dziewczynka się wycofała, w ramach protestu trzaskając drzwiami. Czy dzieciaki podsłuchiwały? Tośka wparadowała od razu, kiedy odłożył komórkę. Musiał wyjść. Jego pokój nie był bezpiecznym miejscem. Bez żadnego usprawiedliwienia wybiegł z mieszkania. W parku znalazł wolną

ławkę. Przechodzący ludzie usłyszą strzępy rozmowy, ale nie domyślą się kontekstu. Telefon zadzwierczał mu w rękach.

– Tak, ciociu?

– Dlaczego o to zapytałeś?

– O co? – powiedział ostrożnie.

– O to, czy nie rozmawiałam przed wypadkiem z twoim ojcem.

Czuł, jak zmienia się w małego chłopca na skraju łez.

– A rozmawiałaś?

Sam prawie się nie słyszał. Ona jednak zrozumiała.

– Nie. Ale... Powiedz, dlaczego spytałeś.

To żadna tajemnica.

– Ciocia Klara powiedziała, że zadzwoniła do taty przed jego śmiercią. Twierdziła, że to... co się stało... to jej wina. Że mu coś powiedziała.

Znów cisza.

– Jesteś tam, ciociu?

– Tak. Tylko... nie, nie rozmawiałam. Dzwonił do mnie... wiele razy. Pierwszy raz... byłam na spotkaniu, odrzuciłam połączenie i wyłączyłam dźwięk. Zapomniałam o tym. W domu chciałam już tylko coś zjeść i odpocząć. Dopiero rano zobaczyłam, że mam dwadzieścia kilka połączeń nieodebranych od niego. Spieszyłam się do pracy. Później było spotkanie zarządu czy coś podobnego, potem lunch. Gdy zadzwoniłam, było już po południu. Po... wypadku.

– Ciociu...

– Nigdy nikomu nie powiedziałam. Być może... może gdybyśmy pogadali, nie doszłoby...

– Ciociu...

– To mój brat. Nie powinnam była... powinnam od razu...

Głos jej się załamał. Chciała usłyszeć, że to nie jej wina, ale Rafał nie był w stanie wydusić tych słów.

– Czy ciotka Klara kiedykolwiek chciała ci coś powiedzieć? – zapytał zamiast tego.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że z nią rozmawiałeś nieraz, ale coś... nie wiem... jakąś tajemnicę?

– Nie. Nigdy nie słyszałam od niej o żadnych tajemnicach. – Głos jeszcze jej trochę drżał, ale odzyskiwała panowanie nad sobą. – Jaka tajemnica?

Nie chciało mu się już płakać. Czuł się zły, chociaż nie był pewien przeciwko komu lub czemu jest skierowana jego wściekłość.

– Nie wszystko wiem – odpowiedział szorstko. – Nie wiem, co powiedziała tacie. Jednak dowiedzieliśmy się z Anetą, że jej matką wcale nie była prababcia Irena.

– Poczekaj. Czyją matką?

– Klary – burknął. Ciotka chyba nie pomyślała, że mówił o matce Anety.

– Zaraz, zaraz. Zwolnij. Kto w takim razie był matką Klary?

– Zosia. Ta, która straszy w spółdzielni.

– Rafał...

– Ktoś straszy, nie? Sama tego doświadczyłaś.

– Skąd w ogóle pomyśł, że Zosia to matka Klary? To absurdalne!

– To nie pomyśł. To fakty. Może kiedyś pogadamy o szczegółach. Sama Klara przyznała, że to prawda. Wiedziała od dawna.

– Dlaczego...

– Nie pytaj – przerwał. – Dzwoniła do taty przed wypadkiem. Twierdzi, że powiedziała mu prawdę i to go wprowadziło w taki stan. Obwinia się o to, co się stało.

– To... pewnie szokujące, ale... dlaczego miałoby...

– Właśnie nie wiem. Mówię ci o tym i pewnie się dziwisz, ale nie masz ochoty pić i nie spać całą noc, prawda?

– Nie. Poczekaj. Muszę pomyśleć.

Starszy pan mijał ławkę. Jego pies obwąchał nogę Rafała.

– Szarik! Nie wolno!

Chłopak się uśmiechnął. Widział Czterech pancernych i doskonale rozumiał, że można być fanem Szarika. To ojciec puszczał wideo i oglądali razem. Zdusił wspomnienie. Na nostalgię może jeszcze przyjdzie czas.

– Pamiętasz pogrzeb mamy? Mojej mamy. Babci Basi.

Rafał się wyprostował. Ciotka też łączyła śmierć babci i wypadek.

– Tak. Pamiętam.

– Klara bardzo źle go zniosła. Wyszła z konsolacji. Nie chciała nikogo obok siebie. Radek ją odwiózł do domu.

– Tak. Pamiętam – powtórzył.

Pamiętał komentarze żalobników o więzi między bliźniaczkami. Teraz wiedział, że nie były nawet siostrami. Tak czy inaczej, musiała istnieć między nimi głęboka więź.

– Może jej też powiedziała, że nie jest córką Ireny? Że wcale nie jest siostrą mamy? Może miała pretensje i to przyspieszyło śmierć mamy?

Babcia leżała w szpitalu ze złamaną nogą. Umarła na serce. Miała zawał, a po kilku dniach kolejny. I już jej nie było. Opieka lekarska na miejscu na nic się zdała. Czy śmierć babci mogła mieć coś wspólnego z wyznaniem „siostry”? Kiedy tylko... kiedy poruszałam kwestię przeszłości... Tak chyba powiedziała Klara. „Poruszałam”. Nie „poruszyłam”. A więc musiała to zrobić co najmniej dwa razy.

– Może – powiedział z wahaniem. Usłyszał sygnał przychodzącego esemesa. – Zadzwoń jeszcze do ciebie.

– Dobrze. – Trudno było nie wyczuć ulgi w jej głosie. Miała zdecydowanie dość rozmowy z nim. – Do usłyszenia, Rafałku.

Eseses był od Anety. „Zadzwoń”.

– Rafał – powiedziała, odbierając. – Chyba wiem, kim był Rański.

– Kto?

– Antek Rański. Był na fotografii u Bawarskiego. Tej, którą zrobiono podczas pierwszej po wojnie wieczerzy wigilijnej.

– Dziennikarz – przypomniał sobie.

– Właśnie. Ten, który był wycięty ze zdjęcia u nas.

– Czego się dowiedziałas?

– Wyglądał znajomo. Po powrocie do domu wygrzebałam album. To znaczy nie ten z fotografią, na której nie było Rańskiego. Inny. Rański był bardzo podobny do dziadka w młodości. – Urwała, a potem się poprawiła: – To znaczy do drugiego męża babci. Tylko że ten mąż nie nazywa się Rański i to nie może być on, bo jest dużo młodszy.

Umilkła, jakby zmęczyło ją mówienie. Rafał usiłował przetrwać jej słowa.

– Nie nadążam – odezwał się w końcu.

– Zadzwoiłam do babci, bo trochę niezręcznie było mi wypytywać dziadka. To znaczy tego męża.

– No i? – spytał Rafał, bo Aneta znów urwała.

– No właśnie, to jest strasznie dziwne. Nie chcę przypisywać temu nadmiernego znaczenia.

– Czemu?

– Panieńskie nazwisko mamy dziadka, no wiesz, tego podobnego do dziennikarza, brzmiało Rańska, a jej brat zaginął.

Rafał wstał gwałtownie.

– Co?!

Aneta zaśmiała się nerwowo.

– Ja też tak zareagowałam.

– Ale jak to? Kiedy? Dlaczego?

– Babcia nie wiedziała. Niedługo po wojnie.

– Ale... Czy myślisz... czy to może być jakoś... nie wiem... powiązane?

Musiało być. Taki zbieg okoliczności to za wiele.

– Nie wiem. Dowiadywałam się o stan pradziadka, ale na razie bez zmian. Umówiłam się w domu opieki na jutro. Może będzie w stanie coś

powiedzieć na ten temat. Dzisiaj wieczorem idę do dziadków. Spróbuję pogadać z dziadkiem... mężem babci. On może rzucić na to światło.

Opadł na ławkę.

– Aneta... Wiesz... jesteś niesamowita.

Roześmiała się. Bez poprzedniej nerwowości.

– Pewnie – mruknęła. – Ale wiesz, może dlatego pradziadek go nie lubił. Przez koneksje rodzinne. I przez podobieństwo.

– To by oznaczało, że nie lubił też tego... Rańskiego.

– Tak. Może... może jego też...

Nie skończyła. Zabił, pomyślał Rafał.

MARZEC 1946

Przed kamienicą Irena spojrzała na towarzyszy.

– Poczekajcie chwilę.

Antek ujął jej ramię.

– Chyba lepiej, żebyśmy już poszli.

Wyrwała się.

– Nie! – prawie krzyknęła. – Zaraz wrócę – dodała łagodniej.

Nie umiała wytłumaczyć. Sama nie rozumiała. Wbiegła po schodach, minęła Bawarską, weszła do pokoju i stanęła nad kołyską. Dziewczynki spały spokojnie. Nie powinna ich budzić, jednak nie potrafiła powstrzymać odruchu. Podniosła je obie i przytuliła do piersi. Obudziły się, ale nie płakały, jakby same miały ochotę na nocne pieścizny.

– Mama – powiedziała Basia.

– Mamamamama – powtórzyła Klara.

Usta Ireny drżały. Chciała zostać z Basią i Klarą, zostawić tamtą sprawę w spokoju. Nie mogła. Młodsza siostra jej potrzebowała. Irena musiała iść do spółdzielni, nie tylko dlatego, że przyrzekła matce chronić Zosię. Tak kazała miłość. Kiedyś nie dopuściła do brutalnego gwałtu, wzięła na swoje sumienie śmierć człowieka. Tym razem mogło być jeszcze gorzej.

– Muszę iść – szepnęła, całując dwie pachnące główki i odłożyła dziewczynki, które zaczęły protestować. – Zosi grozi niebezpieczeństwo – wyjaśniła, nie wiedząc, czy mówi do dzieci, czy zwraca się do Bawarskiej. Może bardziej do dzieci, Jance już to przecież mówiła.

– Co się stało? – spytała współlokatorka po raz kolejny.

Irena jeszcze raz wzięła ją w ramiona.

– Nie mogę powiedzieć. Proszę, opiekuj się dziewczynkami, dopóki ja lub Zosia nie wrócimy.

Oderwała się i pokonując szloch, wybiegła na ulicę. Mężczyźni nie rozmawiali, stali w oddaleniu około półtora metra od siebie. Mimo że była na skraju załamania, wyczuwała od nich obu rozsadzające ich napięcie. Szaleństwo zazdrości Romka i strach Antka. Strach o ukochaną kobietę. Wzięła narzeczonego pod rękę. Ścisnął jej dłoń i spojrzał prosto w oczy, jakby mówił: jestem przy tobie. Mimo lęku był silny. Był jej siłą.

Nikt się nie odezwał. Jedynym dźwiękiem w pustej ulicy był tylko miarowy stukot ich kroków. Zatrzymali się przed spółdzielnią. Romek wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Otwierał zamek po zamku, każdy z metodyczną dokładnością, bez pośpiechu, jakby chciał oddalić moment konfrontacji. Irena odmawiała w myśli Zdrowaś Maryjo i ścisnęła rękę Antka. Gdy drzwi się otworzyły, mięśnie w nogach drgały tak mocno, że gdyby narzeczonej jej nie podtrzymał, nie dałaby rady przekroczyć progu.

Stanęli przed recepcją. Stolik na dwie osoby. Świece. Romantyczna kolacja. Romek pstryknął włącznik światła i zdmuchnął świecę.

– Zosia! – zawołał.

Cisza. Irena patrzyła na twarz towarzysza zabaw z dzieciństwa. Kim się stał? Do czego był zdolny?

– Zosia!

Tym razem Irena miała wrażenie, że ściany zatrzęsły się od krzyku.

– Musimy ich odnaleźć – szepnął.

Ten szept przeraził ją bardziej niż poprzedni wrzask.

– Może się rozdzielimy? – zasugerował Antek. – To duży budynek.

Ołdakowski zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Duży. Ktoś musi zostać i pilnować drzwi.

Jeszcze była szansa.

– Ja zostanę – powiedziała Irena.

Spojrzał na nią ostro.

– Jeśli pozwolisz im uciec, zawiadomię natychmiast władze. Przeczeszą teren.

To był Romek, jakiego nie znała. Bezwzględny i okrutny. Nie mogła już wierzyć w poprzednie ustalenia. Wiedziała teraz, dlaczego przyszedł do niej. Pragnął napawać się cierpieniem. Sadysta.

– Nie pozwolę – powiedziała chłodno.

Jeśli opuszczą budynek, będą przynajmniej mieli szansę na przeżycie. Ten szaleniec z pewnością ma broń. Ołdakowski otworzył szafkę z kluczami.

– Wiedziałem. Są na dole. Idę po zapasowy klucz.

Ruszył na górę. Widocznie tam miał klucz. Lepszej okazji nie będzie. Są na dole. Tak powiedział. Wyrwała rękę z uścisku Antka i pobiegła do schodów. Usłyszała, jak narzeczony cicho woła jej imię.

– Zostań! – powiedziała, nie oglądając się.

Przeskakiwała po dwa stopnie. Owionął ją piwniczny chłód.

– Zosia! Staszek!

Nie krzyczała, żeby nie zaalarmować Romka. Nie słyszeli, a jeśli słyszeli, nie odpowiadali. Tak wiele drzwi. W którym z tych pomieszczeń przebywali? Naciskała na klamki. Wszystko zamknięte. Na schodach rozległy się kroki. Jak teraz zdoła obronić siostrę? Patrzyła na schodzących. Spojrzenia jej i Romka skrzyżowały się na moment. Nie wiedziała, czy przeważa w nim szaleństwo, czy rozpacz. Nie była nawet w stanie powiedzieć, co jest bardziej niebezpieczne. I czy jedno można odróżnić od drugiego. Ołdakowski bez wahania podszedł do pomieszczenia, przy którym stała. Gdy przekręcał klucz w zamku, wstrzymała oddech. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc. Pokój, oprócz jednego regału z jakimiś dokumentami, był pusty. Irena wypuściła powietrze. Tu nie było jej siostry. Dopiero gdy Romek poświecił latarką, zobaczyła kolejne drzwi. Szarpnęła klamką. Drzwi nie ustąpiły. Antek położył rękę na ramieniu narzeczonej.

– Zosia! Otwórz! Wiem, że tu jesteście! – W głos sąsiada wkradła się histeria. W tym stanie był zdolny do wszystkiego.

Nikt się nie odezwał.

– Jeśli nie otworzysz, przestrzelę zamek!

Ten łajdak faktycznie miał zamiar skorzystać z broni. Chciała powiedzieć, że mu nie wolno, że nie tak się umawiali, ale z jej ust wyszedł tylko niezrozumiały jęk.

– Romek – odezwał się Antek. – Jeśli masz pistolet, odłóż go. Nie chcesz przecież ich straszyć.

Romek prychnął, potem jednak wyciągnął z płaszcza pistolet, patrzył na niego przez chwilę, a potem położył go na podłodze. Antek skinął głową, schylił się, podniósł go i schował do kieszeni.

– On nie ma już broni – powiedział spokojnie. – Wyjdźcie. Porozmawiamy. Znajdziemy rozwiązanie.

SIERPIEŃ 2020

Babcia nie zareagowała nerwowo, gdy Aneta zapytała, czy nazwisko Rański jest jej znajome. Opowiedziała historię rodzinną, ale nie znała szczegółów. Co innego dziadek Piotr. Rozmowa z nim zapewne będzie trudniejsza. Aneta wybrała numer.

– Hej.

Nigdy nie dzwoniła na jego komórkę, chyba że potrzebowała skontaktować się z babcią, a ona nie odbierała. O tej porze babcia zgodnie ze swoim rytuałem brała kąpiel. Rzadko robiła odstępstwa.

– Cześć, dziadku.

– Cześć, kochanie. Babcia się kąpie. – Nie było odstępstwa. – Pewnie z nią chciałaś rozmawiać?

Aneta się roześmiała.

– Wcale nie. Nawet bardziej zależy mi na rozmowie z tobą.

– Ze mną? – zdziwił się.

– Nie udawaj. Ty też lubisz ze mną gadać.

– Pewnie.

Zawiesił głos.

– Nie przez telefon. Pomyślałam sobie, że wpadnę. Nie masz nic przeciwko temu?

– No co ty? Kiedy tu jesteś, to dla mnie święto.

Aneta poczuła wyrzuty sumienia. Nienawidziła kłamać.

– A mógłbyś odebrać mnie z metra? Będę za jakieś... dwadzieścia pięć minut. Samochód mi się zepsuł.

– Pewnie. Babcia po kąpielii poczeka na nas w domu.

Aneta wsunęła telefon do torebki i wyszła ze stacji metra. Wysiadła z pociągu kilkanaście minut temu, a te dodatkowe dwadzieścia pięć

posłuży jej na uporządkowanie myśli.

Kiedy dziadek ją przytulił, poczuła się jak kiedyś. Zbuntowana dziewczynka znajdująca schronienie w mocnych ramionach.

– Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

Wzruszenie sprawiło, że głos jej zadrżał. Piotr przyjrzał się jej uważnie.

– Coś się stało.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się w swój normalny sposób.

– W zasadzie nie. Oprócz tego, że w budynku, w którym pracuję, są duchy.

– Wierzysz w duchy? Serio?

Roześmiała się.

– Coś tam jest. Dlatego prowadzimy z kolegą śledztwo.

Dołączył do jej śmiechu.

– Śledztwo? Ale zazdroszczę. Nie ma jak młodość.

– Dziadku, ty też przecież jesteś młody.

– Tak, tak. Czasem strzyka mi w kościach, ale to pewnie objaw młodości.

Wzięła go pod rękę.

– Wiesz, że mnie też strzyka? – Miała ochotę dalej się przekomarzać, ale ciągnęła: – No i to śledztwo zaprowadziło nas do Antoniego Rańskiego.

Piotr zatrzymał się i spojrzał na dziewczynę skonsternowany.

– Co?

– To był twój wujek, prawda?

Wznowił marsz.

– Tak. Nie wiem, czy go pamiętam. Mam jakieś obrazy. Siedzę u niego na kolanach, bawię się w chowanego. No, ale prawdziwe wspomnienia mogą mi się mieszać z opowieściami mamy. Dużo mi o nim mówiła.

– Babcia twierdzi, że zaginął.

– Rozmawiałaś już z babcią?

– Zapytałam tylko, czy to nazwisko coś jej mówi.

– Tak. – Jego głos stał się nagle daleki. – Zaginął.

– Opowiesz mi więcej?

Odwrócił twarz do wnuczki i uśmiechnął się smutno.

– Usiądźmy w parku – zaproponował.

Aneta skinęła głową.

– W jaki sposób wasze śledztwo doprowadziło do brata mojej mamy? – zapytał, patrząc na stawik przed ławką.

Podążyła za jego wzrokiem. Jakies dziecko rzucało kaczkom okruszki chleba.

– To zajmie chwilę. Może napiszę do babci esemesa, że poszliśmy na spacer.

– Ja zadzwonię. – Wyciągnął telefon i wybrał połączenie. – Będziemy za jakiś czas – rzucił. – Anecie zachciało się spaceru. – Schował komórkę do kieszeni i zwrócił się do wnuczki. – Babcia mówi, że nie musimy się spieszyć. Przygotowuje jakieś smakołyki na kolację.

– Podczas dyżuru...

Próbowała się streszczać, ale jej opowieść zajęła co najmniej kwadrans. Piotr uśmiechnął się, gdy skończyła.

– No... duchy. Nie wierzę w duchy, ale musicie wyczuwać jakąś energię. W każdym razie sporo się dowiedzieliście. – Zamilkł na moment, jakby rozważał własne słowa. – To teraz moja kolej, tak? – ciągnął. – Jak powiedziałem, mam bardzo zamglone wspomnienia, ale ona... mama... opowiadała mi mnóstwo o wujku Antonim. Wiesz... mój tata zginął na wojnie. – Głos dziadka się załamał, jakby starszy mężczyzna stał się chłopcem, słuchającym smutnych wojennych opowieści. – W każdym razie wujek był ostatnim dorosłym mężczyzną w rodzinie. Przychodził do nas, bawił się ze mną, wspierał nas finansowo. Na tamte czasy nieźle zarabiał. Był dziennikarzem. Ale któregoś dnia nie przyszedł, chociaż był umówiony. Na stole stał obiad. Zupełnie wystygł. Mama mówiła, że płakałem, nie chciałem jeść, dopóki wujek nie przyjdzie. Poszliśmy do niego. Otworzyła współlokatorka. Wtedy raczej mało kto miał samodzielne

mieszkanie. Wpuściła nas do jego pokoju, ale wujka tam nie było. Nie przyszedł też następnego dnia. I kolejnego. Mama pytała w redakcji. Nic nie wiedzieli, ale podobno wziął kilka dni wolnego. Gdy nie przyszedł po tym czasie, zawiadomili milicję. I nic. Ani śladu. Nigdzie. Nigdy.

Aneta wstrzymała oddech.

– Miałeś trzy lata?

– Tak.

– A więc... w którym to było roku?

– W czterdziestym szóstym. W marcu. Siedemnastego marca.

– Boże – wyrwało się Anecie, ale Piotr chyba nie usłyszał.

Wykonał ruch, jakby otrząsał się ze starych opowieści.

– Chyba już pójdziemy, co? – powiedział normalnym tonem.

– Tak, tak.

Wstała i znów wzięła go pod rękę.

– Opowiesz mi, jak poznałeś babcię? Nigdy mi nie mówiliście.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Przynajmniej nie pamiętam.

– Zналиśmy się już jako dzieci.

– O! – wyrwało się Anecie.

– Tak. Pamiętam, że trzymałem ją na rękach niedługo po tym, jak się urodziła.

– Nie słyszałam o tym. Wasze rodziny się znały?

– Twój pradziadek pojawił się w naszym życiu, jeszcze zanim się ożenił. Ni stąd, ni zowąd.

– Jak to?

– Ni stąd, ni zowąd – powtórzył. – To chyba było niedługo po zaginięciu wujka. Przyszedł i powiedział, że widział mojego tatę umierającego, że był jego przyjacielem i towarzyszem broni i tata przed śmiercią przekazał mu pokaźną sumkę dla żony i dziecka.

– Pokażną sumkę? – powtórzyła Aneta nieobecny głosem.

– Tak i to w dolarach. Podobno długo nas szukał. Pieniądze naprawdę się przydały. Twój pradziadek stał się przyjacielem rodziny. Załatwił mamie dobrą pracę, dla mnie znalazł przedszkole. Później się ożenił, ale nadal interesował się nami. Ja i Amelia właściwie wychowywaliśmy się razem. Wyjechałem na studia do Moskwy i nasze drogi się rozeszły. Gdy spotkałem ją po powrocie... wiesz... w kolejce po mięso... była już wdową. Zakochałem się ponownie.

Aneta się uśmiechnęła.

– Ponownie?

– Tak. Była moją pierwszą dziecięcą miłością. Zaczęliśmy się spotykać... Urwał, patrząc na Anetę z ukosa.

– Co, dziadku?

– No... jej ojciec był przeciwny.

– Dlaczego? Skoro był przyjacielem waszej rodziny?

– Nie wiem. Byłem zdumiony. Cierpiałem – dodał ciszej.

– Nic nie mówił? Nie wyjaśniał?

– Nie. – Głos dziadka nieoczekiwanie stwardniał. – Nic. Po prostu nie i nie.

Najwidoczniej nadal to przeżywał. Najwidoczniej nie lubił pradziadka. No, ale czemu się dziwić?

– Nie przyszedł nawet na ślub – dodał. – Twoja babcia płakała. Ja najchętniej nie miałbym z nim nic wspólnego. Jednak to był jej ojciec, więc nic nie mówiłem, gdy w końcu dał się ubłagać i nas odwiedził. – Staralem się. Bóg jeden wie, jak trudno było, ale się starałem. Nasze relacje jakoś się ułożyły.

Do czasu, pomyślała Aneta, ale się nie odezwała.

– Do czasu – powiedział, jakby czytał w jej myślach. – Gdy wzięliśmy go do domu, traktował mnie jak najgorszego wroga. Atakował, również fizycznie.

Zacisnął szczęki i wpatrzył się w dal. Po chwili odwrócił się do Anety i uśmiechnął.

– No, ale zmienmy temat, co?

Zadzwoniła po dwudziestej drugiej.

– Jestem przed twoim domem. Wyjdź.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozłączyła się. Próbował wymknąć się z mieszkania, niezauważony przez bliźniaki, ale zbyt głośno zamknął drzwi frontowe i jeszcze nie zszedł na niższe piętro, kiedy znów się otworzyły i usłyszał głos siostry:

– A ty dokąd?

Odwrócił się na moment.

– Na randkę! – odburknął, mając nadzieję, że Tośka się odczepi.

– Ale...

Nie słuchał. Gdy wybiegał z klatki, przyszedł esemes. Trzymał komórkę w ręku, więc od razu odczytał wiadomość od siostry. „Przyprowadź ją tutaj”.

Nie potrafił zignorować wiadomości. Nadal powinien być starszym bratem, odpowiedzialnym za rozbrykane rodzeństwo. Tym bardziej, że mama miała dyżur. Wymykanie się z mieszkania bez słowa o tej porze nie było w jego stylu. A gdyby dzieciakom przyszło do głowy coś głupiego?

„Może kiedy indziej. Teraz myć ząbki i spać. Już po dobranocce”.

„Ha, ha. Dowcipniś”.

Uśmiechnął się. Nic głupiego nie przyjdzie im do głowy.

Aneta czekała przed klatką. Pocałowała go w policzek, po czym ruszyła przed siebie.

– Ej, dokąd idziemy? – zapytał, zrównując się z nią.

– Do parku. Głowa mi pęka. Muszę odetchnąć.

Może świeże nocne powietrze sprawi cud i pomoże poukładać informacje. Może uda im się rozwiązać sprawę z przeszłości, porządkując przy okazji teraźniejszość. Przynajmniej to, co da się uporządkować.

– Usiądźmy – powiedziała Aneta.

– Tam – odpowiedział, wskazując ławkę, na której rozmawiał przez komórkę kilka godzin wcześniej.

– Gwiazdy – szepnęła Aneta.

Podniósł głowę. Rzeczywiście niebo było upstrzone jak rzadko kiedy w Warszawie. Gwiazdzista noc, a obok dziewczyna, w której się zakochał. Czuł ciepło jej ciała, dotyk skóry na ramieniu. Jakiś czas chłonał chwilę, zapominając o innych sprawach.

– Dziadka wychowywała tylko mama.

Drgnął.

– Tego krewnego Rańskiego?

– Tak.

I Aneta opowiedziała historię, która jeszcze bardziej mieszała w głowie.

– To było w czterdziestym szóstym – zakończyła. – W marcu.

– Wtedy gdy zaginęła Zosia – powiedział wolno.

Aneta potrząsnęła głową.

– Tak przynajmniej uważaliśmy. Jednak brat Antka... tego, którego spotkała Klara, uważa, że ona wcale nie zaginęła. A przynajmniej nie wtedy.

– Czyli co? W spółdzielni jest ten Rański? Przecież to nie ma sensu! Z jakiego niby powodu miałby tam być? A jeśli nawet, to dlaczego nas straszy? Moją rodzinę?

Aneta westchnęła.

– Skąd mogę wiedzieć? Ale wiesz co? Po zaginięciu Rańskiego w życiu jego siostry, czyli mamy dziadka Piotra, ni stąd, ni zowąd pojawił się mój pradziadek.

Nic się nie zgadzało.

– Co to znaczy: ni stąd, ni zowąd?

Aneta wzruszyła ramionami. I znów opowiedziała historię, która mieszała w głowie.

– Strasznie to dziwne – odezwał się Rafał, gdy skończyła. – Był aniołem stróżem rodziny twojego dziadka, a później nagle nie zgadzał się na ślub?

– Tak. Chyba dlatego nie znałam tej historii. Nawet moja mama nie znała. A jeśli znała, nigdy mi nie powiedziała. No, a kiedy pradziadek był już słaby i wzięli go do siebie, zaczęły się te hece.

– Twój... mąż twojej babci ma jakąś teorię?

– Nie. Był zdumiony, kiedy okazało się, że pradziadek nie chce go za zięcia. Babcia przeżywała, że nie pojawił się nawet na ich ślubie. Później jakoś się ułożyło. Do czasu.

Rafał pokiwał głową.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Nie – przyznał. – Zupełnie nie. A ty? Rozumiesz coś z tego?

– Może pradziadek będzie jutro w lepszej formie i jakoś mi wytłumaczy.

– Po każdej tego typu rozmowie czuje się gorzej – przypomniał Rafał.

Zaczęła kręcić głową.

– On czuje się źle od długiego czasu. Już kiedy dziadkowie wzięli go do siebie, czuł się źle. – Spojrzała na Rafała. – Wiem, że się na ciebie wściekłam po pierwszej wizycie, ale się myliłam. To nie tak. I wiesz, co jeszcze myślę?

Zaschło mu w ustach. Chciał jej dotknąć, jakby mogło to zaspokoić nagłe pragnienie.

– Że cię lubię. Bardzo.

Pochyliła się i dotknęła ustami jego warg. Przytrzymał ją w ramionach, całował jak wariat. Duchy w spółdzielni, a nawet wypadek ojca przestały mieć znaczenie. Tylko ona. Oderwała się od niego, odsunęła. Bał się wyciągnąć rękę. Roześmiała się.

– To akurat myślę dość często. Jeśli natomiast chodzi o pradziadka, to myślę, że potrzebne mu oczyszczenie. A do oczyszczenia potrzebni jesteśmy my.

Milczał przez chwilę, próbując uspokoić oddech.

– To trochę... – zabrakło mu słowa, ale zmobilizował się maksymalnie – zarozumiałe?

– Czasem bywam... – komórka zaczęła grać w torebce dziewczyny i Aneta ją wyciągnęła – zarozumiała.

Odebrała. Gdy ktoś po drugiej stronie zaczął mówić, poderwała się na równe nogi i pospiesznie oddaliła się od ławki. Rafał obserwował jej plecy. Rozmawiała tak cicho, że nie był w stanie wyłowić żadnych dźwięków. Kto dzwonił? Dlaczego tak to ją poruszyło? Co było tak tajemnicze, że odgradzała go od tego? Odkrył się przed tą dziewczyną całkowicie – no, prawie całkowicie – a co wiedział o niej? Tylko tyle, ile zechciała mu powiedzieć. Nie miał pojęcia o jej związkach, chłopakach, byłych, a może obecnych. Uwierzył, że jest wolna. Jeśli nawet nie kłamała, może miała kogoś, do kogo chciała wrócić. Może ten ktoś właśnie z nią rozmawiał. Może... Zakończyła rozmowę i odwróciła się. Czy to tylko światło latarni, czy naprawdę była blejsza niż przed chwilą? Bez słowa zajęła miejsce obok niego.

– Kto dzwonił? – zapytał, siląc się na obojętność.

– To... Nie mogę powiedzieć.

Poczuł, jakby dostał pięścią w brzuch.

– Nie możesz?

– Przykro mi.

Wstał.

– Już późno.

Podniosła się również.

– Coś się stało?

– Dzieciaki są same.

– Przepraszam. Nie powinnam cię wyciągać o tej porze.

Jej głos wydawał mu się daleki. Spojrzał na nią z ukosa. Nie wiedział, czy jej oczy są teraz niebieskie, czy granatowe. Z pewnością były nieobecne. Jakby już znajdowała się gdzie indziej. Z kimś innym. Pocałowała go niedbale w policzek i wsiadła do samochodu. Uśmiechnęła się i pomachała. Nie wykonał żadnego gestu. Ruszała z dużą szybkością. Robiła wszystko, żeby mieć go prędeż z głowy.

Dzieciaki wyczuły jego wściekłość i nawet nie próbowały dyskutować, gdy zagonił je do łóżek. Usiadł później w fotelu w ciemnym pokoju, skutecznie odgradzając się od żalu, zapominając o duchach przeszłości. Został tylko gniew. Buzował w nim, gdy drzwi się uchyliły.

– Co ty tu robisz?!

Nie krzyczał. Dawno odzwyczaił się od krzyku. Tosia jednak się wzdrygnęła, jakby szept też mógł przestraszyć. Wzięła głęboki oddech i podeszła do brata.

– Rafalku. – Nieśmiało ścisnęła go za rękę. – Chciałam ci powiedzieć, że możesz mi się zwierzać ze wszystkiego. Jestem twoją siostrą.

Wcale nie miał ochoty wyrywać dłoni. Poczował wstyd.

– Tośka, dzięki. Wiesz, nie ma z czego się zwierzać.

– A jednak. Wychodziłeś rozpromieniony, a wracasz... no nie wiem... wkurzony. Nikomu nie powiem. – Położyła drugą rękę na sercu. – Nawet Pawłowi.

Uśmiechnął się do niej.

– Serio, siora. Ktoś zadzwonił do Anety, a ona nie powiedziała kto i zrobiłem się zazdrosny.

Nagle zdał sobie sprawę z idiotyzmu własnej reakcji.

– Ej. – Tośka pokręciła głową. – To przecież mógł być każdy. Jej przyjaciółka, którą rzucił chłopak, albo...

– Głupi jestem, nie? – przerwał.

– No! – potwierdziła z entuzjazmem.

– Co za dużo, to niezdrowo! – powiedział groźnie. – Z powrotem do łóżka!

Zaprowadził ją do pokoju i starannie przykrył.

– Śpij dobrze.

– Ty też. Aneta jest fajna i na pewno cię nie oszukuje.

Wrócił na fotel i sięgnął po telefon. Nie odebrała.

MARZEC 1946

Zosia

Jest mi niedobrze, gdy słucham nawoływań Ireny. W jej głosie jest rozpacz. Staszek nadal ściska moją dłoń. W drugiej ręce trzyma pistolet. Boję się. Chciałabym wybiec do siostry, rzucić się jej w ramiona. Odwracam się do ukochanego. W ciemności nie widzę jego twarzy.

– Pójdziemy? – pytam.

– Nie wiadomo, kto z nią jest – odpowiada sucho.

Dotyka mnie, a jego głos wydaje się daleki. Daleki i obcy. Spuszczam głowę. Wstydzę się takich myśli. Ma rację. Irena nie przyszła sama. Dostęp do kluczy mam tylko ja, sprzątaczką i Romek. Mój komplet jest ze mną, Irena nie ma pojęcia, jak znaleźć panią Agatę. Pozostaje Romek, a on się we mnie kocha. Zauważyłam to już dawno, ale nic mnie to nie obchodziło. Byłam wściekła na siostrę, gdy chciała mnie z nim swatać. Nie mam pojęcia, do czego nasz sąsiad jest zdolny. Jest komunistą, przedstawicielem nowej władzy. Złej. Władzy, która ściga Staszka. Która chce go zabić. Może Irena podpisała pakt z diabłem. Ja zostanę wolna, ojciec mojego dziecka zginie. Może nawet jej to odpowiada. Skoro jej mężczyzna zginął, mój też powinien. Te myśli są jeszcze gorsze niż poprzednie. Wyszarpuję rękę z uścisku Staszka, jakby to, co dzieje się w mojej głowie, było jego winą.

– Zosiu.

Jego szept miesza się z dźwiękiem otwieranych drzwi. Słyszę głos Romka tuż za ścianą. Sztywnieję.

– Zosia! Otwórz! Wiem, że tu jesteście!

Chwytam rękę ukochanego. Ogarnia mnie wstyd, że przed chwilą w niego zwątpiłam.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze mi do ucha.

– Jeśli nie otworzysz, przestrzelę zamek!

– Nie bój się. Kocham cię – mówi cicho Staszek.

Całuję go w usta i sięgam do drugiej ręki. Nadal trzyma pistolet. To dobrze.

– Romek. – To Antek. Boże, ilu ludzi tu jest? – Jeśli masz pistolet, odłóż go. Nie chcesz przecież ich straszyć. – Biorę głęboki oddech. – On nie ma już broni. Wyjdźcie. Porozmawiamy. Znajdziemy rozwiązanie.

Nie możemy tkwić tu całą wieczność.

– Co robimy? – zwracam się do Staszka.

Bez słowa otwiera drzwi. Romek świeci mi w oczy latarką.

– Tu już jest światło elektryczne – mówię. – Nie musisz nas tym oślepić. Chyba że masz zamiar traktować to jak przesłuchanie?

Romek opuszcza latarkę i pstryka włącznikiem.

– A ty będziesz do nas mierzyć z tej zabaweczki? – zwraca się do Staszka.

Staszek powoli opuszcza rękę, a potem pozwala pistoletowi upaść na podłogę. Irena głośno wypuszcza powietrze. Nasze spojrzenia się krzyżują. Ona boi się jeszcze bardziej niż ja.

– Bohater – mruczy Romek. – Bohater, który chowa się pod spódnicą kobiety.

Staszek postępuje krok w jego kierunku, ale Antek zastępuje mu drogę.

– Stój – mówi lodowato. – Nie pogarszaj sytuacji. – Odwraca się do Romka. – Daruj sobie te komentarze.

Mój ukochany i człowiek, którego nienawidzę w tej chwili najbardziej na świecie, zastygają, ale mierzą się wrogim wzrokiem. Wkładam dłoń w rękę Staszka.

– A ty? – mówię pogardliwie. Chciałabym splunąć Romkowi w twarz, ale jest zbyt daleko. – Umiesz tylko śledzić i donosić. Chciałeś mnie mieć, prawda? Kupić się nie dało, więc teraz wydasz mojego narzeczonego. Ojca mojego dziecka – dodaję, żeby go pograżyć. – Nigdy mnie nie dostaniesz. Jesteś żalonym, prymitywnym komunistą. Nienawidzę cię.

Kuli się, jakbym jednak na niego napluła.

– Przestań! – mówi Antek. Patrzy na Staszka i kontynuuje: – Jesteście na terenie spółdzielni mieszkaniowej, za którą Romek jest odpowiedzialny. Twój... – przenosi na mnie na moment wzrok – kochanek jest poszukiwany. – Mam wrażenie, że w jego głosie jest obrzydzenie, jakby właśnie odkrył, że jestem kobietą lekkich obyczajów. Dobór słowa też to sugeruje. Wyraźnie nazwałam Staszka narzeczoną. – Każdemu, kto udzieli mi pomocy, grozi surowa kara.

Urywa, a jego spojrzenie wbite w Staszka jest twarde. Jakby na coś czekał.

– Jestem gotów – mówi Staszek. – To ja ją zmusiłem, żeby mnie ukryła. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

– Nieprawda! – krzyczę. – To ja! To ja! Jeśli go weźmiecie, musicie wziąć i mnie! Nie będę bez niego żyła! Nie...

– Nasza córka – szepcze mi Staszek do ucha.

Urywam przerażona.

– Można znaleźć wyjście – ciągnie Antek. – Musisz opuścić ten budynek – znów zwraca się tylko do Staszka. – Coś wymyślimy, żeby nie mieszać do tego twojej kochanki – znów pogardliwa nuta – i dyrektora spółdzielni. Niech oni zostaną czyści.

– Co wymyślicie? – wtrącam się. – Ja muszę wiedzieć.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej – odpowiada Antek, nawet na mnie nie patrząc. – Twój kochanek wyjdzie teraz, a my zaraz po nim. Nikogo nie było tu w nocy. Wrócisz do domu, a on – macha ręką w kierunku Staszka – może spróbować poszukać kryjówki.

– Nie. – Chcę krzyżeć, ale z moich ust wychodzi jedynie słaby szept.

Staszek ściska moją rękę.

– On ma rację.

– Ale... – zaczyna Irena i urywa.

Przypuszczam, że chce go zapytać o paszporty. Nie może przy tej łachudrze Romku.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze. – Antek odwraca głowę w jej kierunku. – Zaufaj mi.

Staszek wpatruje się w Antka. Tak intensywnie, że przeszywa mnie dreszcz.

– Znam cię. Nie od razu skojarzyłem, bo teraz się wyeleganciłeś – mówi do niego. – Czy to twój narzeczony? – zwraca się do Ireny.

Jego głos brzmi inaczej. Nawet teraz nie może pogodzić się z faktem, że Irena chce ponownie wyjść za mąż. Odbiera to jak zdradę swojego najlepszego przyjaciela.

– Tak. – Głos mojej siostry się łamie. Ona też się tego wstydzi. – To mój narzeczony.

– Jak on się nazywa?

– Rański – odpowiadam, bo Irena tylko porusza wargami, a Antek patrzy wyzywająco.

Coś jest nie tak. Złe określenie. Wszystko jest nie tak, ale mam wrażenie, że coś się zmieniło. Na gorsze. Jakby to było możliwe. Przyglądam się twarzy Staszka. Wpatruje się w Irenę, a później znów w Antka. Marszczy brwi.

– Znam cię – powtarza. – I nie tylko dlatego, że Władek cię kiedyś przedstawił. Nie zapamiętałem nazwiska. Byłeś tam.

W jego głosie jest coś straszliwego. Męka lub nienawiść. Sama nie wiem. Czy to jest tylko związane z faktem, że Irena się zaręczyła? Antek daje krok w tył.

– Gdzie? – Próbuje brzmieć nonszalancko, ale słyszę strach.

Staszek nie odpowiada. Patrzy prosto na Irenę.

– Nie możesz za niego wyjść.

Moja siostra się cofa. Dotyka szyi, jakby się dusiła.

– Dlaczego? – pyta z trudem.

SIERPIEŃ 2020

Aneta odstawiła pustą filiżankę.

– Dziękuję, że mi pani o tym opowiedziała.

O wszystkim, dodała w myślach.

– Nie wiem... – Kobieta naprzeciwko wyłamywała palce. – Może to znowu był błąd. Chyba nic się nie stanie?

– Na pewno nie – uspokoiła ją dziewczyna. Nie z powodu przeszłości. – Pani Klaro, to trzeba było ujawnić.

Wstała. Nie myślała o Zosi czy Irenie. Zmarli i duchy wydawali jej się w tej chwili bardzo odlegli.

– Będziesz przy nim?

Aneta przełknęła ślinę.

– Oczywiście.

Jeśli ją dopuści. Jeśli w ogóle będzie chciał z nią rozmawiać. Jak bardzo myliła się dotąd. We wszystkim.

– Czuję się winna... bardzo winna – szepnęła Klara.

Wykręcała palce jak mała dziewczynka. Aneta pokręciła głową.

– Nie ma w tym pani winy. Inni ustalali reguły.

Klara się wyprostowała.

– Początkowo. Potem chcieli, żebym wyjaśniała. Mama chciała.

– Przecież próbowała pani wyprostować to, co inni... zagmatwali.

Co za dobór słów. Klara jednak nie zwróciła uwagi.

– Zbyt późno. Po pogrzebie mamy wujek... Ołdakowski... twój pradziadek chciał ze mną rozmawiać, ale ja w ogóle nie słuchałam. Posłałam go do wszystkich diabłów.

Aneta powstrzymała westchnienie. Nie chciała kolejny raz słuchać tej samej historii.

– Tak, ale on dość szybko ustąpił, prawda? – Pradziadek też nie obchodził jej w tej chwili. – Dla niego to również było wygodne.

Tak pewnie było, ale dlaczego? Odpowiedź wydawała się nieistotna. Klara zacisnęła usta. Aneta pomyślała, że kobieta wygląda co najmniej dziesięć lat starzej niż podczas poprzedniego spotkania.

– Mimo to... – szepnęła Klara.

Aneta ścisnęła jej rękę.

– Będzie dobrze.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

Klara uściskała dziewczynę i Aneta wreszcie opuściła jej mieszkanie. Łzy płynęły równym strumieniem, gdy powoli schodziła po schodach. W samochodzie wyciągnęła telefon. Dziewięćdziesiąt dwa połączenia nieodebrane od Rafała. Nie da rady rozmawiać w tym stanie. Nie potrafiła jednak oderwać wzroku od ekranu. Znowu połączenie od Rafała. Zdecydowanym ruchem odrzuciła aparat na tylne siedzenie, nie włączając dzwiku ani nawet wibracji. Zadzwoń z domu. Najpierw musi uporządkować myśli. Przez chwilę siedziała z głową opartą na dłoniach, potem się odwróciła i sięgnęła po telefon. Wpisała wiadomość.

Wybierał jej numer raz po raz. Północ. Pierwsza w nocy. Aneta nadal nie odbierała. Zaczął dzwonić po dziesiątej. Wtedy jeszcze na pewno nie spała. Jeśli nie miała nic do ukrycia, powinna odebrać albo oddzwonić. Wyganiał te myśli. Tośka miała rację. Aneta nie oszukiwała. Mogła być teraz z każdym. Jeśli jednak... Kolejna próba połączenia. I kolejna. Powinien przestać, bo to wyglądało jak prześladowanie. Stalking. Bzdura. Chciał tylko wyjaśnienia. Przyszedł esemes. Rafał otworzył go pośpiesznie. „Zadzwoń z domu”.

Trzymając telefon w ręku, poszedł do kuchni i wypił trzy szklanki wody, jedną po drugiej. Zaraz dostanie wyjaśnienie. Wrócił na fotel, odłożył komórkę na stolik i wpatrywał się w ciemny ekran. Gdy zaczęła dzwonić, przez chwilę tylko się przyglądał, później chwycił ją tak gwałtownie, że upadła na podłogę. W końcu udało mu się odebrać, ale nie był w stanie wydobyć głosu. No, idiota!

– Halo! Jesteś tam? Rafał?

– Tak – wykrztusił.

– Sądząc z dziewięćdziesięciu trzech połączeń nieodebranych, jeszcze nie śpisz.

– Ja... – Zrobił z siebie kretyna. Może nawet nie musiał robić. – Chciałem tylko... to znaczy...

Westchnęła.

– No cóż, ja też chciałam z tobą porozmawiać i trudno byłoby mi pewnie wytrzymać do rana.

Serce się zatrzymało.

– Mów – ponaglił.

Chciał już to mieć za sobą, nawet jeśli to było kolejne rozczarowanie.

– Wracam od Klary.

Znów odebrało mu mowę. Ponieważ Aneta zamilkła, zmusił się do zapytania:

– Od mojej ciotki?

– Tak. Pamiętasz, dałam jej wizytówkę i powiedziałam, że może do mnie dzwonić. No i zadzwoniła, kiedy byliśmy w parku.

– Klara? – upewnił się.

– Tak.

Wydawało się, że tym razem to ona ma kłopot z wysłowieniem się.

– No i co powiedziała?

– Żebym przyjechała.

– A na miejscu?

– Powiedziała...

Wyraźnie wyczuwał wahanie.

– Co powiedziała?

– Powiedziała – powtórzyła Aneta pewniejszym tonem – że to jej matka wychowywała dziewczynki... znaczy ją i jej siostrę... twoją babcie.

Nie rozumiał. Z drugiej strony, dostrzegł w tym wyjaśnienie.

– Poczekaj, nie nadążam.

– Ta, która twierdziła, że jest Ireną, była Zosią. To twoja babcia była sierotą, nie Klara.

– Ale... jak to?

– Klara powiedziała, że jej matka wyznała jej przed śmiercią, kim jest. Wtedy nabrało sensu to dziwne spotkanie z Antkiem Bawarskim, który do jej matki mówił „Zosiu”. Tłumaczyła potem dziewczynkom, że chłopakowi myliły się imiona. W każdym razie Klara nie zdecydowała się zburzyć iluzji. Pochowała matkę jako Irenę Barcicką. Gdy mój pradziadek podszedł do niej po pogrzebie, nie chciała z nim rozmawiać. Ale im dłużej po pogrzebie, tym bardziej gryzło ją sumienie. Gdy jej siostra... twoja babcia była w szpitalu i przeszła zawał, Klara bała się, że Basia umrze, nie znając prawdy. Poszła i powiedziała. A Basia dostała kolejnego zawału i rzeczywiście umarła. Klara uważa, że mogła ją zabić ta wiadomość, chociaż twierdziła... znaczy Basia twierdziła, że nadal kocha Klarę jak siostrę. Może miała pretensję do Zosi, że nie powiedziała jej prawdy, ale nie przestała uważać jej za matkę. No i...

Zabrakło jej tchu. Nic dziwnego, strzelała słowami jak z karabinu maszynowego.

– No i?

– No i kiedy twój tata pojechał w tę delegację, Klara myślała o Basi. I chciała oczyścić sumienie... tak mówiła. Nie wiem, czego naprawdę chciała, ale zadzwoniła do twojego taty. A on się przejął... no bo niedawno zmarła jego matka... a tu dzwoni ciotka i twierdzi, że to jej wina... i że ta matka wcale nie była siostrą własnej matki... to znaczy...

– Wiem.

– No i podobno płakał. Klara nie wiedziała, że jest w delegacji. Twierdzi, że nie poradził sobie z informacjami od niej. Rozumiesz?

– Rozumiem. Nie, nie rozumiem.

– Ja też nie – przyznała. – Powiedziałam Klarze, że nie może winić się za wszystko.

– Nie może – zgodził się. Miał mętlik w głowie i nie wiedział, kiedy uda się go trochę uporządkować. – A co się stało z Ireną? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Klara twierdzi, że nie wie. Matka jej nie powiedziała.

– Twój pradziadek też jej nie powiedział?

– Nie. Zresztą nie dała mu szansy.

– Pewnie Irena jest w spółdzielni? – zasugerował. – To znaczy...

– Jej duch, tak? – dokończyła. – Nie tylko. Jeśli mamy rację, może tam być też jej ciało.

– Ale dlaczego tam? Zosia naprawdę nic nie powiedziała na ten temat? Nic?

– Nie. Klara upiera się, że nie.

– Może udałoby się to wyciągnąć od twojego pradziadka. Klara była wtedy malutkim dzieckiem. A on był świadkiem tamtych zdarzeń. Albo... – Urwał przerażony.

– Albo mordercą – dokończyła spokojnie Aneta.

– I jeszcze ten Rański – szepnął. – Znaczy Antoni.

– Uważasz, że pradziadek naprawdę zabił Irenę i Rańskiego? Ale dlaczego?

– Nie wiem. Nie rozumiem.

– Ja też nie. Bardziej przemawiało do mnie, że zabił Zosię. Z zazdrości. Może również jej narzeczonego. Wygląda jednak na to, że miał z Zosią kontakt do końca. Nie sądzę, żeby jakakolwiek kobieta zgodziła się utrzymywać dobre stosunki z mordercą siostry i narzeczonego. A Klara

twierdzi, że jej matka uważała mojego pradziadka za najlepszego przyjaciela.

– A jaką rolę mógł w tym odgrywać Rański?

– Nie wiem, jaką rolę i dlaczego pradziadek miałby go zabijać, ale jeśli stał się aniołem stróżem jego rodziny, to pewnie miał wyrzuty sumienia?

– Pewnie tak – potwierdził niepewnie. – Ale nie lubił męża twojej babci

– Zdecydowanie nie. Przynajmniej od kiedy babcia postanowiła za niego wyjść.

– Może zbyt przypominał wuja? – zasugerował.

– Może. Ale co ten wuj mu zrobił?

– To zaczyna robić się coraz bardziej pokręcone.

Usłyszał oddech Anety i się przestraszył. Coś było nie tak.

– Poczekaj, powiedziała mi coś jeszcze. Chciałam od tego zacząć, ale nie dałam rady. A przecież to jest dużo ważniejsze. Nie wiem, jak to przekazać, ale muszę.

Zaległa cisza. Rafał zacisnął dłonie w pięści.

– Co przekazać?

– Że wiem. Rozumiem, że mi nie mówiłeś, ale...

Nie potrafił się opanować.

– Co, do jasnej cholery, wiesz?!

Drzwi były zamknięte, ale jego krzyk z pewnością docierał do pokoi bliźniaków. Nie wytrzyma, jeśli Tośka tu znowu wejdzie.

– Rafał...

I powiedziała. To jego wina. Nie przekazał Klarze, czego nie mówić. Nie pomyślał, że spotka się sama z Anetą. A przecież prosił matkę. Prosił ciotkę. One nie planowały rozmów z obcą dziewczyną sam na sam. Przy Klarze jakby zapomniał. Zapomniał o tamtej sprawie.

– Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać.

Przerwał połączenie i wyłączył telefon. Chyba nie obudził dzieciaków. W mieszkaniu panowała cisza. Żadnych kroków, żadnych szelestów.

SIERPIEŃ 2004

Zosia

Umieram. Do szpitala trafiłam dwa tygodnie temu z zawałem serca, ale Bóg podarował mi czas. Wiedziałam, że niewiele, jeszcze zanim przyplątało się zapalenie płuc. I nic wtedy nie zrobiłam. Czekałam. Gdy dostałam gorączki, zrozumiałam, co znaczy niewiele. Tylko że to takie trudne. Myśli się płaczą, słowa nie chcą układać się w sensowne zdania. Córci przychodzą, zapewniają, że będę zdrowa. Dobre córki. Obie. Jedna nie jest moją córką. Przywłaszczyłam ją sobie.

Dzisiaj jest inaczej. Temperatura spadła. Prawie nie kaszlę.

– Tak się cieszę, mammo, że czujesz się już lepiej. Wyglądasz świetnie, wiesz?

Basia, jak zwykle pełna energii i entuzjazmu. Zbliża się do sześćdziesiątki, ale wygląda świetnie. Jak jej matka wyglądałaby w tym wieku? Zamykam oczy i widzę tamtą dziewczynkę, która mówiła: „mama!” do kobiety, której już nie ma. Później zwracała się tak do mnie. Boże.

– Basiu, kocham cię – szepczę.

– Wiem, mammo. – Głos Basi jest wesoły. – Ja też cię kocham. Zabierzemy cię stąd i zrobimy wielki obiad dla całej rodziny u nas na działce. Pogoda jest taka piękna. Co ty na to?

Przenoszę wzrok na lipę rosnącą tuż obok. Okno jest otwarte, promienie słońca pieczą moją starą skórę, dojrzała zieleń syci oczy. Tak, pogoda jest piękna. Świat za szybą też. Tylko wewnątrz takie brudne. Moje wewnątrz.

– Kocham cię – powtarzam.

To łatwo powiedzieć. I co z tego, że to prawda? Jak wynagrodzę tej dziewczynce życie w oszustwie? Jak wynagrodzę jej matce to, co się stało?

– Mammo, wiem. Ja też cię kocham. Bardzo.

Spowiadałam się przed godziną. Dostałam odpuszczenie grzechów i pokutę, którą odprawiłam. Ksiądz nawet się nie zająknął o zadośćuczynieniu. O prawdzie, która musi ujrzeć światło.

Basia opowiada, co przygotowują, kogo zaproszą. Mówi „zaprosimy” i ma na myśli również mnie.

– Myślisz, że piątek w przyszłym tygodniu będzie dobry?

Wykrzywiam twarz w uśmiechu i kiwam głową. Mnie wtedy tu nie będzie. Będę się znajdować na dnie piekła.

– Dobrze, to piątek – decyduje Basia i całuje mnie na pożegnanie.

To ostatni raz. Trzymam ją w uścisku dłużej niż zwykle.

– Jeszcze chwileczkę – szepczę w jej włosy.

Chcę powtarzać, że ją kocham, ale się hamuję.

– Basiu, pamiętasz męski zegarek, Omegę? Jest w szufladzie.

– Tak, oczywiście. Podarunek babci dla dziadka.

– Właśnie. Proszę, weź go. Należy do ciebie. Daj go synowi. Może będzie nosił.

– Mamo...

– Proszę.

Niechętnie wypuszczam ją z uścisku. Muszę spojrzeć jej w oczy.

– Weźmiesz?

Wzrusza ramionami.

– Dobrze.

I jeszcze jedno. Prawie zapomniałam.

– Sygnet rodowy. Też jest twój.

– Mamo, o czym ty...

– Kiedy umrę, weź go. Obiecuj.

– O czym ty mówisz?

W jej głosie słyszę rozdrażnienie.

– Kiedy umrę – mówię tak lekko jak potrafię, kładąc nacisk na „kiedy”. – Obiecuj.

Wzdycha.

– Obiecuję – mówi chyba tylko po to, żeby się nie kłócić.

– Dziękuję.

Nie potrafię powiedzieć niczego więcej.

– To piątek uzgodniony – mówi Basia. – Na razie, mam.

Już nie jest zirytowana. Uśmiecha się po swojemu i wychodzi. Powstrzymuję krzyk. Na sąsiednim łóżku jęczy jakaś kobieta. Przywieźli ją dziś rano i nie wiem, co jej dolega. Nawet mnie to nie obchodzi. Dreszcze się wzmagają. Mój czas się kończy.

Przy łóżku staje moja córka. Nie ma pojęcia, kim jest jej ojciec. Modliła się przy grobie Władka. Może nadal tam chodzi. Może nadal się modli.

– Dzień dobry, mam. – Całuje mnie w czoło i w jej ton wkrada się zaniepokojenie. – Jak się czujesz?

Znów mam gorączkę. Zegar tyka. Mój zegar.

– Dobrze. Usiądź. Muszę ci coś powiedzieć.

Zerkam na sąsiednie łóżko. Jęki umilkły, kobieta wygląda, jakby spała. Ma zamknięte oczy, jej pierś unosi się równomiernie. Chyba nie podśluchuje. Mimo to ściszam głos do szeptu.

– Kochanie, nie mam na imię Irena.

– Mam...

Już uważa, że zwariowałam.

– Poczekaj. Daj mi powiedzieć. Ja jestem Zosia i jestem twoją matką. – Mówię szybko i już głośniej, żeby słowa dotarły do Klary. Jakie znaczenie może mieć, że usłyszysz to chora na drugim łóżku? – Twój ojciec to Staszek. Stanisław Antolak. Nie zdążyliśmy wziąć formalnego ślubu.

– Mam, Zosia zagi...

– Proszę, słuchaj. Zająłam miejsce Ireny, mojej siostry, żeby było łatwiej. Nie mam czasu tłumaczyć. Basia jest córką Ireny i Władysława Barcickich.

Władysław został zabity...

– W powstaniu – przerywa mi córka. – Wiem, mamó, ale...

– Posłó...

Chcę opowiedzieć o piwnicy, ale nagle zaczynam kaszleć tak bardzo, że nie daję rady wykrztusić nawet jednego słowa. Atak nie przechodzi. Klara podaje mi szklankę wody, ale ręce opadają bezwładnie, płyn rozlewa się po pościeli. Córka próbuje mnie napoić, ale tylko się krztuszę.

– Mamó...

Kaszleł się uspokoił, ale nie potrafię zareagować. Nie umiem się poruszyć. Nigdy już nic nie powiem. Nigdy. Nie wykorzystałam czasu. Płuca palą. Wszystko boli.

– Mamó! Mamó! Poczekaj tu. – Zabawne, powinna wiedzieć, że nigdzie się nie wybieram. – Pójdę po kogoś.

Idzie, zapewne szuka lekarza. Nie czuję już bólu. Niczego nie czuję. Nie widzę szpitalnego pokoju ani świata za oknem.

Tunel, światło. Jest jak w książce, którą kiedyś podsunęła mi Basia. Kieruję się w stronę światła. Nie wiem, czy dojdę. Nie wiem, czy zostanę przyjęta.

SIERPIEŃ 2020

Nie położył się spać. Gdy usłyszał, że matka wraca do domu, pośpiesznie wsunął się pod kołdrę w ubraniu, nakrywając się po głowę. Zajrzała do niego, wycofała się na palcach, weszła na moment do pokoi dzieciaków, wzięła prysznic i się położyła. Taką przynajmniej miał nadzieję, bo nie dochodziły już żadne dźwięki. Odczekał kilkanaście minut i poszedł do łazienki.

Na wszelki wypadek nie jadł śniadania, otwierał drzwi najciszej jak potrafił, poruszał się niemal bezszelestnie, ale gdy miał już wychodzić, usłyszał głos matki:

– Rafał?

Westchnął i wszedł do jej pokoju.

– Cześć, mamó. Muszę lecieć. Robota.

– Wydawało mi się, że dzisiaj dopiero po południu.

– Jeden z ochroniarzy nie mógł przyjść i zadzwonili do mnie. Śpij dobrze, mamó.

Może chciała jeszcze coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie dał jej szansy. Zbiegał po schodach, jakby zamierzała go gonić.

Jego cel znajdował się poza Warszawą, ale podróż zajęła niewiele ponad pół godziny. Od stacji kolejowej dziesięciominutowy spacer przez las. W innych okolicznościach może Rafał czerpałby z niego przyjemność. Nie tutaj. Tutaj zawsze było tak samo.

Budynek wyglądał na przedwojenny dworek. Kto wie, może rzeczywiście mieszkała tu kiedyś szlachecka rodzina? Rafał nigdy nie zainteresował się historią tego obiektu. Kiedy był tu ostatnio? Trzy lata temu? Może jeszcze dawniej? Wszedł do środka. Prywatna klinika, na którą składała się cała rodzina. Mama, nawet z rentą pobieraną z ubezpieczenia ojca i wszystkimi dodatkowymi dyżurami, nie dałaby rady. Jej bliźniaczka dorzucała trochę,

ale większość pokrywały ciotka Ela i Klara. Teraz wiedział, że to nie tylko miłość. Nie tylko poczucie powinności wobec bliskiego człowieka. Zawiniły. Obie zawiniły. Czy z poczucia winy odwiedzały to miejsce regularnie? Nawet ciotka Ela, mieszkanka Gdyni, bywała tu raz w miesiącu.

Mama przychodziła codziennie. Dlatego tak bardzo wzbraniała się przed wyjazdem nad morze. Dobrze wiedział, ale udawał, że chodzi o pieniądze. Nigdy nie chodziło o pieniądze. Nie wyartykułował prawdziwego powodu. Ona też nie. Ta sprawa, na mocy niewypowiedzianej umowy, zawisła między nimi. Jakby oboje się bali, że gdy o niej wspomną, zasypie ich jak gruz, spod którego się nie wydobędą.

Załóżyl maskę i wszedł do środka. Z pociągu zadzwonił, więc się go spodziewali. Recepcjonistka powitała go szerokim uśmiechem. Chyba ta sama co ostatnio.

– Dzień dobry – odpowiedziała na jego niewyraźne powitanie. – Dawno pana u nas nie było.

Wtedy jeszcze nie mówiła mu „pan”. Skinął głową i podpisał się w odpowiedniej rubryce.

– Mogę iść do niego?

– Tak. Jest już po śniadaniu.

Śniadanie. Co za szumna nazwa żywienia dojelitowego. Rafał rozciągnął usta w grymasie mającym imitować uśmiech.

– Dziękuję.

Wszedł schodami. Wprawdzie ciało wydawało się cięższe niż zwykle i każdy krok kosztował wiele wysiłku, jednak bał się, że w ciasnej windzie w ogóle nie złapie oddechu. Szalona przejażdżka w spółdzielni wydawała się teraz dziecinną zabawą.

Zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka.

– Cześć, tato.

Leżący mężczyzna wyglądał dokładnie tak, jak Rafał go zapamiętał. Może nawet cera zrobiła się gładsza. Prawdopodobnie utył. Klinika

podobno dbała o rehabilitację pacjentów, ale ile kalorii można stracić przy biernych ćwiczeniach?

– Cześć – powtórzył.

Nic. Czego się spodziewał? Nigdy nie widział żadnej reakcji. Matka bredziła coś o zmianach w twarzy, o uśmiechu, o uścisku jego palców na dłoni. Dobrze, spróbuje jeszcze tego. Wyszorował ręce w łazience i spojrzał na swoje odbicie. Maską zasłaniała większość twarzy, ale oczy wydawały się niespokojne, może nawet chore. Czy ojciec by go rozpoznał? Z maską czy bez, Rafał wyglądał zupełnie inaczej niż w dniu wypadku. Stał się inną osobą. Wrócił do pokoju i postawił krzesło przy łóżku. Ujął rękę ojca w obie swoje. Wydawała się bezwładna.

– To ja, Rafał. Słyszysz mnie?

Oczywiście nie było odpowiedzi. Ręka w jego dłoniach pozostała nieruchoma.

– Dawno mnie tu nie było. To nie dlatego, że nie tęsknię za tobą. Tęsknię.

Głos mu zadrżał. Nikt nie słyszy. Może się nawet popłakać i nikt nie usłyszy. Hamowanie się nie miało sensu.

– Tęsknię – powtórzył. – Każdego dnia. Nawet jeśli wydaje mi się, że się z tym uporałem.

Oczy go paliły, w gardle stała gęsia skórka.

– I właśnie dlatego nie przychodzę. Bo tęsknię. Tęsknię za tobą. Ale ty... Nie wiem, ile z ciebie zostało tutaj.

Twarz miał mokrą. Płakał. Znowu.

– Kiedy jeszcze rozmawiałem o tym z mamą, za każdym razem mówiła, że tkwisz w tym ciele, że rozumiesz. Tak jest, tato?

Z ust ojca dobył się jakiś pomruk. Co działo się w mózgu tego człowieka? Czy w ogóle coś się działo?

– Nie wiem, o czym świadczy ten jęk. Czy reagujesz na moje słowa? Czytałem o tym i lekarze twierdzą, że jakieś tam dźwięki, zmiany

w mimice twarzy, uściski o niczym nie świadczą. Że to jakieś odruchy niezwiązane ze świadomością.

W tym momencie palce ojca zacisnęły się na jego dłoni. Pierwszy raz to poczuł.

– Inni mówią – ciągnął – że nie mamy pojęcia, czy osoby w śpiączce nie odbierają sygnałów z zewnątrz. Może tak, może tylko nie potrafią tego zakomunikować.

Uścisk się nie rozluźniał.

– Czuję, jak mnie ściskasz – powiedział Rafał cicho. – Po wypadku miałem do ciebie pretensje. I dzisiaj myślę, że pora o nich opowiedzieć.

Czy mu się wydawało, że brwi ojca się ściągnęły? Zazwyczaj matka widziała takie rzeczy. I co z tego, nawet jeśli to prawda? Musiał pamiętać, co pisano o stanach wegetatywnych i mimice. Nie robić sobie nadziei.

– Mówiłeś mi kiedyś, że zmęczenie jest przyczyną wypadków częstszą niż nietrzeźwość. I co? I nie spałeś całą noc, a potem pojechałeś w trasę. Do domu. Miałeś wrócić do domu. – Jeśli to miało dotrzeć do ojca, lepiej mówić wyraźnie. – Miałeś wrócić do domu! – Nie, nie o to chodziło. Nie o krzyk. – Miałeś wrócić do domu. – Tym razem powiedział to cicho, oddzielając wyrazy.

Palce ojca jeszcze silniej zacisnęły się na jego.

– Nigdy nie wróciłeś. I wydawało mi się, że nauczyłem się bez ciebie żyć. Nauczyłem się odrzucać myśli o tobie. Prawie nauczyłem się wierzyć, że nie żyjesz. Czasem nawet mówiłem ludziom, że nie żyjesz. Powiedziałem tak... powiedziałem tak dziewczynie, w której się zakochałem.

Chciałby, żeby ojciec otworzył oczy, uśmiechnął się, zażartował. Zakochałeś się? Serio? A pamiętasz, jak mówiłeś, że nie lubisz dziewczyn? Że Tośka w domu ci wystarczy? Tak mówił, nawet niedługo przed wypadkiem, chociaż wtedy to już nie było szczere. A mama? – pytał ojciec. To kobieta – odpowiadał Rafał, gdy był mały. Kobiety bywały do zniesienia. Ale kobiety zaczynały się od trzydziestki.

– Tak, zakochałem się. Jest kilka lat ode mnie starsza. Już po magisterce. Pracujemy razem. W czasie wakacji dorabiam jako ochroniarz.

I opowiedział ojcu historię ze spółdzielni.

– I tak dowiedzieliśmy się, że twoją babcią nie była kobieta, która się za nią podawała. Tamta wcale nie miała na imię Irena. To była Zosia, dziewczyna uznana za zaginioną. Zajęła miejsce twojej babci. I Klara ci o tym opowiedziała. Bo Klara była córką tamtej. Bo twoja mama i ona wcale nie były bliźniaczkami. Nie były nawet rodzonymi siostrami.

Rafał zdał sobie sprawę, że mówi chaotycznie i niespójnie. Jak ojciec miał podążać za jego słowami, nawet jeśli coś docierało do jego mózgu? W zasadzie może właśnie to rozumiał? Bo przecież, jeśli wierzyć Klarze, o tym myślał w ostatnich chwilach życia.

– I pomyślałeś, że twoja mama umarła przez to, tak? Dlatego tak bardzo się zdenerwowałeś? A Klara chciała oczyścić sumienie i dzwoniła do ciebie. Kurczę, tato...

Po twarzy ojca spływały dwie krople. Rafał dotknął ich palcami. Łzy. Reakcja automatyczna? Usuwanie jakichś szkodliwych czynników? Co za bzdura! Co za cholerna bzdura.

– Płaczesz. Bo twoja mama umarła przez to. Bo nie wiesz, co się stało z twoją babcią. Zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć. Wszystko, tato.

Składał obietnicę choremu w śpiączce. Obietnicę, którą trudno będzie spełnić. Bo skąd miał się dowiedzieć? Jak do tego dojść?

– Kocham cię, tato. Wróć. Proszę.

Łzy nie płynęły już po twarzy ojca. Palce w dłoniach syna zwiotczały. Żadnych zmian mimiki. Zero kontaktu.

– Będę musiał porozmawiać z Anetą. Wytlumaczyć jej wszystko. To takie trudne. Sam nie rozumiem.

Czy ojciec go słyszał? Teraz lub wcześniej?

– Przyjdę niedługo. Opowiem ci, jak mi się układa z Anetą. Jak ona to przyjęła. I... nie wiem, czy już teraz, ale powiem, co się stało z twoją babcią. Obiecuję.

Uwierzył, że się dowie.

SIERPIEŃ 2004

Nie potrafiła skupić się na słowach księdza, a nawet na własnej żałobie. Od czasu do czasu patrzyła na Basię. Po twarzy siostry łyzy ciekły nieprzerwanym strumieniem. Co matka mówiła? Choroba pomieszała jej w głowie. Nie jest Ireną, faktycznie! Jest Zosią. Tą, która zaginęła. Nie jest matką Basi. Jezu. Basia ma inną matkę, właśnie Irenę, z którą... co niby się stało? I dlaczego? A ona, Klara, nie jest córką dzielnego powstańca, tylko jakiegoś Stanisława. Stanisław przecież też był powstańcem, tylko nikt nie wiedział, czy zginął, czy żyje. Słyszała przecież te historie. To wszystko bełkot umierającej. Rojenia przedśmiertne. Zosiu, usłyszała głos chłopaka, który podobno mieszkał z mamą i jej siostrą. Wtedy bez szemrania przyjęła wyjaśnienie mamy, że mu się pomyliło. Dlaczego nagle teraz miałyby zmienić zdanie? Tylko dlatego, że matka tuż przed śmiercią zwariowała?

Pogrzeb się skończył. Klara zaprosiła zgromadzonych na konsolację. Basia wydawała się zbyt zdruzgotana, żeby powiedzieć cokolwiek. Na Klarę spadł więc również obowiązek wypowiedzenia kilku słów przy stole. Mówiła o trudnej młodości zmarłej, o powstaniu, o samotnym wychowywaniu dwóch córek. O miłości. Po twarzy Basi nadal ciekły łzy. Pozostali kiwali głowami z aprobatą. Roman Ołdakowski, wieloletni przyjaciel rodziny, wbił w mówiącą poważne, suche oczy. Zbyt poważne. Zbyt suche. Czuła ten wzrok, nawet gdy skończyła i usiadła. Kelnerzy podali supkę. Ujęła łyżkę i podniosła ją do ust, ale nie była w stanie nic połknąć. Mąż pogładził ją po ręce.

– Kochanie, jesteś taka dzielna. Jestem z ciebie dumny.

Wtuliła twarz w jego ramię i wreszcie się rozplakała.

– Pójdę zapalić – powiedziała po chwili.

Pokręcił z dezaprobatą głową, ale potem zapytał:

– Masz papierosy?

– Tak. Kupiłam wczoraj.

– Rzuciłaś rok temu.

– Wiem – powiedziała przepraszająco. – Tylko dzisiaj. Muszę.

Przez chwilę chciała jeszcze protestować, ale zamiast tego oznajmił:

– Pójdę z tobą.

– Nie. Chcę być sama. Zaraz wrócę. Kocham cię.

Wyszła na zewnątrz, ale przyszło jej do głowy, że ktoś może też chcieć zapalić, więc okrążyła budynek i stanęła z tyłu. Wyciągnęła papierosa i zaciągnęła się zachłannie. Zrobiło jej się słabo od nikotyny przyjmowanej na pusty żołądek, ale tak było dobrze. Jeszcze raz. I jeszcze. Gdy skończyła, ponownie sięgnęła po paczkę. Ktoś podał jej ogień. Odwróciła się gwałtownie.

– Nie chciałem cię wystraszyć – powiedział Ołdakowski.

– Nie wystraszyłeś, wujku. Ogólnie jestem rozstrojona.

– Ja też – przyznał.

Lubiła wujka Romana, ale teraz nie był jej potrzebny. Teraz po prostu chciała wypalić drugiego papierosa. W samotności. Opanowała irytację. Przyjaciel matki nie zasługiwał, żeby go przepędzać.

– Zawsze mówiła, że jesteś najlepszym przyjacielem.

Popatrzył na nią z wahaniem, zaciągnął się papierosem, wypuścił wolno dym, a potem nabrał powietrza w płuca.

– Posłuchaj – powiedział szybko. – Twoja matka nie miała na imię Irena. Ona...

– Przestań!

– Ona jest Zosią. A twój ojciec to Stanisław.

– Nie chcę...

– Basia jest córką Ireny. Irena...

– Nie chcę słuchać tych bzdur.

Energicznie zgasiła papierosa i skierowała się do restauracji.

– Posłuchaj – zawołał cicho. – Ona nie powinna leżeć w grobie jako Irena! Jedź do Bartników! Tam byłyście chrzczone.

Dogonił ją i mówił to samo. Stała i spjrzała mu prosto w twarz.

– Nie! Więcej do mnie nie podchodź. Uszanuj pamięć mojej matki.

– Ja...

– Nie tylko teraz. W ogóle do mnie nie podchodź.

Następnego dnia umówiła się z Basią w mieszkaniu matki. Przeglądały razem jej rzeczy. Gdy natrafiły na zegarek, który babcia podarowała dziadkowi na rocznicę ślubu, Klara się wstrząsnęła. Według słów umierającej nie jej babcia. Nie jej dziadek. Nie do niej należał zegarek.

– Weź go – powiedziała do siostry.

Basia przyglądała jej się niepewnie.

– Mama też mówiła, że mam go wziąć.

– Właśnie – ucięła Klara. – Miała rację. I jeszcze to – powiedziała, podając siostrze sygnet.

Ręce jej drżały. Żegnała w ten sposób rodzinę, którą uważała za swoją.

Basia nie oponowała.

Wieczorem Klara wypaliła ostatniego papierosa w życiu. Ołdakowski – wolała już tak go nazywać, nie wujek Romek, to wprowadzało zbyt intymny nastrój – kilka razy próbował z nią rozmawiać, ale zawsze powtarzała to samo. Odejdź. Nie chcę. Nieprawda. Sądziła, że się odczepił, a on wylądował w domu opieki.

Wiedziała, że matka nie zwariowała, a Ołdakowski mówił prawdę. Od początku wiedziała. Sama przed sobą udawała, że nie wierzy. Dlatego nigdy nie pojechała do Bartników. W końcu przestała udawać i okazało się to fatalne w skutkach.

SIERPIEŃ 2020

Rafał ją oszukał. Dlaczego więc to ona czuła się winna? Wierzyła we wszystko, co mówił, nawet nie przyszło jej do głowy, że prawda jest inna. Gdy ta prawda sama ją znalazła, chłopak, w którym Aneta się zakochała, otoczył się pancierzem, nie chciał mieć z nią nic wspólnego.

Drzwi pokoju się uchyliły.

– Dobrze się czujesz?

Spojrzała na matkę,

– Tak, tak – odpowiedziała w roztargnieniu. – Czemu pytasz?

– Mówiłaś wczoraj, że wychodzisz odwiedzić pradziadka i umówiłaś się na trzecią. To już za pięć minut. Odwołałaś to?

Aneta się podniosła. Wizyta u pradziadka zupełnie wyleciała jej z głowy.

– Nie. Już idę. – Mama przyglądała jej się z troską. – Dzięki, że przypomniałaś.

Zbiegała po schodach, gdy usłyszała:

– Uważaj na drodze.

– Okej!

Piotr spojrzał na żonę. Coś pichciła. Lubił przygotowywane przez nią posiłki. Lubiłby też jej towarzystwo, gdyby przez ostatnie piętnaście lat nie miał wrażenia, że trwa przy nim tylko dlatego, że kiedyś przysięgała. Chociaż nigdy tego nie powiedziała, zdawał sobie sprawę, że obwinia go o to, że jej ojciec jest w domu opieki. Pomijając fakt, że staruchowi nie było tam źle, propozycja, żeby go „oddać”, wyszła od niej. Piotr był gotów zacisnąć zęby i czekać na śmierć teścia. Nigdy by się w ten sposób nie wyraził, ale któż mógłby go winić za takie myśli? Okazało się, że i tak by się

nie doczekał. Zastanawiał się niejednokrotnie, co było gorsze: znoszenie agresji starego grzyba czy duszna atmosfera w domu po jego przeprowadzce? Teraz to i tak nie miało znaczenia. Teraz liczyła się tylko prawda i dotrzymanie przysięgi sprzed lat.

– Wychodzę – powiedział do żony. Skinęła głową. – Wrócę na obiad – dodał, chociaż nie pytała.

Podniosła na niego wzrok.

– O trzeciej.

Nie chciał tak wychodzić. Nie dzisiaj. Dzisiaj chciał wziąć ją w ramiona i pocałować jak za dawnych czasów. Nie mógł. Nie w sytuacji, gdy miał zamiar to zrobić. Gdy musiał to zrobić. Jak zazwyczaj musnął ustami jej policzek i mruknął:

– Na razie.

– Na razie – odpowiedziała.

Może mniej obojętnie niż zazwyczaj. Może coś wyczuła. Może zawahanie w jego tonie, gdy powiedział, że wróci na obiad.

Tylko raz tu był. Załatwiał wtedy miejsce dla teścia. Zapewne dyrektorka, z którą rozmawiał, już tu nie pracowała. Uśmiechnął się do młodej recepcjonistki, przedstawił. Podała numer pokoju i przypomniała o konieczności zachowania reżimu sanitarnego. Pokiwał poważnie głową, myśląc, że pandemia jest teraz najmniejszym z problemów Romana Ołdakowskiego.

Pod drzwiami pomacał w kieszeniach. Potrzebne rzeczy były na swoim miejscu. Wszedł bez pukania. Staruch siedział w wózku i wpatrywał się w okno.

– Co tam widzisz? – zapytał ostro Piotr.

Ołdakowski odwrócił się i wbił wzrok w zięcia. W jego oczach pojawiło się zagubienie, prawie dziecięce. W innej sytuacji Piotrowi mogłoby być go żal.

– Który jest teraz rok? – spytał teść.

– Ty mi powiedz.

Nastąpiła długa cisza. Mężczyzna na wózku przełknął ślinę i zamknął oczy. Gdy je otworzył, nie wyglądał już jak dziecko. Wyglądał na tego, kim był, na obłęsnego starucha.

– Kim jesteś? – zapytał łamiącym się głosem.

– A jak ci się wydaje?

– Ty nie żyjesz. Ciebie nie powinno tu być.

– Duchy, tak? – Piotr uśmiechnął się, wspominając opowieść Anety.

– Nie powinno cię tu być – powtórzył Ołdakowski pewniejszym tonem.

– Bo mnie zabiłeś?

Staruch podjechał do kalendarza wiszącego na ścianie. Studiował go przez chwilę, po czym odwrócił się do zięcia.

– Dwa tysiące dwudziesty. Ty jesteś Piotrek. Ożeniłeś się z moją córką, chociaż jesteś siostrzeńcem gnidy.

– Co za słownictwo w ustach dostojnego starca – powiedział Piotr drwiąco.

Spojrzał na drzwi. Nie było zasuw. Czego się spodziewać po drzwiach w domu opieki? Błyskawicznie znalazł się przy teściu i popchnął wózek do łazienki. Tu przynajmniej znajdowało się zamknięcie. Nic niewarte, ale dodało mu pewności. Przystawił nóż do gardła starucha.

– Nie wolno ci zacząć krzyczeć – powiedział cicho.

– Jesteś gnidą. Irena cię nie kocha.

– Irena? – powtórzył Piotr, dotykając ostrzem pomarszczonej szyi.

Gdy teść mieszkał z nimi i rzucał się na zięcia, to imię też się pojawiało. Wtedy Piotr nie zwracał uwagi. Nie rozumiał. Dopiero opowieść Anety o duchach rzuciła światło.

– Tak. Irena. Nie. Już zapomniałem. Który teraz rok?

– Nieważne. Opowiadaj, co się stało z Antkiem. Wszystko. Po kolei. Zabiłeś go, prawda?

– Tak! – W głosie starucha pojawiła się absurdalna duma.

Pysznił się, bo był mordercą. Piotr mocniej przycisnął nóż. Kilka kropel krwi spłynęło po ostrzu.

– Zabiję cię tak czy inaczej. Jeśli jednak nie zaczniesz gadać, będę obracał nóż w twoim brzuchu. Tak, żeby bolało. Zmobilizuj swój dziurawy mózg.

– Ty gnido!

Piotr przełożył nóż do brzucha teścia i nacisnął.

– To jest lekko i bezpiecznie. Zaraz zrobi się gorzej. Gadaj!

– Twój wuj też był gnidą – wychrypiał staruch.

– Gadaj, jak go zabiłeś!

– Z pistoletu – zaśmiał się Ołdakowski.

– Twojego wuja ktoś zabił.

Kiedy powiedziała tak pierwszy raz? Czy tuż po zaginięciu jej brata? Mówiła to tyle razy, że chronologia się zagubiła.

– Nie, mamie – odpowiadał płaczliwie mały Piotruś. – Wujek się zgubił.

– Mój brat się nie gubił. Gdyby żył, nie zostawiłby nas samych.

Początkowo wybuchał płaczem, więc brała go na ręce i pocieszała. Każda taka rozmowa kończyła się jednak w identyczny sposób.

– Musimy dowiedzieć się, kto go zabił. Musimy go pomścić.

Najpierw używała liczby mnogiej. Gdy Piotr skończył dziesięć lat, usiadła naprzeciw.

– Jesteś już prawie dorosły.

– Tak! – Aż podskoczył z radości.

– Jesteś ostatnim mężczyzną w naszej rodzinie. Przysięgnij, że pomścisz śmierć mojego brata.

– Przysięgam – powiedział poważnie.

– Połóż rękę na Biblii. – Wskazała na stół.

Zawahał się. To robiło się zbyt uroczyste. Ten dzień miał być dla niego. Prezenty i zabawy. Nie przysięgi na Biblię.

– Połóż – powtórzyła.

Ociągając się, zrobił to.

– Powtarzaj za mną. – Skinął głową, chociaż serce biło ciężko. – Przysięgam na Boga i na własne życie, że pomszczę śmierć mojego wuja.

MARZEC 1946

Zosia

– Nie możesz za niego wyjść – powtarza Staszek i przenosi wzrok na Antka. – To on zabił Władka.

– Co ty wygadujesz, człowieku?!

W głosie narzeczonego Ireny brzmi oburzenie. Święte oburzenie. Fałszywe. Skąd mogę wiedzieć, co jest prawdą, co fałszem?

– Zabił go – powtarza Staszek, patrząc na Irenę.

Moja siostra odsuwa się od Antka, który daje krok w jej kierunku.

– Kochanie, chyba mu nie wierzysz?

Irena obrzuca go lodowatym spojrzeniem. Mam wrażenie, że oprócz szoku malującego się na jej twarzy widzę również ulgę. Przez głowę przemyka mi absurdalna myśl, że woli wierzyć mojemu narzeczonemu, a nie własnemu.

– Widziałem wszystko.

– Ty kłam...

– Opowiedz – przerywa Romek.

– Wierzycie bandycie? Naprawdę wierzycie temu...

– Opowiedz – mówi Irena.

– To było podczas jednej z ostatnich walk o Stare Miasto. Zostaliśmy rozdzieleni. Widziałem, że Władek został trafiony i upadł. Czołgałem się do niego. Ten... człowiek był pierwszy. Władek wyciągnął rękę, a ten... – Staszek wskazuje na Antka z obrzydzeniem – ten... ten... – mój narzeczoney spogląda na mnie, zerka na Irenę i rezygnuje z epitetu, bo nie chce używać wulgarnych słów przy kobietach – rozejrzał się na boki i wystrzelił prosto w głowę Władka.

Chociaż nie mówi, jak to wyglądało, widzę rozpryskujący się mózg niedoszęłego szwagra. Jestem tam, wśród rannych i zabitych, słyszę jęki i świszczące kule. Czuję ból, smród i rozpacz umierających. Strach i tęsknotę. Tylko że inni giną z ręki wroga, a Władek jest zamordowany przez człowieka, którego uważał za przyjaciela. On się ruszał. Władek się ruszał. To słowa Keniga. Brak mi tchu. Czy to możliwe, że odnosiły się do zakopywania mojego szwagra? Czy mógł być świadkiem chowania do ziemi mężczyzny, w którym tliło się jeszcze życie? Czy Władek próbował walczyć, ale kolejne grudy ziemi sypały mu się do oczu, nosa i ust, a ciężar uniemożliwiał wykonanie ruchu?

– To nieprawda! – krzyczy Antek i w pewnym sensie jestem wdzięczna za ten wrzask, bo przerywa koszmarną wizję. – Jak śmiesz tak łągać?! – Prawie pękają mi bębenki w uszach. Opieram się o ścianę. Kenig nie mógł tego widzieć. Mówił o czymś innym. – Nie wierz mu. – Antek wreszcie zniża głos i zwraca się błagalnym tonem do Ireny.

W jej oczach jednak jest odraza, jakiej wcześniej nie widziałam. Nigdy nie patrzyła tak na karalucha czy na człowieka. Nawet na tamtego Sowietę w stodole. Nigdy. Jednocześnie nadal mam wrażenie, że oddycha z ulgą, jakby pozbyła się ciężaru zbyt wielkiego na barki jednej osoby. Przychodzi mi do głowy, że dźwigała ten ciężar przeze mnie.

– Zabił go – powtarza Staszek.

Dlaczego Antek zabił? Z zazdrości? Bo Władek miał to, czego on nie mógł dostać? Irenę? Przed wojną też ładny dom i rodziców z pieniędzmi. U Antka ponoć się nie przelewało.

– Kłam...

– Zabiłeś. – Tym razem mój narzeczony zwraca się do Antka. – Chciałem dojść do ciebie, unieruchomić i oddać władzom powstańczym, ale wtedy dostałem kulę i straciłem przytomność. Wcześniej jednak widziałem, że grzebałeś...

Wtedy rozlega się strzał. Staszek osuwa się na podłogę. Nie patrzyłam na mordercę, nie powstrzymałam go. Z dzikim krzykiem rzucam się teraz na Antka, ale on kieruje broń w moją stronę. Zanim strzeli, Irena

wyskakuje przede mną, osłania własnym ciałem. Huk wstrząsa pomieszczeniem, a moja siostra upada.

– Boże! Nie! Nie! Nie! – To krzyk mordercy, a on sam zgina się w pół.

Znów biegnę w jego kierunku, jakbym wierzyła, że tak zostanie, a jeśli nawet się wyprostuje i strzeli, kula mnie nie dosięgnie i uda mi się rozorać jego twarz, wydłubać oczy. Wszystko dzieje się w ułamku sekundy. Podnosi się, celuje do mnie.

– Ty skurwielu! – Pełne wściekłości słowa padają z drugiej strony piwnicznego pomieszczenia, a potem znowu strzał i pistolet mordercy wypada z jego dłoni, a on sam przez chwilę stoi jakby zdumiony tym, co się stało, a potem całym ciężarem opada na ziemię.

Romek staje nad nim i strzela jeszcze raz. I kolejny. I chociaż nie ma wątpliwości, że łajdak nie żyje, podnoszę pistolet z podłogi i oddaję strzał w twarz człowieka, za którego moja siostra miała wyjść po to, żebym mogła zacząć nowe życie z ukochanym. A teraz ani ona, ani mój ukochany nie żyją. A może żyją. Upuszczam broń i biegnę do Staszka, próbuję usłyszeć oddech, ale jego oczy patrzą na mnie całkowicie nieruchome.

– Nie! – teraz ja krzyczę. Poza tym w piwnicy panuje całkowita cisza.

Na czworakach przechodzę do Ireny. Jej sukienka jest przesiąknięta krwią.

– Irena – szepczę i ujmuję jej rękę.

Twarz ma spokojną i mam wrażenie, że się uśmiecha. Szukam pulsu, nie znajduję.

– Nie! Nie! Nie! Nie!

Chyba nigdy nie przestanę krzyczeć. Nie chcę. Nie mogę. Nie umiem. Romek siada obok i otacza mnie ramionami. Nie chcę go. Szarpię się, wrywam.

– Cicho. Dasz radę. Cicho. Dasz radę – powtarza zupełnie pozbawione sensu słowa.

Udaje mi się wydostać z jego objęć i okładam go pięściami.

– Nie! Nie! Nie!

Nie chcę dawać rady. Chcę umrzeć. Tu i teraz. Zostać z ojcem mojej córki i z siostrą, która oddała za mnie życie. Milknę i czołgam się do broni. Podnoszę pistolet, ale w tym samym momencie Romek wyrywa mi go z ręki. Mój krzyk przechodzi w nieartykułowany wrzask. Usta mężczyzny, który nie pozwala mi umrzeć, poruszają się, ale nie słyszę, co mówi. To jest nieważne. Nie chcę żyć. Próbuję sięgnąć broni, ale Romek odrzuca ją daleko do tyłu i chwyta mnie za nadgarstki. Pluję mu w twarz.

– Dzieci! – krzyczy. – Dzieci czekają!

Nieruchomieję. Zdaję sobie sprawę, że Romek mówił cały czas to samo. Dzieci. Dzieci czekają. Teraz mają tylko mnie. Moja córka i córka Ireny. Teraz tylko ja jestem matką.

– Tak – szepczę. – Nie zabiję się – dodaję głośniejsze.

Chcę się podnieść, ale siły mnie opuściły. Jakbym spaliła się w niedawnym krzyku.

– Pomogę ci – mówi Romek gorączkowo. – Dasz radę.

Znów zamyka mnie w uścisku. Ból tłucze się we mnie i wiem, że nigdy się nie uspokoim.

– Pomogę ci – powtarza Romek. – Dasz radę.

Może dam. Może nauczę się żyć z rozerwanym sercem i igłami w mózgu. Na razie daję radę wstać. Odpycham Romka i klękam przy ukochanym. Zamykam jego powieki i całuję w usta. Już robią się chłodne. Położę się przy nim i zasnę na zawsze. To trochę co innego niż wpakowanie sobie kulki w głowę. Ładniejsze. Spokojniejsze. Bardziej romantyczne. Wyciągam się na twardej podłodze i obejmuję ojca mojego dziecka. Ojca mojego dziecka! Wybacz, najdroższy. Całuję go jeszcze raz i znów się podnoszę. Idę do Ireny i gładzę ją po twarzy. Umarła za mnie. Wybrała łatwiejszy los. Kocham cię, siostrzyczko. Twoja córka będzie dla mnie jak własna. Patrzę na jej ręce. Nie ma obrączki. Na lewej dłoni połyskuje brylant pierścionka zaręczynowego. Przez chwilę się mocuję.

– Zdejmij go! – mówię do Romka. – Ona nie może mieć tego ani chwili dłużej.

Romek w jednej chwili zsuwa pierścionek i mi podaje. Chowam go do kieszeni.

– Musimy iść – ponagla Romek. – Zaraz będzie świtać. Przyjdzie sprzątaczką.

Jak mogę stąd wyjść? Jak mogę ich zostawić?

– A co z nimi?

– Zajmę się tym – obiecuje. – Będzie dobrze.

Rzucam się na niego, znów walę pięściami. Nie próbuje się bronić.

– Nigdy nie mów, że będzie dobrze! Nigdy!

Gdy opadam z sił, Romek powtarza:

– Musimy iść. Mamy mało czasu. Trzeba odebrać dziewczynki.

Nie wiem, jaki ma plan, ale daję się wyprowadzić. Gdy jesteśmy na zewnątrz, coś sobie przypominam.

– Musimy włożyć jej obrączkę.

Kiwa głową

– Wrócę i zrobię to.

– Chodźmy nad Wisłę – mówię, szcękając zębami.

– Mamy mało czasu – próbuje oponować.

– Nie! Chcę wyrzucić ten pierścionek.

– Możesz go sprzedać.

– Nie! Nigdy!

Idziemy i rzucam pierścionek jak najdalej w ciemną toń rzeki.

– Teraz naprawdę musimy już iść. – Romek ciągnie mnie za rękę.

Po drodze tłumaczy mi co i jak. Nie umiem się przeciwstawić. Robię dokładnie to, co mi każe.

Wyszli. Nie mam pojęcia, kiedy to było. Wczoraj, a może sto lat temu? Wiem tylko, że Romek wrócił jeszcze tej samej nocy. Włożył ślubną obrączkę na mój palec, a potem zgarnął nasze ciała do maleńkiego

pomieszczenia i zamknął na klucz. Mnie ze Staszkiem i bydlakiem, którego nazywałam narzeczonym. Nie wiem, co się stało z nimi. Mam nadzieję, że morderca mojego męża smaży się w piekle, a Staszкови po prostu udało się opuścić to miejsce. Te rozpadające się ciała tutaj się nie liczą. Moje też nie. Oprócz tego, że czuję smród, który przeszkadza mi bardziej niż fetor w piwnicy mieszkania rodziców. Tam się przyzwyczałam. Tutaj nie. Nigdy się nie przyzwyczaję. Tęsknię. Boże. Tęsknię.

SIERPIEŃ/WRZESIEŃ 2020

Znów zapomniał, który jest rok. Zapomniał, gdzie jest, z kim jest. Nie czuł noża przyłożonego do brzucha. Opowiadał nie dlatego, że bał się bólu. Opowiadał, bo dawno już nie widział wszystkiego tak jasno. Bo kiedyś musiał to opowiedzieć i uporządkować. Bo to była jedyna szansa.

– Zosia wzięła dziewczynki i zaprowadziliśmy je do mojej matki.

– Gównu mnie obchodzi Zosia! – Ktoś mu przerwał, ale Romek nawet nie wiedział kto.

– Później poszedłem tam i posprzątałem. Tej nocy nie zacząłem jeszcze murować.

– To spółdzielnia? Który numer tej piwnicy?

Tyle pytań. Wytrącały go z opowieści. Trzeba jednak na nie odpowiedzieć. Trzeba zapewnić wszystkim prawdziwy chrześcijański pogrzeb.

– Cztery. Wynająłem ludzi, sam nie dałbym rady. Pracowali dla mnie nocami, ale pilnowałem ich cały czas. Żaden nie mógł tam zajrzeć. Żaden nie mógł wie...

Ostry ból w brzuchu przerwał mu w pół słowa. Po chwili jednak ustał i zastąpiły go ciepło i spokój. Odchodzę, pomyślał.

– Co ty tu robisz, dziadku? – Czyjś głos przedzierał się przez gęstą mgłę.

To Aneta. Prawnuczka znajdowała się po stronie, którą opuszczał. Nie zdąży powiedzieć jej „do widzenia”. Szkoda. Wielka szkoda.

– O Boże! Dziadku? Dziadku? Dziadku!

Chyba go szukała. Chciał odpowiedzieć, ale nie dał rady.

Rzucił nóż na podłogę przy wyjściu z łazienki. Zanim zdążył opuścić pokój, drzwi zaczęły się otwierać. Aneta się uśmiechnęła.

– Co ty tu robisz, dziadku?

Odepchnął ją i wybiegł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Pokonywał schody po trzy stopnie, jakby znów miał dwadzieścia lat. Recepcjonistka chyba usiłowała powiedzieć „do widzenia” i w jakiś sposób zrobiło mu się jej żal.

Dopał do samochodu i ruszył z piskiem opon. Serce tłukło się w piersi jak zwierzę schwyte w pułapkę, oddech się rwał. Piotr uśmiechnął się krzywo. Dwudziestka jednak minęła jakiś czas temu. Zmniejszył prędkość, jakby wolniejsza jazda mogła uspokoić reakcje ciała. Przynajmniej uniknie zatrzymania przez gorliwego policjanta.

Matka kazała mu odnawiać przyrzeczenie, dopóki żyła. Dwa razy w roku: w rocznicę zaginięcia brata i w dzień urodzin syna. Nawet gdy nie wstawiała już z łóżka. Znacznie częściej powtarzała, że Antoniego ktoś zabił. Wściekała się, gdy syn podawał to w wątpliwość. Miała rację. Już, mamó. Już. Zrobiłem to. Prawie czuł, jak głaaskała go po głowie.

Zaparkował, opłacił postój. Założył maseczkę przed wejściem do budynku. Ochroniarz był tylko jeden, chociaż Aneta wspominała, że dyżurują dwójkami. Ktoś ucinął sobie z nim pogawędkę i mężczyzna z młotem wyburzeniowym kierujący się do piwnicy nie zwrócił niczyjej uwagi. Może zresztą uznali, że będzie wykonywał prace remontowe.

Zatrzymał się przed pomieszczeniem. Zamek jak zamek. Gdy Piotr miał może piętnaście, może szesnaście lat, a matka zatrzasnęła drzwi, gdy wszystkie klucze były w środku, miły sąsiad ślusarz otworzył mieszkanie za darmo i nauczył wpatzonego w niego nastolatka, jak w takich sytuacjach postępować. Podarował mu dwa wytrychy, jak powiedział, dość uniwersalne, i chociaż Piotr nigdy z nich nie korzystał, trzymał je na wszelki wypadek. Taki jak ten. Mocował się przez chwilę, po czym popchnął odrapane drzwi. Wymacał włącznik i pomieszczenie zalało zimne światło. Przypomniał sobie opowieść Anety. Regał z segregatorami rzeczywiście stał pod lewą ścianą. Przełożył dokumenty na podłogę, po czym podsunął mebel pod drzwi. Segregatory wrzucił z powrotem. Lepiej

żeby regał był ciężki. Trudno to nazwać zabarykadowaniem się, ale opóźni reakcję ochrony. Jeśli w ogóle ktoś zdecyduje się do niego zejść. Teraz mógł przystąpić do prawdziwej roboty. Wiedział, że do wyburzania trzeba zabrać się od góry, więc podstawił krzesło. Lepiej, żeby strop nie runął. Piotr wziął pierwszy zamach. Młot był ciężki, ale kilka kawałków tynku odpadło. Kolejny zamach. Już lepiej. Ręce bolały, ale Piotr wpatrywał się w ścianę i po chwili zobojętniał na doznania fizyczne. Nikt nie wchodził, nikt nie przeszkadzał. Może zostawią go w spokoju do końca. Tynk odpadał, drobne kawałki sypały mu się w oczy. Profesjonalista zabrałby gogle, Piotr zapomniał. Ostatni remont robił osobiście chyba pięćdziesiąt lat temu. Ktoś zaczął dobijać się do drzwi. Trzeba przyspieszyć. Jeszcze tylko trochę. Piotr niejasno zdał sobie sprawę, że pomieszczenie zostało otwarte, ale regał nadal blokuje dostęp.

– Halo! Proszę przestać i wyjść stamtąd!

Nie zawracał sobie głowy odpowiedzią. Osoba po drugiej stronie zaczęła pchać regał, który po chwili runął.

– Co, do jasnej cholery, pan tu robi?

Piotr nie miał ochoty przerywać pracy, ale się odwrócił. Szkoda było energii na tego typu stąpającego po starych dokumentach, ale odpowiedział uprzejmie:

– Wyburzam ścianę. Proszę mi nie przeszkadzać, bo mogę zrobić panu krzywdę.

– Przestań, człowieku!

Ochroniarz, czy ktokolwiek to był, zbliżał się.

– Powiedziałem, nie przeszkadzać! Mogę wypróbować ten młot na tobie.

Mężczyzna się cofnął i wybiegł. Teraz pewnie zadzwoni na policję. Czasu było coraz mniej, ale odpadały coraz grubsze fragmenty muru. Zdąży. Musi zdążyć. Kolejny kawał ściany odpadł i ukazał drzwi. Piotr zszedł z krzesła i nacisnął na klamkę. Drzwi nie drgnęły. Okej. Na to akurat był przygotowany. Zamek zareagował szybciej niż ten przy drzwiach głównych.

Pomieszczenie było może dwa na trzy metry. Ciała, a raczej to, co z nich zostało, ułożone jedno przy drugim. Trzy pary pustych oczodołów zdawały się wpatrywać w Piotra. Na szyi jednego z nich połyskiwał złoty krzyżyk. Jakieś zamglone wspomnienie usiłowało przebić się do świadomości. Wuj nosił taki krzyżyk i pozwalał siostrzeńcowi się nim bawić. Może to wcale nie było wspomnienie, tylko projekcja rzeczywistości. Wbrew sobie, napędzany koszmarną ciekawością, Piotr ujął to, co kiedyś było ręką. Jego wuja? Kości rozsypały mu się w dłoniach. Usiadł i patrzył. Teraz już policja mogła przyjechać. Kroki na schodach usłyszał jednak dopiero po jakiejś półgodzinie.

– W tę stronę.

Prowadził ich ten sam mężczyzna, który wparował wcześniej do piwnicy. Piotr siedział nieruchomo.

– Ja pierdolę.

– O kurwa.

Dwa głosy splotły się ze sobą, a potem nastąpiła cisza. Piotr powoli się odwrócił. Za nim stał ochroniarz – to chyba ochroniarz? – i policjant. Było jeszcze dwóch, ale się nie zmieścili, zatrzymali się z pół metra za tamtymi.

– Chyba musi mnie pan aresztować, panie władzo – powiedział Piotr, wyciągając złączone dłonie do policjanta. – Przed chwilą zabiłem człowieka. Mojego teścia.

Aneta siedziała w karetce, trzymając pradziadka za rękę. Ratownicy pozwolili jej z nim jechać. Miała oczywiście wysiąść przed szpitalem i nie wolno jej było wejść na oddział. Tak, tak, powtarzała. Powiedzieli, że po tym, jak zatamowała krwawienie i wykonała resuscytację, stary człowiek ma szansę.

– Niewielką, bo wiek robi swoje – ostrzegął ją młodszy, a starszy kiwał głową.

– Tak, tak – powiedziała ponownie.

Była tu więc teraz, ścisnęła palce starego człowieka i słuchała. Zaczął jeszcze przed przyjazdem karetki. Próbowano go powstrzymać, ale tylko machnął ręką.

– Muszę dokończyć. Tamten... mój zięć nie usłyszał wszystkiego. Nie zrozumiał wszystkiego. I pewnie nie wszystko powtórzy.

Mówił zadziwiająco wyraźnie. Zadziwiająco logicznie. Zadziwiająco zwięźle. O śmierciach w piwnicy. O murowaniu. O tym, że poradził Zosi, aby podawała się za Irenę. Tak było łatwiej ze względu na zasilek i ludzkie języki. Była ledwie żywa i podatna na manipulację.

– Wtedy myślałem, że tak jest najlepiej, a potem nie daliśmy rady tego zmienić. Może byśmy dali...

Znów machnął ręką, jakby nie miał czasu zagłębiać się w szczegóły. Istotne, ale nie mógł wyjaśnić czegoś, czego sam nie do końca rozumiał. Szczególnie teraz. Tuż przed śmiercią. Zbyt wiele do ujawnienia. Zbyt mało minut.

– Intrygowało mnie to, co mówił Staszek. Że skurwysyn grzebał. Zastanawiałem się, czy coś wygrzebał. Wyjąłem więc z kieszeni bydlaka klucz i poszedłem do jego mieszkania. Dzielił je z jakąś rodziną. Mówił nam o tym. Poczekalem, aż mężczyzna wyjdzie do pracy, a kobieta z dzieckiem na spacer. To pewnie źle?

Chciała odpowiedzieć, że nie, ale zanim zdążyła otworzyć usta, kontynuował.

– Znalazłem. Wcale nie tak głęboko. W szufladzie, pod jakimiś papierami. Męski zegarek. Omega. Na odwrocie było wygrawerowane: „Dla Stefana od zawsze kochającej Tereski”. I data. 20 września 1935. Niby nic. Ale ja wiedziałem, że Stefan i Teresa to imiona rodziców Władka.

Zaczął oddychać szybciej, płycej, bardziej chrapliwie.

– Dziadku, może...

– Nie wiem, co łajdak miał zamiar zrobić z tym zegarkiem. Co robił. Myślę, że traktował go jak łup. Jak Irenę. Zabił i miał. Był właścicielem.

– Boże.

Aneta wstrząsnęła się, może na skutek słuchanej historii, a może na dźwięk własnego głosu, który wydał jej się obcy.

– Ten zegarek...

– Musi już pani wysiąść.

Ratownicy wynosili pradziadka z karetki. Coś mówił, jednak przestała rozumieć. Jego głos zrobił się chrapliwy, przerywany przez rżenie.

– Będzie dobrze! Do zobaczenia, dziadku!

– Dałem... Zosi, ale nie wiem, co potem...

Szła obok noszy, chociaż ratownicy ją odganiali.

– Ja wiem, dziadku. Rafał ma ten zegarek. Nie zawsze go nosi.

– Rafał? – Jego głos robił się słaby.

– Mój chłopak. Wnuk Basi. Prawnuk Ireny.

– Rafał...

Zamknął oczy i wydawało się, że stracił przytomność.

– Nie może pani dalej iść! Jest pandemia.

Zatrzymała się, patrząc za oddalającymi się ratownikami.

– To dobrze!

Głos donośny i wyraźny dotarł spod wejścia do szpitala i zaległa cisza.

– Musi pani opuścić teren.

Spojrzała na ochroniarza i skinęła głową.

Rafał. Rodzina. Dobrze. Mój chłopak.

Usiadła na pierwszej ławce i płakała tak długo, aż zabrakło jej łez. Wyciągnęła potem komórkę z kieszeni i wybrała numer. Z bijącym sercem słuchała kolejnych sygnałów.

Usiadł na pniu i włączył telefon. Odszukał kontakt do Anety. Chciał jej tyle powiedzieć, ale nie miał pojęcia, od czego zacząć. Położył więc aparat na ziemi i siedział, ponownie przeżywając spotkanie z ojcem. Ojciec. Tata.

Może została w nim dusza. Świadomość. Może. Rafał nie potrafił przyjąć tego bezwarunkowo, tak jak przyjmowała matka. Bo chyba tak podchodziła do stanu męża? Rafał nigdy nie zapytał. Z nią też miał tyle do wyjaśnienia. Jego relacje z ludźmi ślizgały się po powierzchni. Ze sobą też. Wydawało mu się, że dojrzał, ale to wszystko złudzenia. Czy teraz się zmieni? Nie wiedział. Bał się. Był gotowy wykonać pierwszy krok. Nie miał pojęcia, jak długo siedział, gdy telefon zaczął dzwonić. Aneta.

– Cześć, dziewczyno o pięknym imieniu.

– Rafał... Rafał...

Z trudem łapała oddech.

– Płaczesz – powiedział cicho. – Aneta...

– Tyle się stało. Tak się bałam, że... że nadal nie będziesz ze mną rozmawiał. Tak bardzo.

Po raz pierwszy ta pełna życia, pewna siebie dziewczyna brzmiała, jakby była w rozsypce. Całkowicie bezbronna.

– Przepraszam.

– Nie. Nie. Dziadek... Pradziadek...

Zamilkła, jakby zbierała siły.

– Coś się stało?

– Tak. Tak strasznie dużo. Przyjedź. Proszę. Nie dam rady... teraz...

Łkania zagłuszyły jej słowa. Prowadzić. Chyba powiedziała „prowadzić”.

– Posłuchaj. Jestem poza Warszawą, ale niedaleko. Będę za jakieś... – zerknął na zegarek – czterdzieści minut.

– Dobrze. Jaki dworzec? Wyjdę po ciebie.

– Powiśle?

– Dobrze – powtórzyła.

Bał się o nią.

Stała na peronie. Tak śliczna jak zawsze, ale smutniejsza. Roztrzęsiona. Przyciągnął ją do siebie i trzymał w ramionach. Sądził, że robi to dla

uspokojenia jej, ale to jego niepokój się uciszył. Uwolniła się delikatnie i pociągnęła go za rękę.

– Tyle się stało – powtórzyła swoje słowa z rozmowy telefonicznej.

Dał się prowadzić, dał się posadzić na ławce w cieniu i spojrzał w jej oczy. Były jasnoniebieskie.

– Opowiadaj – poprosił.

Wysłuchał w skupieniu. Wszystko wskoczyło na odpowiednie miejsce. Prawie wszystko.

– Przepraszam – powiedział, gdy skończyła. – Przepraszam, że nie powiedziałem ci prawdy o tacie.

Pokręciła głową.

– To jest... – Urwała. – Tym razem nie przeprowadzę ci psychoterapii za darmo.

Roześmieli się i nagle zrobiło się normalnie.

– Wracam od niego. Ostatnio byłem tam ponad trzy lata temu.

Roman Ołdakowski przeżył atak. Został wypisany ze szpitala po pięciu dniach. Córka wzięła go do siebie. Odmawiała jakiegokolwiek kontaktu z mężem. Tylko Aneta i jej matka odwiedzały Piotra, ale chociaż nie protestował przeciwko ich wizytom, nie okazywał żadnych uczuć, na pytania nie reagował nawet wzruszeniem ramion.

Na msze żałobne za Irenę i za Staszka przybyło nadszpodziewanie wiele osób, jakby wieści o wydarzeniach w piwnicy rozeszły się w jakiś nadprzyrodzony sposób. Nie ma nic nadprzyrodzonego w mediach społecznościowych, myślała Aneta, patrząc na zgromadzonych. Świadczenie odkrycia ciała: policjanci i pracownicy obecni w budynku z pewnością nie zachowali milczenia. Sensacja przyciąga.

Prawdziwe nazwisko Zosi pojawiło się na nagrobku. Tę sprawę udało się zachować we względnej tajemnicy i tylko najbliżsi uczestniczyli w czymś, co Klara nazwała powtórna ceremonią pogrzebową. Były dyrektor spółdzielni też tam był. Machnął ręką na odniesione obrażenia i powiedział po prostu: „Chcę iść”. Przy grobie Zosi wstał z wózka i płakał. Klara wzięła go pod rękę. Płakali razem.

Antek też został pochowany. Aneta odnalazła jakichś dalekich krewnych, ale wymigali się pilnymi sprawami. Nikt nie palił się do organizacji. Piotr wykazał jedyny raz energię i poprosił Anetę, żeby przeznaczyła na pogrzeb jego emeryturę. Babcia tylko wzruszyła ramionami. Aneta przygotowała wszystko z Rafałem. Piotr dostał przepustkę. Na pogrzebie było pięć osób: Piotr, Rafał, Aneta i jakieś starsze małżeństwo, z którym Piotr zamienił kilka słów.

– Jak było? – zapytał potem Anetę pradziadek.

Opowiedziała. Pradziadek się uśmiechał.

Przed pogrzebem Ireny Rafał zwrócił się do Anety:

– Obiecałem mu, że cię przedstawię, ale...

– Spoko. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Naprawdę nie wiemy, jak działa umysł w śpiączce. Chciałabym go zobaczyć – powiedziała cicho. – W jakimkolwiek jest stanie.

– Pójdziemy po pogrzebie? – zapytał. – Zdamy mu relację.

– A nie uważasz, że tuż po pogrzebie powinieneś pójść tam sam? Albo z mamą? To była jego prawdziwa babcia. Ja nie jestem z rodziny.

– Chciałbym, żebyś właśnie wtedy poszła ze mną. Proszę.

Skinęła głową bez uśmiechu.

– Dobrze.

Rafał stał nad łóżkiem ojca, zbierając siły. Podniósł głowę i zerknął na Anetę. Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Cześć, tato – zwrócił się do ojca. – To jest Aneta, dziewczyna, o której ci opowiadałem.

– Bardzo mi miło pana poznać – powiedziała Aneta i ujęła nieruchomą dłoń. – Rafał to rewelacyjny chłopak.

Usiadła.

– Nie wiem, ile panu powiedział...

Zawiesiła głos, jakby oczekiwała na odpowiedź mężczyzny na łóżku.

– Mówiłem tacie sporo – odezwał się Rafał po chwili ciszy – ale dość chaotycznie.

– Dobrze. To ja opowiem jeszcze raz. W każdym razie wszystko się dobrze skończyło.

I opowiedziała. W sobie tylko właściwy sposób. Gdyby ojciec cokolwiek rozumiał... Nie było sensu się zastanawiać. Rafał pogrążył się w opowieści, wyobrażając sobie, że jest własnym ojcem. Słuchał za niego. Bez strachu, bo przecież zaznaczyła, że wszystko skończyło się dobrze.

– Wracamy z jej pogrzebu. Bardzo chciałam pana poznać, ale nie byłam pewna, czy to odpowiednia chwila. To bardzo intymny moment. Rodzinny. Rafał powiedział, że teraz będzie dobrze.

– Jesteś częścią tej historii – wtrącił Rafał.

– Tak – zgodziła się. – Wszyscy tutaj jesteśmy jej częścią.

Rafał spojrzał na nieruchomą twarz ojca.

– Mówiłem ci o Anecie. Teraz ją znasz. Myślisz to samo co ja?

Znów chwila ciszy, jakby czekali na odpowiedź. Rafał przeniósł wzrok na Anetę. Jej twarz pozostawała jasna, oczy błękitne.

– A co mówiłeś? – spytała dziewczyna.

– O, nie powiem. – Starał się, żeby jego ton brzmiał żartobliwie.

Nagle coś się zmieniło. Źrenicy Anety się rozszerzyły, jej tęczęwki zmieniły kolor.

– On... twój tata... on patrzy na mnie.

Znów spojrział na ojca. Oczy utkwione w twarzy Anety wydawały się przytomne. Usta drgały.

– To odruchy – powiedział. – Tak czytałem.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową. – To nie odruchy. Daj mu... Daj... powie...

Zamilkła. Ojciec rzeczywiście wyglądał, jakby z całych sił próbował. Początkowo z jego ust zaczęły wydobywać się nieartykułowane dźwięki, ale w pewnym momencie przybrały kształt wyrazów.

– Dzięku... ku... dziękuję... wam. Teraz...

– Tato...

Aneta wstała.

– Idę po lekarza.

Wybiegła z pokoju.

– Rafi...

Tak mówił do syna przed wypadkiem. Serce Rafała waliło jak młotem.

– Kocham... cię... Dziew... Dziewczyna... fajna... Bardzo się cieszę.

Rafał wziął ojca za rękę.

– Ja też cię kocham, tato.

Ojciec uśmiechnął się, oddał uścisk, ale już nie odpowiedział. Gdy Aneta wróciła z lekarzem, leżał nieruchomo. Nie reagował na pytania, zamknął oczy.

– Reakcja na bodźce wróciła – oznajmił lekarz. – Wybudza się.

Rafał zadzwonił do matki. Początkowo nie rozumiała.

– Co ty mówisz?

Powtórzył cierpliwie.

– Zaraz przyjadę.

Nadał nie był pewien, czy rozumiała. Może to była kwestia jego wymowy.

Ojciec spał, kiedy weszła do pokoju.

– Pójdę już – powiedziała Aneta, kładąc rękę na ramieniu Rafała.

– Rafał, ty też idź – szepnęła matka. – Zostanę z nim sama.

Rafał się nie poruszył.

– Nie wiem, czy...

– Chcę zostać z nim sama – powiedziała z naciskiem.

– Dobrze – odparł niechętnie. – Do widzenia, tato.

Ujął rękę ojca. Jego palce zacisnęły się na chwilę. To nie odruch.

– Do zobaczenia – powiedziała wesoło Aneta.

Był jej wdzięczny za to bezpretensjonalne, naturalne zachowanie.

Na ścieżce w lesie dotknęła jego twarzy.

– Płaczesz – szepnęła.

Do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy. Wtulił twarz w jej ramię.

– Dziękuję.

Przyciągnęła go ciaśniej.

– Za co?

– Że jesteś.

Chciał powtórzyć słowa ojca o niej, ale nie dał rady.

Ojciec jeszcze tego wieczoru powiedział do matki kilka zdań. W następne dni był intensywnie rehabilitowany i robił postępy. Tak przynajmniej zapewniali lekarze. Rafał też to widział. Chciał widzieć. Przeprowadzili do niego bliźniaki, ale wydawały się trochę onieśmiałe, może nawet wystraszone. Umarł osiem dni po przebudzeniu w towarzystwie matki, trzymając ją za rękę i patrząc w oczy.

– Był przytomny do końca – opowiadała Rafałowi, szlochając. – Powiedział, że byłem najlepszym, co wydarzyło się w jego życiu.

Tracili go po raz drugi. Teraz bez możliwości odzyskania. A może nie opuścił ich zupełnie.

Rafał miał wrażenie, że ojciec jest tuż obok. Nawet nie pomyślał, że to absurdalne.

– Dobrze, że się obudził. Dobrze, że mógł się pożegnać – powiedział cicho.

Jakaś jego część chciała krzyczeć, że to niesprawiedliwe. Ojciec po tych latach powinien być z nimi, brać udział w życiu rodziny. Tutaj. Nie z jakichś zaświatów. Nie powiedział tego matce. Wykrzyczał to Anecie.

Po pogrzebie powtórzył jej słowa ojca.

– Powiedział, że jesteś fajna. Że się cieszy.

– Ja bardzo się cieszę, że mogłam go poznać.

Kiedyś ten ból ucichnie, pomyślał. Kiedyś przestanie palić.

KWIECIEŃ 2022

Aneta położyła wiązanekę na grobie i się zamyśliła. Dziś wypadła pierwsza rocznica śmierci pradziadka. Lekarze twierdzili, że miał silny organizm i dlatego przeżył atak. To fenomen w tym wieku, mówili. Zapewne. Aneta jednak wierzyła, że zmobilizował wszystkie siły, żeby zięć nie został mordercą. Nie wniósł oskarżenia, ale proces musiał się odbyć. Usiłowanie zabójstwa. obrońcy udało się przedstawić szereg okoliczności łagodzących i Piotr dostał tylko osiem lat. Tylko. To brzmiało jak ponury żart. Dziadek stał się wrakiem człowieka. Wychudzony, apatyczny, o nieprzytomnych oczach. Nie wyganiał jej, ale odpowiadał monosylabami. Niekiedy zastanawiała się, czy jej odwiedziny mają sens, ale nadal przychodziła. Mama też próbowała. Jedynie babcia powiedziała stanowcze „nie” i urywała jakąkolwiek dyskusję. Aneta postrzegala Piotra jako ofiarę okoliczności, nie potencjalnego mordercę.

– Ty też to wiedziałeś, dziadku, prawda? – szepnęła, patrząc na płonący znicz.

Na pewno pod koniec widział to jasno. Dlatego umarł dopiero kilka miesięcy później.

Nie rozmawiała z nim o Rańskim. On również nie próbował. Tylko raz, kiedy zapytał, jak wypadł pogrzeb. Pamiętała jego satysfakcję, gdy dowiedział się, że wzbudził niewielkie zainteresowanie.

Myślisz, że mu wybaczyli? Ci, których skrzywdził tak mocno?

Pierwszy raz postawiła to pytanie już po śmierci pradziadka. Później je powtarzała, ale nigdy nie dostała odpowiedzi. Zmarli już z nią nie rozmawiali.

Rozmawiali z nią za to żywi. Szczególnie jeden.

Wsiadła do samochodu. Nadal mieszkała z matką. Rafał namawiał ją na wspólne wynajęcie pokoju, ale stwierdziła, że jeszcze przyjdzie na to czas. Zrób chociaż licencjat, powiedziała. Chyba rozumiał, ale ona nie była pewna własnej decyzji. Do teraz. Od momentu inwazji Rosji na Ukrainę starała się ograniczyć wydatki.

Tydzień temu wprowadziła się do pokoju matki. Miała nadzieję, że się nie pogryzą. Nigdy, za wyjątkiem krótkiego okresu w drugiej liceum, gdy Aneta miała fazę bezustannych imprez i późnych powrotów do domu, się nie kłóciły. Namawiała mamę do przyjęcia uchodźców od wybuchu wojny. Mama miała wątpliwości, wspierała Ukrainę finansowo, ale bezpośrednia odpowiedzialność za drugiego człowieka ją przerażała. Nie dawała rady, powtarzała. Jednak po obejrzeniu zdjęć z Buczy zmieniła zdanie.

Przyjęły dwie przerażone dziewczyny z Kijowa. Swietłana, chyba w wieku Anety, w ciąży ledwie widocznej. Piąty miesiąc, pochwaliła się z uśmiechem, który zaraz zgasł. I Luba, która właściwie była dzieckiem, kruchym, wątłym, o wielkich smutnych oczach. Niekiedy zapominała o traumatycznych wspomnieniach i wybuchała śmiechem. Milkła, napotykała wzrok siostry. Siedemnaście lat. Obie, przedstawicielki młodego pokolenia, mówiły po angielsku. Aneta traktowała je już jak członków rodziny.

Wieczorem usiadły razem w kuchni, jedząc kolację. Rozmowa dotyczyła ich kursu polskiego i plotek z pracy. Swietłana została kelnerką w Costa Cafe, Luba asystentką w pobliskim sklepie. Lekka, niewymuszona konwersacja. Młode kobiety odsuwały lęki, zaczynały żyć. Swietłana pożegnała się pierwsza, wymawiając się zmęczeniem. Zapewne nie tyle była zmęczona, co chciała porozmawiać z mężem na froncie. Dobrze, że istniały komórki. Tamte dwie, Irena i Zosia, nie miały możliwości kontaktu z ukochanymi. Aneta zdrętwiała. Po raz pierwszy uczyniła świadome porównanie dziewczyn z Ukrainy i uciekinierek z Warszawy.

– Ja też już pójdę. – Głos mamy przywrócił ją do teraźniejszości. – Muszę podgonić robotę.

Aneta odprowadziła ją wzrokiem.

– Chcesz jeszcze herbaty? – spytała Luba.

– Tak, poproszę.

Nie powiedziała, że sama zrobi. Cieszyła się, że młode Ukrainki nie czują się już gośćmi. Uśmiechnęła się do Luby, gdy ta postawiła szklanki na stole.

– Cieszę się, że mieszkamy z wami – powiedziała Luba.

– Nie mamy pianina – mruknęła przekornie Aneta.

– Mogłoby nie być nawet keyboardu – roześmiała się Ukrainka, wykonując w powietrzu ruch naciskania na klawisze.

Aneta podziwiała jej szczupłe dłonie o długich palcach pianistki. Dziewczyna przed wybuchem wojny chodziła do szkoły muzycznej. Siadywała przy starym keyboardzie Anety i grywała muzykę klasyczną. Aneta nie potrafiła ocenić, na jakim Ukrainka jest poziomie, jednak jej gra sprawiała, że w oczach kręciły się łzy. To chyba sztuka. Dziś jednak jej uwagę przykuł pierścionek. Złoty, delikatny, z oczkiem, które wyglądało na brylant. Widziała go wcześniej, ale teraz ją przestraszył. Chciała zapytać, ale wścibstwo z pewnością nie było tej dziewczynie do niczego potrzebne. Luba zauważyła wzrok Anety i podniosła prawą dłoń.

– Podoba ci się?

– Bardzo.

– To od mojego narzeczonego. Zaręczynowy – oznajmiła Luba z dumą.

– Masz narzeczonego? Masz... ile lat? Szesnaście, prawda?

– Prawie siedemnaście. Zaręczyłam się kilka dni przed przyjazdem do Polski. Już była wojna.

Aneta nie odrywała wzroku od twarzy mówiącej.

– Na pewno jest ci ciężko. On tam walczy, ty tutaj.

– Tak. – Luba spuściła na moment oczy, ale gdy je podniosła, był w nich uśmiech. – Tak, jest ciężko, ale wiem...

– Co wiesz? – Aneta też się uśmiechnęła.

– Jestem w ciąży. Dzisiaj zrobiłam test. – Aneta przełknęła ślinę. Tyle kłębiących się myśli, że nie mogła skupić się na jednej. Powinna coś powiedzieć. – Igor już wie.

– I... co?

– Jak to co? Oczywiście się cieszy.

– A ty? Też się cieszysz?

– Jak mogłabym się nie cieszyć? To nasze dziecko. Igor walczy też za nie. Żeby miało dobrą przyszłość.

Ale ty sama jesteś dzieckiem. Igor może zginąć. To dziecko w tobie może nigdy nie poznać ojca. Możesz nie dać rady sama wychowywać go w obcym kraju. Aneta nie powiedziała żadnej z tych rzeczy. Żadna nie pasowała.

– Ale... – zająknęła się. – Obiecuj mi...

Dziewczyna patrzyła zdziwiona.

– Co ci obiecać?

Równie dobrze mogłaby powiedzieć: A ty co masz do tego?

– Cokolwiek by się działo... Gdy urodzisz... Nigdy się nie zgódź...

Brakowało jej słów. Angielskich. Polskich. Jakichkolwiek.

– Co nigdy?

Luba nie wydawała się zirytowana. Bardziej zaintrygowana. Albo rozśmieszona nonsensami, które wydobywały się z ust starszej koleżanki.

– Nigdy nie zgódź się, żeby ktoś powiedział, że to nie twoje dziecko – dokończyła Aneta po polsku.

Zdanie nie wydawało się gramatyczne, a już na pewno nie było logiczne.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Luba, również po polsku.

– Krzycz, że dziecko jest twoje. Bez względu na konsekwencje.

– A czyje niby miałoby być?

Aneta pokręciła głową. Lęk był zupełnie nie na miejscu.

– Twoje. I Igora – odpowiedziała po prostu. – Przepraszam. Skojarzyło mi się zupełnie niepotrzebnie.

– Co ci się skojarzyło?

– To długa historia.

– Opowiedz – poprosiła Luba.

I Aneta opowiedziała. Luba się roz płakała.

– Wiesz... – powiedziała, gdy Aneta skończyła. – Czasy są równie straszne jak wtedy, ale inne. To dziecko – położyła ręce na płaskim brzuchu – będzie wiedziało, kto jest jego mamą. I tatą. – Uśmiechnęła się i dodała: – Pójdę się już położyć. Jesteśmy zmęczeni.

Czasy są równie straszne jak wtedy, ale inne. Słowa Luby brzmiały jej w głowie. Chciała zobaczyć Rafała. Natychmiast. Jakby się bała, że coś może ich rozdzielić. Przepędziła z myśli słowo „wojna” i wybrała numer. Rafał zgłosił się natychmiast.

– Spotkajmy się – powiedziała.

– U ciebie w kuchni? – upewnił się.

Wiedziała, że mama Rafała ma nocny dyżur, a bliźniaki są na zielonej szkole.

– Może ja przyjadę? Chciałabym zostać na noc.

– Przyjedź – szepnął.

Czasy są równie straszne jak wtedy, ale inne. Znów to usłyszała. Przytuliła się do Rafała mocniej niż zazwyczaj. Miała nadzieję, że młode Polki nie będą musiały już rozstawać się z ukochanymi. Że ona nie będzie musiała.

PODZIĘKOWANIA

Nie wyobrażam sobie napisania powieści bez wsparcia mojego przyjaciela i pierwszego czytelnika Marcina Gutka. Zawsze dzieli się bezcennymi uwagami, czasem chwali, innym razem wskazuje niedoskonałości i sugeruje, jak je naprawić. Gdy pisałam Piwnicę, odbyliśmy długą dyskusję na temat młotów wyburzeniowych. To oczywiście przykład, rozmawialiśmy na wiele innych tematów, zaczynając od młodzieńczych zauroczeń, poprzez duchy, a kończąc na publicznych egzekucjach.

Piwnica jest drugą moją książką zredagowaną przez Agnieszkę Czapczyk. Po raz kolejny nasza współpraca okazała się bardzo miła, a dla mnie również pouczająca.

Jak zwykle dziękuję dziewczynom z grupy pisarskiej „Wielbicielki Janusza”: Hani Cygler, Małgosi Wardzie, Ani Fryczkowskiej, Lucynie Olejniczak, Agnieszce Gil, Ani Zgierun-Łacinie, Manuli Kalickiej i Joannie Jodełce.

Dziękuję wszystkim, którzy przeczytali Piwnicę. Miło mi będzie, jeśli zechcą Państwo podzielić się wrażeniami, na przykład wysyłając wiadomość przez moją stronę na Facebooku: „Magdalena Zimniak – strona autorska”.

PRZYPISY

[1] W powojennej Polsce odbyły się trzy publiczne egzekucje: 3 grudnia 1944 roku w Lublinie dla zbrodniarzy z Majdanka, 4 lipca 1946 roku w Gdańsku dla oprawców z obozu koncentracyjnego Stutthof i 21 lipca 1946 roku na stoku poznańskiej Cytadeli, gdzie stracono Arthura Greisera, nazywanego katem Wielkopolski. Warszawska egzekucja jest wydarzeniem fikcyjnym, a sam Kenig postacią fikcyjną.